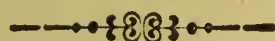
Mikołaj Mazanowski.



Charakterystyki literackie

pisarzów polskich.

VII.

Aleksander hr. Fredro.



Złoczów.
Nakładem i drukiem Wilhelma Zukerkandla.

Okres I do r. 1835.

Aleksander hr. Fredro urodził się d. 20. czerwca 1793 r. w Surochowie, pod Jarosławiem, w Galicyi. Pierwsze jednak i najważniejsze wspomnienia jego życia odnoszą się do pobytu w Bieńkowej Wiszni, gdzie wychowywał się w licznem gronie rodzeństwa i domowników. Tu w obszernym szlacheckim dworze nawet w zwykły dzień ludno było i gwarno, gdyż obok gospodarstwa domu i ich dziewięciorga dzieci (6. synów i 3. córek) zasiadali do wspólnego stołu rezydenci (jednym z nich był major kościuszkowski, późniejszy jenerał Biegański), nauczyciele i oficyaliści; a cóż dopiero w dni uroczystości religijnych lub rodzinnych, gdy gościnny dwór Fredrów zapełniał się sąsiedzką szlachtą. Sypały się naówczas dowcipy, dykteryjki, opowiadania o przygodach myśliwskich, wypadkach politycznych: i w pamięci przyszłego komedyopisarza utkwił w owym czasie nie jeden typ zajmujący, zostało nie jedno komiczne wrażenie.

Nie mały wpływ na Aleksandra Fredrę wywarł ojciec jego, Jacek. Potomek możnego rodu szlacheckiego, herbu Bończa, spokrewnionego ze sławnym marszałkiem sejmu z r. 1652 i autorem dzieła p. t. „Przysłowia mów potocznych“, był pan Jacek mężem rozsądnym, czynnym i praktycznym. Podniósł on znakomicie fortunę rodu, zdobył klejnot hrabiowski, a co ważniejsze, zdobył cześć i miłość tak rodziny, jak sąsiadów. „Kochałem i szanowałem mogo ojca, pisze w pamiętniku „Trzy po trzy“ nasz komedyopisarz, cześć dla niego zdaje się wzmagać w mojem sercu. Powtarzam teraz często nie jedno jego zdanie, jego przestrogę... Żywot ojca stał się wzorem dla dzieci. Jego charakter prawy, rozum nie błyszczący świetnem ukształceniem, ale głęboki, logiczny, dobroć nieprzebrana, uprzejmość, uczynność zjednały mu powszechny szacunek. Jako człowiek i jako Polak był on w całem znaczeniu wyrazu: bez skazy.“

Z powodu zniemczenia ówczesnych szkół publicznych w Galicyi — dzieci Fredrów kształciły się w Bieńkowej Wiszni. Pomimo wielu mentorów i guwernerów, jak Szwajcar, nazwiskiem Heckel, i nauczyciel jęz. francuskiego, Płachetko, i niejaki Trawiński, w wojskach księstwa warszawskiego kapitan szwoleżerów, i wreszcie Steeewicz: chłopcy więcej czasu poświęcali jeździe konnej, polowaniu lub zbijaniu bąków, niż nauce. Zachował się list

Aleksandra Fredry, pisany do matki około 1804 r., który pomimo usterek pisowni świadczy przecież, że wbrew ówczesnej modzie, panującej w domach arystokratycznych, młody Fredro chętniej i łatwiej pisał w języku ojczystym, niż po francuzku. List ten zaczyna się od słów: „Najpierwej przepraszam, moja *maman* kochana, że nie po francuzku piszę; *wi*, że nie mogę tak prętko po francuzku pisać, jak po polsku pisać, a już przy świcy piszę!...“

Ważniejsze światło na usposobienie komedyopisarza w tym okresie jego życia rzuca ustęp własnej jego autobiografii, który tu przytaczamy: „W młodych latach, pisze Fredro, nie okazywałem zdolności do nauki, nie dla tego, żebym do niej nie miał zdolności, lecz, że ta wymagała przedewszystkiem pamięci, której nie miałem, a przez to i żadnych korzyści odnieść nie mogłem z udzielanych mi nauk. Usposobienie moje ciche, spokojne, niemal poważne; umysł więcej do samotnych dumań, niż do pustej wesołości skłonny, zyskał mi w rodzinie przydomek młodego staruszka. Miałem lat 12, kiedy pewnego dnia tknęła mię jakaś myśl i pochwyciwszy kilka białych kart starego regestru, zacząłem pisać komedyę. Plan i wykonanie były dziełem jednej chwili natchnienia: niedziela na wsi i państwa niema w domu, pojechali w sąsiedztwo, zostały same dzieci i nudzą się na zabój, bo zapomniano dać im rodzynków

i migdałów na bankiet... Cóż tu począć? Michał, lokaj przebiegły i łakomy, ofiaruje się wyprowadzić dziatwę z przykrego położenia i wpada na koncept ubrać się w prześcieradło i udając ducha nieboszczki babki, straszyć starą klucznicę. Przestraszona klucznica oddaje klucze od spiżarni i sama chowa głowę w beczkę mąki. Michał tymczasem, gospodarując po spiżarni, łapie, co może i pakuje do kieszeni, pamiętając więcej o sobie, niż o dzieciach. Aż tu niespodziewanie nadjeżdżają państwo; duch złapany na gorącym uczynku, ze strachu chowa także głowę w beczkę mąki. Rozwiązanie — sąd moralny — a wszystko pod tytułem *Strach nastraszony.* — W parę lat po tej pierwszej próbie dziecinnego pióra snuły mi się po głowie dramata wielkiego rozmiaru. I tak w jednym miał być bohaterem jenerał Jasiński, o którym zwykle lubił mi wiele rozpowiadać mój guwerner, dawny wojskowy. Dramat ten nigdy nie doczekał się końca, ale miał swój plan, spis osób i pierwszą apostrofę do rodzinnej ziemi“...

Po śmierci matki, która zmarła w Bieńkowej Wiszni w r. 1806, zamieszkał Aleksander Fredro wraz z młodszem rodzeństwem we Lwowie, gdzie pod opieką Płachetki miał dalej się kształcić. Nieszczególna była to jednak nauka. Z goryczą o tem pisze autor „Zemsty:“ „O Płachetko! Niech ci Bóg, przed którym już stoisz, przebaczy, żeś mój czas najpiękniejszy od r. 1807 do 1809 zabił,

zamordował bez litości. Książki w rękę nie wziąłem. Jeżelim czytał, to romanse"... Drogocenny czas młodości szedł na marne śród ćwiczeń w fechtunku, jeździe konnej i tańcu, na fryzowanie się, strojenie i przedwczesne składanie wizyt. Aż wreszcie kres takiemu życiu położyły ważne wypadki polityczne, które młodzieńca w swój wir porwały i... ocaliły.

W r. 1809 rozeszła się wieść o wojnie Napoleona z Austryą, o wkroczeniu wojsk Księstwa Warszawskiego do Galicyi. Młody, szesnastoletni Fredro porzuca Lwów, śpieszy do ojca, otrzymuje jego zezwolenie wstąpienia do wojsk narodowych, przedstawia się księciu Józefowi, otrzymuje nominacyę na podporucznika w 11. pułku ułanów i odtąd rozpoczyna „szkołę świata, najpraktyczniejszą, najbardziej urozmaiconą, a zarazem najsmętniejszą ze wszystkich szkół, w jakich się mamy uczyć doświadczenia"...

Jak Fr. Morawski, Kazimierz i Andrzej Brodzińscy, Antoni Malczewski, Antoni Gorecki, przyjaciel Brodzińskiego, Reklewski, podobnie Fredro wyruszał na wojnę w radośnem uniesieniu, ożywiony ogólnym powiewem wolności, z niezachwianą wiarą w tryumf Napoleona i zmartwychwstanie ojczyzny. Znalazłszy się w pułku, złożonym z kwiatu szlacheckiej młodzieży, oddał się całą duszą wesołemu życiu obozowemu. Wojna r. 1809 była tylko lekkim wstępem wypadków, które nie-

bawem miały się rozegrać, była „tryumfalną przechadzką“. Po jej ukończeniu awansował na porucznika, a w r. 1812 jako kapitan 5. pułku strzelców konnych wziął udział w tej epokowej wyprawie na Moskwę, która miała wstrząsnąć podstawami bytu ludów europejskich. Dzielił wszystkie trudy i katastrofy wielkiej armii: był w ogniu pod Romanowem i Smoleńskiem, widział pożar Moskwy, cało wyszedł z przeprawy przez Berezynę, gdzie poległ A. Brodziński, wreszcie w Wilnie zapadłszy na tyfus, dostał się do niewoli. Lecz niebawem przyszedłszy do zdrowia ucieka z niewoli, dostaje się szczęśliwie do Galicyi i po krótkim wypoczynku znowu pośpiesza na pole walki pod Drezno. Tu pełni służbę oficera ordynansowego w ogniu pod Dreznem, Lipskiem, Hanau, towarzyszy wiernie wraz z armią polską Napoleonowi pod Paryż. Po abdykacyi Napoleona odznaczony krzyżami *virtuti militari* i legii honorowej powraca do Galicyi smutny, rozczarowany, lecz nie bez zasobów moralnych wielkiej wagi w dalszem życiu. Doświadczenie, obserwacya, trudy, częste zazieranie w oczy śmierci pasowały go nie tylko na rycerza, lecz także na męża dojrzałego, z wolą zahartowaną i niezłomną energią.

A wrodzony talent nie tylko w tych trudach nie zmarniał, lecz niezużyty stężał i pogłębił się. Już w ciągu służby wojskowej rwał się Fredro do poezyi, improwizując na poczekaniu okoliczno-

ściowe wiersze, bajki, listy, satyry, wszystkie w guście klasycznym, które mu zjednywały poklask kolegów obozowych. Na dalszy jednak kierunek twórczości jego rozstrzygający wpływ wywarł pobyt w Paryżu. „Pobytowi w Paryżu — pisze sam Fredro — winien jestem poznanie teatru francuskiego, który zrobił na mnie n i e o p i s a n e wrażenie, odpowiednie memu wewnętrznemu usposobieniu, a przytem całkiem nowe; Lwów bowiem nie miał wtedy stałej, polskiej sceny, a jeżeli bywałem niekiedy na przedstawieniach teatralnych, to najczęściej wykonywali je amatorowie, a tak nie mogłem mieć jasnego pojęcia o tej potędze sztuki. Tragedya francuska, lubo szczyciła się wówczas królem tragików, Talmą, znalazła mnie prawie obojętnym widzem. Przesadna deklamacya, ruchy konwencyonalne, monotonia alexandrynów, ziębiąca wszelkie ciepło, w ogóle nie mogła mi się podobać, nic nie wiedzącemu o trzech jednościach. Przeciwnie wodewil, komedya wprawiały mię w zachwycenie. Pierwszy raz widziałem tam skończonych i doskonałych artystów“...

Towarzystwo, w którem znalazł się Fredro po swym powrocie z wojny we Lwowie, w znacznej części wiodło życie bez poważnego celu; młodzież zwłaszcza, okryta świeżym urokiem bohaterstwa, rzuciła się w wir zabaw często marnotrawnych i próżniaczych. Fredro prędko z tem życiem zerwał; a chociaż na karnawały zjeżdżał

do Lwowa i nie stronił od zabaw, to jednak z goryczą coraz większą począł patrzeć na wady społeczeństwa, którego dobra pragnął z całej duszy; i śród wzmagającego się pessymizmu oraz usposobienia melancholijnego nosił się z myślą stworzenia dzieł takich, w którychby to społeczeństwo przyjrzeć się mogło sobie, jak w zwierciedle. Traf chciał, że jakiś antykwaryusz przyniósł mu na sprzedaż komedye Moliera. Skwapliwie je zakupił Fredro i odtąd obrawszy sobie nieśmiertelnego komedyopisarza francuskiego za przewodnika, począł wyraźniej pojmować powołanie autora dramatycznego, dochodzić do świadomości własnego talentu i na seryo wziął się do studyów. W czasie, gdy ten proces odbywał się w duszy poety, przygotowywał się już epokowy przewrót w naszej literaturze; walka jednak klassyków z romantykami była dla Fredry obojętną; klassycy nie mieli potrzeby bronienia dotychczasowych teoryi komedyopisarstwa, gdyż romantycy z lekceważeniem pomijali komedyę, wyłączając ją niemal z zakresu poezyi. Fredro nie tyle na podstawie teoretycznych studyów, ile dzięki wrodzonemu talentowi i znakomitym wzorom Moliera zrozumiał doniosłość tego rodzaju twórczości; zarówno usposobienie, jak Molier, popychały go do tego rodzaju komedyi, który zasadza się nie tak na kompozycyi, zawikłaniu i intrydze, jak na werwie komicznej i typach.

Pierwsze próby, jednoaktówka p. t. „Intryga

na prędce", odegrana bez powodzenia we Lwowie (w przeróbce późniejszej „Nowy Don Kiszot"), komedya p. t. „Kwita" i wodewil p. t. „Teatr w teatrze" były słabe. W r. 1819 napisał „Geldhaba". Nie wystawił go jednak we Lwowie. Stosunki sceny polskiej w tem mieście pomimo energicznych wysiłków Jana Nepomucena Kamińskiego, który tu po r. 1809 stały utworzył teatr, były jeszcze bardzo opłakane, a to wskutek trudnej kunkurencyi z teatrem niemieckim i dziwnej apatyi publiczności. Może zrażony obojętnem przyjęciem „Intrygi na prędce" zawiózł Fredro rękopis „Geldhaba" do Warszawy. Fr. Morawski otrzymawszy komedyę tę do oceny, zadecydował, że „Warszawa nie zna takich Geldhabów;" Osiński jednak po wielu trudnościach i długiej zwłoce zgodził się wreszcie na wystawienie jej, a zupełne powodzenie i przychylne oceny krytyki utwierdziły autora w obranym kierunku. Pomimo to następne komedye Fredry długo musiały wyczekiwać na wystawienie. W r. 1822 odegrano w Warszawie po raz pierwszy „Zrzędność i przekorę", w następnym roku, „Męża i żonę", w r. 1824 „Cudzoziemczyznę", w r. 1826 „Damy i huzarów" oraz „Odludków i poetę", w r. 1827 „Nikt mnie nie zna i „Przyjaciół." Powodzenie było niezwykłe, publiczność śmiała się i bawiła z niemałą korzyścią, autor zaś zdobywał coraz wiekszy rozgłos, ktorego wyrazem było miano-

wanie go (w r. 1829) członkiem „Towarzystwa przyjaciół nauk.“ W ślad za Warszawą poszły sceny galicyjskie, wystawiając między r. 1824 a 1830 wszystkie wymienione już utwory, a nadto „Pierwszą lepszą.“ Sławę Fredry utrwaliło zbiorowe wydanie dzieł, dokonane w Wiedniu w r. 1826 w dwóch tomach. Tom I. zawierał: Geldhaba, Cudzoziemczyznę, Damy i huzarów, Zrzędność i przekorę; tom II: Męża i żonę, Nowego Don Kiszota, List, Pierwszą lepszą, Odludków i poetę.

Tymczasem przygotowywał się fakt ważny w życiu Fredry. Żywił on już dawiej gorące, acz na razie beznadziejne uczucie ku hr. Zofii z Jabłonowskich Skarbkowej, żonie głośnego twórcy fundacyi Drohowyzkiej. Sprawa unieważnienia małżeństwa ciągnąła się przez trzy lata, wywołując w duszy poety udręczenie oczekiwania i niepewności. Jedyną osłodę znajdował w tym czasie w twórczości, pisząc w r. 1826 komedye: „Nikt mnie nie zna“ i „Przyjaciół“, w 1827 „Sluby panieńskie“ i „Gwałtu co się dzieje.“ W r. 1828 po unieważnieniu pierwszego małżeństwa Zofii połączył się z nią Fredro dozgonnym ślubem. Szczęście domowego pożycia nie wytrąciło mu pióra z ręki; przeciwnie po krótkiej przerwie pojawiają się obok dawniej napisanych także nowe komedye na scenie lwowskiej: w r. 1833 „Śluby panieńskie“, „Dyliżans“, i „Pan Jowialski“ (napisany w r. 1832. w r. 1834 „Zemsta“ i „Cio-

tunia", a w r. 1835 „Dożywocie", i „Gwałtu co się dzieje." Stanowią one wyraźny dowód, że talent komedyopisarza wzmagał się i dochodził do zenitu. Zwłaszcza „Śluby", odegrane w jednym sezonie siedem razy, co było wówczas rzeczą niesłychaną, wywołały wielki zachwyt publiczności i krytyki.

Wytrawny znawca sceny, J. N. Kamiński, natychmiast po pierwszem przedstawieniu nie miał dość słów uwielbienia i podziwu. „Wczorajszy wieczór — pisał — był dla mnie tak dalece szczególny, tak dalece miły, iż w dzisiejszym poranku nie mogłem przenieść na sobie, abym pośpieszno nie pochwycił pióra i nie wyznał autorowi Ślubów panieńskich, że mu — zdaniem wszystkich — najpiękniejszy jak w istocie godny zazdrości wieniec na zawsze uwity... Tak jest, Śluby panieńskie są utworem prawdziwie szczęśliwym prawdziwie poetycznym"...

Nagle po r. 1835 znakomity autor „Zemsty" umilknął. Do śmierci swej nie wystawił już żadnej nowej sztuki, ani nie ogłosił drukiem. Wpłynęło to ujemnie na własną jego twórczość, a dla rozwoju naszej literatury dramatycznej stało się nieodżałowanym ciosem. Powód milczenia Fredry przypisywano powszechnie ogłoszeniu w r. 1835 w „Powszechnym pam. nauk i umiej." artykułu Goszczyńskiego p. t. „Nowa epoka poezyi polskiej." Wytykał w nim Goszczyński naśladownictwo

licznym poetom naszym, ze szczególnem jednak i stronniczem uprzedzeniem uderzał na Fredrę, odsądzając go od miana poety, nazywając komedye jego karykaturami bez szczypty ducha narodowego, których treść demoralizująco oddziaływa, a styl i wiersz jest wymanierowany trybem francuskim. Rozprawa ta, pisana pobieżnie i powierzchownie, nie miała i nie ma żadnej wartości krytycznej i możeby nie była Fredry zniechęciła, gdyby jej nie towarzyszył szereg innych głosów publicystyki, głosów niesprawiedliwych i uprzedzonych, którym można było przypisać świadomy cel ugodzenia w stronnictwo dla Fredry sympatyczne. W tymże bowiem roku także W. Pol w artykule „Teatr i A. Fredro“, ogłoszonym w „Kwartalniku naukowym“, uszczypliwie nazywał Fredrę malarzem salonów, kasty żurnalowej, spoczywającej na laurach; w rok potem podobne zarzuty powtórzył Lesław Łukaszewicz w „Rysie piśmiennictwa polskiego“, a Edward Dembowski w swem „Piśmiennictwie“ odsądził komedye namiętnie i gwałtownie od wszelkiej wartości.

„Połamałem pióro pisarskie — pisał Fredro z goryczą — nie jak mniemano dla jednego głupiego artykułu Goszczyńskiego.... starałem się i zostałem głupim, abym w gęstym cieniu głupstwa ukrył się przed cięciem i jeszcze nieznośniejszym brzękiem człowieczych komarów.“ Widać z tego, że krzywda niewymownie ubodła drażliwego ko-

medyopisarza, który w następującym wierszu dał wyraz swemu rozgoryczeniu:

„Bo jakiś Minos powstał i zaszczekał wściekle,
Chciałby moich pięć tomów w piątem widzieć piekle.
Źlem pisał, zgoda, ale źle pisać nie zbrodnia,
Trafiało się to dawniej i trafia się co dnia.
Byłem więc więcej złością, niż treścią zdziwiony,
A kiedy nikt się mojej nie podjął obrony,
Nie mogłem pojąć, zgadnąć, czy rada, czy zdrada,
I zrozumiałem tylko, że milczeć wypada,
Milczałem lat piętnaście“...

Nim przystąpimy do skreślenia dalszych kolei życia i rozwoju twórczości Fredry po r. 1835, wypada zastanowić się nad znaczeniem i wartością dzieł jego ogłoszonych za życia. —

Pan Geldhab, komedya w 3. aktach wierszem. Spanoszony dorobkiewicz, Geldhab, przyrzeka zrujnowanemu księciu Rodosławowi rękę córki swej, Flory, lubo dawniej już zaręczył ją z Lubomirem. Książę spodziewał się tem małżeństwem podeprzeć swój kredyt, Geldhab zaś i jego córka, śmiesznie próżni i pretensyonalni, uważali za największe szczęście ozdobić się mitrą książęcą Rodosława. Gdy zgłosił się Lubomir, Flora przyjmuje go z tak śmieszną wyniosłością, tak ozięble i bez serca, że mu nie pozostawało nic innego, tylko pożegnać ją na zawsze. W ostatniej jednak chwili cofa się także książę, który niespodzianie odziedziczył spadek po ciotce. Flora zostaje na koszu.

Autor miał sposobność poznania w Galicyi

nie jednego dorobkiewicza, który w czasie ostatniej wojny obłowił się w kręty sposób; spotykał i innych, którzy z ekonomów, rządców lub plenipotentów wyrośli na jaśnie wielmożnych i kupowali sobie tytuły. Wspólną ich cechą była zabawna próżność, chęć ukrycia swej przeszłości i drapowanie się w blask rodowej arystokracyi. Podobnym jest *Geldhab.* Wyśmienity, pełen prawdy, życia i plastyki typ jednoczy w sobie różne cechy wspólne dorobkiewiczom: zadowolenie z siebie, brak gustu, zamiłowanie w blichtrze, popisywanie się bogactwem przy sknerstwie, wrażliwość na pochwały opinii publicznej, pretensyonalność, pozowanie i małpowanie wielkopańskiej maniery, nieuctwo, tchórzostwo, płaszczenie się lub śmieszną poufałość w stosunkach z tymi, którzy mu imponują, a arrogancyę wobec niższych, zwłaszcza biedniejszych, samochwalstwo i podejrzaną przeszłość. Cechy te nagromadzone są bardzo obficie i w ogólności wyrażają się w sposób dramatyczny, z niezrównanym komizmem; toteż cała postać porusza się swobodnie, jest jednolitą, żyje i stanowi główną wartość komedyi. Z innych figur niezawodnie najkomiczniejszą, najplastyczniej się wyraża i najwięcej budzi interesu panna *Flora* ze swym udanym sentymentalizmem, z pretensyą do wykształcenia, z komiczną próżnością i brakiem serca. Inne osoby: lekkomyślny, z protekcyonalną pozą książę *Rodosław,* bezczelnie płaszczący się,

pochlebca i tchórz *Lisiewicz,* brutalny, gwałtowny i nazbyt głośny *Major,* wreszcie bezbarwny *Lubomir* — są naszkicowani sylwetkowo i mają znaczenie w sztuce podrzędne. Komedya nie jest bez wad. Przedewszyskiem typ dorobkiewicza od Moliera już nieraz powtarzany w komedyach, jest nieco zużyty. Do wad zaliczyć trzeba banalne rozwiązanie, zbyt wyraźny morał, wkładanie charakterystyk w usta działających osób, przesadę graniczącą niekiedy z karykaturą, brak pomysłowości w zawikłaniu. Widoczną jest rzeczą, że w wykonaniu wyłącznie prawie chodziło autorowi o główny typ i o komiczne sytuacye. I rzeczywiście już w tej sztuce komizm Fredry, acz nie najwytworniejszy, zabłysnął świetnie. Niezrównane są pod tym względem: rozmowa księcia z Florą i Geldhabem (I. 6), monolog Flory (III, 2 i 3), wreszcie monolog Geldhaba (III. 6).

Zrzędność i przekora, komedya w 1. akcie wierszem. Dwaj bracia, Piotr i Jan, starcy, czynią sobie wszystko na przekór i w niczem nie mogą się zgodzić. Cierpi z tego powodu współwychowanica ich, Zofia, gdyż bez zgodnego zezwolenia opiekunów nie może poślubić Lubomira. Ten ciągłą ich waśnią zniecierpliwiony i zdecydowany już na wszystko, w oczy obu starcom śmiało i dosadnie wypowiada, jak źle postępują. Skutek nad spodziewanie szczęśliwy. Obaj podpisują zezwolenie na małżeństwo Lubomira z Zofią,

każdy dla przekonania drugiego, że nie jest słowami Lubomira urażony, gdyż nie odnosi ich do siebie.

Misterna charakterystyka żółciowych, gderliwych i zrzędnych starców, oraz naturalne, z akcyi wysnute, a jednak niespodziewane rozwiązanie głęboko komicznego pomysłu nadają komedyjce tej niemałą wartość. Główną w niej rzeczą subtelne zmiany w usposobieniach i różnice w temperamentach Piotra i Jana, które plastycznie uwydatniają się dopiero w dobrej grze artystów i pomimo braku urozmaicenia, zbyt długich dyalogów i szczupłej akcyi mogą wywołać znaczny efekt sceniczny. —

Mąż i żona, komedya w 3. aktach wierszem. Zawiera wstrętny obraz pożycia rodzinnego ludzi o stępionym zmyśle moralnym. Pod względem kompozycyi, wytwornej ironii, dowcipu w dyalogach, komizmu w sytuacyach, śmiałości i plastyki w kreśleniu figur, nieocenionego humoru i świetnego wiersza — należy do najlepszych dzieł Fredry.

Cudzoziemczyzna, komedya w 3. aktach wierszem. O córkę Radosta, Zofię, nieśmiałą trusię, starają się równocześnie Astolf i Zdzisław. Pierwszy dla pozyskania sobie względów Radosta, który powierzchownie przejął się manią angielszczyzny, udaje anglomana i bywalca, choć w rzeczywistości wcale obcych krajów nie zna; drugi, chociaż po-

dróżował wiele, tai się z tem, gani obce kraje i cudze mody, widzi bowiem, że Zofia także zaraziła się od ojca swego angielszczyzną, a pragnie zdobyć jej serce zaletami swego charakteru, nie znajomością mody i świata. Jakoż Radost źle wychodzi na anglomanii w gospodarstwie i wdziewa wreszcie kontusz, a w Zofii przeważa szczere uczucie ku Zdzisławowi, któremu oddaje swą rękę.

Komedya pożyteczna jako satyra wady narodowej, głęboko wkorzenionej w pierwszej połowie XIX w w wyższych warstwach naszego społeczeństwa. Główną postacią jest *Radost*, najlepszy w sercu Polak uczciwa dusza, lecz śmieszny przez to, że bezmyślnie małpując cudzoziemskie obyczaje uczy się obcych frazesów i nimi popisuje się, przywdziewa obce stroje, zmienia na modłę obcą dom, służbę, nawet sposób gospodarowania. Lecz temperament narodowy i zdrowy rozsądek biorą w nim górę. Cudzoziemczyna bowiem tylko przejściowo i powierzchownie zajęła mu nie tęgą z natury głowę, nie dotarła do głębi serca, które zostało uczciwe, czułe, prawe (dowód w scenach z Jakóbem, Julią i Zofią), pełne szczeropolskiej porywczości. Mimowoli przypomina on Cześnika, gdy zamaszyście woła:

„Niech kto w drodze stanie,
Niech mnie tylko zaczepi! Co to! Ech, mospanie,
Jak się chwycę do korda!“

Z mniej ważnych postaci najdosadniej scha-

rakteryzowani są słudzy: stary *Jan*, mrukliwy, ze zdrowym rozsądkiem, szczerze przywiązany do Radosta, cierpiący z powodu zaprowadzania nowej mody i mający odwagę powiedzieć swemu panu:

„A co najwięcej serce me przenika,
Że i z panicza robią powoli fircyka.“

Drugi *Etienne*, gaduła, blagier, kłamiący na urząd i na zawołanie. Inne figury wypadły blado. Akcya pomimo świetnych ustępów (np. opowiadanie Radosta o wyścigach, scena Radosta z Jakóbem w II. 11.) wlecze się przeważnie ociężale wśród przesadnych niekiedy sytuacyi.

Damy i huzary, komedya w 3. aktach prozą. Jest to wesoła krotochwila, pełna zabawnych sytuacyi wynikających z przyjazdu siedmiu kobiet do kawalerskiego domu Majora, u którego bawią na urlopie przyjaciele jego, huzarzy. Kobiety w jednym dniu przewróciły dom cały; starzy przyjaciele poważnili się między sobą i omal wszyscy nie pożenili się: stary huzar, Grzegorz, zakochał się we Fruzi, sam Major omal nie ożenił się ze swą siostrzenicą, Zofią, którą na szczęście pojął przyjaciel jego, młody porucznik Edmund. Toż samo groziło Rotmistrzowi. Wreszcie jednak starzy kawalerowie przychodzą do rozumu, chociaż w zupełności komedya stwierdza myśl, wyrażoną na czele jako motto, że „pochlebstwo ma w sobie osobliwy przysmak“...

Zaletą tej krotochwili bez głębszego znaczenia

jest szczery i niewymuszony humor, dużo ruchu, życia i wesołych sytuacyi. —

Odludki i poeta, komedya w 1. akcie wierszem. Biedny sierota, Edwin, zyskał sobie uznanie mieszczan pracowitością, sercem, uczciwością; dostał też niezły zarobek, został bowiem pisarzem przy burmistrzu, nadto otrzymał mieszkanie u oberżysty, Kapki, za naukę córki jego, Zuzi. Młodzi pokochali się i może Kapka byłby zgodził się na ich małżeństwo, gdyby nie jedna okoliczność: Edwin był poetą. wiersze jego nabierały rozgłosu, zwłaszcza u kobiet, a za gołego poetę Kapka córki stanowczo nie wyda. Lecz w tejże oberży bawią dwaj przybysze: jeden zgorzkniały, pełen nienawiści do świata i ludzi — to Astolf; drugi Czesław, odludek, z niezagojoną w sercu raną, samotny, nieżonaty, bez przyiaciół i krewnych. Ten milcząc przypatruje się rozpaczy młodych, zapał Edwina wstrząsa całą jego istotą; postanawia szczęściem młodej pary ogrzać skostniałe serce i adoptuje Edwina. Wszystko kończy się najpomyślniej, Kapka bowiem chętnie oddaje Edwinowi córkę.

Komedyjka ta wyróżnia się od innych utworów Fredry nastrojem lirycznym, wynikającym już z samego pomysłu. Autor wprowadza w niej w kontakt zdrowy zapał młodzieńca ze zgorzknieniem starca, polot poetycki — z prozą życia codziennego, głęboko wkorzenioną nienawiść pessy-

mistyczną — ze smutkiem zranionego, lecz mogącego się jeszcze odrodzić serca. Szkoda, że wspaniały pomysł i zręcznie uchwycone figury nie są rozwinięte w szerszym i wszechstronniejszym obrazie, lecz przedstawiają się raczej szkicowo. —

Nikt mnie nie zna, komedya w 1. akcie wierszem. Kupiec Marek Ziemba, do śmieszności zazdrosny o swą żonę Klarę, wracając z dwuletniej podróży pragnie pokryjomu wybadać, co się w domu jego dzieje. Zatrzymuje się tedy w karczmie, gdzie spotkawszy przypadkiem jakiegoś oszusta, ściganego przez władze, przebiera się w jego suknie wojskowe, przebiera także swego służącego i jako Jan Rembosz udaje się do domu. Tej przemiany był świadkiem brat Klary, Czesław, którego Ziemba nie znał. Ten wyprzedzając Ziembę przybywa wcześniej do jego domu i namawia Klarę, aby raz dobrą nauczkę dała mężowi za podejrzliwość i zazdrość. Przebiera się tedy sam za pana domu i umawia się z Klarą i domownikami, aby prawdziwego Ziemby nie poznawali. Wywiązuje się z tego szereg sytucyi niezmiernie komicznych, jak spotkanie Ziemby z sobowtórem, który mu sad wycina i folwark sprzedaje, przybycie lichwiarza z wekslem, podpisanym przez Rembosza, przybycie Majora grożącego kulką za nieprawne noszenie munduru, zawikłanie Ziemby z żoną, która go nie poznaje.

podobne z Kasprem i Martą, wreszcie rozpacz Ziemby, napróżno przypominającego Klarze różne szczegóły na dowód, że jest prawdziwym jej mężem, napróżno wzywającego Kaspra i całą służbę na świadectwo. Wreszcie Czesław i Klara wyjaśniają udręczonemu Ziembie całe zajście.

W krotochwili tej bardzo wyraźne występują zalety i wady komedyopisarskie Fredry: bijące w oczy nieprawdopodobieństwo zawikłania i banalnej akcyi, służącej jedynie ku wydobyciu najkomiczniejszych i najweselszych sytuacyi, wyzyskanych w sposób znakomity; rozwiązanie dokonane jednem pociągnięciem pióra; plastyka w kreśleniu figur doskonała; świetne i niezrównane ośmieszenie upatrzonej z góry, przewodniej w komedyi, a zasadniczej w głównym bohaterze wady; zdrowy i pogodny nastrój; bogactwo humorystyki w dyalogach; żywość stylu. —

Przyjaciele, komedya w 4. aktach wierszem. O rękę bogatej Zofii ubiega się kilku zalotników, z których wyróżniają się dwaj przyjaciele: Czesław i Zdzisław. Zofia stopniowo przychodzi do świadomości, że kocha Zdzisława, który z powodu ubóstwa tai się ze swem uczuciem ku niej i popiera dążenia Czesława. Posądzenie jednak o miłość ku guwernantce, pannie Bobiné, zmusza go do wyjawienia miłości ku Zofii. Czesław ustępuje i cieszy się szczęściem przyjaciela.

Akcyę, która odznacza się melancholią tajo-

nych uczuć Czesława, urozmaicają komiczne figury i błyski świetnego dowcipu w dyalogach. Wyborny jest *Smakosz*, który myśli tylko o jedzeniu i chętnie „dałby rocznie na szpital złotych trzysta, byle zawsze był głodny, ale to jak glista“. Co za niezrównane sceny, gdy błaga, aby miano litość nad nim i nie spóźniano się na obiad i nazywa waryatem Wtorkiewicza przed obiadem odjeżdżającego; gdy zważa, aby potrawy były lekko stawne; gdy smacznie zasypia po jedzeniu; gdy dowodzi, że Zdzisława trawi miłość, ponieważ nic nie je ani pije; lub gdy pomimo niedyspozycyi z rozkoszą zjada kaszkę p. Bobiné. Podobnie komicznym jest *Wtorkiewicz*, chlubiący się na każdym kroku swem bogactwem; baron *Antenacki*, „sługa obcych dworów“, „na spruchniałym pniaku głowa jeszcze w kwiecie“, dumny ze swego baronostwa, pytający każdego, kogo spotka, czy jest szlachcicem i „kto go rodzi“, goły jak święty turecki, lecz mniemający, iż zaszczyt czyni temu, od kogo pożyczkę zaciąga. Udał się także Fredrze poczciwy stary sługa, *Krupkowski*, który jak w bóstwo patrzy w oczy Zofii i twierdzi, że „pani ma więcej rozumu w palcu, niźli on w głowie“, a łzy ociera z żalu, że przykrość wyrządził Zdzisławowi. Mniej występują plastycznie *Zdzisław* i *Czesław*, za to sympatyczną i miłą jest ich przyjaźń, utrwalona na polu walki, a Zdzisław zasługuje na miłość Zofii nie tylko

prawością charakteru, lecz także przeszłością żołnierską.

Najsłabszem jest zawikłanie, które, jak często u Fredry, opiera się na mało prawdopodobnych sytuacyach: niedomyślności Zofii i Zdzisława i trudnej do uzasadnienia wierze Zofii w miłość tegoż Zdzisława ku śmiesznej i pretensyonalnej pannie Bobiné.

Nowy Don Kiszot czyli Sto szaleństw, krotochwila w 3. aktach wierszem ze śpiewami. Sto szaleństw popełnia syn Kasztelana, Karol, który porzuca ojca i narzeczoną aby w dziwacznej włóczędze szukać, jak Don Kiszot, niezwykłych przygód. Niewytworny komizm tej farsy, jednej z najsłabszych między dziełami Fredry, polega na pomyłkach, przebraniach, przypadkach, aresztowaniu, ucieczce, głuchocie i t. p.

List, komedya w 1. akcie wierszem. Głównym przedmiotem, jak w krotochwili „Nikt mnie nie zna", jest zazdrość męża, Orgona, bez którego wiedzy żona jego, Celina, pisze sentymentalno-romantyczną powieść; stąd zawikłanie komiczne, rozwiązane wyjaśnieniem Celiny. Orgona zazdrość jest więcej skryta i więcej świadoma śmieszności, a mniej brutalna, niż Marka Ziemby.

Pierwsza lepsza czyli Nauka zbawienna, komedya w 1. akcie wierszem. Alfred, znudzony i zepsuty życiem próżniaczem i z siłą woli osłabioną, wiąże się wobec klubowych przyjaciół sło-

wem honoru, a nadto w formalnie sporządzonym akcie cały majątek stawia w zakład, że poślubi kobietę, która w publicznym ogrodzie pierwsza przejdzie przez zakreślone miejsce. Lekkomyślność ta sprowadza za karę szereg udręczeń, kończących się pomyślnie. Alfreda bowiem kocha Julia. Ta dowiedziawszy się o zakładzie w przebraniu przychodzi w oznaczone miejsce i odgrywa rolę starej, upartej i gadatliwej Litwinki.

Śluby panieńskie czyli Magnetyzm serca, komedya w 5. aktach wierszem.

Treść. Gustaw ze swym stryjem, Radostem, przybywa na wieś do domu pani Dobrójskiej, by w myśl dawnych układów rodzinnych poślubić córkę jej, Anielę. Zastają tam także siostrzenicę pani domu, Klarę, o którą od dwóch lat stara się Albin. Gustaw, mając konkury za łatwe i pewne, nie zadaje sobie żadnego trudu, aby pannę pozyskać, ziewa, a nawet zasypia wobec panien, przeciwnie zaś w nocy potajemnie wykrada się oknem na bal miejski. Pod wpływem morałów Radosta popada znowu w przesadną i lekceważącą trzpiotowatość, czem jeszcze bardziej wszystkich ku sobie zraża. Wtem dowiaduje się od stryja, że obie panny zobowiązały się ślubem nigdy zamąż nie wychodzić i całe życie nienawidzieć mężczyzn. Staje się to podniętą dla jego energii i uczucia. Czuł wielką sympatyę ku Anieli, oceniał zdrowym rozsądkiem jej zalety; ślub panien

stał się tą przeszkodą, która ubodła jego miłość własną, kazała mu rozliczyć się ze swem uczuciem i doprowadziła do świadomości, że Anielę serdecznie lubi, nawet kocha. Jej opór spokojny i łagodny przy miłosnem oku i tłumionem westchnieniu rozpłomienia go do tego stopnia, że jej na klęczkach wyznaje swą miłość. Otrzymawszy odmowę, wydrwiony przez Klarę, nie traci fantazyi, nie daje się zbić z tropu i układa plan, który ma obie panny doprowadzić do złamania niedorzecznych ślubów. Plan cały polegać ma na „magnetyzmie serca“: Aniela ma serce anielskie, lubi go; Gustaw postanawia z tego skorzystać, zmyślić, że kocha inną, wziąć Anielę za powiernicę swego uczucia, obudzić w niej litość ku sobie, podziałem sekretu zdobyć jej przyjaźń, płomiennym wyrazem miłości wzbudzić i ustalić miłość. Plan ten udaje mu się zupełnie. Równocześnie w dowcipny sposób radzi sobie z Klarą. Przedewszystkiem nakłania Radosta do starania się o jej rękę, Albina zaś do udawania względem niej obojętności. Od Anieli tedy, której Gustaw użył za narzędzie swego planu, dowiaduje się Klara o rzekomych zamiarach starego Radosta, a ponieważ Radost był bogaty, jest więc przekonana, że będzie miał poparcie jej ojca. Obawa ta wydaje się tem bardziej uzasadniona, ponieważ nagle Albin stał się względem niej niezwykle chłodnym w obejściu, a co więcej ponieważ znowu wskutek intrygi

Gustawa dowiedziała się, że Albin ma się kochać w Anieli. Nagle tedy całe towarzystwo: Klara przedewszystkiem i Dobrójska, która się o wrzekomych zamiarach Radosta dowiedziała, Aniela, przekonana, że bez nadziei kocha Gustawa, wreszcie Albin, który musiał gwałt zadawać swemu uczuciu i Radost zdziwiony ogólnem rozdrażnieniem: wszyscy czują się w położeniu nieznośnem i nie do wytrzymania. Czyni temu kres ze zwykłą żywością Klara, oznajmiając Gustawowi, że go Aniela kocha i odda mu rękę, ona zaś sama nie odrzuci Albina, byle uniknąć Radosta. Następuje wyjaśnienie Gustawa, przyjęte z żywą radością wszystkich.

Geneza. Brulion „Slubów panieńskich“ miał Fredro już na początku r. 1827, pisał je tedy przed swem ożenieniem się, w silnej rozterce uczuć, spowodowanej oczekiwaniem i niepewnością. O tym stanie uczuć świadczy list Fredry pisany w sprawie „Ślubów panieńskich“ do brata, zawierający lakoniczne, żołnierskie, lecz dające dużo do myślenia wzmianki. „Twoje in statu quo — pisze autor „Ślubów“ — nie bardzo mnie cieszy, ale cierpliwości! cierpliwości! Święte słowo. Zdaje się, że je świat w duszach naszych nie wyciska, ale *wypieka*. Cierpliwości także mi we Lwowie powiedziano. Rad nie rad mieć się muszę... za najcierpliwszego człowieka. Bo nikt nie słyszy moich monologów — za długich, a przez to nieklasycznych.... Twoja żona niech zaczeka, aż zwaryuję

— *jeszcze troszku!*... Piszmy komedye, grajmy tragedye na tym świecie"... Pomimo, a może właśnie wskutek tak silnej rozterki w duszy zdobył się w tym czasie poeta mocą kontrastu uczuć na dzieło najklasyczniejsze, najbardziej harmonijne i pogodne. Taż organizacya umysłowa, nacechowana mocą woli i zdrowego rozsądku, odtrącała go od wszelkiego sentymentalizmu i wszelkich patetycznych wybuchów. Do romantycznego wyrazu uczuć najmniejszej nie miał skłonności. Dowód w tymże liście, a mianowicie w krytyce sonetu Mickiewicza p. t. „Poranek": „Nie dziwię się, — pisze o tym sonecie — że ludzie rozsądni bij zabij na romantyczność, kiedy marzenia maligny za romantyczność biorą.... Hamlet udając nawet waryata nic podobnie głupiego nie powiedział." — Trudno dziś dociec, jaki był zawiązek pomysłu „Ślubów." Wiadomo, że pierwotny tytuł był „Nienawiść mężczyzn", drugi „Magnetyzm"; że w dochowanym scenaryuszu zamiast Albina i Klary znajdujemy imiona Erazma i Laury, a treść rozłożona jest na 4 akty; że znane nam dwa pierwsze akty pierwszego rzuty pisane są wierszem białym. Lecz te drobne szczegóły nie wiele mówią. Ważniejszem jest motto, pomieszczone przez autora na czele komedyi: „Rozum mężczyzną, białogłową affekt tylko rządzi; oraz kocha, oraz nienawidzi; nie gdzie rozum, ale gdzie affekt, tam wszystko." I ta myśl, zdaje się służyła za

przewodnią przy pisaniu utworu, który miał uwydatnić typowe różnice w głównych i najogólniejszych, najbardziej zasadniczych i pierwotnych cechach charakteru męzkiego i niewieściego, miał wykazać, jak te różnice objawiają się w zwykłem, codziennem życiu, jak rozwijają się i prowadzą do ustalenia dojrzałych charakterów i trwałych sytuacyi Myśl godna uwagi przez to, że podniesiona była w chwili, gdy cały naród zdawał się więcej uczuciem i fantazyą kierować się, niż rozsądkiem

Charaktery osób. Głównemi figurami około których, jak około osi, snuje się cała akcya, są Gustaw i Aniela. Pomimo niewyszukanych i codziennych sytuacyi. w których dają się nam poznać, charaktery ich są tak pełne. tak subtelnie wykończone. tak głęboko i starannie wycieniowane, że są przedmiotem godnym dokładniejszych studyów *Gustaw* zaraz w pierwszych scenach przedstawia się, jako młodzieniec niezużytej siły żywotnej. natury bogatej i bujnej, pełen werwy, wesołości, dowcipu życie w nim kipi i przelewa się nadmiarem porywając ku wybrykom — w braku doświadczenia — nieopatrznym. Zdobywa sobie przebojem i odrazu sympatyę widza nie tylko tą typową młodzieńczą bujnością, nie tylko energicznym temperamentem, lecz także naturalną, bo wrodzoną dystynkcyą, niewymuszonym wdziękiem i jakimś szlachetnym nastrojem, świadczącym, że

jego wybryki nie pochodzą z zepsutego serca. Natura to szczerością i serdecznością ujmująca, w uściskach bowiem, którymi ujmuje Radosta, jest nie tylko sprytne wyrachowanie, lecz gorące i szczere uczucie. Pustak, lecz pustota jest cechą jego przelotną i powierzchowną. W gruncie rzeczy nie trudno w nim dopatrzyć się bystrości umysłu, zdrowego rozsądku i poważniejszych myśli. Pomimo że nie popisuje się refleksyą i nie pozuje na sensata, wyrywają mu się czasem godne uwagi zdania, jak np. w słowach: „bo myśl jak woda, im ciaśniej, tem wyżej“ lub w dłuższym ustępie od słów· „Na małym świecie, co się wielkim mieni“... Uczucie jego zgodnie z całą naturą tchnie zdrowiem, ujmuje szczerością i prostotą, nie razi marzycielstwem ani sentymentalizmem, ma w sobie jakieś cechy męzkości i siły Wybucha nagle i gorąco, pomimo niepowodzenia, nie traci humoru ani fantazyi, raźno bierze się do czynu, osnuwa plan z dowcipem, bystrością, przenikliwą znajomością niewieściego serca, zmierza do celu konsekwentnie, rozsądnie, zawsze panując nad sobą i umiejąc, gdy trzeba, nakazać milczenie swemu sercu (scena listu). Jest w tem poezya dzielnej i dziarskiej brawury tak różnej od mazgajstwa, niedołężnego zblazowania lub fantastycznego niedołęztwa. Czuje się, że Gustaw wyrośnie kiedyś na męża czynu. To też słusznie Dobrójska w zakończeniu uszczęśliwiona mówi:

„Ja cię rozumiem
I szczęście córki powierzam ci śmiało.“

Jeżeli uzna się w Gustawie typ bujnej natury młodzieńczej, to niemniej genialnie uchwycił Fredro w *Anieli* typ niewieściego uroku. Jak Gustaw jest czynny, silny, walczy i zwycięża, tak przeciwnie Aniela zachwyca uroczym niewieścim wdziękiem, ulegającym i poddającym się łagodnie i biernie; jak pierwszy ma świadomość swego uczucia, panuje nad niem za pomocą rozumu, tak druga powoduje się bezwiednie uczuciem. Różni się ona od Klary przedewszystkiem łagodnością, spokojniejszym temperamentem, większem współczuciem na ludzką niedolę, dobrocią, rozsądkiem i umiarkowaniem. Jako naiwna i niedoświadczona panienka daje się powodować Klarze i zawiera niedorzeczne śluby, Gustawa uczucia (w II akcie) nie odczuwa, toteż łagodną daje mu odprawę. Lecz stopniowo pod wpływem litości i przyjaźni otwiera się jej wrażliwe serce, przeraża się groźbą samobójstwa, wyrażoną przez Gustawa, dzieli jego boleść i bezwiednie, stopniowo, pod wpływem gorących jego słów i wejrzeń (prawdziwego „magnetyzmu serca“) wykwita w niem wonny kwiat uczucia, które ją wprawia w stan błogiej tęsknoty.

„Dziwnie i dziwnie! Brzmią mi jeszcze uszy
Słowami dotąd nieznanemi duszy“...

Jakże uroczo i anielsko dobra, gdy pomimo rodzącego się uczucia ze łzami w oczach zgadza

się napisać Gustawowi list (w IV akcie 3 sc.) do wrzekomej innej Anieli! Po napisaniu „Ślubów“ Fredro wyraził zadowolenie swoje z lekkości całej komedyi. Niezawodnie najlżejszym, najbardziej w cieniowaniu subtelnym, a pomimo to bardzo wyraźnym i niemal uchwytnym jest rysunek Anieli. „Nie ulega wątpliwości, pisze o niej W. Gostomski, iż Aniela Fredry jest jedną z najwyborniejszych kreacyi niewieścich w naszej literaturze. Pod względem doskonałej typowości oraz uroku poezyi, który ją otacza, może być porównaną chyba tylko z Zosią z „Pana Tadeusza.“

Inne figury komedyi mniejsze mają znaczenie, służąc ku uwydatnieniu głównych. *Klara* stanowi poniekąd kontrast Anieli. Żartka, jak iskra żywa, jak kogucik skora do chwilowego gniewu, zapala się łatwo, mówi prędko i z życiem, tańczy, gdy mówi o tańcu, gotowa dręczyć nawet, lecz nie ze złego serca, raczej z żywości temperamentu, dowcipna, czasem ironiczna, niekiedy potrafi zadrwić, to znowu staje się pokorną, lub wybucha szczerym, serdecznym płaczem. Wszystko to wypływa u niej nie z nerwów, lecz, jak u Gustawa, z nadmiaru sił żywotnych, młodzieńczych. Lecz nadmiar ten w innej, niż u Gustawa, wyraża się formie. Sprawdza się znowu motto komedyi: Klara we wszystkiem powoduje się affektem, pewna siebie — łatwo daje się zbić z tropu i wówczas ucieka się do płaczu. Pomimo że ją można na-

zwać kozakiem-dziewczyną, jest w niej trafnie i z naciskiem uwydatniona kobiecość.

Jak Klara z Anielą, tak *Albin* z Gustawem stanowią kontrast. Albin jest postacią z pewnością umyślnie i świadomie przez poetę skarykaturowaną. Pomimo zarzutów jej czynionych przez krytykę, wywołuje ona znakomity efekt na scenie i rzuca jasne światło na główne zalety Gustawa. Nadto wzbogaca żywioł komiczny, zaostrza interes, uwydatnia przewodnią myśl satyryczną. Mężczyzna, ulegający wyłącznie afektom, jest skończoną karykaturą i śmiesznym głupcem; wówczas tylko osiąga cel swych dążeń, gdy przynajmniej na chwilę nakaże milczenie swemu uczuciu. Zgoła tedy trudno podzielać sąd tych, (Gostomski, Tarnowski), którzy w skarykaturowaniu Albina upatrują główną wadę „Ślubów.“ Fredro z wielkiem dramatycznem odczuciem, zupełnie konsekwentnie i zgodnie z dążeniem akcyi użył całej siły swego talentu, ażeby Albin wypadł jak najkomiczniej i najdosadniej odrzynał się niedołęstwem od innych figur. Albin wyraża się przesadnie i płaczliwie („w smutku tonę“, „nocne minuty łzami policzone“), oddecha samemi westchnieniami; sentymentalny, elegijny, bezradny umie tylko wzrokiem błagać o miłość; umrze z rozpaczy, bo go Klara nie kocha, umrze z radości, gdy go pokocha: toteż z humorem radzi mu Radost zawczasu na pogrzeb dzwonić. Miłość jego wyraża się smutkiem i łzami. „Mo-

żnaż kochać i nie płakać razem?" — zapytuje naiwnie. — „Gdzież mam wylać łzy moje, gdzie podziać westchnienia?" Dowcipnie mówi Gustaw, że po wilgoci czuć nadejście Albina, a Klara drwi z niego, że biega za każdym kłębkiem, leży na ziemi za każdą chustką, za każdem kichnięciem wróży sto lat życia: „gadaj — gada, milcz — milczy, idź — idzie, stój — stoi."

Akcya utworu tego ma charakter czysto komiczny; bez ważnych kolizyi rozwija się żywo i jasno w sferze codziennego życia. Głównym jej żywiołem jest miłość pogodna, zdrowa, pełna ujmującego wdzięku i naturalności, bez namiętnych uniesień, bez patetycznych i chorobliwych objawów, zgodna ze świeżą, młodzieńczą i zdrową naturą głównych osób. Rozwój wypadków jest doskonale umotywowany, zawikłanie równie oryginalne, jak proste i swobodnie rozsnute. Pod względem *kompozycyi* także „Śluby" należą do utworów wzorowych. Klasyczna jedność akcyi, miejsca i czasu nie wypłynęła tu z mozolnego szkolarstwa, lecz ułożyła się swobodnie i lekko z sytuacyi i zawikłania. Jakby mimowoli figury dobrały się w pary stanowiące wytworny kontrast (Gustaw — Albin, Aniela — Klara), poboczne (Klara, Albin, Dobrójska, Radost) służą do uwydatnienia głównych (Gustawa i Anieli) i do uplastycznienia przewodniego wątku. Intryga zawiązana z końcem II. aktu może nazbyt pobieżnie

się wyjaśnia przy końcu sztuki i to jest jedyną, drobną wadą komedyi. Jeżeli się nadto uwzględni, że dzieło to jest ożywione po prostu niezrównanym humorem, oraz wytwornym komizmem tak w sytuacyach, jak w dyalogach, to wypadnie zgodzić się na ocenę W. Gostomskiego, który rozbiór swój w ten sposób streszcza: „Żadna komedya Fredry nie dorównywa „Ślubom“ pod względem doskonałej równowagi wszystkich artystycznych i poetyckich warunków. „Śluby“ napisane są pod wpływem najszczęśliwszego natchnienia. Jest to typowa artystyczna komedya. Nie wykracza ona nigdy po za właściwą sobie sferę: nie ma w niej ani cienia patosu lub kolizyi dramatycznej, wolna jest od wszelkiej tendencyi satyrycznej; jedynym jej celem odtworzenie za pomocą kontrastów komicznych pewnych typów natury ludzkiej, przyodzianych w urocze barwy poezyi i piękna.“ („Arcydzieło komedyi polskiej“ Ateneum 1889. I).

Pan Jowialski, komedya w 4. aktach prozą. Rozbawione i jowialne towarzystwo każe wnieść do domu udającego sen poetę Ludmira i przebrać go za sułtana, aby się jego kosztem zabawić. Lecz Ludmir, nie w ciemię bity, zadrwił ze wszystkich: pozyskał serce córki Szambelana, Heleny; zjednał sobie dziadka jej, Jowialskiego; konkurenta o rękę Heleny odpalił; a wreszcie wyszło na jaw, że jest rodzonym synem Szambelanowej.

Geneza. Sam Fredro miał w r. 1869 następujące wyrzec słowa o „Panu Jowialskim“ do K. Wójcickiego. „Jowialskiego nie pojęto i grać należycie nie umieją. Ja tę postać żywcem wziąłem z sędziwego staruszka, Grzymały, którego zblizka znałem Dobroduszny, pełen prostoty starowina, powtarzał przysłowia i bajeczki, jakie z lat młodości zapamiętał, a tu z niego robią jakiegoś bohatera, stroją go w kontusz i w żupan bez potrzeby.“ Ze słów tych wywnioskować można, że Fredro w Jowialskim nie zamierzał bynajmniej stworzyć historycznego typu czasów Saskich.

Charakter osób. Główną figurą jest *Jowialski,* staruszek dowcipny, jowialny, pełen niewyczerpanego dowcipu i humoru. Z natury obdarzony żywą fantazyą i bystrym darem spostrzegawczym, łagodny, dobroduszny, wyrozumiały, uprzejmy, z najlepszem sercem, sypie przysłowia, bajeczki i dowcipy, jak z za rękawa. Żart jego i humor jest bezcelowy, bez tendencyi satyrycznej, bez idei. Takie było całe życie staruszka. Nie jest to człowiek czynu, energii, woli, żyje i żył dla zabawy, nie mącąc sobie życia żadnem głębszem uczuciem, ani poważniejszą myślą. I w pochwyceniu tej jednostronności tkwi głęboka i pouczająca satyra komedyi. *Szambelan,* syn jego, bawi się, jak dziecko, dowcipami ojca, bawi się klatką i ptaszkami, po ojcu przejął dobroduszność, bierność, brak woli, brak

myśli i dążeń, lecz nie przejął pomysłowości i dowcipu ojca; toteż niezrównanie jest komiczny, gdy na widok żony, ściskającej Ludmira, mówi: „Pójdę poskarżyć się jegomości“, lub gdy mozoli się nad ułożeniem bodaj jednego przysłowia. Wyborną jest także *Jowialska,* całą duszą zapatrzona i zasłuchana w mężu, pełna podziwu dla jego dowcipów i bajeczek, których przez pół wieku słuchała, każdą nową bajkę i każde przysłowie wielbiąca słowami: „O dla Boga, co też to jegomość dalej nie wymyśli! Figle! figle!“ Świetnie także scharakteryzowani są: poeta *Ludmir* i malarz *Wiktor,* pełni młodzieńczego wdzięku i żywej fantazyi, którzy kłócą się i czynią sobie na przekór, z ujmującym humorem poddając się awanturniczym przygodom; *Helena,* córka Szambelana, śmieszna ze swą romantyczną przesadą, wyrażająca się w sposób przesadnie poetyczny i wreszcie najrozsądniejsza ze wszystkich *Szambelanowa,* pomimo że posługuje się francuzczyzną i przesadnie wspomina ciągle o pierwszym swym mężu, jenerale Tuzie.

Ocena. Całość jest satyrycznym obrazem życia bez celu, bez dążenia, bez troski, oddanego użyciu i bezdusznej wesołości. Autor był świadomy nicości takiego życia, jak wnosić można z charakterystyki, włożonej w usta Ludmira (III. 4). Jako komedya sceniczna ma „Pan Jowialski“ znaczne wady kompozycyi i banalnego zawikłania, które

nadto razi zbyt wyraźnem nieprawdopodobieństwem. Jako dzieło sztuki jednak jest pierwszorzędnej w literaturze wartości. W rzadko której komedyi występuje genialny komizm Fredry z taką plastyczną siłą i z tak nieprzebranem bogactwem szczegółów. Mamy tu istny skarbiec przysłowiowy, obok bajek pierwszorzędnej wartości, jak np. „Małpa w kąpieli“, „Osiołek“, „Sowa i ptaki“, „Gaweł i Paweł.“ Żadna z komedyi Fredry nie wnika tak głęboko i z tak smutną prawdą w pewien odłam życia naszego społeczeństwa.

Zemsta, komedya w 4. aktach wierszem.

Treść. Cześnik Raptusiewicz, stary kawaler, stryj i opiekun młodej, pięknej i bogatej Klary, postanawia ożenić się z wdową Podstoliną, która jako daleka krewna mieszka przy Klarze w jego domu. W drugiej części zamku mieszka rejent Milczek z synem swym, Wacławem. Klarę z Wacławem łączy wzajemna, gorąca miłość, natomiast Cześnik z Rejentem nienawidzą się i wiodą od dawna spory o mur graniczny. Spór zaostrza się się doprowadzając do bójki, skutkiem której Cześnik wyzywa Rejenta na pojedynek, Rejent zaś układa pozew, a nadto gotuje dotkliwszą zemstę: chcąc dopiec Cześnikowi swata Podstolinę z własnym synem i zabezpiecza się intercyzą, mocą której strona zrywająca musi przeciwnej zapłacić 100.000 złp. Wiadomość o tem przynosi Cześnikowi Papkin, który wysłany do Rejenta z wyzwaniem świad-

kiem był układów. W pierwszym impecie gniewu Cześnik chce ze służbą uderzyć na dwór Rejenta, pomiarkowawszy się jednak, za zemstę odpłaca zemstą: chwyta Wacława i zmusza go do poślubienia Klary. Następuje pojednanie, ułatwione oświadczeniem Podstoliny, że jest biedną i Klary, że kwotę 100.000 złp. wypłaci ze swego posagu.

Geneza. W czasie powstawania „Zemsty“ i „Pana Tadeusza“ jeszcze nie zdobyły sobie przewagi w naszej literaturze obrazy przeszłości. Gawędy, anegdoty i opowiadania z przeszłości, zwłaszcza z czasów Stanisławowskich i saskich, żyły jednak w ustnej tradycyi i z nich to Fredro zaczerpnął pomysł do stworzenia takich postaci, jak Cześnik i Rejent. Poecie satyrykowi nie chodziło o pełny obraz przeszłości naszej. Papkin należy więcej do czasów Księstwa Warszawskiego, niż do w. XVIII. Uderzyły wyobraźnię Fredry śmieszne i smutne narowy kłótni, prywaty, pieniactwa, najzwyklejsze typy szlacheckie sangwiników i śledzienników; te ośmieszyć i wydobyć zamierzył z przeszłości dla przestrogi współczesnych, którzy nie jednę z wad pomienionych odziedziczyli po przodkach. W przechowanych planach „Zemsty“ są dowody, że Fredro dbał także o to, aby w języku tej komedyi zachować koloryt minionych czasów. —

Jak wszystkie komedye Fredry, tak samo i „Zemsta“ znaczenie niepospolitego dzieła sztuki zawdzięcza w znacznej mierze *charakterystyce*

osób. Zwłaszcza główne figury, t. j. Cześnika i Rejenta należą do typów naszej przeszłości, rozwiniętych w rysach najdrobniejszych i z niepospolitą siłą plastyki. *Cześnik* jest typową figurą szlachcica możnego rodu; wychowany na sejmikach, w obozach, przy biesiadach samą postawą dumną i rozkazującym tonem mowy okazuje, że przywykł do swobody i samowoli, że nie znosi oporu i ma głębokie poczucie godności osobistej. Sangwinik z temperamentu za najdrobniejszą podnietą wybucha porywczym gniewem, lecz równie łatwo ostyga i zapomina uraz. Brzydzi się podstępem, kłamstwem, skrytością; szczery, otwarty, odważny, nie traci nigdy fantazyi ani humoru, śmieje się głośno i z całej duszy, nie zważa w postępkach swych i zamiarach na drogi legalne, do celu śmiało zdąża choćby gwałtem (np. rozpędzenie robotników, porwanie Wacława, wyzwanie Rejenta na pojedynek). Zdobią go przytem niektóre cenne przymioty naszych przodków, jak gościnność, religijność i poczucie honoru. Przeciwnie *Rejent Milczek* ma charakter skryty, podstępny i obłudny. W palestrze wychowany czynom swym stara się zawsze nadać pozory legalności; pieniacz zimnej krwi i zawzięty, udaje potulnego, obłudnie powołuje się na wolę Boga („Niech się dzieje wola nieba, z nią się zawsze zgadzać trzeba"); przy sztucznej słodyczy w mowie, przy pozornej uniżoności tai w sercu jad pychy, żądzy posta-

wienia na swojem i zazdrości, dąży do celu skrycie i cierpliwie („Nemo sapiens, nisi patiens“), podstępem i obłudą. nie zważając na łzy drugiego, choćby to był nawet własny syn jego, i udając, że sam płacze. Z innych figur najlepiej są scharakteryzowani: *Papkin*, niezrównany w komedyopisarstwie naszem typ w jednej osobie pieczeniarza, błazna, junaka. blagiera, kłamcy, tchórza, famfarona, nikczemnego i na złoto chciwego zausznika; *Dyndalski*, typowy szlachcic w posłudze u magnata; *Perełka*, kucharz komiczny ze swymi projektami godeł i konceptów; wreszcie *Podstolina*, podstarzała, lecz pragnąca koniecznie wyjść za mąż wdówka po trzech mężach. Najsłabiej wypadła konwencyonalna para kochanków: Wacław i Klara.

Znaczenie. Obok „Ślubów panieńskich“ zajmuje „Zemsta“ dotychczas jeszcze zaszczytne miejsce najlepszej komedyi w naszej literaturze. Zawdzięcza to nie tylko plastyce komizmu, nie tylko świetnej (z wyjątkiem Wacława i Klary) charakterystyce osób, nie tylko doskonałej budowie, ślicznemu i naturalnemu rozwiązaniu: lecz w równej mierze temu, że poeta wiernie oddaje w niej charakter XVIII. wieku, odtwarza codzienne życie ubiegłej przeszłości, wydobywając cechy tak znamienne, tak głęboko wrosłe w naturę naszego społeczeństwa, iż nie stracą na długo żywotnego dla nas znaczenia. Stąd też komedya

ta ma zaletę i wartość dzieła sztuki, owianego urokiem poezyi. —

Ciotunia, komedya w 3. aktach wierszem. Satyra na łatwowierność, próżność i kokieteryę podstarzałych kobiet, pragnących koniecznie wyjść za mąż, a z drugiej strony na egoizm nieszczerych powierników, narzucających się z udaną przyjaźnią. Tytułową postacią jest ciotka Małgorzata, podstarzała kobietka, przekonana, że wszyscy się w niej kochają, że nikt z mężczyzn nie zdoła oprzeć się urokowi jej piękności. Pomimo ustępów odznaczających się właściwym autorowi humorem, całość tak z powodu niewyraźnego rysunku wielu figur, jak zwłaszcza wskutek wadliwej kompozycyi nie należy do najlepszych dzieł Fredry.

Dożywocie, komedya w 3. aktach wierszem. *Treść.* Leon Birbancki, przehulawszy rodzinny majątek, sprzedaje swe dożywocie, ażeby mieć środki do dalszego marnotrawstwa. Nabywcą jest nieznany mu osobiście lichwiarz Łatka, który pokryjomu roztacza nad jego zdrowiem troskliwą opiekę. Ów Łatka ma się żenić z córką szlachcica Orgona, Rózią, która wychowywała się razem z Leonem, gdy ojciec jej był jeszcze rządcą w majątku Birbanckich. Leon spotyka się z Rózią, dowiaduje się, że ta ma wyjść wbrew swej woli i tylko na życzenie ojca za Łatkę, i oświadcza się o jej rękę Orgonowi. Lecz Orgon nie chce wydać Rózi za birbanta. Wówczas Leon dowie-

dziawszy się, że nabywcą jego dożywocia jest Łatka, dla zdobycia Rózi pisze do niej list, w którym grozi samobójstwem w razie, jeżeli zmuszą ją do poślubienia lichwiarza. Podstęp udaje się. Łatka po przeczytaniu listu zrzeka się Rózi, byle tylko nie stracić połowy dożywocia. Z Rózią żeni się Leon.

Charakterystyka osób. „U skąpego lub chciwego cała w mieszku dusza", pisze autor na czele komedyi. Takim skąpcem i zarazem główną w komedyi figurą jest lichwiarz *Łatka.* Dla złota wszystko on poświęca: zdrowie, godność własną, szczęście i narzeczonę. Umiał Fredro poważną namiętność skąpstwa ująć wyłącznie z komicznej strony. Łatka jest słodki, czasem pieszczotliwy, w wysokim stopniu nerwowy, dużo mówi, łatwo się unosi, zapala, wpada w gniew i rozpacz, gotów włosy sobie wyrywać, ręce załamuje, zaklina, płacze, do nóg upada, żebrze litości, znosi obelgi i uderzenia, byle tylko nie ponieść straty na dożywociu. Ma on wyobraźnię żywą i czynną; pod jej wpływem przeraża się na widok niebezpieczeństwa, rzuca się na wszystkie strony, uniża się, płaszczy, schlebia, staje się wymowny i przebiegły, umie przemówić do litości, do sumienia, przypomnieć o zbawieniu duszy, zaklinać na wszystkie świętości; to wzywa Boga, św. Jana Kantego i Duklana, św. Antoniego, to znowu klnie („Niech paraliż tu mi stanie, niech mi

w czworo złamie kości!"...), to powołuje się na wrzekome ubóstwo swoje, na liczną familię, na matkę ślepą, starego ojca (choć ten jest nieboszczykiem), na żonę i dzieci, „niewinne pisklęta", (które ma mieć kiedyś); staje się nawet straszny w swej namiętności, gdy po stracie nadziei odprzedania dożywocia woła w rozpaczy:

„Od trzech godzin widzę złoto
I dosięgnąć go nie mogę!
Pójdę, pójdę, wydrę z gardła,
Co mi zdrada dziś wydarła!"

Innego rodzaju skąpców są typami: *Twardosz*, jak grób milczący, nieruchomy, jak posąg, zimny i niezłomny; *Orgon*, który dorobiwszy się majątku udaje biedaka, zrzędzi na rozrzutność, waży w dłoni grosz każdy i gotów dla majątku poświęcić własną córkę. Kontrastami tych skąpców są trwoniciele i rozrzutnicy: *Leon Birbancki*, marnotrawca z lekkomyślności, *Filip*, sługa wyuzdany, zuchwały, bezczelny i sprytny, który dla zapłaty wszystko gotów poświęcić, aby mieć możność pohulania sobie „pod Zdechłym Psem" lub „Czerwonym Huzarem;" wreszcie *Rafał i Michał*, rozrzutnicy i birbanci z niedołęstwa i braku woli.—

Znaczenie tej cennej i ważnej w naszej literaturze komedyi polega prawie wyłącznie na świetnie stworzonych typach i na niezrównanie komicznych sytuacyach. Natomiast akcyi i kompozycyi nie jedno możnaby zarzucić. Sam główny

pomysł, na którym opiera się całe zawikłanie, mianowicie odprzedanie dożywocia nieznanemu nabywcy, grzeszy przeciw ważnej zwłaszcza w scenicznych dziełach zasadzie prawdopodobieństwa. Niektóre ogniwa akcyi, jak np. staranie się sprytnego Leona o lalkowatą Rózię, lub przy końcu sztuki łatwe zezwolenie Orgona na to małżeństwo — wydają się nie dość umotywowane. —

„Gwałtu, co się dzieje“, komedya w 3. aktach prozą. Kobiety pewnego miasteczka, przebrawszy się w stroje mężczyzn, korzystają z niedołęstwa swych mężów i zdobywają rządy. Wieść o napadzie Tatarów przywraca mężczyznom władzę. „Sroka bije na jastrzębia i skrzekocze, przecież jastrząb jestrzębiem, a sroka sroką“ — powiada autor na czele komedyi.

Ogólna charakterystyka komedyi Fredry do r. 1835.

W chwili gdy Fredro rozpoczynał zawód komedyopisarski, stworzone już były u nas pierwsze warunki rozwoju poezyi scenicznej. Dzięki niestrudzonym usiłowaniom W. Bogusławskiego przejęto w r. 1810 teatr w Warszawie na koszt państwa, a w następnym roku założono pierwszą u nas szkołę dramatyczną. Po ustąpieniu Bogusławskiego dyrekcyę teatru objął L. Osiński, z łatwością utrzymując silnie już rozbudzone między

publicznością zamiłowanie do przedstawień teatralnych. We Lwowie śród ciężkiej walki J. N. Kamińskiego z konkurencyą teatru niemieckiego zwolna byt stałej sceny narodowej utrwalał się i polepszał. Powstawać także zaczęły wędrowne sceny. Natomiast repertuar teatralny był nad wyraz ubogi. Zapełniały go przeważnie przekłady i przeróbki kilkudziesięciu utworów z obcych literatur, dokonane na prędce przez Bogusławskiego i Kamińskiego. O narodowej komedyi, pomimo cennych niektórych utworów F. Zabłockiego i Niemcewicza, pomimo powodzenia, jakiem cieszyły się „Zabobon czyli Krakowiacy i górale“ Kamińskiego, nie może być mowy do czasów Fredry. Ten dopiero jest twórcą naszej komedyi, od niego rozpoczyna się nowa epoka tak rozwoju sceny, jak i poezyi dramatycznej polskiej.

Najsubtelniejsze odczucie śmieszności, wyjątkowy dar spostrzegania pospolitych przywar ludzkich, trzeźwy rozsądek, ów rzadki dar sceniczny, który mu pozwalał całą duszą przenosić się w twory własnej wyobraźni: — uzdolniły go na pierwszorzędnego komedyopisarza. Życie nie spaczyło tych uzdolnień. Jako samouk nie rozwinął refleksyi w tej mierze, aby mógł zapuszczać głęboką sondę w psychiczne subtelności lub namiętności tragiczne, aby ogarnąć mógł pełne kolizyi różnice zagadnień filozoficznych, które tragikom dostarczają żywiołu i nastroju. Burze romantyzmu

rozpanoszony w literaturze liryzm ośliznęły się o niewzruszony jego humor, dowcip i zdrowy rozsądek. Nie łamał sobie głowy nad teoryami Lessinga ani Schlegla, szedł odosobniony, wystawiając społeczeństwu upojonemu romantyzmem źwierciadło, w którem mogło uśmiać się do woli z własnych błędów.

Dzięki trafnie obranemu wzorowi Moliera Fredro główną uwagę w komedyopisarskiej pracy zwrócił nie na budowę i prawdopodobieństwo akcyi, lecz na typowość i psychologiczną prawdę osób działających. Zdolność wrodzona uchroniła go od ślepego naśladownictwa wzoru. Ogólnoludzkie typy jego są naznaczone piętnem narodowem, ożywione samoistnem życiem, dostrojone do tych wad i warunków, które Fredro w swojem znajdował otoczeniu.

Wychodząc z założenia, że komedya winna wystawiać świat ze strony śmieszności, stworzył całą galeryę postaci z przywarami spotykanemi na każdym kroku w życiu codziennem, biorąc je najczęściej z dworków średnio zamożnej szlachty lub ze sfer mieszczańskich. Znajdujemy w tej galeryi tłum żołnierzy, których malował Fredro ze szczególnem zamiłowaniem, rubasznych i prawdomownych, jak Major w „Geldhabie“, szczerych i dobrodusznych, lecz nieporadnych, jak Major i Rotmistrz w „Damach i huzarach“, sympatycznych i dzielnych, jak Lubomir w „Geldhabie“,

Edmund w „Damach i huzarach“, Zdzisław i Czesław w „Przyjaciołach“, Edmund w „Ciotuni“, starych poczciwców, jak Grzegorz i Rembosz w „Damach i huzarach.“ Znajdujemy tłum służących wiernych, przywiązanych, lecz ograniczonych i komicznych, jak Dyndalski i Perełka w „Zemście“, Kasper w „Nikt mnie nie zna;“ wiernych i mądrych, jak mrukliwy Jakub w „Cudzoziemczyźnie“ Krupkowski w „Przyjaciołach“, Jan w „Slubach panieńskich;“ z głupia frantów, szczwanych filutów i łgarzów, jak Etienne w „Cudzoziemczyźnie“, Michał w „Nowym Don Kiszocie“, Jan w „Ciotuni“, Filip w „Dożywociu.“ Znajdujemy znakomite typy lichwiarzów i sknerów: Łatkę, Twardosza i Orgona w „Dożywociu“, Łapkę w „Nikt mnie nie zna;“ śmiesznych zazdrośników: Ziembę w „Nikt mnie nie zna“, Orgona w „Liście;“ birbantów i marnotrawców, jak ks. Radost w „Geldhabie“, Leon w „Dożywociu;“ mężów niedołęgów i pantoflarzów, jak Michał i Rafał w „Dożywociu“, Tobiasz, Kasper i Błażej w „Gwałtu co się dzieje;“ próżnych dorobkiewiczów, jak Geldhab, ograniczonych zarozumialców, jak Wtorkiewicz i Antenacki w „Przyjaciołach;“ ludzi słabej woli, jak poczciwy Radost lub niedołęga i mazgaj Albin w „Ślubach“, jak Szambelan w „Ciotuni“, jak manią cudzoziemczyzny zarażony Radost w „Cudzoziemczyźnie“, jak Szambelan w „Panu Jowialskim“ i sam niezrównany

staruszek Jowialski; ludzi o przytępionym zmyśle moralnym (w „Mężu i żonie“); zgorzkniałych pessymistów, jak Astolf i Czesław w „Odludkach i poecie“, Orgon w „Dożywociu;“ zrzędów i przekornych, jak Jan i Piotr w „Zrzędności i przekorze;“ płaszczących się pochlebców, jak Lisiewicz w „Geldhabie;“ artystów i poetów, jak Edwin w „Odludkach“, Ludmir i Wiktor w „Panu Jowialskim;“ sympatycznych amantów, jak Lubomir w „Zrzędności i przekorze“, Wacław w „Zemście,“ Astolf w „Cudzoziemczyźnie,“ Gustaw w „Ślubach;“ ekscentrycznych lekkoduchów, jak Alfred w „Pierwszej lepszej“, Karol w „Nowym Don Kiszocie;“ wreszcie genialnie skreślone typy w „Zemście“ Cześnika, Rejenta, Papkina...

Równie bogatą i pełną rozmaitości jest galerya kobiet. Istną kopalnię żywiołu komicznego wydobył tu Fredro: w pokojówkach sprytnych i dowcipnych; w kobietach rubasznych, absulutnych, sekutnicach (Małgorzata w „Nowym Don Kiszocie;“ Urszula, Barbara i Agta w „Gwałtu co się dzieje“, Marta w „Pierwszej lepszej“, Klotylda w„Co tu kłopotu“); w pannach i wdowach podstarzałych, lecz pretensyonalnych, narzucających się ze swymi wdziękami, pragnących czem prędzej złapać męża (Małgorzata i Flora w „Ciotuni“, Orgonowa, Dyndalska i Aniela w „Damach i huzarach“, Bobiné w „Przyjaciołach“, Podstolina w „Zemście“); w występnych, o ptasich głowach i sercach, o przy-

tępionej woli (Elwira w „Mężu i żonie"); w pannach uczciwych, odznaczających się dobrocią i sercem, mających własne zdanie i świadomość, czego pragną, lecz posługujących się podstępem i wykrętami (Julia w „Cudzoziemczyźnie", Julia w „Ożenić się nie mogę", Zofia w „Damach i huzarach", Zofia w „Liście", Zofia w „Zrzędności i przekorze"); w pannach pełnych urojeń, uwiedzionych pozorami, wzdychających do zabaw (Zofia w „Cudzoziemczyźnie"); w sentymentalnych, czułostkowych, udających zapał na zimno, próżnych i powierzchownych (Flora w „Geldhabie"); w przesadnie wyrażających się, obałamuconych romantyzmem (Helena w „Panu Jowialskim"); w autorkach, piszących górnolotne i sentymentalne romanse stylem pełnym „ognia i tęsknoty" (Celina w „Liście"); w pannach naiwnych, uroczych, pełnych zdrowia, życia, i serca wdzięku (Aniela, Klara w „Slubach"). —

Innej tendencyi prócz ośmieszenia przywar, złych nałogów, małoduszności i głupstwa, nie mają komedye Fredry. Akcya snuje się w nich dziwacznie, często nieprawdopodobnie, śród zbiegu okoliczności przypadkowych, improwizowanych bez krytyczniejszego braku jedynie dla wydobycia jakiejś nowej cechy charakteru jednej z osób działających lub dla ożywienia jakąś komiczną sytuacyą. Rozwiązanie zawikłań odbywa się zazwyczaj nagle, jednem pióra pociągnięciem. Wskutek

tego komedye Fredry czynią wrażenie pisanych po dyletancku, jakby od niechcenia, niewykończonych, lecz za to pełnych swobody i samorodności w dowcipie, humorze i pomysłach snujących się bez przymusu, bez rzemielśniczej roboty. Wskutek tego też żaden z naszych komedyopisarzów i humorystów nie prześcignął Fredry w komizmie; pod tym względem autor „Zemsty“ w komedyi świata zająć może niepoślednie miejsce.

„Prawdziwie od serca, — mówił kiedyś Fredro — z krwi i temperamentu my tylko, Polacy, śmiejemy się. Nie dochodzimy nigdy do tego, co Francuzi, aby od śmiechu dostawać spazmów, ale śmiejemy się nieraz do łez i śmiech ten nasz drugich nie obraża, a nam największą sprawia przyjemność.“ Takim też, prawdziwie polskim jest humor, komizm i dowcip Fredry. Nie masz w nim spazmatycznych, nerwowych wybuchów śmiechu, które tak często idą w parze ze zgorzknieniem, z czczością serca, ze zjadliwą i uszczypliwą ironią, z brakiem wiary w żywotność natury ludzkiej. Nad wszystkimi komedyami jego unosi się ów pogodny, pobłażliwy, niezgryźliwy duch poety, pełnego zdrowia i życia, który na świat patrzy jasnem i rozsądnem okiem, nie bierze przywar za choroby nieuleczalne, śmieje się serdecznie i bez przymusu ze słabostek ludzkich, bo widzi na dnie serc najczęściej grunt nietknięty zgnilizną.

Bogactwo komicznych sytuacyi, żywość, pomysłowość i dar sceniczny w ich rozwijaniu, mięszanina lekkiego i wykwintnego żartu z rubasznym, naturalnego komizmu z karykaturalnym, figlarnego uśmiechu z wydrzeźnianiem, zabawnego głupstwa z dowcipem najulotniejszym, ta prostota, ta swoboda, ten brak sztuczności, to bogactwo nieszukane, lecz wylewające się nadmiarem, od niechcenia w słowach, zdaniach, dyalogach, scenach, w całość, zawsze obficie: stanowi obok prawdy i plastyki w kreśleniu charakterów drugą główną i niespożytą zaletę komedyi Fredry, w której jest on pełnym siły twórczej, pełnym pomysłowości, oryginalnym artystą.

Pod względem języka i stylu nie ma Fredro wielkiego znaczenia w naszej literaturze. Mając łatwość we władaniu formą wierszową nie zadawał sobie przymusu, aby ją doprowadzić do doskonałości. Stylem zbliża się więcej do pisarzów okresu Stanisławowskiego, niż do romantyków. Za to odznacza się wielką jasnością i żywością słowa w zakresie mowy potocznej.

Okres II. do końca życia.

Połamawszy pióro autorskie, nie zaniechał Fredro pracy dla dobra społeczeństwa. Gospodarz rozumny, praktyczny i energiczny we własnym majątku, też same zalety rozwinął w pracy nad

narodowym i ekonomicznym rozwojem całego kraju, gdy go dwukrotnie (po r. 1833 i po 1840) wybrano z grona magnatów deputatem Stanów. Znane są starania jego podejmowane łącznie z ks. Leonem Sapiehą o przedłużenie linii kolejowej z Bochni przez Lwów na wschód Galicyi, jak niemniej zabiegi w celu zorganizowania Towarzystwa kredytowego ziemskiego i Towarzystwa ubezpieczeń od ognia. Chociaż po r. 1842 złożył obowiązki deputata, odczuwał żywo i bacznie śledził rozwój prądów społecznych, trzeźwo oceniając szaleństwo rewolucyjnych knowań współczesnych i wpływając na zaniechanie zamiaru partyzanckiej wyprawy Zaliwskiego. Nadszedł r. 1846, a z nim straszna katastrofa, która społeczeństwo Galicyi okryła żałobą i sromem. Wtedy to okoliczności pozwoliły Fredrze złożyć dowód nie tylko szlachetnych uczuć obywatelskich, lecz także wytrawnej mądrości politycznej. Na wezwanie bowiem nadzwyczajnego komisarza, delegowanego przez rząd do uporządkowania stosunków w Galicyi, wypracował Fredro słynny memoryał, w którym spokojnie, umiarkowanie, lecz zarazem śmiało, szczerze i głęboko oceniał dotychczasowy zarząd tego kraju, doradzając, by rząd „jawnie i wyraźnie potępił bezprawia“, rozszerzył reprezentacyjną władzę Stanów, wprowadził język polski w szkołach, przez ulgi w cenzurze wpływał na rozwój zdrowej opinii publicznej, wreszcie dążył

do załatwienia stosunków poddańczych drogą porozumienia się z interesowanymi. „Jeżeli Galicya — pisał Fredro — rozwinie w sobie narodowość polską, stanie się ona w słowiańszczyźnie odporną i przyciągającą potęgą, stanie się razem przedmurzem i punktem oparcia dla wielu słowiańskich pokoleń, zgromadzonych pod berłem austryackiego domu.“

Nie był bezczynnym Fredro w r. 1848. Gdy syn jego, Aleksander, walczył w obronie niepodległości Węgier, gdy żona czynną była w komitecie dam, sam komedyopisarz zaciągnął się do gwardyi narodowej.

Po przerwie 15. letniej wziął się Fredro do pióra, lecz pisał „tylko dla szuflady.“ Napróżno w r. 1860 Lucyan Siemieński w czasie uczty urządzonej na cześć Fredry pijąc zdrowie „polskiego Moliera“ prosił go o nowe dzieła; napróżno J. I. Kraszewski w „Gazecie Codziennej“ pisał: „Panie! dasz nam komedyę! Podaj, jakie chcesz warunki... Nie jest to prośba, jest to dokuczliwe, uparte domaganie się, błaganie“.... Nie pomogły słowa sędziwego towarzysza broni, Józefa hr. Załuskiego, który wręczając Fredrze w r. 1865 medal na cześć jego, prosił, aby swych dzieł nie ukrywał. Wiedziano, że autor „Zemsty“ pisze, lecz do końca swego życia nikomu dzieł swych nie dał do odczytania, tłómacząc się, że jego wyobrażenia o sztuce są przestarzałe, że społeczeń-

stwo „nowych kształtów wymaga“, że jest bardzo stary i nie chce, w nowe szranki w zardzewiałej występować zbroi.“ Siwy i schorzały po r. 1868 starzec, resztę życia spędził w zaciszu domowem ciesząc się widokiem wnucząt, praktyczną radą wspierając syna, otoczony głęboką czcią całego społeczeństwa. Umarł w r. 1876. W pośmiertnych papierach znaleziono 17 jego nowych komedyí, nadto „Rymond“, operę w 3. aktach i „Obronę Melsztyna“, obrązek dramatyczny. Komedyi 15 podzielono na trzy grupy i kolejno co rok po trzy przedstawiono; w r. 1880 wydano w Warszawie wszystkie dzieła w 13. tomach. Oprócz dzieł dramatycznych pomieszczono w temże wydaniu (w 2 ostatnich tomach) wiele poezyi okolicznościowych, ballad, bajek, satyr, epigramatów, nadto utwory prozą: powiastkę humorystyczną p. t. „Nieszczęścia nieszczęśliwego męża“, pamiętnik z czasów młodości p. t. „Trzy po trzy“, „Zapiski starucha“, „Dziennik wygnańca.“ —

Towarzysz broni legionistów, rycerzy z pod znaku księcia Józefa, Dąbrowskiego i Kniaziewicza, jest Fredro typową postacią rycerza, ziemianina, poety. Rysy twarzy wyraziste i orle, a przecież ujmujące prostodusznością, szczerością i zadumą oka poważnie i głęboko w świat patrzącego — znamionują główne przymioty charakteru jego: trzeźwość rozsądku, nieposzlakowaną prawość przy żywości fantazyi i niezrównanym,

nadzwyczajnym dowcipie i humorze. Z natury małomowny, w życiu towarzyskiem wyrażał się zwięźle i krótko, czasem tylko ożywiał się okazując znajomość życia nabytą niezwykłym darem spostrzegawczym. Był samoukiem i często narzekał na brak szkolnego wykształcenia; brak ten uzupełnił jednak doświadczeniem i wszechstronnem oczytaniem, które rozwinęło jego zdolności nieskrępowane powijakami szablonu. Sąd jego umiarkowany, trzeźwy, niezamącony uprzedzeniem budził powszechne poważanie. W życiu był czynny i energiczny, uchodził na wzorowego agronoma, majątek znacznie powiększył. Przejęty wstrętem do wszelkich zboczeń w uczuciach, brzydził się czułostkowością i sentymentalizmem, złożył natomiast liczne dowody zdrowego, czynem objawiającego się uczucia w zakresie rodziny i społeczeństwa. Odczuwał i żywo chwytał wszelkie objawy słabości natury ludzkiej, wszelkie wady i śmiesznostki, pomimo to nigdy nie popadł w chorobliwy pessymizm, nigdy nie przeoczył dodatnich stron człowieka, umiejąc wznieść się na wyżyny rozważnej pobłażliwości. Z czystem sumieniem mógł u schyłku życia powiedzieć, gdy mu ziomkowie medal zasługi wręczali: „Jakiekolwiek były utwory moje, *zawsze jednak, aż przez dno sumienia czysty ich płynął zdrój. Nigdy, nigdy, to potomność przyzna, zawiść, chęć odwetu, złość albo oszczerstwo nie splamiły mego pióra.* Jedyną moją dążnością

było zasłużyć na szacunek współbraci, współbraci wszystkich, równych w miłości i w poświęceniu się dla dobra drogiej nam ojczyzny.“ Po r. 1835 napisał Fredro następujące komedye, wydane w r. 1880 w Warszawie w t. od VII do X.

1. **„Wielki człowiek do małych interesów“**, komedya w 5. aktach prozą. Tytułową figurą jest Jenialkiewicz, który sobie ułożył, że podług swej woli rozrządzi losem krewnych, których był opiekunem: bratankę swą, Matyldę, wyda za Dolskiego, siostrzenicę Anielę — za Leona; nadto upewnił Dolskiego, że wystara się dla niego o urząd dyrektora Towarzystwa kredytowego. Wszystko jednak układa się inaczej, niż wymyślił Jenialkiewicz: za Dolskiego wychodzi Anielą, a Matylda za Karola, dyrektorem zaś został Leon, który o ten urząd starał się potajemnie bez wiedzy Jenialkiewicza.

Jest to jedna z lepszych komedyi Fredry. Wyborną i zupełnie nową jest postać *Jenialkiewicza.* W żadnem społeczeństwie nie brak takich, jak on, figur o bałamutnej i mętnej głowie, lecz z olbrzymią pretensyą do genialności. Jest on przekonany, że trzęsie całym światem, że wszystkiego, czego się dotknie, najlepiej dokona, że jest co najmniej stworzony na ministra. Przemawia do wszystkich zwolna, poważnie, tajemniczo, w ręku i po kieszeniach ma pełno papierów, które często przegląda, od czasu do czasu zapisując sobie coś w notatce.

Na ustach ma każdej chwili wyrazy: „Spuść się na mnie“, opowiada chętnie o licznych swych zajęciach, bez przerwy załatwia różne sprawy z interesantami i służbą, w licznych miastach utrzymuje stałych korespondentów, którzy mu donosić muszą o najbłahszych szczegółach, ciągle śpieszy się na różne sesye. W rzeczywistości jednak nic pożytecznego nie robi. Podjąwszy się licznych obowiązków opiekuńczych, załatwia je po swojemu: Po śmierci swego brata „oczyszcza radykalnie“ jego zadłużony majątek, bo wszystko sprzedaje tak korzystnie, że bratanek Leon wyszedł z opieki „czysty jak bursztyn.“ Drugi brat jego, wdowiec, zostawił córkę i znaczny majątek, kapitały i wsie zagospodarowane. „Pieniądze — chwali się Jenialkiewicz — rozlokowałem, bardzo, bardzo łatwo rozlokowałem. Teraz egzekwuję, de taksuję, licytuję, palę proces po procesie. O! ze mną żartu nie ma!“ Wioski puścił w dzierżawę... z pięknego majątku „zwaliska, ni ściany, ni strzechy.“ Obdarte w tym majątku strzechy dały mu źródło do pisania rozprawy o strzechach, w której rozwodził się „nad stosunkiem produkcyi słomy jednego sążnia kwadratowego ziemi do zużycia tejże w jednym sążniu strzechy.“ Rozprawa ta jednak napisaną była tak niewyraźnie, że jej nikt odczytać nie mógł. „Wielkie bowiem pomysły, jak się czasem w głowie zatarasują, strach, żeby jej nie rozsadziły.“ Oprócz tej rozprawy miał mnóstwo

własnoręcznych rękopisów arcyciekawych, ale na nieszczęście sam już ich odczytać nie mógł: np. „o działalności każdej litery w naszej mowie;“ dowodził w niej, że litera *j* w 200 słowach powtarza się „w przecięciu“ 2046 razy, kiedy *b* tylko 896 razy. Zajmuje się także nie na żarty zoologią. „Wielka myśl — powiada — we mnie powstała... czy biały i czarny niedźwiedź tak, jak my z Murzynami, są jednego pochodzenia, czyli też zupełnie innego? Czy biały dla tego biały, że w śniegach żyje, a czarny, że w jodłowych lasach przebywa?“

Z innych figur na uwagę zasługują: Leon, Matylda i Dolski. *Leon* jest dyplomatą zupełnie innego rodzaju, niż Jenialkiewicz. Skryty, chytry, przebiegły, z niezwykłą bystrością ocenia ludzi, trafnie odkrywa ich słabostki i zręcznie z nich korzysta. On to pierwszy nazywa Jenialkiewicza „wielkim człowiekiem do małych interesów.“ Słusznie ocenia Leona Aniela mówiąc: „Nikt ci nie zaprzeczy rozumu, ale mógłbyś go jeszcze podwoić tym sposobem, abyś tylko trochę więcej cenił rozum drugich.“ *Matylda* jest jednym z wcześniejszych w naszej komedyi, a tak sympatycznych typów panny rezolutnej, dowcipnej, rozsądnej przytem i z dobrem sercem. „Dla ciebie koń, harap, pistolet, brak jeszcze fajki“, powiada o niej Jenialkiewicz. Wyborną jest scena 6. I. aktu, w której Matylda wprost powiada opiekunowi, że nie pójdzie za Dolskiego, bo ten jej nie podoba

się; a gdy Jenialkiewicz z gniewem woła: „Nie wyzywaj mnie“, całuje go w ramię i mówi: „A choćby... lepiej strzelam, niż stryjaszek!“ O jej rozsądku świadczy scena 7. aktu III-go, w której z niezrównanym humorem charakteryzuje gogów, fikalskich, śmiesznych zalotników; a dowód szlachetnego serca składa oświadczając Anieli (II. 4.): „Choćbym ginęła z miłości, jak georginia po pierwszym mrozie, twoją rywalką nie będę.“ — Typem człowieka nieskazitelnej prawości charakteru, nieposzlakowanej czystości uczuć, szczerego i prawie nadmiernie delikatnego, o bardzo subtelnem poczuciu obowiązków jest *Dolski.* Jedyną ujemną stroną jego jest pewna nieporadność i naiwna wiara w geniusz Jenialkiewicza.

W całości komedya ta wyszczególnia się świetnym komizmem w dyalogach. Niektóre jej ustępy (np. akt IV,) mogą posłużyć za wzory ruchu, skombinowania efektów i komicznego napięcia. Mało tu tak często spotykanego w dawnych komedyach Fredry skarykaturowania postaci i nieprawdopodobieństwa w sytuacyach; natomiast dostrzedz łatwo, że komedyopisarz usiłuje posługiwać się realniejszym dyalogiem, zejść z typowości ku kreśleniu rysów indywidualnych i uwzględnić nowsze warunki, w których żyją i działają figury komedyi.

2. **„Ożenić się nie mogę“**, komedya w 3. aktach prozą. Kasper Gdański, kupiec, ożenił się

z Hermenegildą i osobnym zapisem zobowiązał się wypłacić żonie w razie separacyi 50.000 zł. Po jakimś czasie znajduje się powód separacyi, z którego Hermenegilda, jak mniema Gdański, skwapliwie skorzysta. Oto do domu Gdańskich przyjeżdża córka Kaspra z pierwszego małżeństwa, Julia, którą poślubił Wacław Marski. Gdański zataił przed żoną, że jest wdowcem i że ma córkę, gdyż Hermenegilda nie byłaby nigdy poszła za wdowca. Na szczęście Marski od dawna posiada kompromitujące listy Hermenegildy i groźbą skandalu zmusza ją do zniszczenia zapisu.

Komedya to bardzo słaba. Nie ożywiają jej przebrania, tajemne małżeństwo, utajona córka i inne zużyte i banalne pomysły. Figury — z wyjątkiem Marskiego, — wypadły blado, nawet komizm nie dopisał Fredrze. Komiczna figura, Floryan Florek, który nie może się ożenić, nie jest wcale zabawny i w akcyi gra rolę podrzędną.

3. **„Pan Benet“**, komedya w 1. akcie wierszem. Zdzisław, synowiec jednego z braci Benetów, kocha się w Paulinie, wychowanicy drugiego Beneta, pułkownika. Uczucie jego wystawia Paulina na próbę przez wysłanie anonimu; a gdy anonim wywarł ten skutek, iż Zdzisław z Pauliną zerwał, postanawia pułkownik dotkliwie ukarać go za brak wiary. Donosi bratu swemu, u którego bawił Zdzisław, że sam wziął ślub z Pauliną i nieba-

wem oboje tam zjeżdżają. Po wielu najkomiczniejszych sytuacyach sprawa się wyjaśnia.

Komedyjka to wytworna, świetna, prawdziwy klejnocik naszego komedyopisarstwa Przedewszystkiem wyborną postacią jest pan *Benet*, typ człowieka zadowolonego z życia i wygód. Wypije kawkę z bułką, powącha kwiatów, poskrobie papugę, popoluje z klapką na muchy, po obiedzie zdrzemnie w ciszy i czuje się jak w raju. Rozważny, w spokoju rozmiłowany, przeraża się samym wyrazem zbrodni, na samą myśl o żywszej namiętności; a cóż za okropny stan powstaje w jego duszy, gdy widzi możliwość skandalu i to w tym rodzie Benetów, którego tradycyę czci najwięcej. „Pomnij — powiada Żdzisławowi, — że od Filareta Kalasantego Beneta wszyscy zawsze Benetowie, jak jednej matki synowie, w świętej zgodzie!" Drugą niemniej znakomitą figurą jest *Żdzisław*, wyśmienity kontrast stryja, porywczy, gwałtowny, o gorączkowych ruchach i prędkiej, ucinkowej mowie. Niepoślednią zaletą komedyi jest także nagromadzenie sytuacyi w najwyższym stopniu humorystycznych, oraz szykowna budowa całej sztuki: dyalog pełen kontrastów i dowcipu, zawikłanie oryginalne, rozwiązanie proste i prawdopodobne.

4. **„Lita et Compagnie"**, komedya w 1. akcie prozą. Dwa domy handlowe zawarły układ, podług którego Karol Lita ma pojąć za żonę Laurę;

która strona nie dotrzyma słowa, zapłaci drugiej 30.000 talarów. W oznaczonym terminie obie strony zjechać się mają w Poznaniu. W drodze Karol poznał i pokochał Laurę, nie przeczuwając, że ona ma być jego żoną, gdyż Laura, pragnąc zbadać jego charakter, nie wyjawiła mu swego nazwiska. Stąd wywiązuje się komiczne zawikłanie, (przebranie się za kobiety dwóch przyjaciół Karola), poczem następuje szczęśliwe wyjaśnienie nieporozumienia.

Z figur najwięcej zasługuje na uwagę *Laura*, odznaczająca się samodzielnością i rozsądkiem. Zupełnie świeżym w pomyśle i wykonaniu jest pedantyczny formalista, *Anastasius Maczek*, jedyna w tym utworze postać rzeczywiście komiczna. Zresztą całość nie wyróżnia się ani poważniejszą myślą przewodnią, ani oryginalnością zawikłania, ani szczególniejszą komiczną werwą.

5. „**Wychowanka**“, komedya „seryo“ w 5, aktach wierszem. Bohaterką utworu jest Zofia, wychowanka pana Morderskiego, który zapisuje jej cały swój majątek i swata ze swym synowcem. Węzłem akcyi jest podłe oszczerstwo żony Morderskiego, Reginy i jej siostrzenicy, Pauliny, które usiłują zamiary Morderskiego pokrzyżować. Cnota Zofii odnosi jednak zupełny tryumf.

Utwór ten nie odznacza się ani wdziękiem, ani komizmem, ani głębszą myślą przewodnią; nie bawi i nie wzrusza. Nawet figury wypadły

blado i banalnie. Nie podnosi wartości jego bezdenna naiwność i chwiejność *Piotra*, dającego się Morderskiemu za nos wodzić w wyborze żony, to znów łatwo dającemu wiarę, że Zofia ma stosunki z lichą kreaturą, Narcyzem; ani ohydna podłość Reginy i Pauliny, ani niesmaczna i wprost trywialna scena 3. i 4. aktu IV-go; ani ów *Hilary*, widzący intrygi i uciekający bezradnie; ani *Zefiryn*, nikczemny literat, żyjący z oszczerstwa i każdemu w płat dający swe pióro, „bezczelna gadzina", jak się wyraża o nim jedyny uczciwy i rozumny w komedyi, *Wacław*.

6. **„Ostatnia wola"**, komedya w 3. aktach prozą. Wezwani przez sędziwego jenerała Zielskiego zjeżdżają się w jego majątku krewni jego, Zielscy, których jenerał pragnął osobiście poznać: świętoszek Serafin, zalotna i pretensyonalna wdówka Zielska, utracyusz i szuler, lecz odznaczający się zaletą szczerości Stanisław, wreszcie panna Paulina, sympatyczna i skromna, zaręczona z Serafinem. Po długiem oczekiwaniu przywozi wreszcie notaryusz wiadomość, że jenerał w drodze z za granicy do ojczyzny nagle umarł Następuje opieczętowanie nieruchomości, przy czem notaryusz po kolei dwa znajduje testamenty: wcześniejszym przeznacza jenerał cały swój majątek Serafinowi; drugim o dwa lata późniejszym — pani Zielskiej; wreszcie przybywa żołnierz i przywozi z ministerstwa wojny ostatni testament jenerała, na mocy któ-

rego spadkobierczynią zostaje Paulina. Komizm polega na uwydatnieniu chciwości Zielskich, którzy po każdym testamencie zmieniają swe zamiary i usposobienia. Po znalezieniu I. testamentu Serafin zwraca Paulinie pierścionek zaręczynowy, spodziewając się lepszą uczynić partyę; namawia go do tego czynu Zielska, pragnie bowiem sama wyjść za niego za mąż, Paulinę zaś swata z młodym i przystojnym, lecz ubogim porucznikiem, Dorskim. Po odkryciu II. testamentu Serafin natychmiast oświadcza się o rękę Zielskiej, ta jednak z oburzeniem daje mu odprawę, gdyż pragnie teraz sama wyjść za Dorskiego.

7. **„Jestem zabójcą“**, komed. w 1 akcie prozą. Opiekun (Kokoszkiewicz) nie zezwala na małżeństwo wychowanicy swej (Klary) z młodym Marskim, gdyż sam pomimo podagry i podeszłego wieku pragnie się z Klarą ożenić. Potrzeba było użyć bardzo nieprawdopodobnego podstępu, spisku wszystkich domowników, strzału do wrzekomego złodzieja jabłek i wmówienia w Kokoszkiewicza, że przypadkiem zastrzelił Marskiego, aby wreszcie wydobyć od niego zezwolenie.

Komedya ani pomysłem, ani układem, ani dowcipem, ani nowością charakterów lub sytuacyi wcale się nie zaleca. Powtarza się w niej tylekroć razy użyty już typ mądrzejszego od pana sługi (Filipa), jak również typ sprytnej służącej (Zuzi). Inne figury wypadły blado.

8. **„Godzien litości“**, komedya w 3. aktach prozą. Elwin, bohater komedyi, nie zajmuje się niczem pożytecznem; natomiast mieszkając u przyjaciela swego, adwokata Dormunda, zawiązuje romans z Antonią, córką bogatego sąsiada, Warskiego. Antonia, panna ekscentryczna i emancypowana, czyniąc na przekór opinii publicznej i zwyczajom, odwiedza Elwina w jego kawalerskiem mieszkaniu; Warski zastawszy ją tu i to przypadkowo z Dormundem, mniema, że Antonia kocha Dormunda; toteż grozi mu kulką w razie, jeżeli z Antonią się nie ożeni. Dalsze nieprawdopodobne nieco zawikłania przyciskają do muru Warskiego, zmuszając go do zgody na małżeństwo Antonii z Elwinem.

Komedya ta zawiera dwie postaci, godne uwagi i świeże: Elwina i Antonię. *Elwin* jest typem egoisty, jakich wszędzie pełno. Po śmierci ojca z ostrego rygoru dostał się pod czułą i tkliwą opiekę chrzestnych swych rodziców i wkrótce stał się tyranem całego domu; jako chłopak ładny, wesoły, miły nadużywał opieki, chodził po głowach, nie nauczył się pracy. To też po śmierci swej opiekunki, gdy nagle znalazł się bez utrzymania, bez zajęcia, na łasce obcych, uczuł się najnieszczęśliwszym. Zamiast jednak wziąć się do pracy począł grać, zaciągać długi, bawić się fantastycznymi projektami, przyczem narzekaniom na ludzi, świat, na los przekorny nie było końca. Wyrazy;

„godzienem litości“ weszły mu w przysłowie. Był najmocniej przekonany, że cały świat powinien litować się nad nim i tak go pieścić, tak mu dogadzać, jak jego czuła opiekunka. *Antonię* wybornie charakteryzuje Dormund, mówiąc: „Pani masz rozum, ale nie masz rozsądku. Pani myślisz, że masz silny charakter, a masz tylko upór. Pani napiętrzyłaś z ułamków źle zrozumianych książek opinię o świecie, a świata nie znasz.“ Jest to więc emancypantka w najgorszym guście, posługująca się szumnemi hasłami dla zamaskowania swych słabostek. Dużo mówi o sobie, powołuje się chętnie na siłę swego charakteru i swych zasad, na rozległość swej lektury, rozum własny uważa za jedyną miarę złego i dobrego. Pomimo tych dwóch postaci całość nie może być uważana za szczęśliwą, głównie z powodu natłoku zawikłań nieprawdopodobnych figur blado scharakteryzowanych i nawet całych aktów, pozbawionych ożywienia w dyalogach.

9. **„Z jakim się wdajesz, takim się stajesz“**, przysłowie. Treścią jest zazdrość starych mężów o żony, zarówno jak mężowie podeszłego wieku. Sprytna służąca (Justysia) odgrywa główną w akcyi rolę, zamykając do szafy oszczercę (Mateusza), który omal ciężko nie odpokutował za swą podejrzliwość.

10. **„Rewolwer“**, komedya w 5. aktach wierszem. Rzecz dzieje się we Włoszech w czasie

rządów policyjnych i rewolucyjnych spisków. Główną postacią jest bankier, baron Mortara, w głębi duszy najpospolitszy lichwiarz, lecz pokostowany polorem inteligencyi. Nie poluje on już naiwnie i po prostacku na dożywocia, lecz umie z finezyą zastawiać sieci na swe ofiary, węszyć stosunki ich familijne, sporządać skryte odpisy testamentów, zręcznie operować wekslami, a przytem wszystkiem nadaje sobie pozory uczciwego, czcigodnego i honorowego obywatela. Dowiedziawszy się, że dawny jego przyjaciel, niejaki Monti, odziedziczył znaczny majątek, powstrzymuje termin odkrycia testamentu, a tymczasem oświadcza się telegraficznie o córkę Monti'ego. Monti nie odmawia, a na dowód przyjaźni przysyła baronowi rewolwer. Dar ten staje się powodem dalszych nieprawdopodobnych zawikłań. Albowiem baron drży z obawy przed policyą, a w żaden sposób utrapionego rewolweru nie może się pozbyć. Jak na dobitkę przyjeżdża sam Monti i rozchodzi się wiadomość, że go policya aresztowała, podejrzywając o należenie do rewolucyjnych spisków. Wiescią tą przerażony zwraca baron słowo otrzymane od Monti'ego. Okazuje się w końcu, że rewolwer był niewinnym przyrządem na cygara, a Monti nie był wcale aresztowany.

Komedya słaba. Brak jej komizmu i jednolitej kompozycyi. Dowcip błyszczący w niektórych szczegółach, w całości mniej Fredrze dopisał.

Charakterery osób wypadły mało plastycznie, a niektóre pomysły (np. rewolwer) rażą sztucznością i nieprawdopodobieństwem.

11. „Teraz“, szkic dramatyczny w 1. akcie. Leon, człowiek uczciwy i bogaty, byłby niezawodnie otrzymał rękę jednej ze swych kuzynek, Agaty lub Joanny; lecz wahał się w wyborze tak długo, że wreszcie wyprzedzili go inni: Agatę pojął Wiener, Joannę zaś Wirski.

Głównym przedmiotem komedyjki jest krytyka teraźniejszości w porównaniu z przeszłością. Teraz — chce poeta powiedzieć i rzeczywiście mówi bądź za pośrednictwem akcyi, bądź też przez usta bohaterów komedyi — wszystko możliwe: możliwe „dobre finanse, uczciwe dziennikarstwo“, bankier może zostać „Verwaltungs-rathem“, a nawet ministrem. Wieś dobra teraz nic nie znaczy, jest „nieustannym tyfusem agronomicznym.“ Teraz kuponek jest arkanem swobody i nieomylnego dochodu.“ Teraz mąż rozsądny jest, jak rzadki feniks; panny teraz ogromnie „trzeźwe“ i zawierają małżeństwa konwenansowe dla interesu (np. Agata). Dawniej nie było żyda bez brody, teraz nie ma brody bez żyda. Teraz opiekuńcze obowiązki wysilają i męczą, choć polegają tylko na udzieleniu błogosławieństwa i życzliwej radzie. Teraz młodzi panowie idą krok naprzód, krok w tył, a potem się dziwią, krzyczą w niebogłosy, że ich omijają i wymijają. (Leon). Młodzież teraz taka, że roz-

pacz bierze tego, kto się jej przypatrzy. — Niestety wyśmienity pomysł tej komedyi miał tę jedyną niedogodność, że nie łatwo było go pomieścić w ciasnych ramach jednoaktówki. Toteż słuszny można jej zarzut uczynić, że zawiera mnóstwo nierozwiniętych artystycznie motywów. Zresztą jest to utwór bardzo zajmujący, ma dyalogi ujmujące naturalnością i humorem, akcyę jasną i prawdopodobną, figury osób plastyczne i tchnące prawdą. Wybornym jest np. ów *Leon Chwiejski* ze swą chwiejnością i powolnością, która nigdzie nie staje się przesadną. Najczęstszymi jego wyrazami są: „podobno, zdaje się, trzeba się namyślić.“ Natomiast już sam wyraz „prędko“ budzi w nim nienawiść. Zgodnie z tem nie jeździ nigdy koleją, ani telegrafuje, uważając te środki komunikacyjne za „dyabelskie ruchy.“ Lubi śmiać się, lecz trochę, powoli, nie krzykliwie. „Leon nigdy z jutra nie wychodzi“, powiada o nim Agata. Cóż dziwnego, że nie może się zdecydować, z którą ma się ożenić, z Joasią, czy z Agatą. Kocha wprawdzie Agatę, lecz sam mówi: „Nie wiem, czy może, jak się zdaje, nie więcej kochałbym Joasię.“ Nie mniej plastycznie wypadła charakterystyka *Podziemskiego,* wiecznego zbieracza składek na „tajne cele“ i niezmordowanego agitatora, ale tylko w słowach, bo jak przyjdzie do czynu, zniknie, jak kamfora;“ *Wienera,* zapatrującego się na wszystko po bankiersku, ze stanowiska materyalnej

praktyczności; wreszcie panny *Agaty*, **rozsądnej**, praktycznej, bez żadnych marzeń i złudzeń.

12. „**Świeczka zgasła**“, jedna scena. Drobne to, lecz prawdziwe i wytworne arcydziełko wesołości i humoru. Pan i pani jechali razem dyliżansem pocztowym, nie znając się wcale. W lesie deszcz jak z cebra leje, oś pęka, pojazd wywraca się. W okolicy o milę żadnej żywej duszy. Chronią się oboje do jakiejś leśnej chatki, której przerażona mieszkanka pomimo deszczu uciekła do lasu. Następuje wyborny dyalog, prawdziwe arcydzieło humoru, w ciągu którego oboje nie tylko zaznajamiają się, lecz postanawiają się pobrać.

13. „**Dwie blizny**“, komedya w 1. akcie. Kasztelanowa zaręczyła siostrzenicę swą, panią Malską, z sekretarzem ambasady, Alfredem Tulskim, choć go obie nie znały. Tymczasem donosi przyjaciółka z Warszawy, że Tulski ma przyjechać w odwiedziny do Kasztelanowej pod przybranem nazwiskiem i że go łatwo poznają, bo ma bliznę nad okiem. Wywiązuje się pełno komicznych sytuacyi wskutek tego, że przyjeżdża dwóch panów, obaj mają blizny i obaj przyznają się do nazwy Tulskich. — Pomimo spowszedniałego pomysłu i sytuacyi, opartych na szeregu pomyłek, komedya ta z pośmiertnych należy do najlepszych, z takim zasobem niewyczerpanego humoru i zdumiewającej pomysłowości wydobyć umiał Fredro szereg nowych scen komicznych i tak umiejętnie

scharakteryzował postaci, zwłaszcza czynnej, despotycznej, rozsądnej *Kasztelanowej* i *Figaszewskiej*, która może uchodzić za znakomity typ rezydentki.

14. „**Brytan-Bryś**“, dramatyczna bajęda w 4. aktach. Akcya utworu tego bardzo szczupła. Zwierzęta wskutek intrygi lisa obierają rejentem osła. Gdy ośle rządy wywołują ogólne zamięszanie, wół przemocą opanował rządy i wziął sobie na ministra Brysia-Brytana. Obok trafnej charakterystyki rozlicznych zwierząt pomieścił tu Fredro liczne refleksye satyryczne, zebrane z obserwacyi społeczeństwa, liczne sentencye i prawdy, których prawdziwą kopalnią jest ta „bajęda.“ Dla przykładu przytaczamy niektóre:

„Chcesz uczyć cnoty, bądź cnotliwym wprzódy,
W przykładzie własnym nalepsze dowody.“ (Bóbr)

„Niedość i płakać głosząc dobre chęci,
Z płaczu, jak z piasku, bicza nie ukręci.“ (Kot).

„Nie umiesz pływać, nie leź do głębiny,
A jeśli toniesz, chwytaj się wikliny.“ (Kot).

„Mądry kto czeka, aby działać w porze.“ (Koń).

„A pozór z prawdą często w parze chodzi,
Pozór, jak prawda, skaleczy, zaszkodzi,
Pozór, jak prawda, hańbą okryć może.“ (Krowa).

„Bo nigdy rozum głupstwa nie przekupi,
Lepszy wróg mądry, niż przyjaciel głupi.“ (Borsuk).

Niektóre opisy odznaczają się pierwszorzędną żywością epickiego przedstawienia i niezrówna-

nym dowcipem. Do najlepszych należy opowiadanie pudla o przyjęciu u małpy (akt I. sc. 10), lub zająca o chartach i polowaniu (akt II. sc. 1.)

Ogólny pogląd na twórczość Fredry po r. 1835 musi wypaść na niekorzyść tego okresu, w porównaniu z okresem pierwszym jego twórczości. Wprawdzie niektóre utwory jak „Wielki człowiek do małych interesów“, „Pan Benet“, „Świeczka zgasła“, „Dwie blizny“, „Teraz“, „Godzien litości“ zawierają liczne i silne dowody pierwszorzędnego talentu komedyopisarskiego, to jednak w rozwoju twórczości nie oznaczają postępu, żadna z wymienionych komedyi nie posiada tak wybitnego literackiego znaczenia, jak „Śluby panieńskie“ lub „Zemsta“, a w znacznej ich części widoczne jest pewne osłabienie komicznej werwy i skostnienie fantazyi. W poglądzie zasadniczym na zadanie komedyi i w sposobie pisania mało znajdujemy różnic. Jak przed r. 1835, tak i w tym okresie pisze Fredro wyłącznie komedye charakterów i sytuacyi komicznych o zaletach i wadach tego samego, co dawniej, rodzaju, pomimo że nie obcym był mu rozwój komedyi tendencyjnej i charakterów indywidualnych, opartej na intrydze i efektownem zawikłaniu. Lekki tylko wpływ nowszego komedyopisarstwa francuskiego zaznaczył się na komedy ach naszego poety w dyalogu, który w ogólności po r. 1835 staje się u Fredry realniejszy, więcej do mowy potocznej zbliżony. Również w kreśleniu charakterów usi-

łował poeta więcej uwzględnić ów pokost cywilizacyi, który wygładzał i równał zbyt drastyczne pierwotne różnice. Wszak już w „Panu Jowialskim“ (I. 2) pisał: „Wszystkie charaktery jednę teraz powierzchowność wzięły; nie ma wydatnych zarysów. Co świat powie, to jest teraz duszą powszechną. Skąpiec dawniej w przenicowanej chodził sukni. Teraz sknera sknerą tylko w kącie; i ubogiego hojnie obdarzy, byle świat o tem wiedział. Zazdrosny gryzie wargi i milczy, tchórz mundur przywdziewa, tyran się pieści; słowem wszystko się zlewa w kształty przyzwoitości. W każdym człowieku dwie osoby; sceny musiałyby być zawsze podwójne, jak medale, mieć dwie dwie strony. Komedya Moliera koniec wzięła.“ Słowa te świadczą, że Fredro jasno zdawał sobie sprawę z wpływu cywilizacyi na złagodzenie i skomplikowanie objawów afektowych człowieka i w drugim okresie swej twórczości usiłował wybitniej to spostrzeżenie uwzględnić. W związku z tem pozostaje, że kobieta w komedyach pośmiertnych Fredry jest samodzielniejsza, bardziej stanowcza, więcej myśląca, niekiedy emancypowana, jak np. Antonia w „Godzien litości“, Laura lub Joanna w „Co tu kłopotu“, Matylda w „Wielkim człowieku do małych interesów“, Agata w „Teraz“ i inne.



III. Bibliografia.

Zbiorowe wydanie: „Dzieła“ w Warszawie 1880 w 13 tomach. O życiu lub dziełach Fredry najważniejsze są następujące publikacye:

1. **S. Goszczyński.** Nowa epoka poezyi polskiej w „Powsz. pamiętn. n. i umiej.“ 1835. —

2. **J. I. Kraszewski.** Dramat, studya literackie, Wilno 1842.

3. **W. Pol.** Teatr i A. Fredro, „Kwartaln. naukowy“, Kraków 1835, t. I.

4. **L. Siemieński.** Portrety, Poznań 1865.

5. **Fr. H. Lewestam.** A. F. studyum biograficzno literackie, „Kłosy“ 1868.

6. **St. Koźmian.** A. F. „Przegląd Polski“ 1876.

7. **St. M. Rzętkowski.** A. F. „Tyg. illustr.“ 1876.

8 **St. Tarnowski.** Studya, t. II. („Przegl. Pol.“ 1877—8).

9. **A. Małecki.** Mowa na pogrzebie A. F. „Czas“ 15 lipca 1876.

10. **K. Wł. Wojcicki.** A. F. „Kłosy“ 1876.

11 **Wł. Zawadzki.** Liter. w Galicyi, Lwów 1878.

12 **K. Chłędowski.** A. F. „Przew. nauk i liter.“ 1880.

13 **W. Gostomski.** Arcydzieło komedyi polskiej. Ateneum 1889.

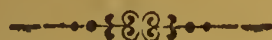
14. **St. Pepłowski.** Teatr polski we Lwowie. Lwów 1889

15 **Biegeleisen H.** Dzieła A. F. T. I. Wstęp.

16. **P. Chmielowski.** Nasza literatura dramatyczna, t. I. Petersburg 1898.

17. **S. Pepłowski.** Z papierów po Fredrze. Przegląd polski 1899.

A. Mazanowski.



Charakterystyki literackie

pisarzów polskich.

VIII.
IGNACY KRASICKI.



Złoczów.
Nakładem i drukiem Wilhelma Zukerkandla.

I.

Z współczesnego portretu wychyla się ku nam piękna postać, o wypogodzonem, zlekka uśmiechniętem obliczu, z oczyma iskrzącemi dowcipem, rysów regularnych i arystokratycznych. Suknia, krzyż na łańcuchu u piersi zawieszony, każą się domyślać, że to wysoki dostojnik kościelny, chociaż twarz się niemal wyrazem swym z powagą ubioru kłóci. Sądziłbyś, że odpowiedniejszym dla niej byłby wytworny strój 18. wieku, szyty frak i koronkowe mankiety; ale widnieje też w niej jakaś spokojna rezygnacya potomka wielkiego rodu, który z każdem miejscem pogodzić się potrafi.

Ten bystro patrzący duchowny — to książę biskup warmiński, Ignacy hr. Krasicki.

Urodził się w Dubiecku w ziemi Sanockiej w r. 1735. Ojciec — kasztelan chełmski, miał pięciu synów, z których czterech zostało duchownymi, aby niepodzielne rodowe majętności dostały się w jedne ręce. Że zaś najstarszy z nich Ignacy, młodzieniec nadzwyczaj pięknej powierzchowności, dający od dzieciństwa poznać niezwykłe uzdolnie-

nie, dowcip, bystrość i pojętność, miał zostać kapłanem, nie było to również dziełem powołania, lecz rodzicielskiej rachuby. Rozumna i pobożna matka, po śmierci której pisał syn do brata, że nie o nią, ale do niej modlić się należy, najzdolniejszego przeznaczała do duchownego stanu, do senatorskiego krzesła, iżby przez swe wpływy stał się podporą rodu, przysparzając mu mienia i blasku. Podobno Ignaś, jako siedmioletnie chłopię, składał już dla matki pieśni pobożne. To pewna, że początkowe nauki odbył w collegium O. O. Jezuitów we Lwowie.

Jakkolwiek ks. Konarski założył już był swoje zreformowane collegium nobilium w Warszawie, jakkolwiek reforma szkolna posuwała się już zwolna, obejmując i inne pijarskie szkoły średnie, to jednak w chwili rozpoczęcia nauk przez Krasickiego w jezuickich zakładach panował dawny system wychowawczy. Dopiero bowiem w r 1749 — a zatem kiedy Krasicki miał już lat czternaście, ale pozostawał jeszcze niewątpliwie pod opieką OO. Jezuitów — pojawia się projekt zaprowadzenia zmian i w tych także szkołach. [1]) Nowy program obejmował nie tylko wykształcenie, ale i wychowanie młodzieży na pożytecznych mężów dla kościoła, rzeczypospolitej i dobra publicznego,

1) Tytuł projektu następny: Idea Collegii nobilium pro educatione juventutis in pietate bonis nobilibusque moribus, variis eidem statui convenientibus artibus et scientiis, sub cura Patrum Societatis Jesu ad publicam patriae felicitatem L e o p o l i erecti An. 1749.

zalecał nadewszystko miłość kraju rodzinnego, doroślejszym zaś przypisywał naukę praw, ustaw i ustroju politycznego ojczyzny. Spółczesny Krasickiemu Dmochowski pisze o tych latach szkolnych, że młodzieniec „zostawił daleko za sobą swoich kolegów a stał się celem podziwienia dla nauczycielów. Wspominają ci, którzy razem z nim tym zawodem nauk szkolnych biegli — jego wierszopiskie wyzywania.“ 2) W roku 1751 umarł mu ojciec, zaś szesnastoletni Ignacy dostał się zrazu pod opiekę ks. biskupa Michała Kunickiego, a po jego rychłym zgonie — Franciszka Salezego Potockiego, „królika Rusi.“ Choć jeszcze nie miał święceń, to jednak młody, piękny, wymowny, dowcipny, niepospolicie zdolny, cieszący się możną protekcyą kasztelanic szybko rósł w znaczeniu i pozyskiwał „dla zaszczytu“ różne godności duchowne. Kanonik kijowski, potem przemyski, następnie proboszcz katedralny przemyski (w r. 1757) został wreszcie jako 24-letni młodzian — w r. 1759 koadjutorem opactwa wąchockiego, co się niemal równało biskupiemu dostojeństwu. Wówczas wyjechał Krasicki do Rzymu, gdzie bawił dwa lata. Nie wiele przechowało się wiadomości o dwuletnim pobycie młodego opata w Rzymie. Może zawiązywał stosunki u wielkiego ołtarza najwyższej władzy duchownej, może —

2) Mowa na posiedzeniu Tow. Przyj. nauk Warszawa w 1801 r. (Wyd. dzieł Barbezata).

jak utrzymuje Dmochowski — wywoływał z grobów cienie Fedrów, Horacyuszów, Maronów, Tassów, Aryostów, może podziwiał arcydzieła sztuki i architektury, — ale to pewna, że w listach tem wszystkiem mało się zajmuje, jeno biada na niedostateczne opatrzenie i tęskni do kraju. „Kto raz Włochy oglądał — mówi raz Krasicki do G. K., kiedy ten udawał się w Rzymską podróż — a zapuści myśl w to, czem niegdyś były, temu drobnieje wszystko, co potem widzi. Ja pragnę, iżby wolnych narodów obywatele w wieku dojrzalszym czynili to pielgrzymstwo, a z reszty jeszcze członków rzymskich zasycali swój umysł. Przez czas bytności mojej w Rzymie najchlubniejszą przechadzką było to miejsce, które teraz zowią polem krów a było — forum romanum. Wznosiło to, rozrzewniało umysł mój, gdym deptał ziemię, śladami Katonów upoważnioną. Zdawało mi się widzieć ową mownicę przy Rostrach, z których dawały się słyszeć Grakchy, Hortensyusze, Cycerony. Posiadających plac owej świątnicy Jowisza Kapitolskiego bernardynów rozżarzona imaginacya stawiała mi augurami. Skała Tarpejska, gdzie teraz ogród kapuściany, przypomniała mi sławnych karą winowajców; gęsi nawet zdawały mi się być płodem owych, które krzykiem swoim Gallów odegnały. Zgoła każde spojrzenie, gdy baczne, każda myśl, gdy czuła,

w stolicy świata wznosi umysł i wzrusza.“ [1]) Pomimo jednakże takich myśli i zajęć — tęsknił do kraju — i nieraz skarży się, że choć się nie nudzi, ale radby już *patrios salutare paenates*“, że „mimo wszelkie tych krajow pieszczoty, których u nas niemasz, milszy polski niedostatek, niż włoska obfitość“, — dopiero wszakże w r. 1761 wrócił do kraju i podążył do Warszawy. Zrazu nie bierze udziału w życiu publicznem, aczkolwiek z natury rzeczy stał po stronie Potockich, stronnictwa wrogiego Czartoryskim. Zapoznał się wtedy właśnie ze Stolnikiem litewskim — Stanisławem Poniatowskim, bawił się, jednał przyjaciół, spędził czas jakiś w Kielcach u biskupa Sołtyka, którego pański tryb życia, dwór, ogrody, teatr, zabawy służyły mu, jako wzór w urządzeniu życia i zamku w Heilsbergu. Podobno pełnił jakieś obowiązki przy prymasie Łubieńskim, stronniku dworu saskiego. Gdy jednak po śmierci elektora zaczęto szukać porozumienia z Czartoryskimi, znajomość Krasickiego z Stolnikiem zacieśniła się i przybrała wyraźne cechy przyjaźni. Zbliżały ich lata, charaktery dość podobne, mniej więcej jednakie na świat poglądy. Po wyborze stolnika królem zostaje też Krasicki kapelanem królewskim i w dzień koronacyi wygłasza już kazanie na pochwałę prymasa i nowego króla,

---

1) O podróży do G. K. Dzieła J. K. Warszawa 1878. t. IV. str. 335.

oraz o uszanowaniu należnem władzy i dostojności królewskiej.

Odtąd rozpoczyna się publiczna działalność Krasickiego. Zbliżony do dworu, faworyt króla, ulubieniec wielu możnych osób, miał w nowem panowaniu, zdążającem do reform na wszystkich polach życia, przeznaczenie doniosłe — popierania królewskich zamiarów i jednania im zwolenników. Król otoczył go też odrazu miłościwą opieką i protekcyą. Obrany kustoszem kapituły lwowskiej, został deputatem jej na trybunał małopolski, a zarazem z nominacyi króla i prezesem tego trybunału. Do kwietnia 1765 r. sądził się trybunał w Lublinie, odtąd zaś we Lwowie. Przypatrzywszy się zblizka pieniactwu, intrygom i obyczajom, które później odmalował w Doświadczyńskim, jął się oddziaływania dodatniego na tok spraw sądowych: pracowity i świecący przykładem dla podwładnych, dba wielce o oświecenie i edukacyę adwokatów, o surową, bezstronną sprawiedliwość, o utrzymanie tajemnicy sądowej. Jedna królowi powagę i sympatyę, krzewi u deputatów poczucie obowiązku, słowem — choć młody — godnie czyni zadość trudnemu i doniosłej wagi zadaniu. [1]) Prawie równocześnie pisze w *Monitorze,* organie ludzi, którzy usilnie pragnęli reform w ówczeszym rządzie rzeczypospolitej. W następnym roku

1) Dr. Józef Tretiak: „Ignacy Krasicki jako prezydent trybunału.“ (Rozpr. akad. Um. Wydz. filol. t. XXIV. 1895. str. 1—37).

otworzyły się dla młodego dostojnika jeszcze wyżej sięgające widoki. Król, chcąc Krasickiego niezależnym uczynić i przywiązać do siebie, korzystał z przyjazdu do Warszawy staruszka biskupa warmińskiego, Stanisława Grabowskiego i wyjednał swemu ulubieńcowi koadjutoryę warmińską z prawem następstwa. Nie przyszło to tak łatwo. Trzeba było usunąć skrupuły starego biskupa, wyjednać Krasickiemu indygienat u stanów pruskich, skłonić jednego z prałatów, iż na rzecz kandydata za dożywotnią pensyę zrzekł się kanonii, pozyskać przyzwalającą uchwałę kapituły warmińskiej... Wszystko zrobiły zabiegi i starania królewskie, a gdy los chciał, że w kilka miesięcy po usunięciu przeszkód do koadjutoryi — stary biskup umarł, konsekrowano trzydziestoletniego Krasickiego na biskupa.

Warmińskie biskupstwo, stolica niegdyś Dantyszka, Hozyusza, Kromera i wielu innych znakomitych ludzi, przynosiło 400,000 zł. dochodu, senatorskie krzesło, tytuł książęcy i władzę duchowną i świecką. Trudno było o wyższą w tym wieku promocyę — i słusznie podobno król w parę dni po odebraniu od młodego senatora przysięgi pisał do swej przyjaciółki, pani Geoffrin o swym faworycie, którego pieszczotliwie nazywa Minetem: „Jest dziś bogatym, a szczęściu jego publiczność przyklaskuje. Wiesz, że twarz ma piękną; twarz ta radość wyraża, a ja go uczy-

niłem szczęśliwym. Pomyśl, czy mi na niego spoglądać miło"... Niedługo jednak czekał król na zawód, jeśli myślał wprządz wpływowego biskupa do swego politycznego rydwanu. Już w parę miesięcy po liście powyższym skarży się swojej przyjaciółce: „Minet wczoraj pojechał jak szczur odbywać rekolekcye w serze swoim. Bardzo się lękam, ażeby ten Minet tak miły, tak dowcipny, tak pilny, a który mi winien tyle, nie stał się próżniakiem, nie dbającym o nic i o nikogo, tylko o swe własne przyjemności i lenistwo swoje. Przykro mi, że mam pewne poszlaki, które zdają się to zwiastować." Po prostu Krasickiego polityka nie nęciła. Brał udział w sprawach publicznych, pełnił obowiązki swe duchowne, ale po za tem lubił żyć przyjemnie i towarzysko. W r. 1768 na czas dłuższy zjechał do Warszawy, otworzył dom na Krakowskiem Przedmieściu, dawał wieczory, na których bywał król i mnóstwo osób, zwłaszcza uczonych i literatów. „Na wieczory i wytworne wieczerze schodziły się tłumy miejskich pasorzytów, których biskup ostrygami karmić i burgundzkiem winem poić musiał. Gdy w jednym z salonów uczone i dowcipne wiodły się rozmowy, w drugich musiano zastawiać stoliki do gry, jakkolwiek Krasicki sam nie grywał." Wówczas też, w ciągu tych czterech lat, spędzonych w stolicy, zaczęły się rozchodzić pierwsze pisma Krasickiego — bajki i satyry, które chci-

wie przepisywano i rozchwytywano. Stawał się więc i jako poeta popularnym.

Po pierwszym podziale Polski Warmia przypadła Prusom. Krasicki musiał złożyć hołd nowemu panu, którym był Fryderyk II., przyjaciel Voltaire'a, najzłośliwszy i najprzebieglejszy z monarchów. Umiał się jednak książę biskup podobać Fryderykowi, zwłaszcza że ten lubił i cenił dowcipnych ludzi. Raz podobno król filozof żartobliwie wyraził się, iż ma nadzieję, że go potępionego heretyka biskup pod swym płaszczykiem wprowadzi do nieba. „Nie wiem, czy mi się to uda — odrzekł Krasicki — bo Wasza królewska Mość bardzo mi ten płaszczyk okroiłeś kuso."

W r. 1775 zaczęły wychodzić w druku utwory poetyczne Krasickiego. Są to lata niezwykłej pracy literackiej, wzmagającego się rozgłosu i uznania, lata wielkiej wagi dla naszego piśmiennictwa. Co roku wychodzi najmniej jeden, czasem po dwa i więcej utworów. W r. 1775 ukazuje się Myszeida, w rok po niej Przypadki Mikołaja Doświadczyńskiego, w r. 1778 Satyry, Pan Podstoli i Monachomachia, po roku Bajki i Historya na dwie części podzielona, w r. 1780 Statysta, Wojna Chocimska i Antimonachomachia. Przypatrzmy się z kolei powyższym dziełom.

II.

Myszeis. Treść. *Król Popiel przez dziewięć dni lubił myszy, ale gdy się o wybornym kocie Mruczysławie dowiedział, myszy musiały uciekać. Udały się one do swego króla Gryzomira, który żył sobie spokojnie pośród serów, szynek i ozorów, jakie ksiądz kanafarz nagromadził w niezmiernym gmachu mniszego klasztoru w Gnieźnie, zamieniwszy wielką bibliotekę na spiżarnię. Gryzomir wysłuchawszy żalów poselstwa myszego z Kruszwicy, zwołuje radę, śle posły o pomoc za granicę, sam zaś zbiera pospolite ruszenie. Mruczysław gromadzi i w pole wyprowadza zastęp kotów — następuje bitwa i myszy pierzchają. Jednakże w bitwie ginie kot Filuś, ulubieniec księżniczki Duchny, córki Popiela. Duchna przysięga myszom zemstę. Za jej namową Popiel wydaje im wojnę. Gryzomir tymczasem, doznawszy różnych przygód, dostaje się nad Ren do szczurów, które niedawno zjadły elektora Moguńckiego, otrzymuje od króla ich Serowinda posiłki, wraca, skupia swe siły, stacza bój z kotami, zagryza ich wodza Mruczysława i odnosi zwycięstwo. Popiel, dowiedziawszy się o klęsce kotów, upija się, ucieka łódką na wyspę, gdzie go myszy dopadają i zagryzają.*

Czy Myszeis jest allegoryą? Znaczenie jej.

Mniemano, że Myszeida jest allegoryą. Jedni domyślali się, jakoby poeta wyśmiał stosunki polskie za czasów saskich, inni usiłowali dowieść zgodności Myszeidy z chwilami konfederacyi barskiej. Ukazywano nawet osoby. Popielem miał

być król Stanisław, Mruczysławem Repnin, Gryzomirem Kazimierz Pułaski lub Adam Krasiński, ministrem w niełasce — sam Krasicki, księżniczką Duchną — Katarzyna.

Prawda, że Popiel pił a Stanisław August znany nam ze swej wstrzemięźliwości, prawda, że zakończenie zgoła nie odpowiada dziejowej prawdzie; ale sądzono, że Krasicki w końcu przedstawił tylko niebezpieczeństwo śmierci, na jakie król był w czasie porwania przez konfederatów narażony, a zresztą musiał poeta zacierać zbyt wyraźne rysy podobne i tem da się wytłómaczyć nałóg pijaństwa, przeciwny oczywistości. [1]) Wszystkie te domysły nie mają dostatecznej podstawy. Krasicki wziął wątek z kroniki Kadłubka, którego w przedostatniej zwrotce poematu z uwielbieniem wspomina, w czasie swych podróży zwiedził może wieżę pod Boppartem na Renie i zapoznał się z podaniem o pożarciu Hattona, zresztą lubił bardzo poezye Aryosta i francuskiego poety Gresseta, na wzór których napisał utwór, ażeby przezeń uczyć i bawić zarazem. Drugi cel wyraźnie widać z wierszyka do króla przy oddaniu Myszeidy.

Zatrudnionemu szczęśliwością kraju
Przynosić fraszki — rzecz nader zuchwała;

---

1) Ob. O znaczeniu Myszeidy Ign. Krasickiego. Napisał Dr. Gruszczyński. Poznań 1863. Studya i Szkice C mielowskiego. t. I. str. 293—5. Krasicki Życie i dzieła, przez J. I. Kraszewskiego, Warszawa 1879. str. 109—121.

Nie zna prostota dworów obyczaju,
Na co się mogła zdobyć, to oddała.
Gdy baba latać będzie lub gdy kichnie,
Dosyć to dla niej, gdy się Pan uśmiechnie. [2])

Ale i nauki nie poskąpił w utworze. Często powtarza się myśl, że los obdarza niezasłużonych a gnębi cnotliwych. (Pieśń 1, 2, 6, 7); nieraz usiłuje malować bezmyślne i gnuśne społeczeństwo, które wszystko składa na barki króla; nieraz wyśmiewa oracye, więcej niż czyny cenione, dysputy, o które się dba więcej, niż o uchwały. Ironicznie też zaznacza zbyt wielki wpływ kobiet na sprawy, mówiąc, że „mimo wszystkie naszej płci zalety my rządzim światem a nami kobiety“ (P. IV). Słowem poemat obok bawienia ma za cel krytyczną ocenę zeszłowiecznego społeczeństwa „zacofanego i gnuśnego“, — ale — o ile możności — bez osobistych alluzyi. Zwraca się nadto Myszeida przeciw zepsutemu smakowi i retoryce stylu okresu panegirycznego, przeciw nadętości i opisywaniu drobnych sytuacyi napuszonemi słowy. Lekkością swą i żartobliwą ironią, gładkim i pięknym wierszem zadała cios powyższemu prądowi literackiemu — co wszystko razem stanowi o jej znaczeniu. Z powodu pięknego wiersza i języka, z powodu wdzięku swego podobała się też w swoim czasie powszechnie, wzbudziła zapał, postawiła poetę wysoko. Pierwszą była i jedyną

2) Wyd. dzieł. cytowane wyżej. t. IV. str. 402.

w swoim rodzaju, nic podobnego nikt naówczas nie słyszał po polsku, — musiała też zachwycać, jako coś nader oryginalnego i niepospolitego.

Monachomachia. Treść. *W pewnem mieście było dziewięć klasztorów a w nich „wielebne głupstwo pędziło wiek szczęśliwy i złoty in dulci otio“, dopóki jędza niezgody nie zapaliła wojny między Dominikanami a Karmelitami. Podczas narady Dominikanie na wniosek O. Pankracego postanawiają odbyć dysputę z Karmelitami. Ci też radzą nad sprawą. Wniosek O. Gerwazego, aby „pić o lepszą z Dominikanami, upadł, bo „pijemy dobrze, ale lepiej oni“, a zresztą czasy popisu na kufle minęły, teraz „trzeba się uczyć, upłynął wiek złoty“, czemu winien król: „z niego gust książek a piwnic ruina, on naród z kuflów, szklanic, beczek złupił, bodajże w życiu nigdy się nie upił.“ Staje uchwała, aby odbyć dysputę naukową. Znaleziono w starym lamusie pod strychem książnicę i oba obozy uczą się. Nadszedł dzień dysputy. Zaledwie się ona jednak zaczęła, zamieniła się wnet we walkę na pięści. Aby ją uspokoić, wynosi wicesgerent* **vitrum gloriosum**, *wielki kielich. Ten jedna i godzi.*

Geneza, ocena i znaczenie.

Pojawiła się ta książeczka w r. 1778 w Warszawie bezimiennie z wyobrażeniem satyra i podpisem *PAN*. Jest podanie, że napisał ją Krasicki na życzenie Fryderyka II. w Saus-Souci w apartamentach, gdzie niegdyś mieszkał Wolter. Było wówczas dość rozpowszechnione mniemanie wśród kół liberalnych Europy, że klasztory przeżyły się,

Trzeba pamiętać o tem, że na tronach siedziały ukoronowane głowy Fredyryka II, Józefa I, Katarzyny, że Wolter uchodził za słońce 18. wieku, że filozofia przedrewolucyjna święciła swoje tryumfy nie tylko we Francyi, ale i całej Europie. U nas Tomasz Węgierski pisał poemat *Organy*, a jakiś niewiadomy autor występował przeciw zakonom kobiecym w *Asketomoryi*. Wszystko to mogło Krasickiego skłonić do zadośćuczynienia prośbie króla pruskiego. Trzeba wszakże zauważyć, że nasze klasztory i zakony trudniły się wprawdzie nauczaniem — i w owym właśnie czasie, wstąpiwszy za inicyatywą Konarskiego na drogę reformy, obowiązki swe pełniły coraz to lepiej — ale nigdy nie były siedliskami nauk, jak w innych krajach. Stąd gdy Krasicki w Monachomachii chłostał nieuctwo, gnuśność i złe obyczaje naszych zakonów — nie zupełnie odpowiadało to istotnemu stanowi rzeczy. Zaznaczyć się też godzi — co już wskazywali Brodziński i Mickiewicz — że nie bardzo przystało biskupowi zamiast mocą swego wpływu poprawiać członków swojego stanu — wyśmiewać ich i wyszydzać. „Poeta — mówi słusznie Kraszewski — nie obrachował siły swego szyderstwa i poszedł za daleko. Przy usposobieniach 18. w. poemat przeciw mnichom wogóle, napisany przez biskupa, był ciosem dla nich bardzo ciężkim. Okrył on śmiesznością suknię zgromadzenia ludzi niewin-

nych, odjął stanowi poszanowanie, postawił nieszczęśliwych pod pręgierzem.“ Z drugiej atoli strony, jeśli się uwzględni zewnętrzne cechy dzieła, wypadnie je zaliczyć do lepszych utworów Krasickiego. Największą zaletą powieści jest żywość akcyi i ruch, jaki w niej panuje w połączeniu z lekkością i humorem. Porównanie z dziełem Boileau'a *Le luttrin* wypada po tymi względami na korzyść naszego poety. Najlepsze zaś są ustępy z pieśni 3 — szukanie biblioteki i z pieśni 5 — walka. Typy mnichów natomiast są ledwie szkicowane: brak im wyrazistości i plastyki. Brak przedmiotowości okazuje się też i w tem, że wszystkie figury są ujemne.

Monachomachia zjednała sobie u spółczesnych wielki rozgłos. W samym 18. w. miała trzy wydania. Stała się jednem z najbardziej ulubionych pism Krasickiego. „Witano po dworach wyjątkami z niej biednych kwestarzy, imiona bohaterów nadawano mnichom, rzucano im w oczy wyrok biskupi. Śmiało powiedzieć można, że do odebrania wpływu i znaczenia zakonom poemat ten najwięcej się przyczynił. Jan Śniadecki w rozprawie *O logice i retoryce* zapewniał, że poparł on usiłowania Komisyi edukacyjnej i prace Akademii krakowskiej a Stanisław Potocki i Dmochowski stwierdzają popularność dzieła. „Wszyscy umiemy je na pamięć — pisze ostatni. Przyto-

czenie jakiego miejsca z tego dzieła nieraz w najbardziej zasępionem towarzystwie odżywiło wesołość i do przyjemnego śmiechu wzbudziło.“

Antimonachomachia. Treść. *Jędza rzuca księgę* **Monachomachii** *do mieszkania doktora. Ten czyta księgę z uśmiechem, gdyż „prawdziwa cnota krytyk się nie boi.“ Ale gdy wszedł ojciec Honorat i przeczytał, rozsrożył się okrutnie. Biegnie do biblioteki, przewraca cztery pulpity z księgami, złorzeczy. Jędza budzi tymczasem ojca Gaudentego: obaj ojcowie chcą się mścić i spalić księgę. Skoro się o niej dowiedzieli inni, znajdują się wśród nich i tacy, którzy łagodniej usposobieni, widzą w niej nieco dobrego. Doktor roześmiał się, ojciec Bonifacy broni nawet autora książki, proboszcz nareszcie na złagodzenie wzburzonych umysłów przynieść każe dzban czterogarncowy. Piją, a na dnie puharu zjawia się prawda, która uspokaja, udziela obecnym przestrogi i znika. —*

Ocena. Poemat wyszedł w parę lat po Monachomachii. Napisany łagodniej, spokojniej — widocznie miał na celu ukojenie rozdrażnionych umysłów. Prawda na końcu powiada do zakonników, że ów gorszący poemat — „to lada pismo, które bajki plecie“, że autor wie, jak święte wasze zgromadzenia“, że „wy jesteście ludzie — i on nie bez ale“, że oświadczył, „iż chętnie odwoła“, „jeśli szkodzi, gotów pismo spalić.“ Sam poeta powiada znów na czele księgi czwartej, że *Monachomachię* „płochość wykradła z kryjówek, ciekawość fraszkom dodała zalety, złość ślepa

rozniosła, a sława bajki uczyniła rzeczą szacowną. Możnaby stąd nawet wnosić, że poprzedni poemat wydany nie zupełnie z wolą i zgodą autora. Zaznacza wreszcie, że wyśmiewał nie zakony i wiarę, lecz złych zakonników. *Antimonachomachia* nie posiada już tych zalet akcyi, werwy i dowcipu, co poemat poprzedni; w charakterystyce zaś osób różni się od poprzedniego tem, że obok ujemnych wprowadza postaci dodatnie, jak np. doktor, proboszcz lub Bonifacy. Nie przypadła też tak do smaku czytelnikom i mniej zjednała sobie rozgłosu. —

Satyry. Treść.

1. Do króla. *Zarzuca niby królowi, że był przedtem tylko „mości panem", że nie jest cudzoziemcem, że młody, że chce być dla poddanych przystępnym, że lubi księgi, że jest łagodny; w istocie zaś szydzi z tych, którzy niesłusznie przyganiali królowi i nie lubili go.* —

2. Świat zepsuty. *Namiętnie i gorąco skarży się na niedowiarstwo, rozpustę, matactwa i łgarstwa. Co dawniej uważano za uczciwość, dziś nazywa się prostactwem. Małżeństwa kojarzy chęć zysku, przysięga staje się żartem, młodzi i starcy toną w nierządzie. Po takim strasznym obrazie rozkładu społecznego dodaje na końcu, że rozpacz jest udziałem nikczemnych; kiedy burza się wszczęła, „poczciwiej być w okręcie — ocaleć lub zginąć."*

3. Złość ukryta i jawna. *Filutów ciżba. Wojciech gładki i układny z wierzchu, stara się każdego podejść i oszukać i jak pająk rozstawia zdradne*

sieci; Konstanty o umyśle zwrotnym a języku przedajnym zdradza i okrada, ale zdradza „przystojnie“ a zdziera „przykładnie“, stąd nosi miano galantoma; Paweł słucha trzech mszy, odmawia cztery różańce, dmucha na gromnice, wpisuje się w cztery bractwa, klęczy dwie godziny, a daje pieniądze na lichwę; Jędrzej brzydzi się hipokrytą, a jawnem zgorszeniem zaraża i truje. To mędrzec gotowalniany, badacz tajemnic, poprawiacz wieków, śmie uwłóczyć prawdzie a na jawność szczeka. Jan, dumny pokrewieństwem i Litwy i Polski, sądzi, że nie trzeba cnoty i rozumu, skoro jest herb; Mikołaj, ufny w swe folwarki i włości, nadyma się, choć je źle nabył. Słowem — wszędy liche obyczaje. Jeżeli chcemy, aby stan kraju się polepszył, musimy się starać o ich odmianę. „Niech będą dobrzy, będą szczęśliwi Polacy...“

4. **Szczęśliwość filutów.** *Nowy rok. Poeta winszuje filutom „oświeconym i jaśnie wielmożnym“, że im się powodziło w dostatkach: jednemu, którego oko śmiałe a czoło jak z miedzi, że ma złota dość, że choć zdradził, jeszcze mu wierzą, że choć ukradł, nie każą mu wracać; drugiemu, że utył, co zasługą jejmości; trzeciemu, że kupił majętność, nie dawszy szeląga. A cnotliwa hołota powinna cierpieć. Ale — dodaje poeta — prawda zawsze, choć późno, wychodzi na swoje.*

5. **Marnotrawstwo.** *Poeta maluje żywemi barwami utracyuszostwo; jeden traci nabyty majątek przez to, że zbyt zawierza fałszywym przyjaciołom; drugi — co gorsza — trwoni odziedziczoną fortunę przez swe artystyczne zachcianki, podróże i zbytek.*

6. **Oszczędność.** *Nie polega na powiększaniu dochodów z krzywdą ludzką, lecz na wydatkowaniu wedle potrzeby i szczędzeniu szelągów. Za ojców*

naszych rachowano na grosze — i trzymały się lepiej, my liczymy na talary i czerwone złote, to też niema ich.

„Lepszy szeląg z intraty, chociaż jest miedziany,
Niż pieniądz złoto — stemplny, ale pożyczany.“

7. **Pijaństwo.** *Sylwetka pijaka nałogowego. Widzi on jasno całą ohydę nałogu, widzi korzyści pozbycia się go; jednak nie działa nań przestroga i ze skargą na ustach na pijaństwo idzie — napić się wódki.“*

8. **Przestroga młodemu.** *Powinien się mieć na ostrożności w wyborze przyjaciół. Spotka filuta z pozoru grzecznego, znajdzie pozornie bogacza i wytwornisia: ci go ciągną do miłostek, a kobiet dzisiejszych strzedz się należy. Spotka filozofa, który stwarza nowy rząd rzeczy i wiary systema — a mądrość to fałszywa. Lepsza staropolska, zaprawiająca do wiary i cnoty.*

9. **Żona modna.** *Szlachcic ożenił się, skuszony posagiem. Dostał za żonę panią, dla której wszystko, co dawne, złe i pogardy godne. Cały porządek domu przewraca na nice i unieszczęśliwia męża.*

10. **Życie dworskie.** *Polega ono na pozorach; fałsz uprzejmy, to zwykła cecha dworu. Dalej — próżność i czczość rozmów, wzajemne obmowy i plotkarstwo, bezmyślna politykomania, płaszczenie się wobec pana i jego faworytów bez względu na to, czy to są ludzie czy pieski.*

11. **Pan niewart sługi.** *Zły pan znęca się nad sługą, choć niewinien; zły sługa okrada pana Taki to świat, w którym raczej pytać trzeba, kto nie kradnie, niż o to, kto ukradł. „Służy wiernie, kto kocha, nie ma sług, kto dręczy.“*

12. **Gracz.** *Stopniowo i zwolna staje się człowiek „hrabią na żołędzi." Zaczyna od gry w pliszki, w rusa, w bicza i w cisankę; przechodzi potem do salonów gry, nurza się w namiętności, staje się egoistą, pozwala w domu zamierać z głodu rodzinie, wreszcie podrabia karty i oszukuje.*

13. **Pochwała milczenia.** *Zręcznie wyzyskują korzyści milczenia pisarze i mowcy; zręcznie milczą szalbierze, których trudem łgać, odradzać, złorzeczyć, gdy są zbyt poznani; ale nie powinni milczeć uczciwi, bo „znać, czuć, mówić, dać przykład — jestto być kapłanem. Milczenie nie w istocie, lecz w skutkach bywa złe; jest ono sprawcą myśli, w łonie jego myśl wznosi się, działa, krzewi, poznaje, odkrywa.*

14. **Pochwała wieku.** *Dziś pełno mędrców, ale czy świat co zyskał? Jest tak, jak było, gdyż „co się wszerz zyskało — w głąb się utraciło." Literatura poszła w handel, autorowie poszli w jarmark, — i stąd mnóstwo ksiąg bez treści, gorszących, bluźnierczych, anegdotycznych. A cóż nauka zdziałała u ludu? Ciemnota i przesądy są owocem przeszłowiecznego posiewu, nauka zaś nie tępi ich.*

15. **Pochwała głupstwa.** *Dobrze dziś być głupim. Paweł gada dużo i głośno, a choć plecie nie do rzeczy — słuchają go. Jurgieltowi chwalacze, autorowie głodni dają im patent na nieśmiertelność. Przytem głupcy nie tracą zdrowia nad zdobywaniem mądrości, lecz tuczą się swem głupstwem.*

16. **Wziętość.** *Łukasz odgadł sekret wziętości: „do możniejszych przystać, strzedz się słabych, śmiać z cnoty a z głupstwa korzystać." Mały złodziej wart chłosty, ale zdrajca kraju „wstęgi nosi na szyi, co warta powroza. Kraj zdarł, kradł*

go bez wstrętu a wyszedł, jak święty.“ Poeta też chciałby urość, ale to chęć bez nadziei — bo nie kradnie. —

17. **Człowiek i zwierzę.** *Człowiek — to najgłupsze zwierzę, bo wiedząc, co czynić, nie czyni, co trzeba. Zwierzęta gnębią się najwzajem, gdyż żyć muszą. Człowiek sam idzie w niewolę, sam łamie prawa, które stanowi. Powinien dbać o własne dobro, ale też i o dobro społeczeństwa.*

18. **Klatki.** *Oto klatki z ludźmi. W jednej siedzi sławny rachmistrz, co ma milion długu, w drugiej szepce pacierze święty, który ukradł trzy części, czwartą dał w jałmużnę; dalej sławny jurysta, który „bierze, co napadnie“, potem mędrzec, co skarbnicę mądrości trzyma pod korcem, bo pusta; po nim wielki człowiek: dał na druk i w przedmowie został wielkim; wreszcie ten, co bardzo kochał ojczyznę a z miłości ją okradał.*

19. **Mędrek.** *Konstantyn „szedł zawsze nawiasem“, nic nie czynił jak drudzy, więc w wielkim świecie urósł na wielkiego. Dziś wiek „polerowany“ bierze rozum od Szwajcarów a dowcip z Paryża, nie trzeba tedy pracy, by ujść za mądrego. Gmin zaś czci szumne głupstwo „owczem powtarzaniem.“ Mądrość dzisiejsza naucza ganić to, co dawniej chwalono — i odwrotnie.*

20. **Małżeństwo.** *Wiek 18. niby oświecony, ale stadła są złe i rozwodów dużo. Winą — chciwość mężów na posagi i albo złość albo głupota żon. —*

21. **Podróż.** *Niedobre są podróże z powodu niewygód. Niedobre do wód zagranicznych, bo wody nie uleczą, gdy brak wstrzemięźliwości. Najgorsze zaś po rozum zagraniczny. Jeśli jeździć — to po własnym kraju.*

22. **Odwołanie.** *Poeta odwołuje wszystko, co powiedział i oświadcza, że pan Paweł, pan Piotr, pan Jędrzej — wszyscy są czcigodni ludzie. Pragnie ich wymienić z nazwiska, ale oni się wstydzą i nie chcą, — poeta więc wstyd ich jako skromność tłómaczy.*

Ocena i znaczenie. Satyry powstawały w różnym czasie, przeważnie jednak po rozbiorze kraju, stąd częste w nich wzmianki o zdradzie, zdrajcach i niedoli. Typy się powtarzają, co właśnie wypłynęło stąd, że pisał poeta satyry różnymi czasy. Nie są te typy zresztą specyficznie polskie, ale należą wogóle do czasu tj. do 18. wieku. Poszczególne rysy i charaktery przypominają: Boileau'a, Pope'a i Ariosta. To też godzi się zauważyć, że w wyśmiewaniu wad i zdrożności nie jest Krasicki ściśle narodowym poetą — i owszem podstawę dają mu ogólnoludzkie przymioty człowieka. Charakterystycznem jest to, że Krasicki, który w *Monachomachii* był zwolennikiem postępu, tu niejednokrotnie gani naukę nową, a chwali stary obyczaj. Wogóle moralny obraz społeczeństwa w satyrach przedstawia się nader ujemnie. Co do swej formy należą one do najlepszych nie tylko w polskiej, ale i europejskiej literaturze. Krasicki nie płonie oburzeniem, gdy wyśmiewa wady, nie unosi się namiętnym gniewem, nie prawi morałów, jeno szydzi i ironizuje. Jego ton humorystyczny jest mieszaniną

komiki i wzniosłości. Humor, ironia, sarkazm i dowcip — to składowe części środka, za pomocą którego działa poeta, a trzeba przyznać, że to nader trafne, bo ludzie niczego tak się nie lękają, jak śmieszności. Nadto poeta nie mówi najczęściej wprost o wadach, ale wprowadza szereg sylwetek, uosabiających te zdrożności, używa dyalogu, kreśli rodzajowe obrazki, co sprawia, że satyra jego posiada niezwykłą lekkość i czyta się. jak powiastka lub humoreska. Język przytem bywa barwny, dowcipny, cięty, poetyczny i czysty, wiersz gładki i wytworny. Mnóstwo zwrotów utarło się ze satyr w języku i stało się przysłowiowymi, co jest najlepszym dowodem ich niespożytej siły. Takie wyrażenia, jak „hrabia na żołędzi“, „lepszy szeląg z intraty, chociaż jest miedziany, niż pieniądz złoto stemplny ale pozłacany“, drzemał Homer niekiedy, my nie drzemiem, lecz spimy, „po rozum za granicę jeździć“ i t. p. stały się niemal przysłowiami. Weźmy na przykład dwie satyry, można powiedzieć, najlepsze w zbiorze: Żonę modną i Pijaństwo. (I. cz. 6 i 8 sat.) Obie mają kształt dyalogu. W pierwszej opowiada przyjacielowi swemu pan Piotr o swojem małżeństwie i pożyciu ze żoną. Niepospolicie ożywione to opowiadanie kolejno przedstawia intercyzę przedślubną, w której klauzula osobna zastrzega możliwość rozwodu, potem wyjazd angielską karetą na resorach do majątku — a z jej-

mości i jadą: suczka faworyta, skrzynki, skrzyneczki, woreczki i paczki, pudło kornetów, kosz na fanty, kanarek w klatce, sroka, jedzenie w garnuszku dla ptaków, kotka z kociętami i mysz. Dalej idą opisy odmian w domu rodzinnym, sprowadzanie stangretów, kucharzy, pasztetników, podział i przerobienie dawnych komnat na gabinety: osobny od spania, od strojów, od książek, od muzyki, od zabaw prywatnych — osobne dla panien pokojowych i dla sług. Następnie przekształca się ogród; muszą być w nim gaiki z cyprysów, strumienie, mruczące po kamykach, tu kijoks, tu meczecik, baseny, domek pustelnika, świątyńka grecka, belwederek. —

A tu słowik miłośnie szczebioce do ucha,
Synogarlica jęczy, a gołąbek grucha,
A ja sobie rozmyślam pomiędzy cyprysy
Nad nieszczęściem Pameli albo He'oizy.

W takim tonie na poły sentymentalnym i słodkawym, na poły humorystycznym napisana cała satyra. Oczywiście poeta za model nie wziął jakiejś jednej, znanej kobiety, jeno dostrzegł rysów drobnych u przeróżnych osobników i skupił je wszystkie na tym jednym okazie: a zatem i intercyzę zabawną, i podróże z masą pakunków, i cudactwa w urządzeniu mieszkań, i zaopatrywanie się w modną zagraniczną służbę, i upodobanie w drobnych pokoikach dla różnych specyalnych celów przeznaczonych i urządzenia ogrodów

na ład francuski — słowem całe rządy ówczesnych modnych kobiet. Przytem ani razu nie wyszedł poeta ze swego tonu satyrycznego, ani razu nie umieścił swojej uwagi o takiej żonie. Jestto wzorowa pod względem przedmiotowości, układu doskonałego, stylu ciętego i dosadnego, ironii subtelnej i delikatnej, akcyi żywej — satyra. Nie dziw, że spółcześni cenili ją, jako arcydzieło. „Tyle w niej było rysów ówczesnych, iż była jedną z najpowszechniej cenionych i rozrywano ją, gdy się ukazała.“ Cokolwiek odmienną od Żony modnej w swej fakturze jest satyra „Pijaństwo“. Maluje w niej nałogowego pijaka, który przyjacielowi skarży się na srogi ból głowy i opowiada, jak go nabył. Imieniny żony; jejmość była rada, wina dosyć — więc nie źle się piło — do świtu. Budzi się w południe — głowa cięży jak ołów. Jejmość radzi herbatę, ale to mdlący napój. Przechodził koło apteczki — wtem zaleciał go anyżek. Napił się trochę, potem więcej. Wówczas przyszło dwóch kompanów wczorajszych. Jakże nie pić? Więc pili umiarkowanie, ale polityka tak ich roznamiętniła, że nie bacząc na liczbę — pochłonęli dziesięć butelek. Następują refleksye na temat, jak zgubne jest pijaństwo nałogowe. Pijak godzi się na to, że zgubne przyznaje słuszność, potwierdza, kruszy się. Rozchodzą się i żegnają. „Bądź zdrów“ — mówi jego towarzysz. „Gdzie idziesz?“ „Napiję się wódki“ —

odpowiada nałogowiec. Niby to poważnie, niby seryo, nawet z patosem i uroczyście płynie tok satyry — ale ten ostatni zwrot do nałogu nadaje jej cechę wysoce i fatalnie komiczną. W ogóle satyry Krasickiego z małymi wyjątkami należą do zakresu poezyi epicznej nie lirycznej. Takich ustępów, jak w satyrze *Świat zepsuty*, pełnej namiętnego uniesienia i gniewu na wady i występki — bardzo mało. Nie są to suche kazania, nie są paszkwile na osobistości pisane, któreby straciły wartość wraz ze śmiercią zaczepionych; ale są to szkice ułomności i przywar, szkice nakreślone lekko, z miłością pewną dla osób niemi oszpeconych, z pobłażaniem dla wszystkich wyszydzonych grzeszników. W szkicach tych wszędzie jest dowcip nie gryzący, nie szarpiący wnętrzności, ale dowcip spokojny i łagodny, który pozwala się uśmiechać nawet temu, który czuje jego dotknięcie i do pewnego stopnia słuszność zarzutu uznaje.“ [1])

Wojna Chocimska. T r e ś ć. *Osman gotuje się na wyprawę do Europy, bo duch Mahometa tak mu każe a rada zaleca. Gromadzi wielką siłę zbrojną z całego Wschodu W Polsce szerzy się postrach. Zygmunt po naradzie z senatem daje buławę Chodkiewiczowi. Ten bierze ślub z Anną Ostrożanką, kiedy posłowie przynoszą mu wezwanie do wojny. Obejmuje dowództwo i spieszy pod Kamieniec. Bóg lituje się nad Polską i posyła druha, który*

1) Chmielowski. Studya i szkice z dziejów lit. polsk. Kraków 1900 t. I. str. 321.

wlewa męstwo w serca wojowników. Wojska przechodzą Dniestr. Lubomirski oddaje buławę Żółkiewskiego Chodkiewiczowi. Ukazują się niezliczone rzesze Turków. Chodkiewicz wygłasza mowę i uderzu na wroga. Nadbiega wieść o przybyciu królewicza Władysława. Sobieski z Żórawińskim wysłani naprzeciw Władysława, trafiają do domku pustelnika, który im wróży pomyślność. W obozie walka wre znowu: Karakas pobity, Zawisza ginie a mści go Wejer. Czarodziej Omar czyni zaklęcia i zdobywa pomoc szatanów. Chodkiewicz czuwa i obchodzi posterunki. Wreszcie usypia i widzi we śnie — przeniesiony do nieba — nieład świata i marność zabiegów ludzkich. Omar jeszcze raz staje do boju, lecz pogromiony — ucieka. Wojsko tureckie domaga się pokoju i prosi oń. Staje układ, a Polacy dziękują Bogu za zwycięstwo.

Ocena. Porównanie z wojną Chocimską Potockiego. Poemat Krasickiego, oktawą pisany w 12. pieśniach, wyszedł u Grölla w Warszawie w 1780. Miało to być epos bahaterskie. Być może, że Krasicki napisał je na wezwanie króla zwłaszcza, że po jej wydaniu król kazał wybić medal na cześć poety z napisem: *musa vetat mori.* Być może, że dostarczył mu pomysłu Naruszewicz, który wówczas pisał życie tego bohatera. Nawet i to być może, że Krasicki nie czuł się zdolnym do stworzenia epopei i pisał bez zapału. [1]) To pewna, że poemat się nie udał. Pisany w stylu szumnym na wzór Henryady

1) Domyśla się tego Kraszewski w książce o Krasickim str. 199.

Woltera, po części pod wpływem wspomnien o poematach epicznych włoskich z XVI. wieku, nie odtwarza przeszłości w kształtach i szczegółach realnych, nie ma spokoju epicznego, a tembardziej naiwności. Blade postaci bohaterów przesuwają się przed okiem czytelnika osłonięte gazą mgły, opromienione sztuczną aureolą wielkości, która zgoła nie wypływa z ich czynów. Życia narodowego ani śladu; przyrodę zgoła pominięto. Żywioł nadzmysłowy w dość gruby sposób odmalowany w postaciach pustelnika i czarodzieja, którzy w sojuszu z aniołami lub szatanami kierują ludzkim losem. Romans sędziwego Chodkiewicza z młodą oblubienicą Anną z Ostroga powleczony barwami czułostkowości sielankowej z 18. wieku. Wiersz wogóle gładki, ale w szczegółowem obrobieniu słabych lub niefortunnych wyrażeń sporo. Całe stronice zajęte abstrakcyjnem rozumowaniem i moralizującymi wywodami. W porównaniu do Wojny Chocimskiej Potockiego poemat jeszcze bardziej traci na swej wartości. U Krasickiego Osman przedstawia się, jako dzielny, potężny, wspaniały; Potocki nie tai swej ku niemu nienawiści i charakteryzuje go, jako despotę rozjadłego, dzikiego i okrutnego, który za nic ma sobie zabić człowieka. Wizerunek drugi zgodniejszy z prawdą, o czem świadczy i Birkowski w swem kazaniu pt. Nagrobek Osmanowi. Otoczenie Osmana także w obu poematach odmienne. Potocki wprowadza

Skindera i Husseina, jako umiarkowanych, którzy dają się łatwiej nakłonić ku pokojowi; u Krasickiego obaj oni pochlebnie odmalowani — ale właśnie do boju zachęcają i pragną wojny. Chodkiewicz u Potockiego jest pobożny, dzielny i doświadczony. Krasicki psuje postać czułostkową sceną w domu bohatera, a później snem jego — rozwlekle opowiedzianym i cudownością nasiąkniętym. U Potockiego z wielką siłą, energią, wyrazistością odmalowane walki z mnóstwem wiarygodnych szczegółów i epizodów w chronologicznym porządku i wcale ściśle a barwnie; Krasicki tylko szkicuje. Potocki w istocie kreśli walkę garści mężnych przeciwko niezliczonym tłumom; Krasicki różnicy tej prawie nie zaznacza. Cała sława zwycięstwa przypisana Bogu i mocom nadprzyrodzonym. Słowem — Potockiego wojna może być nazwana rapsodem rycerskim, Krasickiego zaś poemat chybiony całkowicie. Współcześni, których poeta nasz był ulubieńcem, mimo najwyższej chęci podziwiania epopei, nie mogli jej polubić. Wszystko, co można na jej pochwałę powiedzieć przytacza Dmochowski. „Ci, którzy z pogardą o tem dziele mówią, nie znają, że i upadek w wielkim zamiarze nie jest bez chwały. Jeżeli Wojna Chocimska nie jest dobrą epopeją, jest zawsze dziełem szacownem. Nie samą Eneidę, ale i Farsalię czytamy. Znajdują się w niej miejsca przedziwne, obrazy wielkie, uczucia wy-

sokie. Taki jest opis wojny, sejmu, śmierć Zawiszy, apostrofa do wolności, mowa Chodkiewicza. Wyraz zaś o pysze Osmana, nadętego widokiem wojsk nieprzeliczonych:

„A dumny mocą swego majestatu
Wzniósł się nad człeka i pogroził światu"

godzien jest być umieszczony w liczbie tych, które Longin za przykład najwyższego wygórowania wystawia." [1]) Choćbyśmy nawet bez zastrzeżeń zgodzili się na wszystko powyższe, to i tak nie uratowałaby się *Wojna* Krasickiego od zarzutu, że jako poemat epiczny zawiodła stanowczo. —

Bajki. Wyszły w r. 1780 — w czterech częściach, razem sto sześć bajek. Później wydał Krasicki Bajki nowe, również w czterech częściach, a tych jest siemdziesiąt. Na wstępie znajduje się dedykacya *Do dzieci*, ale i do tych, którzy potrzebują nauki, bo się ubiegają za niecnemi fraszkami lub baśniami łudzą współbraci. Pośród bajek najlepsze są następujące — porządkiem części.

1. **Potok i rzeka.** *Wartki górzysty potok drwił z leniwo płynącej rzeki. Stopniały śniegi, a wówczas potok zamienił się w strumyk, wpadł w rzekę i zniknął.* —

2. **Kulawy i ślepy.** *Wiódł ślepy kulawego. Zniechęcony jego uwagami przełożył pomoc kija. Po-*

1) Mowa na obchód pamiątki I. K. w r. 1801.

mimo wołania kulawego raz uderzył głową o drzewo, to znów wpadł w wodę, wreszcie obaj zginęli w dole. —

3. **Strzelec i pies.** *Wyżeł uciekł od strzelca i przystał do wilka. Co zdobył, zjadł wilk. Wtedy wrócił do pana, który bił, ale karmił.* —

4. **Stary pies i stary sługa.** *Póki łowił pies zające i kaczki, póty go żywiono; gdy się zestarzał, oddano go do bydła, a żywił go stary szafarz, niegdyś podstarości.*

5. **Rybka mała i szczupak.** *Rybka żałowała, że nie mogła połknąć robaka. Szczupak nadpłynął, połknął robaka, ale z nim haczyk. Wówczas rybka pojęła, że dobrze być czasem i małą.*

6. **Talar i czerwony złoty.** *Duży talar gardził małym czerwonym złotym. Przy zmianie za mały złoty pieniądz dano dwa talary.*

7. **Dwa psy.** *Kurta na powrozie dziwił się, dla czego on marznie a tłusty mops używa wygód. Mops mu to wytłómaczył: ty służysz, ja bawię.*

8. **Człowiek i zdrowie.** *Zdrowie i człowiek szli razem. Człowiek biegł, zdrowie mu radziło iść razem zwolna, a gdy nie słuchał, szło za nim. Wreszcie człowiek nie mógł już wcale iść — a zdrowie uciekło.*

9. **Dziecię i ojciec.** *Ojciec bił leniwe dziecie rózgą. Gdy ją dziecię ze złości spaliło, ojciec obił je kijem.*

10. **Dąb i małe drzewka.** *Małe drzewka, rosnące w cieniu wyniosłego dębu, żałowały, że nie mogły mu wyrównać, a gdy go ścinano, cieszyły się niewdzięczne: dąb runął i pogniótł konarami drzewka.*

11. **Pan i pies.** *Pies szczekał w nocy na złodzieja: obili go, że pana obudził; nazajutrz nie szczekał— i znów go obili, bo złodziej okradł pana.*

12. **Mądry i głupi.** *Głupi gadał, mądry milczał. Gdy nakoniec głupi, zmęczony gadaniem, umilkł, mądry rzekł: „Wiesz, dla czego dzwon głośny? — bo wewnątrz jest próżny."*

13. **Słowik i szczygieł.** *Szczygieł ganił słowika, że krótko śpiewa. Na to słowik: „Lepiej krótko a dobrze, niż długo a miernie."*

14. **Jagnię i wilcy.** *Dwa wilki spotkały w lesie jagnię i chciały pożreć, a gdy spytało: „jakiem prawem" — odrzekły: „smaczneś, słabeś i w lesie"...*

15. **Żółw i mysz.** *Mysz żałowała żółwia, że siedział w skorupie. Żółw odpowiedział, że lepszy domek szczupły, ale własny, niż cudze pałace.*

16. **Mądry i głupi.** *Pytał głupi mądrego, na co rozum zda się? Na to — odpowiedział mądry, aby nie odpowiadać na głupie pytania.*

17. **Skąpy.** *Stracił talara i chciał się obwiesić. Żałując na kupienie powroza, ukradł go. W więzieniu, skazany na powieszenie, cieszył się, że go powieszą bez kosztu.*

Pośród *Bajek nowych* najlepsze porządkiem części są następne.

1. **Chmiel.** *Niemiło mu było, że musiał się wspierać, postanowił tedy sunąć się ziemią. Pożółkł i sechł wskutek tego. Ratując się, jął się chwastu — i zginął.*

2. **Ziemia i potok.** *Wezbrany potok — pieniąc się zalał i użyźnił pola. Kiedy opadły wody, mru-*

czał na ziemię, że go nie żałowała. Ziemia odrzekła, że nie winna mu wdzięczności, bo wspomógł ją z cudzą szkodą, rwąc brzegi.

3. **Małpy.** *Samochwał małpa zwiedziła podstrzesze ludzkie i dziwy opowiadała o swej wyprawie. Inne małpy poszły pod strzechę, gdzie je człowiek wyłapał. Jedna uciekła i wołała odtąd swą gałąź.*

4. **Wilczki.** *Trzy wilczki poklóciły się o piękność swej skóry. Przyszła matka i zganiła je: gdy będą się o drobiazgi wadziły, strzelec je „pozwie a kuśnierz osądzi."*

5. **Dzieci i żaby.** *Dzieci koło jeziora zabijały kamieniami żaby. Jedna z nich rzekła; „Źle się bawicie, dla was to jest igraszką, nam chodzi o życie."*

6. **Lew chory.** *Ryczał z choroby lew; mnóstwo zjawiło się doktorów. Niedźwiedź radził post — i zginął. Lis radził dobrze podjeść. Lew też zjadł niedźwiedzia i ozdrowiał — a tak lis chorego uleczył doktorem.*

7. **Przyjaciele.** *Wszyscy lubili młodego zajączka. Raz o świtaniu wyszedł i spotkał polowanie — więc w nogi. Spotkał konia i prosił o ratunek; koń nie uratował, lecz odesłał do wołu; wół również odesłał do kozła, ten do owcy, owca do cielęcia. A gdy i cielę uciekło zamiast ratować, „wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły.*

8. **Czapla, ryby i rak.** *Stara czapla nie mogła już łowić ryb, nastraszyła je więc rybakami, którzy mają spuścić staw i wyłowić ryby. Te prosiły czaplę, aby je przeniosła do sąsiedniego stawu.*

Czapla więc brała ryby w dziób i zjadała. Kiedy przyszła kolej na raka — zadusił czaplę. „Tak zdrajcom bywa."

9. **Wóz z sianem.** *Konie ciągnęły wóz z sianem i aby sobie ulżyć, wywróciły go w wodę. Nie tylko potem ciągnęły cięższy wóz, ale pracowały trzy dni o głodzie, nim siano wyschło.*

10. **Gęsi.** *Postanowiły one wrzaskiem wypędzić lisy z lasu, jak niegdyś ocaliły Rzym. Zbudziły więc w nocy w lesie lisy — a te je zagryzły.*

11. **Wino szampańskie.** *Wino mruczało, że je czopek dusi. Wysadziło go, ale wówczas połowa wina wyleciała i zginęła, a połowa zamieniła się w ocet.*

12. **Wilczek,** *chowany wśród wygód, przywykł do mleka i masła. Raz niechcący zjadł kurczę, potem poszła kura, aż uciekł do lasu i gryzł owce. Złapano go i zginął.*

Ocena i znaczenie. Bajki różnią się od Bajek nowych tem, że pierwsze mają charakter więcej kosmopolityczny, drugie są więcej narodowe. Daleko częściej spotyka się alluzye do stosunków polskich w Bajkach nowych. Dla pierwszych przyświecał Krasickiemu wzór bajkopisarzy starożytnych; w drugich szedł śladami francuskich poetów, zwłaszcza La Fontaine'a. Wszystkie atoli posiadają cechy wzorowych bajek, są podobnie jak Satyry arcydziełami. Bajka jest z natury swej właściwie porównaniem. Jakkolwiek w każdej prawie bajce przedstawia się jakieś zdarzenie

z życia zwierząt, roślin lub z zakresu świata martwego, to jednak nie chodzi ani o życie zwierząt ani roślin ani o ten świat martwy. Chodzi natomiast o zjawiska umysłowego życia ludzi. Istotne zatem, najcharakterystyczniejsze znamiona, wzięte od osobników innego świata porównuje się i przenosi na odpowiednie znamiona duchowego życia ludzi. Z tej właściwości bajki wypływają potrzeby jej formy. Zależy wiele na tem, aby zużytkować znamiona istotne danego zwierzęcia lub przedmiotu, a więc: zając płochliwy, rak powolny, lew silny, osioł leniwy, lis chytry, chmiel pnący się, potok szumiący i t. d. Zależy dalej na tem, aby to istotne zjawisko fizycznego życia znalazło swój odnośnik w duchowem życiu ludzi. Tylko wówczas bowiem związek okaże się jasny i łatwo domyślny. Już w istocie swej — jako takie porównanie — dość skomplikowana, bajka nie da się obciążyć jeszcze pięknemi ozdobami formy. Nie miewa też ona misternej budowy zwrotkowej, sztucznych średniówek, niezwykłych rymów; obrazowanie języka nie bywa zazwyczaj bogate i wykwintne, jak np. w liryce. I owszem — nie miewa wcale zwrotek ani nawet jednostajnej długości wierszy — język prosty i jasny nie utrudnia zrozumienia natychmiastowego allegoryi. Jedyną okrasą bajki bywa dramatyczność powiastki i dosadność wyrażeń. Otóż *Bajki* Krasickiego — jak powiedziałem — są

arcydziełami. Wszystkie zawierają przejrzystą i w lot zrozumiałą allegoryę, a to tak przejrzystą i tak zrozumiałą, że poeta prawie nigdy nie dodaje od siebie morału czy wytłómaczenia; jeżeli zaś i dodaje, to wyraża je w jednem, najwyżej w dwu zwięzłych zdaniach. Ta właśnie zwięzłość *Bajek* wprost jest zadziwiającą. W czterech wierszach potrafi Krasicki zawiązać jakąś intrygę, przeprowadzić ją, rozwikłać, nakreślić katastrofę — słowem z niesłychaną zręcznością i precyzyą odmalować całe zdarzenie w tak trafnych, prostych liniach, że nie wiedzieć, czemu się dziwić, czy ożywieniu akcyi, czy niezrównanemu stylowi, czy zręcznemu wyborowi przedmiotu, czy nadzwyczaj zrozumiałej allegoryi. *Bajki nowe* są dłuższe, we wierszu swym bardziej urozmaicone, posiadają może więcej jeszcze ruchu i akcyi, nie tracąc lekkości i jasności stylu. Tak jak w Myszeidzie i Satyrach, tak i w Bajkach obok żywiołu satyrycznego i nauki, pragnął Krasicki społeczeństwu dać arcydzieła prostoty i jasności stylu według najlepszych wzorów. Mają one nadto swoje wybitne pedagogiczne znaczenie. Całe pokolenia uczyły się czytać na bajkach Krasickiego, dla małych dzieci są one dostępne i zrozumiałe; we wszystkich podręcznikach dziecinnych i szkolnych z upodobaniem czytywane i memorowane. Spółcześni cenili je, jak na to zasługują, a można bez przesady powiedzieć, że żadna inna książka

polska nie miała i nie ma tylu wdzięcznych czytelników i małych wielbicieli, co Bajki. Zapewne liczne bajki zawierały alluzye do spółczesnych wypadków. Niekiedy są one dość wyraźne, np. Trzcina i chmiel, Chleb i szabla, Konie i furman, Wilk i owce, Lew, jagnię i wilk, Nocni stróże, Kulawy i ślepy, Zajączek i tp. Rozumieli je lepiej przodkowie nasi. Dziś alluzye się zatarły, ale bajki nie straciły pomimo tego ogólno-ludzkiej swej wartości i nie stracą jej, dopóki słowo polskie na ziemi naszej odzywać się będzie. —

Oprócz powyższych dzieł poetycznych wyszły w tym pierwszym okresie prozą dwa utwory: *Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki i Pan Podstoli.*

Przypadki Mikołaja Doświadczyńskiego. Treść. *Bogaty szlachcic wychowuje się na wsi zrazu pod kierunkiem rodziców, ludzi starej daty, u których nie tylko wieś, ale sposoby mówienia i myślenia były dziedziczne. Raz przyjechał do nich wuj i po naradzie postanowiono wyrostka oddać do szkół pod dozorem najętego dyrektora. Ojciec poufnie nakazał dyrektorowi bić syna, matka poufnie zagroziła, iż jeśli sie tknie dziecięcia — i służbę straci i skórą odpowie. Dyrektor więc pieścił, „gdzie nie było potrzeba, bił, kiedy nie należało.“ Po takiej edukacyi, gdy ojciec chłopca umarł, wrócił Mikołaj ze szkoły do domu. Dla dokończenia wychowania wzięła matka francuskiego nauczyciela Damona, który lubo w Polsce sługiwał jako kamerdyner, przyznawał się po cichu, że jest markizem wypędzonym z oj-*

czyzny. Ten nie lubił gramatyki: „reguły umysł zacieśniają. Cóż jest gramatyka, jeżeli nie zbiór reguł? Nauka kawalerska zawisła na konwersacyi i nabieraniu sentymentów.“ Nabierał tedy Mikołaj odtąd sentymentów, zaprawiając się w czytaniu książek „miłosnomoralnych.“ Wyjechali potem obaj do Warszawy. Tam gra w karty, awantury miłosne sprawiły tyle, że — po śmierci matki — postanowił Doświadczyński zastawić na kontraktach lwowskich parę wsi dziedzicznych i wyjechać za granicę. Wypadło mu jednak przedtem być w Lublinie dla poparcia sprawy, gdyż wypędził z wioski pewnego szlachcica, do którego majątku rodzina oddawna rościła pretensye. Trybunał miał sprawę rozsądzić. Doświadczyński zjechał tam z pożyczonemi pieniędzmi, obdarowywał deputatów, poił ich, raczył i przekupstwem oraz sfałszowaniem starych dokumentów wyjednał tyle, że na razie sprawę wygrał. Wtedy bez przeszkody przez Kraków, Wiedeń, Strasburg, podążył do Paryża. W tem mieście stracił resztę pieniędzy i musiał ratować się ucieczką, aby się nie znaleźć w więzieniu za długi. Wsiadł więc na okręt i umknął. Okręt się jednak rozbił, a Doświadczyński dostał się na odludną wyspę Nipu, gdzie mieszkali Nipuani. *Osada miała stu dwudziestu gospodarzów o wzroście miernym, cerze zdrowej. Kalek albo zbyt chudych lub otyłych nie było. Społeczeństwo to było idealnem: nie miało w swym języku słów na określenie kłamstwa, kradzieży, zdrady pochlebstwa, terminów prawnych, nie miało dworaków, jurystów ani doktorów. Jako główne zasady społeczne uważało miłość i zgodę, całe wychowanie dążyło do wykorzenienia własnych złych skłonności. Xaoo, u którego Doświadczyński został sługą — udziela mu licznych wskazówek, mających zmierzać do udowodnienia*

wad cywilizacyi europejskiej. Nie znają zgoła Nipuani władz politycznych ani form rządu, nie płacą podatków. Jeżeli się zdarzy, że który z nich (jak np. Laougo) zwiedzi obce kraje i chce cywilizować własny, to go kamienują. Nie znają też monety ani kruszców, nie jedzą mięsa zwierząt. Każdy pierwszy dzień nowego miesiąca święcą. Już się Doświadczyński zżył z nową ziemią i ludźmi, kiedy razu pewnego okręt rozbił się u brzegów wyspy, a nasz bohater znalazł na nim łódkę, żywność, wodę i pieniądze. Wybrawszy tedy dogodny moment, umknął. Tułał się długo, przechodził różne koleje, doświadczał rozmaitych przygód, zwiedził części świata, nawet kraje europejskie, zanim wrócił znowu do Polski. Po powrocie odzyskał utracony majątek, ożenił się i żył szczęśliwie.

Ocena. Na powstanie tego utworu wpłynął niewątpliwie po części Rousseau, po części Voltaire. Filozoficzne romanse Woltera posiadają ten sam podkład satyryczny, te same sposoby oceniania krytycznego wad społecznych, widzianych w perspektywie przelotnej podróżnika, nawet te same drobniejsze szczegóły. Od Rousseau'a przejął Krasicki ideę wzorowege społeczaństwa na łonie natury. Zapatrzony w ten ideał, pragnął scharakteryzować braki 18. wieku i naszego narodu, a mianowicie wady wychowania, sądownictwa, obyczajów, zamiłowanie obczyzny. Wychowaniu zarzuca tradycyjność, nierozsądne środki pedagogiczne, budzenie czułostkowości. Sądownictwu, które poznał, gdy był prezydentem trybunału małopolskiego, zarzuca intrygi, przekupstwa, nie-

uctwo i rozpojenie. Obyczaje nicuje tak, jak to najlepiej uskutecznił w Satyrach. Psychologicznie wziąwszy — idealny ustrój Nipuanów nie da się zgoła wyobrazić. Duch ludzki ciągle dąży ku czemuś wyższemu, a skamieniały konserwatyzm, ujęty w niezmienne formy najprostszego kalibru — byłby czemś zgoła nieludzkiem i wprost potwornem. Słusznie mniema Spasowicz, że Doświadczyński po za częścią, kreślącą satyrycznie nasze stosunki, pozostanie czczą i jałową fantazyą. Ale część ta — stosunkowo najznaczniejsza w powieści — obfituje w masę obrazków, dowcipnie i trafnie malowanych. Sama akcya rozwija się dość szybko, zmienia się, ubarwiona coraz to nowymi epizodami. Najsilniej narysowany przebieg sprawy w trybunale i wszystkie kruczki, które posiłkowały Doświadczyńskiego w sprawie. Ale nie bez ostrej satyry opisuje on swe wychowanie, podróż zagraniczną, sejmikowe i sejmowe obroty. Nie ulega wątpliwości, że gdybyśmy tylko tym częściom powieści przyznali racyę bytu, to w produkcyi Krasickiego, nawet na tle analogicznej literatury swego czasu, powieść miałaby swe niebyle jakie znaczenie. „Rzecz dziwna, że ta właśnie część, która nam dziś najuboższą się wydaje, najmniej szczęśliwie pomyślaną, cała historya przygód i życia na wyspie Nipu, swojego czasu czyniła najsilniejsze wrażenie.“ „Dla nas, cośmy już stokroć kunsztowniej

zbudowanych i przystrojonych powieści przerzucili seciny, Doświadczyński ze swą przestarzałą formą wolterowską, z dowcipem, ironią, filozofią i osnową naiwną, wydać się może dosyć nudnym, ale w 18. wieku obok Podolanki i Rzepichy — był arcydziełem. Tendencya jego odpowiadała dążeniom czasu: była w nim surowa krytyka przeszłości, ideał niedościgniony, wiele ironii i satyry, mnóstwo z życia pochwyconych rysów, a wszystko opowiedziane z wdziękiem, z delikatnością arystokratyczną, stylem płynnym, językiem czystym. Powodzenie musiało być nadzwyczajne. Po Banaluce i Argenidzie, po Leonildzie i Koloandrze nie trudno zmierzyć postęp ogromny.“ — [1])

Pan Podstoli. Treść. *Autor przybywa raz w podróży do wsi, wzorowo zagospodarowanej i porządnej. Podczas przechadzki spotyka człowieka w białym żupanie: miał pas rzemienny, na głowie obszerny kapelusz ze słomy, w ręku kij prosty; twarz poważną, rumieniec czerstwy, wąs siwy. Był to Podstoli, właściciel wioski. Zaprosił on autora do dworu, ugościł i nie puścił od siebie przez czas dłuższy. Nazajutrz w czasie wycieczki w pole przekonał się autor, że gospodarstwo rolne było wzorowe, we wsi szkoła publiczna, chałupy wiejskie przez Podstolego budowane wedle jednego wzoru i wymagań hygieny. We wszystkich tych kwestyach Podstoli wypowiada swoje poglądy — nader umiejętne i rozumne. Oglądają potem zabudowania gospodarskie, dom mieszkalny a w nim*

1) Kraszewski str. 135.

bibliotekę. Podstoli pokazuje i objaśnia zbiór dzieł z literatury polskiej i stwierdza dobrą jej znajomość, a zarazem tłómaczy sposób korzystania z dzieł i doskonalego czytania ich. W księdze drugiej przedstawia się gospodarz jako dobry opiekun swoich poddanych. Kiedy potem przybyli goście do Podstolego — Sędzia ziemski z rodziną — znalazł Podstoli sposobność wypowiedzieć niejedną trafną uwagę o modach, o wychowaniu młodzieży, o stosunkach sąsiedzkich i obywatelskich. Zwłaszcza trafnie oceniał kwestye wychowania kobiet. Zaleca w nich statek, skromność, cierpliwość, jednostajność umysłu, łagodnosc charakteru, uprzejmość serca. Źle czynią matki, które sądzą, że płeć delikatna, głos wdzięczny, taniec, strój, wiadomość muzyki największym są kobiety zaszczytem. „Nie strojeniem się żona męża uszczęśliwia, nie śpiewaniem matka dzieci hoduje, nie tańcem się dom rządzi.“ W dalszym ciągu idą z powodu zajęć i prac gospodarczych uwagi Podstolego o chowie bydła, pszczołach, rybach i polowaniu — wszystkie równie trafne i rozsądne. W księdze trzeciej Podstoli sprawia dożynki gromadzie swojej, załatwia, jako superarbiter, spór pomiędzy Podwojewodzim a Podczaszyną, przyjmuje wreszcie oświadczyny swego sąsiada o rękę córki i przy tej sposobności roztacza swe poglądy na swobodę wyboru dzieci w sprawach małżeńskich. Następuje obchód zaręczyn dwojga młodych.

Na tem kończy się część pierwsza. Autor z żalem opuszcza gościnny dom Podstolego, jedzie w dalszą podróż i wśród różnych przygód miewa niejednokrotnie sposobność poznać kontrasty, nie tak wzorowe, jak cały dom naszego bohatera. Wraca wreszcie do siebie, naśladuje we własnym domu urządzenia Podstolego. Zaproszony doń, udaje się znów na wesele Podstolanki. Kiedy już obrzęd we-

selny się spełnił i goście rozjechali a wrzawa ustała, rozpoczęły się dawne gawędy: o gościnności, o rozmowach w czasie słotnym, o żartach, o zakonach. Autor wkłada dość długą rozprawę o tych ostatnich w usta zakonnika O. Teodora, rozbierając wady i zalety, usterki, pożyteczność i potrzebę zakonów. „Niech bez względu na powierzchowność mamy szacunek, gdyśmy na niego zasłużyli — kończy O. Teodor — staniemy się naówczas coraz bardziej godniejszymi szacunku; niech wzgarda niesłuszna a uciążliwa nie gnębi nas, wzbije się młodzież nasza w lot dawnych poprzedników swoich, a wtenczas znajdzie w zakonach kraj oświecicielów i pozna, jak niesprawiedliwie sądził nieużytecznemi tych, których sam takimi uczynił.“

Idą dalej opisy dworów dawnych magnatów polskich, zwłaszcza dworu biskupa Maciejowskiego Samuela.

W księdze trzeciej opowiada autor o zajęciu się Podstoliny wsią i wieśniakami. Leczy ona we wsi lekkie choroby, udziela z apteczki swej zwyczajnych środków, użycza ludowi doraźnej pomocy, a w razie ciężkiego wypadku Podstoli posyła po lekarza dla swych poddanych. Następuje część trzecia powieści. Podstoli odwiedza autora w jego majątku. W powrocie Podstolego wstępuje on do paru innych majątków. Roztacza się poglądy na stan miasteczek w Polsce, na potrzebę rozwoju handlu i przemysłu, oraz rzemiosł. Idą potem uwagi o jedwabnictwie, o dziesięcinach i stosunku plebana do parafian, o stanie żołnierskim, wreszcie o kwestyi żydowskiej.—

Ocena. Znaczenie. Z trzech części Podstolego każda wyszła kiedyindziej. Pierwsza ukazała się w 1778, druga w sześć lat po pierwszej t. j.

w 1784 roku, trzecia w czternaście lat po drugiej tj. w 1798 roku. Miała być nadto i czwarta, ale napisać ją Krasickiemu śmierć przeszkodziła. Ażeby ocenić należycie to dzieło, trzeba przypomnieć, jakie to były czasy wówczas, kiedy się ono pisało. Rząd spoczywał w rękach Rady nieustającej. Po burzy z r. 1773 nastała chwila spokoju dla całego kraju. Naród zaczyna się gorliwie krzątać około podźwignięcia się z niedoli. Ten ruch dodatni znać na wszystkich polach. Delegacya — pod naciskiem opinii przeznaczyła dobra pojezuickie po zniesieniu tego zakonu przez papieża Klemensa IV. — na rzecz oświaty i oddała je w zarząd komisyi edukacyjnej, która pospiesznie przeprowadzała reformę wychowania we wszystkich szkołach, od najwyższych począwszy. Wojsko zyskało dobrych oficerów ze szkoły, zwanej korpusem kadetów a założonej przez króla. Dochody skarbu rosły. Powaga sądów powiększała się. Administracya kraju była lepszą, a miasteczka poczęły się dźwigać z upadku. Komisya górnicza zajęła się wyzyskaniem bogactw mineralnych kraju; zakładano fabryki i szkoły rękodzielnicze, kompanie handlowe ułatwiały ruch kupiecki i obrót kapitałów. Były to zatem lata żywego krzątania się około odrodzenia ekonomicznego kraju, lata postępu i poprawy w każdym kierunku. Otóż wyraz doskonały temu ruchowi społeczeństwa daje dzieło Krasickiego. Przede-

wszystkiem uznać trzeba, że jest ono nader wszechstronne i bogate w swej treści. Podane wyżej streszczenie wymienia zaledwie drobną cząstkę kwestyi, dotkniętych i rozpatrzonych w *Panu Podstolim*. Niektóre w tej masie sądy uprzedzają czas swój i są wysoce postępowe. Wiele kwestyi powtarza się kilkakrotnie, a wśród nich kwestya włościańska. W rozwiązywaniu kwestyi bywa Krasicki wogóle umiarkowany, trzyma się złotego środka, nie domaga się reform gwałtownych i obalających z gruntu ustrój dotychczasowy, usiłuje godzić sprzeczności, nic prawie nie potępia prócz zasady, naprawia, nie tworzy. W tej atoli włościańskiej sprawie na kilkanaście lat przed jej załatwieniem w Konstytucyi trzeciego maja — stoi Krasicki na stanowisku Sejmu czteroletniego. „Dajmy na to, że rodzaj chłopski — powiada — gruby, nieczuły, krnąbrny, pana nie lubi — i któż tym wszystkim przywarom winien? Źli panowie. Natura nie przywiązuje talentów do kondycyi. Znałem wiele dusz chłopskich w panach, wielu chłopów, którymby jaśnie wielmożnymi, jaśnie oświeconymi być przystało.“ Nalega na to, aby więcej było szkółek, aby dzieci chłopskie częściej i poufalej z dworem przestawały. Za jedną z przyczyn biedy włościan uważa pijaństwo. „Trzyma pan u siebie szynk karczemny albo go w arendę puszcza; żeby zaś jak najwięcej mógł zyskać, ledwo do

tego nie przychodzi, iż chłopom za pańszczyznę upijać się każe.“ Wódkę też radzi usuwać, piwo zaprowadzać. Utrzymanie dawnego stosunku poddaństwa uważa Krasicki wprost za „ruinę kraju.“ Nie śmie jeszcze co prawda mówić o oswobodzeniu włościan, ale zaznacza w jednem miejscu, że „w Szwecyi stan chłopski n a w e t równo z innymi sejmuje, radzi i prawa stanowi.“ Przeto też szlachta powinna się życzliwiej opiekować włościaństwem, kształcić je, a „gdy który z chłopców wiejskich nadzwyczajną ma bystrość, oddawać go do szkół wyższych.“ Trudno było śmielej mówić w czasie, kiedy zaledwie paru obywateli — jak Stanisław Poniatowski, Brzostowski lub Chreptowicz wprowadzali tak postępowe zasady w życie. Ogół trzymał się jeszcze rękami i nogami przywileju, że włościanin jest „glebae adscriptus.“

Bohaterem powieści jest ziemianin. Stan ziemiański miał w polsce zawsze największe znaczenie, jako w kraju rolniczym. Już w 16. wieku Mikołaj Rej w *Żywocie człowieka poczciwego* starał się dać wzór, wedle którego miał się obywatel — szlachcic kształtować Spółcześnie z Rejem przerobił i Łukasz Górnicki z włoskiego pierwowzoru swego *Dworzanina.* O ile szlachcic Reja był domorosłym obywatelem, o tyle dworzanin Górnickiego bardzo wykształconym, wykwintnie wychowanym i ułożonym dworakiem. Krasicki w *Panu Podstolim* kojarzy wszystkie

wymagania. Oświecony i rozumny, oszczędny w miarę, nieskąpy a nawet hojny, gdy zachodzi potrzeba, w stosunku do żony, dzieci, poddanych, sąsiadów zawsze ten sam — zawsze uprzejmy, miły, zawsze światły, rozsądny, — wie przytem dobrze, że szczęście jednostki określa się szczęściem, dobrobytem, spokojem i zadowoleniem otoczenia. W każdej sytuacyi i w każdej przygodzie okazuje on tę wyższość świadomej siebie siły i rozsądku, która umie wynaleźć odpowiednią i najtrafniejszą drogę wyjścia. To też i rodzina jego godnie odpowiada wysokiej wartości głowy domu.

Co się tyczy formy — dwie strony można w Panu Podstolim rozróżnić. Obok częstych wywodów, rozmyślań, uwag, opowiadań Podstolego urozmaicają tok powieści zręcznie kreślone obrazki rodzajowe o ludziach spółczesnych, domach, ogrodach, zwyczajach, obyczajach. Są one kreślone z takim olbrzymim zasobem spostrzegawczości, tak zręcznie, dowcipnie i drobiazgowo, że o ile w rozumowanych wywodach poznajemy sposób myślenia, zasady i przekonania wzorowego obywatela 18. wieku, o tyle w obrazkach tych nader wszechstronnie odzwierciedla się ówczesne życie w tysiącznych objawach. Przytem *Pan Podstoli* pisany jest stylem jasnym, zajmującym, lśni się językiem czystym i przypomina w tym względzie najlepsze dzieła XVI. wieku. „Jest to — mówi Kraszewski — zarazem dokument historyczny

i artystyczne ustępy w nim z talentem wykonane. *Podstoli* pobudzał do myślenia, do rozprawiania, zastanawiania się nad kwestyami, na które wprzód nie chciano lub nie umiano zwrócić baczności. Po dworach każdy ustęp wywoływał żwawe dyskusye, a zdrowy sąd autora trafiał do przekonań i reformom torował drogę. Księga to była nieoszacowana i przyjęto też ją, jak niemal wszystkie pisma Krasickiego z nadzwyczajnem zajęciem.“ W swoim czasie — jak stwierdzają bliżsi świadkowie — *Pan Podstoli* był w rękach wszystkich obywateli a w najdalszym zakątku ziemianin wertował tę książkę i uczył się, jak być rządnym, dobrym sąsiadem i obywatelem. I dziś jeszcze, choć stosunki się odmieniły, nie straciło dzieło zupełnie swej aktualności, bo i dziś w społeczeństwie naszem stan ziemiański jest piastunem tradycyi narodowej. Artystyczne zaś kreacye *Pana Podstolego* — owi Sędziowie, Skarbnicy, Plebani i t. p. pozostaną zawsze żywe i pełne barwy. —

III.

Lata te, pełne pracy i zabiegów około coraz nowych dzieł, spędził Krasicki głównie w stolicy swej biskupiej w Heilsbergu. Było tam obszerne zamczysko, odrestaurowane jeszcze staraniem ks.

biskupa Grabowskiego — i w niem się nasz poeta urządzał z licznym swym dworem. Sam zostawił opis rezydencyi.

Między dwoma rzekami, płynącemi blizko,
Wznosi się staroświeckie obszerne zamczysko,
Długim wieków przeciągiem te wspaniałe gmachy
Dziwią oczy patrzących wyniosłymi dachy.
Co niegdyś budowali Goty i i Krzyżaki,
Tu jeszcze tego ślady i ogromne znaki.
Baszt, wież, ganków i sklepień ponura wspaniałość
Umieszcza z gruntownością dawną okazałość.

Obok starego zamczyska był zamek nowy wygodniejszy. Mieścił on długie na ośmdziesiąt kilka kroków galerye dla przechadzki, zimowy ogród, oranżerye i cieplarnie, salę portretową, jadalnie, kaplicę domową i mnogie gabinety. Książę biskup miłował sztukę. To też pokoje były ozdobione malowaniami i rycinami. Marmurów nie było dużo, ale w ogrodzie stały liczne posągi. Nadewszystko też zajmowały Krasickiego ogrody. Przerabiano je nieustannie, zapełniano obeliskami, altanami, kaskadami i wodotryskami. Kwiatów było w nich mnóstwo. Pod oknami apartamentu księcia — jak pisze jeden z przybocznych — mieściła się cała encyklopedya drzew. Ogrodników sprowadzano z zagranicy, wypisywano tysiącami celube z Holandyi, kupowano drzewka i nasiona. „W wielkich oranżeryach i trejbhauzach dojrzewały pomarańcze, z których dla dworu biszof ulubiony robiono, ananasarnia była ogromna. Z tych za-

kładów szły na stół owoce w porze dla nich niezwyczajnej, szparagi w styczniu, śliwki i wiśnie, gdy jeszcze na dworze śnieg padał.“ Stół był też wykwintny i obfity. Zastawa stołu w dnie uroczyste z taflami zwierciadlanemi, figurami z porcelany, piramidami i kwieciem. W styczniu zwykle podawano pierwsze półmiski szparagów, szczawiu, świeżych grzybów. W grudniu zjawiały się ostrygi. Łososie i pstrągi, indyki, sarny, zające, dziki, bażanty czeskie, gęsi starogrodzkie, kawior mieniały się nawzajem. Zjazdy też bywały częste i liczne. Zazwyczaj bawił ktoś z rodziny, zazwyczaj schodzili się miejscowi kanonicy, grywała muzyka, w karnawale przedstawiano sztuki teatralne, odbywały się bale, nawet maskowe. Codzienne wieczory spędzano towarzysko: zabawiano się grą, loteryjką, maryaszem, ale grano tanio i tylko dla rozrywki. Czasami czytał ksiądz biskup swoje wiersze, co się zresztą trafiało bardzo rzadko. Jak wśród tych rozrywek i zajęć mógł Krasicki tak wiele napisać — pozostanie tajemnicą dzielności w pracy tego niepospolitego męża. Na pokojach bawił często do jedenastej i dłużej, zrana bywał na mszy św. w kaplicy, potem przybywali liczni znajomi i przejezdni, następowały ogrodowe zajęcia, obiad, muzyka, gra, wieczerza — nie licząc korespondencyi. „Prawda, że książę nie tracił chwili ani w domu, ani w podróży, czytając, pisząc, notując

ciągle. W powozie miewał zawsze książki, na popasach i noclegach pisał lub dyktował." Zdrowie służyło mu zresztą wybornie, rzadko znajdą się wzmianki o fluksyi lub katarze, o jakiemś prawdopodobieństwie podagry lub reumatyzmu. Rzeczywiście też częste i długie odbywał podróże. Jednego dnia w Seeburgu bierzmował 1532 osób, drugiego był na polowaniu, a wróciwszy do Heilsberga stał nad ogrodnikami. Ale prócz tych małych wycieczek, prócz wizytacyi dyecezyalnych, wyruszał w dalekie wyprawy. Przechowały się też nie wszystkie zapewne o tych wyprawach relacye. Dawno już minęły kwasy i dąsania się króla Stanisława Augusta na to, że Krasicki unikał polityki. Sława jego brzmiała szeroko po kraju, a że i chluby krajowi przysparzał i króla nieraz w pismach z wielką życzliwością wspominał, przeto rad był król widzieć ks. biskupa u siebie. Wybrał się też Krasicki do Warszawy w 1780 roku i spędził w niej parę tygodni, mieszkając w Łazienkach, a z powrotem wstępował do Góry, gdzie mieszkał Stanisław Poniatowski, podskarbi W. Ks. L. i do Waliszewa — do biskupa płockiego. Niedługo tegoż roku jedzie do Królewca dwukrotnie, a w grudniu na czas dłuższy wyprawił się do Berlina. „Podróż moja do Berlina — pisze — trwała ze wszystkiem dni dziewięć, alem się zatrzymał dzień jeden w Kwidzynie, a półtora dnia w Chełmnie u grafa Hohenthala,

koadjutora chełmińskiego. Byłem przyjęty od króla (Fryderyka II) z większą jeszcze łaskawością i dystynkcyą, niż innych czasów. Moje przyjęcie i codzienne uczęszczanie u króla nadzwyczaj, mogę mówić, z strony monarchy łaskawe. Staram się o ile możności — bawiąc go — oświadczyć mu moją wdzięczność. Piszę WPanu ten list jadłszy z nim obiad. Siedzieliśmy cztery godziny u stołu. Tak się dziadunio rozkomosił i mnie tak rozchichotał, żeśmy się śmieli jak dzieci i naopowiadaliśmy sobie bajek z półtorej kopy, a między innemi był i Dubieck i Nienadowa i Nozdrzec. A ci, co stali za drzwiami, rozumieli może, że szło o ekwilibrium całej Europy, co i on sam powtarzał i śmiał się, *ut octo*, a ja per *consequens*, tyle drugie.“ Ciągle zresztą ks. biskup myślał o swych ogrodach, dla których zaopatrywał się w kwiaty i o swej galeryi. W marcu jeszcze bawi w stolicy Prus. Posyłając bratu miniaturę króla i księcia pruskiego i polecając osadzić je w pierścienie, pisze, że się po jaskółkach wybiera do domu, gdzie *expansis manibus* czekać będzie przybycia brata z rodziną. W kwietniu w istocie opuścił Berlin, ale zaledwie wróciwszy — znowu jedzie do Grudziądza. W następnym roku czynią się starania o jakąś nową katedrę — o biskupstwo krakowskie lub prymasostwo. Dochody biskupstwa warmińskiego, uszczuplone przez administracyę rządową pruską, nie starczyły na życie

pańskie i utrzymanie licznego dworu. „Wiadomą jest dostatecznie WPanu — pisze do brata swego biskup — sytuacya moja; połową intraty długi krajowe opłacam, połową ledwie sam się wyżywić mogę.“ W tym samym roku 1782 jedzie znów do Warszawy i Dubiecka. Ciągnęła go tęsknota do kraju i osób, a może cokolwiek i własne zabiegi. W stolicy przyjmowano go nader świetnie i serdecznie. Król i całe otoczenie siliło się na okazanie mu czci i na przekonanie, że miłości ich nie stracił. Wtedy to Trembecki witał Krasickiego pięknym wierszem: *Gość z Heilsberga.*

Tu dłużnych twojej sławie odbierasz życzenia,
Tu ci król, tu ci możni, tu i słabi pędem
Ślą serca na ofiary, z lat pomyślnych rzędem.

Wtedy też Węgierski ofiarował Krasickiemu swoje *Organy* z szumną dedykacyą: „wielkiemu autorowi Myszeidos, dowcipnemu krytykowi trybunałów i sejmików w Doświadczyńskim, zabawnemu w posiedzeniu, jednemu z najpierwszych na parnasie naszym poecie.“ Zabiegi o nową stolicę biskupią na razie spełzły na niczem z powodu nadzwyczajnych w tym względzie trudności. Krasicki też następne lata spędza u siebie w Heilsbergu, mało wyjeżdżając. Po śmierci Fryderyka II. w 1786 r. musiał wraz z innymi dostojnikami państwa złożyć hołd nowemu królowi w Królewcu, a potem udać się do Berlina, gdzie sięgała sława jego autorska. Tłómaczono jego

dzieła na język niemiecki a Królewska akademia sztuk mianowała go członkiem honorowym. Po powrocie z Berlina skarży się, iż pierwszy raz uczuł starość. W tym czasie i w latach następnych powraca myśl starania się o jakie nowe biskupstwo. W 1788 r. nalega na brata: „piszą mi, iż ma nadzieję biskup wileński krakowskiego, (biskupstwa) to my po Wilno; nie uda się Wilno, o koadjutoryę krakowską — z dobrą pensyą lub wydziałem dóbr kilkadziesiąt tysięcy czyniących. Nie uda się o krakowskie, to my o koadjutoryę wileńską, zgoła wszytkich trzeba sposobów wręcz bez ogródki tentować. Prymasa prosić, króla mordować, generała artyleryi budzić. Koniec końców, czy to tak, czy owak, kilkadziesiąt tysięcy intraty, a najlepiejby było, żeby jakie dobre opactwo zyskać. Róbcie wreszcie, jak chcecie, ale rzecz trzeba żwawo, mocno, ciągle popierać, nie żałować i pracy i sposobów, a ja mam nadzieję, że się rzecz uda.“ Mamy nawet w tym samym liście główny powód tych usilnych pragnień. „I z Lucchesinim poznać się trzeba — mówi poeta — królowi i prymasowi to przełożyć, iż największe moje motivum, żebym miał w Polsce intraty, to jest, żebym chciał przy królu w Warszawie co rok kilka miesięcy przepędzić, a teraz choćbym chciał, nie mogę, bo szczupłość intrat a wydatki wielkie nie pozwalają.“ Ponieważ jednak starania te przez brata czynione i teraz

szły ociężale i nie odnosiły pożądanego skutku, wybiera się Krasicki w 1789 r. sam do Warszawy.

Były to czasy gorączkowego ruchu i życia w Warszawie. Zebrał się sejm czteroletni, zjazd w Warszawie był ogromny, gorączka reformacyjna szalona, intrygi posłów obcych wytężone, a wśród tego bawiono się, dawano bale i przyjęcia i festyny ciągłe. Krasicki spokojny i umiarkowany, wielbiciel złotego środka — musiał być tym żywiołowym ruchem tknięty, może przerażony. Wtedy to podobno napisał wiersz pt. Organy, w których trafnie scharakteryzował stronnictwa sejmu czteroletniego.

Chcesz wiedzieć, co są dzisiaj zgromadzone stany,
To słowem ci odpowiem, że to są organy,
Gdzie każdy klawisz tknięty swą powinność czyni,
Organistą zaś teraz na nich Lucchesini.
Miechy, przyszłego szczęścia nadzieją odęte,
Kalkuje duma z zemstą za ręce ujęte.

Nie wierząc w powodzenie sprawy, nie zyskawszy o wiele więcej nad obietnice dla siebie, powrócił po paru tygodniach pobytu w stolicy znowu do Heilsberga. Tu zajmował się ogrodem, zakładał ananasarnie, sprowadzał drzewka i otaczał opieką swych domowników i oficyalistów. W latach następnych częścią siedzi spokojnie w swem zaciszu, częścią odwiedza Galicyę, Lwów, Dubieck, jeździ do wód karlsbadzkich, pisze obszerną rzecz o rymotwórstwie i rymotwórcach,

tłómaczy wiele. Kiedy po r. 1794 arcybiskupstwo gnieźnieńskie przeszło w ręce pruskie, Krasicki mógł osiągnąć je bez trudu. To też wistocie w 1795 r. w zabawnej formie donosi bratu, jak następuje. „Zgadnij WP., co jest za przyczyna jeszcze insza pisania mojego, oto ta, że mi potrzeba węgierskiego wina. Proszę bardzo takiego, któreby było stołowe, białe, brzoskwiniowate, choćby miała beczka kosztować 25 albo 30 czerw. zł. zamówić dla mnie beczek sześć. I antałków choćby jeszcze lepszego ze dwa albo ze trzy. Oprócz tego zaś starego, wytrawionego, dryakwią pachnącego, choćby i sto czerw. zł. kosztowało — beczkę lub dwa antały. Konieczna tego potrzeba. A to dla czego? Oto dla tego, iż prosi o to *książę Nominat arcybiskup gnieźnieński*, z serca kochający brat.“ Następują tedy obrzędy, związane z tą nominacyą, a potem przenosiny z Heilsberga do Skierniewic. I stąd jeszcze od czasu do czasu odwiedza Berlin, ale rzadziej. Niekiedy dłuższy jakiś czas spędza w Warszawie, najwięcej jednak siedzi w domu, zakładając i bogacąc ulubione ogrody. Gdziekolwiek jednak bawił, wiódł życie towarzyskie i dworskie, gromadząc u siebie na obiadach i przyjęciach znaczniejsze osobistości. W 1800 r. na zimę ruszył znów do Berlina, chcąc się dworowi przypomnieć. Tu na kilka dni przed śmiercią dokończył swe Listy o ogrodach i umarł niemal z piórem w ręku.

Zasłabł w początkach 1801 roku i śmierć go zaskoczyła dnia 14. marca. Ciało jego przeniesiono z Berlina do kościoła katedralnego w Gnieźnie. Jako ostatni obywatelski czyn, ostatnia spuścizna po nim pozostało wyjednanie zatwierdzenia u dworu pruskiego Towarzystwa przyjaciół nauk, które w znacznej części było jego dziełem i którego w początkach był duszą.

IV.

Dzieła — bardzo liczne — jakie były owocem niestrudzonej pracy tego dzielnego umysłu w drugiej połowie jego pisarskiej działalności, nie posiadają już jednak ani tego wykończenia i zaokrąglenia, co poprzednie, ani — co za tem idzie — tej doniosłości w literaturze. Nie byłaby jednak charakterystyka literacka Krasickiego zupełną, gdybyśmy je pominęli milczeniem. W całości stanowią i one nie bylejakie ogniwo, dają nam bowiem poznać wszechstronność umysłu, rozległość wiedzy, chciwość i żądzę przyswajania swemu społeczeństwu wszystkich zdobyczy, jakie w rozmaitych gałęziach rozwoju cywilizacyjnego Europy oddawna stały się jej udziałem. Choć po krótce tedy przypatrzymy się utworom z tej doby.

Listy poetyczne. Do króla o przyjaciołach. *Mówią, że królowie nie miewają przyjaciół. Gdyby to była prawda, to godni byliby litości, bo „człek zwierzę towarzyskie.“ Dla czegoż nie miewają? Wolter nazwał ironicznie monarchów „zacnymi niewdzięczni-*

kami.“ To nie prawda, mogą mieć przyjaciół i królowie, ale powinni uważać na tych, co nie pochlebiają i nie są natrętni. Ten, co jest panem losu — i daje i bierze — wyświadcza dobrodziejstwa, odbiera wdzięczność i przyjaźń.

Do Krzysztofa Szembeka. O dzikości. *Wiele jest jej rodzajów. Fanatyzm towarzyszem, zazdrość, zemsta, ślepota, a w odwodzie głupstwo. Nie ustrzeże się przed nią mądrość i cnota, a dzikość bierze nawet czasem ich postać na siebie. Z niej to owo sławne hasło: niech będzie jak było. Ona to odrzuca zdrowe rady jedynie dla tego, że nowe są, nie — że złe. Miło jest służyć ojczyźnie, ale doznawać potwarzy, niewdzięczności, cierpieć bez zysku — to heroizm. —*

Do Pawła, o roztropności. *Najpierwszą nauką jest poznać ludzi. Ale kto to pragnie osiągnąć, musi się uzbroić w dobroć. Wprawdzie świat jest teatrem, a ludzie aktorami, pozory często mylą, ale źli są ludzie, nie zaś rodzaj. W sercu grunt bywa dobry — i ci co chcą dobrze, a czynią źle — godni współczucia, boć właściwie „chcieć i czynić — to cnoty prawidło istotne.“ Zbrodnia wśród tłumu z łatwością się odkrywa; wyżej strzeże jej kunszt ukrywania. Roztropność wszakże pomaga rozpoznać się, czem kto jest. Ale i roztropność trzeba miarkować. Niebezpieczny wzrok taki, co nadto spostrzega. Ten, co w innych ludziach uznaje współbraci, im więcej zagłębia się w rozpoznawaniu ludzi, „tem więcej ich oszczędza.“*

Do ks. Stanisława Poniatowskiego. Podróż pańska. *Lepiej siedzieć w domu, niż podróżować po obcych krajach. Pewnieś chory, więc wody, ale że Karlsbad za blizko, więc „zaciągnałeś nazwę takiej choroby, co do Spa zaprowadza.“ Kasztelanic tedy — raźny,*

hoży, rumiany jedzie — i traci trzy wioski. Nie spieszył on do wód — trzy szklanki tylko wypił, ale zato mód nawiózł, z książętami się zaznajomił, awantur doznał, księżnom głowy pozawracał, trzy banki rozbił. Taki to „polski rezon.“ Starościna chora — trzeba doktorów. Ci oczywiście w Paryżu. Leci więc za „paszportem miłości Teppera i Blanka.[1]*) Pełzną wsie, pełzną miasta, ale chwała starościny brzmi szeroko. „Wzniosła honor narodu matrona wspaniała.“ Powraca. Zapomniała po polsku. Nie wie, co to kasza, tańce polskie działają na nerwy, gniewem przejmują żupany i wąsy.*

Ale ponieważ książę nasz jedzie po kraju, należą mu się więc inne rady i wskazówki. Pan musi w podróży mieć liczny dwór. W jednej karecie doktor, felczer, kuchmistrz, w drugiej fryzyer, pasztetnik, piwniczy, rachmistrz, ojciec Majcher, bibliotekarz, marszałek, podskarbi, łowczy, sekretarz — i to jeden od spraw pańskich, drugi od listów.

Dopiero za nimi pan z przyjaciółmi, których sprowadził z zagranicy: Szwajcar filozof, ponury Anglik, grzeczno-uprzejmy Francuz. Przy karecie

„On gruntownie posiada Polaka sensata [1])
A gdy pisze do mościów i pana i brata,
Wskroś polszczyznę dziurawiąc łaciną, jak ćwieki
Bóg zapłać i Bóg daj zdrów — cytuje z Seneki.“

---

1) Ówczesne domy bankierskie w Warszawie.

2) Było to dziełko księdza Wojciecha Bystrzonowskiego p. t. „Polak sensat w liście, w komplemencie polityk, humanista w dyskursie, w mowach statysta — na przykład dany szkolnej młodzi.“ Warszawa 1730. Pierwszy list, w którym „samsiad w przyjaźń samsiedzka wprasza“ zaczynał się tak: „Wiem, że jako **nulli amicorum satis est**, tak nigdy granic nie sypie życzliwość przyjacielska, ani terminalne eryguje kolosy **non plus ultra**, któreby braterskiej propensyi zapędy tamować mogły. Boć jeżeli **solem e mundo tollit, qui amicitiam**; toć jako uniwersalny ten luminarz i wszystkim **amicum** jest **sidus**, tak ludzka przyjaźń garnące się do serca nie ekskluduje affektą.“

ci jadą, ci skaczą, ci idą — zatem wozy i wózki, bryki i kolaski. Tu kufry, tam tłómoki i paki i faski. Kiedy już pan przybył do hrabstwa — podają prośby i skargi. Pan ich nie czyta, ale komisarz jeździ po folwarkach: gumiennego kazał obić, ekonom okazał się złodziejem, ale że dał tysiąc w gotowiźnie komisarzowi, więc kupił przywilej na kradzież. Pan wynalazł nowe sposoby gospodarcze: wiatraki stawia w dołach, młyny wodne na górach, rowy kopie w piasku. Pasterkom każe pokupować flety, wójtowi każe tłómaczyć ludziom dzienniki, dla dzieci urządza wykład architektury, księdza czyni geometrą. Za wszystko płacą chłopi. To bydło, pochodzą od Chama — więc „nam bić, a im cierpieć, nam drzeć, a im płacić.“ —

Do Adama Naruszewicza — o pisaniu historyi. *Nie łatwe zadanie historyografia. Przodkowie nasi dobre mieli serca i nawet bajkami nie gardzili. Skoro zełgał pierwszy — wszyscy łgali rzędem.“ A jednak nic to nam nie uwłóczy, żeśmy mali z rodu, a treścią rzeczy jest prawda. Niech też ją dziejopis stosuje. „Błąd uznać — krok do cnoty.“ —*

Do pana Rodkiewicza. O talencie pisania i losie piszących. *Lepiej przepisywać, niż tworzyć. Pisać trudno, bo trzeba się liczyć z czytelnikiem, a ci są różni, pisarzowi więc trudno wszystkim dogodzić. A przytem pisarze są licho wynagradzani. Homer żebrał po ulicach, gdy żył. Zyskiem więc poetów i prozaików są: bojaźń, zgryzoty, smutki. —*

Do Lucińskiego. Pochwała miodu. *Dobrze robili Polacy dawni, że nie gardzili miodem i piwem. Byli też trzeźwi. Trzeba do miodu wrócić.*

Ocena. Znaczenie. Listy te pisywane w różnych czasach, zawsze dla jakichś osobistości przeznaczone, straciły już przez to dla nas cząstkę ze swej aktualności. Nie wszystkie one przytem mają równą wartość literacką. Najdoskonalszym jest list do księcia Stanisława Poniatowskiego o podróżowaniu. Jestto arcydzieło w swoim rodzaju. Uderza w nim dramatyczność akcyi, ruch bardzo żywy, ciętość i dosadność wyrażeń, subtelna ironia i dowcip. Pod tymi względami w Satyrach znajduje się tylko jedna równej siły i wartości tj. Żona modna. Bo też ustępami przypomina ten list powyższą satyrę. Wyjazd pana i wyjazd żony modnej zupełnie podobne, urządzenia ogrodu w obu poematach także podobne. Zakończenie listu o stosunku pana do chłopów odpowiada doskonale stanowisku i poglądom Krasickiego w kwestyi włościańskiej. Inne listy — na tematy specyalne — są już w swej formie mniej udatne, jakkolwiek zazwyczaj zawierają trafne myśli i spostrzeżenia. Krasicki, który naszej poezyi pragnął przyswoić wszystkie rodzaje i kształty poetyczne, nie zaniedbał i tego, idąc w ślady Horacego i Boileau'a. Oprócz listów w całości rymowanych, znajduje się w zbiorze pism jego, spora wiązanka listów prozą pisanych, ale przeplatanych improwizowanymi wierszykami. Te — choć w swoim czasie mogły się podobać, dziś straciły już dla nas swój sens właściwy a nie

celują też i wytworną formą — to też są bez znaczenia.

Wiersze różne. Ogólne sentencye, jakaś niezwykła okoliczność w dziejach narodu, jakaś myśl przelotna dawała Krasickiemu pochop do wierszyków. Pochwały króla, zamiłowanie i zalety zacisznego kąta zdala od gwaru światowego, śmieszność losu, rocznica 3. maja, szczęście, jakie daje praca człowiekowi, Nowy Rok, chybione zabiegi Antoniego Krasickiego o biskupstwo krakowskie lub prymasostwo dla poety, nagrobki sławnym i zasłużonym ludziom — oto motywa tych ulotnych wierszyków. Często tryska z nich werwa, żart i myśl wesoła, niekiedy modlitewny nastrój, czasem ton uroczysty i podniosły. Znać jednak. że sypały się one w danej chwili z łatwością. Poeta nie silił się zbytnio nad ich ogładzeniem, nad sprecyzowaniem cisnących się pod pióro słów — jeno pisał — jak to mówią — od ręki. Są to też pyłki bezpretensyonalne, materyał może dla przyszłej szczegółowej analizy charakteru poety szacowny, ale w ogólnym zarysie literackiej charakterystyki małej wagi. —

Pieśni Ossyana. W drugiej połowie zeszłego wieku Macpherson wydał pieśni i ballady szkockie, przypisując je Ossyanowi, synowi Fingala. Wywołały one wielką wrzawę w całej Europie, wprowadzając do poezyi, nasyconej wpływami literatury francuskiej złotego wieku, nowy ton,

krzepkie tchnienie przyrody górskiej, dzielność rycerską dawnych wieków — słowem wywołując do życia nowy świat i nowych ludzi. Krasicki, taki czuły na każdy świeży powiew z zagranicy, nie omieszkał przyswoić swemu narodowi tych poezyi. Przetłómaczone są przezeń dumy: Fingal (sześć dum), Śmierć Oskara, Minwana, Pieśni Selmy i Opisanie nocy miesiąca października na północy Szkocyi. Wiersz przekładu gładki i potoczysty, styl piękny, ale nie wszystkie zalety oryginału z równą siłą oddane; znaczna ich część musiała zniknąć i uledz dążeniu do gładzenia i polerowania stylu i języka, dążeniu, właściwemu epoce. Wobec tego, że dzisiaj posiadamy piękniejsze przekłady tego dzieła, tłómaczenie Krasickiego ma tylko historyczną swoją wagę. —

Komedye. Wszechstronny talent poetyczny Krasickiego pozostawił też sześć trzyaktowych komedyi, oraz jedną pięcioaktową. Trzyaktowe są: Łgarz, Solenizant, Frant, Statysta, Mędrzec i Krosienka; pięcioaktowa — pieniacz.

Łgarz. *W domu Anzelma bawi Erast, który kłamie i plecie smalone duby o swoich przygodach, wielkich majątkach i rozległych stosunkach. O córkę domu stara się Leander, a sprzyjają mu żona Anzelma i córka; Anzelm sam jednak wierzy święcie w łgarstwa Erasta i ujrzawszy spisaną przezeń intercyzę ślubną, którą niby to dobrami i sumami obdarza swą przyszłą żonę, — zgadza się oddać mu rękę córki. Pani Grujska jednak, ciotka Erasta,*

demaskuje swego synowca — a wówczas Leander dostaje rękę Konstancyi.

Solenizant. *Ojciec oszczędzał, syn trwoni. Ale syn ten — Leander niezły w gruncie, tylko przyjaciele źli. Stary sługa widzi to i cierpi. Oto Leander wyprawia suty bal na swe imieniny. Chodzi mu głównie o godne przyjęcie rodziny Cześnika, gdyż stara się o względy Cześnikówny. Aby utracyusza poprawić — stryj Staruszkiewicz skupuje jego weksle i urządza tegoż dnia pozorne sądowe zajęcie majątku. W chwili, gdy goście się zebrali, każe mu podpisać akt zrzeczenia się majętności. Leander pokornie podpisuje, słucha w skupieniu perory poczciwego stryja — i w końcu wychodzi na jaw, że podpisał właściwie zgodę Cześnika na małżeństwo, oraz zapis dóbr stryja na korzyść nawróconego siostrzeńca.*

Frant. *Do Dziadowskich przybywa Pradziadowski z synem Leandrem, żeby się starać o rękę córki domu Konstancyi. Oboje sprzyjają sobie nawzajem. Ale jest tam Przemysłowski, intrygant, stary wdowiec, również aspirujący o rękę panny. Szczuje on podstępnie obie strony na siebie. Dziadowskiemu szepce, że Pradziadowski liczy jego pieniądze, spisuje inwentarz, czyha na mienie; Pradziadowskiemu zaś, że Dziadowski zarzucił mu* imparitatem *tj. chłopskie pochodzenie. Obaj tedy źli są na siebie. Wdaje się w to ochmistrzyni Kociubińska, która ujawnia intrygi Przemysłowskiego, godzi zwaśnionych i łączy zakochaną parę.*

Mędrzec. *Pełen niezrozumiałych frazesów Górnogłębski stara się o rękę Domownickiej. Ojciec panny wierzy w uczoność quasi-mędrka, przeciwnie zaś matka i sama panna sprzyjają zabiegom Erasta.*

Sąsiadka — pani Grujska wykrywa całą głupotę i impertynencyę Górnogłębskiego — a para młodych łączy się.

Statysta. *Erast stara się o rękę Kunegundy Myślickiej. Sprzyja mu matka i córka. Wtedy zjeżdżają do domu Myślickich Uwaziewicz, niedorzeczny polityk, wraz z przyjaciółmi Rolnickim i Handlowiczem. Wszyscy obałamucają na chwilę ojca Kunegundy — ale w końcu poznał on istotną wartość Uwaziewicza i przychylił się na stronę Erasta.*

Krosienka. *Spokojscy mają dwie córki. Starsza Julianna, ulubienica matki, czyta romanse, sypia długo, stroi się i choruje na nerwy. Młodsza Maryanna, kopciuszek matki, zapomniana i zaniedbana, ale poczciwa wciąż pracuje przy krosienkach. O Juliannę stara się rozsądny i uczciwy ziemianin — sąsiad Przystojnicki. Ale oto przybywa z Warszawy modny kawaler Wiatrakowski, wraz ze swymi przyjaciółmi i ze światową damą Lubską. Są to hołysze, lekkoduchy, panicze sfrancuziali. Julianna i Spokojska dają się oczarować ich pięknym, nieszczerym słówkom. Za oczy drwi sobie Wiatrakowski z domu, z panny, z prostoty staropolskich obyczajów i wyśmiewa się w liście do Lubskiej. List ten wpada w ręce pana domu, który w decydującej chwili odczytuje go i daje odprawę kłamliwemu amantowi. Warszawska zgraja — zmyta — umyka, a Przystojnicki ponawia swą prośbę o rękę — ale nie Julianny, która teraz idzie do krosienek, tylko jej poczciwej i pracowitej siostry.*

Pieniacz. *Anzelm lubi procesy, a ma przy sobie Repertowicza, który go do pieniactwa kusi. Brat Anzelma — Aryst spokojny i rozumny. Sąsiad Leander kocha Leonorę, córkę Anzelma. Ten jednak radby oddać córkę swą Repertowiczowi albo Kon-*

demnackiemu, drugiemu palestrantowi, którego przyjazdu oczekuje. Figlacki, sługa Leandra, za zgodą Arysta przebiera się za Kondemnackiego i wmawia w Anzelma, że ojciec Leandra ma prawo do majątków Arysta, odstąpi jednak od procesu, jeżeli Leandrowi dadzą za żonę Leonorę. Przyciśnięty do muru Anzelm zgadza się.

Ocena. Z treści widać dostatecznie, że prawie wszystkie komedye mają wątek podobny. Wszędzie rdzenią intrygi są zabiegi o rękę panny, wszędzie obok jednego konkurenta stoi jakiś rywal, wszędzie z dwojga rodziców — ojciec albo matka stoi po stronie niepotrzebnego natręta, wszędzie natręt ten ma swoją tendencyjnie wymyśloną piętę Achillesową, w którą go nareszcie dosięga celny pocisk, wymierzony przez przypadek, zręczny obrót jakiejś trzeciej osoby tak, że oliwa wychodzi na wierzch — i ostatecznie Numa idzie za Pompiliusza. Komedye też — dziwnie jednostajne — były wedle wszelkiego prawdopodobieństwa pisane dla domowego teatru w Heilsbergu i autor musiał się liczyć ze szczupłym aparatem dekoracyi, przyborów artystycznych, sił aktorskich, aby uzyskać odpowiednią obsadę ról i nie uczynić wystawienia nazbyt kosztownem, ani nazbyt trudnem. Niema też w tych komedyach powikłanych interesów, sztucznych kolizyi i sytuacyi, niema licznych tajemniczych zakątków intrygi, mnogości osób, rozległego tła, głębokich i namiętnych uniesień, niezwykłych wad i zdro-

żności. A pomimo tego komedye mają swoje specyalne i wcale osobliwe zalety. Są one komedyami charakterów. Krasicki był subtelnym spostrzegaczem i z nadzwyczajną bystrością umiał w ludziach podpatrywać ich słabostki, skupiać je na jednej osobie i rysować sylwetkę wyborną tej osoby. Udowodnił ten dar wyśmienicie w satyrach, wykazał też go i w komedyach. Nie da się zaprzeczyć, że nieraz daną osobistość prawie skarykaturował dla tem dobitniejszego ośmieszenia, że jeżeli odmalował tuzinkowego polityka, to w usta jego włożył stek niedorzeczności, jeżeli przedstawił mędrca, to kazał mu pleść niezrozumiałe głupstwa, ale nawet najwięksi mistrzowie, nawet Molier karykatury w komedyi się nie lękał. Krasickiemu właśnie za wzór służył Molier. Frant bardzo przypomina wielu szczegółami i postacią główną Świętoszka, słudzy i totumfaccy często trzymają w swych rękach węzeł intrygi. Niemniej przeto w każdej komedyi i w każdej postaci rozsypał Krasicki tyle bystrych spostrzeżeń, tyle trafnie podpatrzonych rysów naszego społeczeństwa, że ogółem wziąwszy dziś jeszcze czytają się one nie bez zajęcia. Co więcej znajdzie w nich czytelnik mnóstwo efektów, nawet scen, które posłużyły późniejszym komedyopisarzom naszym, jako wzór i prototyp. Czyż poczciwy wuj Staruszkiewicz nie jest podobny do Radosta ze Ślubów panieńskich? Czy sypiący jak z rękawa dowcipne wier-

szyki Żartuliński nie przypomina zabawniejszego wprawdzie, ale pokrewnego Jowialskiego? Toż samo można powiedzieć o Rubasiewiczowej, która jak Szenionowa w Żydach gada bez pamięci, zmieniając co chwila przedmiot i w lot przebiegając od jednego zdarzenia do drugiego, a każde rozpoczyna: „pamiętam, było to"... Scena 7. Krosienek aktu II. — mianowicie opowieść Rubasiewicza o szczuciu lisa przez dwa charty Dolota i Frazię powtórzy się z większą wprawdzie wyrazistością i precyzyą w Panu Tadeuszu w opowieści Rejenta, który „lubił gesta," a te sfrancuziałe typy Polaków, ci pieniacze, ich sposobiki i podstępy, ci woźni (Tubalewicz) powtórzą się znowu czy u Fredry, czy u Zabłockiego, czy w Panu Tadeuszu, czy u Rzewuskiego i Chodźki.

Najlepszą jest bez wątpienia komedya p. t. Krosienka. Spokojski bogaty, rozumny, poważny, nie pedant, w miarę energiczny, wykształcony, wróg francuskich obyczajów, modnych strojów, pudru, muszek i malowidła przypomina nieco Podstolego — i jest co się zowie dodatnią figurą komedyi. Samo zawikłanie zręczne i zajmujące, rozmaitość charakterów znaczna, ostatni zaś efekt, kiedy Przystojnicki ponawia swe prośby o rękę córki — ale młodszej — wprost doskonały i tem lepszy, że nie rozwleczony na całą scenę, lecz zwięźle ujęty. Komedye wogóle prócz powyższych mają jeszcze i formalne zalety. Wbrew utartemu

w 18. wieku zwyczajowi, który lubował się w sztukach wierszowanych, pisane są wszystkie prozą. A mają dyalog niezrównany, ruchu pełno, sceny krótkie. Co chwila zmienia się wygląd sceny, przybywają nowe osoby, mówią naturalnie, rzeczowo, krótko. Tylko w *Pieniaczu* trafiają się dłuższe wywody, najeżone terminami prawnymi. W prowadzeniu dyalogu Krasicki widocznie sam był mistrzem — i osobom swoim każe wpadać w myśl poprzednio wyrażoną bezpośrednio bez omówień i odbiegania od rzeczy. Całość skutkiem tego wytwarza się doskonale związana i ścisła. Zdarza się nawet tak, że jedna z osób rozmawiających nie domawia zaczętej myśli, druga ją podchwytuje i dopełnia. W takiej formie przeprowadzona jest cała scena 2. aktu II. Krosienek: dyalog między panią Lubską a Przystojnickim.

Jednem słowem — aczkolwiek komedye Krasickiego grzeszą jednostajnością pomysłu, brakiem intrygi, brakiem drobiazgowego rysunku psychologicznego charakterów, łatwymi najczęściej efektami, to jednak w szczegółach pełne są takich bystrych spostrzeżeń, mają tyle drobnych komicznych efektów i momentów, ludzie są tak podpatrzeni doskonale i biegle, że dały one późniejszym talentom dramatycznym i powieściopisarskim niejeden rys obyczajowy lub charakterystyczny — i tem określa się ich znaczenie w naszej literaturze. —

Oprócz wymienionych dzieł prozaicznych i poetycznych Krasicki pozostawił dużo utworów, świadczących o niezmiernej jego pracowitości i erudycyi. Nie tu miejsce wdawać się w rozbiór prac tych. Nie będzie wszakże od rzeczy choć paru słowy wspomnieć i o nich.

Historya. Są to po części anegdotyczne, po części na dziejach oparte wiadomości z historyi starożytnej powszechnej. Forma opowieści pamiętnikarska. Autor — przebiega świat od czasów zamierzchłej przeszłości w różnych kierunkach, widzi sprawy Aleksandra Wielkiego, Egipt pod Ptolemuszami, Kartaginę, Hiszpanię, dzieje Hannibala, Rzym, wieki średnie, wciąż się odmładza — i kończy na początkowych dziejach Polski. Naukowej wartości dwie te księgi nie posiadają, świadczą jednakże o niepospolitej erudycyi Krasickiego i o pomysłowości w ujęciu i połączeniu spraw historycznych w całość.

Powieści. Pomniejszych powieści prócz *Podstolego* i *Doświadczyńsskiego* napisał Krasicki kilkanaście: *Kadur, Seged, Hazad, Ibrahim, Juzup, Azem, Hamid, Ibrahim i Osman, Seryf, Dziekan w Badajoz, O Aleksandrze i filozofie indyjskim, Mirza, Depozyt, Testament, Bajrach, Rustan, Powieść arabska, Lizymach, Uczta mędrców, Prawdziwa Powieść o kamienicy narożnej w mieście Kukurowcach przez Błażeja bakałarza tamże.* Wszystkie są krótkie, wszystkie

mają na celu zawrzeć jakąś myśl etyczną, morał jakiś w oprawę zdarzenia. Jedne są przerobieniami z francuskiego, inne z angielskiego, jeszcze inne opatrzone są napisami, że wzięte z historyi Persów lub Arabów. Najbardziej interesującą jest bez wątpienia ostatnia, jako allegorya dziejów Polski. Owa narożna kamienica bowiem — to Polska. Zmienia ona nieustannie swoich właścicieli rozrasta się lub podupada, stoi jednak długo, mijają pokolenia — aż do czasów Stanisława Augusta. — O tym ostatnim właścicielu kamienicy sądu Krasicki nie wypowiada, kończąc słowami: „resztę wydarto“... Allegorya niepospolicie jasna, zręczna, sądy o królach surowe, przeważnie sprawiedliwe; cała powieść zajmująca, zwłaszcza że nie długa i ujęta w zręczne, zwięzłe paragrafy.

O rymotwórstwie i rymotwórcach. Dzieli się na dwie główne części. Pierwsza obejmuje teoryę poetyki wraz z ogólnym poglądem na twórczość w różnych gałęziach kształtów i form poetycznych. Część druga zawiera historyę literatury powszechnej, objaśnioną wyjątkami z najcelniejszych autorów w przekładach. Rozpoczął pracę nad tem dziełem około r. 1793 — i przywiązywał doń wielką wagę. Recz pewna, że przedstawią się ono, jako owoc dużej pracy, ale wartości dziś już nie posiada. Najpierw przebiega historyę literatury greckiej, łacińskiej, potem następują

polscy pisarze — porządkiem wieków. Na krótkie sądy i ocenę często można się zgodzić, chociaż żałować należy, że swego czasu szerzej nie ocenił: pominięci Trembecki, Węgierski, Karpiński, Kniaźnin, Zabłocki. Rzecz o polskiej poezyi kończy się wzmianką o Naruszewiczu. Za Polakami idą Włosi, na czele ich Dante, potem Francuzi, Niemcy, Anglicy i Hiszpani, poeci wschodni, nawet Chińczycy. Wyjątki w przekładach rozmaitych tłómaczy — wybrane dość szczęśliwie — świadczą i tu o rozległem oczytaniu Krasickiego. Całe dzieło ma niejakie historyczne znaczenie, ale jako podręcznik służyć już dziś żadną miarą nie może.

Życia znanych mężów, z Plutarcha przerobione, oraz *Życia zacnych mężów na wzór Plutarcha* uzupełniają się nawzajem. Miałaby to być — jak się godzi domyślać — pedagogiczna lektura zwłaszcza dla młodzieży, w sposób łatwy i barwny wprowadzająca w znajomość historyi powszechnej a zarazem kształcąca charaktery widokiem bohaterskich czynów. Zazwyczaj do dwóch — odpowiednio ustawionych życiorysów — dodaje autor ich porównanie np. Alfred, król Angielski i Kazimierz Wielki, a do tego Porównanie Alfreda z Kazimierzem. Czyni to zręcznie i bystrym umysłym dostrzega podobieństw. Całość przedstawia w sposób łatwy, przystępny, zwięzły i zgoła udatny.

Rozmowy zmarłych. Są to dyalogi pomiędzy znakomitymi ludźmi przeszłości, zmarłymi w różnych epokach, skutkiem tego różne przedstawiającymi dążenia i kierunki ludzkości, aczkolwiek pokrewnymi w działaniu. Mamy tu zatem dyalog pomiedzy Bolesławem Chrobrym a Kazimierzem Wielkim o tem, czy ważniejszą jest zdobywcza działalność pierwszego, czy organizacyjna drugiego, dyalog między Demostenesem i Cyceronem, Horacym i Boileau, między Arystofanem i Molierem, Horacym i Sarbiewskim, między Homerem a Wergiliuszem itd. Dyalogi te zręczne, zaprawione niekiedy żartem, ironią lub satyrą, zamknięte zazwyczaj trafną syntezą — dzisiaj jeszcze nie utraciły całkowicie wartości i mogą obudzić u czytelnika zainteresowanie. Prócz powyżej wymienionych ważniejszych dzieł, pozostało po Krasickim wiele Uwag, Myśli, Kalendarz obywatelski, listy i różne pomniejsze pisma, nawet z zakresu nauk specyalnych np. o ogrodach. Wszystkie one — o ile świadczą o nadzwyczajnej rzutkości, wszechstronności i encyklopedycznem wykształceniu autora, o tyle jednak do charakterystyki literackiej nie wiele już przydać mogą.

Krasicki, jako człowiek i jako pisarz. Kiedy na niczem spełzły zabiegi naszego księcia biskupa o prymasostwo, napisał wówczas taki wiersz do brata swego, Antoniego.

Panie Antoni, już eśmy też starzy,
Wybacz, jeżeli czasem mi się marzy.
Przyśniło mi się przed niedawnym czasem,
Żeś ty był królem, a jam był prymasem.
Dobrze nam było; wtem przeciwna strona,
Nagłem wzniesieniem naszem rozdrażniona
Zmawia się na nas; aż gwałty, zaboje;
Idzie o życie i moje i twoje.
Boim się wzajem, źle koło ojczyzny,
Na pogotowiu zabójstwa, trucizny;
Aż twoja złota korona zbyt cięży,
Mnie moja mitra gnębi i ciemięży.
Kto inszy w Gnieźnie, kto inszy na tronie,
Tyś z niego zleciał, jam osiadł w Ankonie.
A ten karceres tak mię srodze znudził,
Żem się ze strachu porwawszy — obudził!
Chwała bądź Bogu! lepiej nam tymczasem,
Żeś ty nie królem, a ja nie prymasem.

Wierszyk żartobliwy najlepiej charakteryzuje usposobienie Krasickiego. Takim był do końca życia. Wesół, szczęśliwy, wiecznie pogodny i umiejący w życiu wyszukiwać stron dodatnich, troską i zmartwieniem głowy sobie ani serca nie zaprzątał. Posiadał w pełni tę horacyuszowską umiejętność urządzenia sobie bytu o ile można jak najwygodniej i jak najweselej. Swoją drogą — książę biskup miał szerokie serce i nie o siebie dbał wyłącznie. Pragnął on dobra dla swej rodziny, czynił wciąż liczne zabiegi, aby przewagą swoją i wpływem rodzinie tej zabezpieczyć też sporą część wygód, dostatków, swobody i materyalnej niezależności, otaczał się tą rodziną, po-

pierał ją i promował, o ile mógł. Wprost rozrzewniającym jest widok zgody i miłości, niczem niezachmurzonej, która go z dalszą i bliższą rodziną łączyła. Jeden, ale uderzający przykład. Kiedy został z łaski Fryderyka Wilhelma II. arcybiskupem gnieźnieńskim — i bawił w Berlinie, donosi z radością bratu: Król mi dał *annum gratiae*, tj. intratę jeszcze roczną arcybiskupstwa po mojej śmierci. To prezencik nieszpetny. *Nie byłbym go pragnął dla siebie*, ale dla WPana i dzieci dogodny, bo jest fundusz na opłatę długów, które, gdy odstąpicie procenta, zarazem uspokojone będą, a więc jest to toż samo, jak gdybym Ruską wieś darował. Można — to przeczytawszy — wypić kielich za moje zdrowie.“ Nie tylko jednak krewnych dobrocią swoją otaczał. Mnogich oficyalistów swego wielkiego dworu żeni, wyposaża, utrzymuje na łaskawym chlebie, licznym artystom dostarcza ciągle zarobku, o włościanach i siermiężnym ludzie polskim mówi w pismach swych wielekroć i z taką miłością, jak ze spółczesnych żaden. Ze wszystkiego da się wnosić, że był człowiekiem niezwykle zacnym, prawym i dobrym. Nie masz u niego zgoła rozdźwięku pomiędzy zasadami, jakie głosił w swych pismach a temi, jakie w życiu praktykował.

Przeważającą władzą umysłowości Krasickiego był rozum. We wieku, który śladem Woltera tak bardzo wysławiał rozum i tylko rozum —

był to dar nader szacowny. „Posiadał zresztą Krasicki wrażliwość niepospolitą, ale niezbyt silną i głęboką; chwytał w lot wszystkie myśli, bystro oceniał przedmioty, wypadki i osoby, interesował się wszystkiem.“ Nie miał jednak umysłu głębokiego i wszechstronnego, obejmującego jednym rzutem wszystkie względy, jakie się do jednego przedmiotu odnoszą; uczuciowości silnej i przejmującej brak mu także. W życiu towarzyskiem celował łatwą i dowcipną swadą. Raz w Łazienkach — przytacza Baliński wspomnienie Jana Śniadeckiego — Śniadecki, który bywał u dworu zawsze, udał się do pałacu na wieczerzę. Same damy prócz króla siedziały przy stole. Krasicki zbliżył się i stanąwszy obok pani Krakowskiej, z takim dowcipem zaczął rozmawiać (po francusku), że wszystkich zajmując, sam jeden przez długi czas bawił całe zgromadzenie; ani się mogli dosyć nasycić jego miłą rozmową. Sławny ten poeta był bardzo przystojnym mężczyzną, słodkim i nader ujmującym w towarzystwie.“ W poezyi natomiast — o ile dowcip tryska pełnym strumieniem — o tyle uczuciowość ukazuje się rzadko. Ustępy o gorętszym nastroju są nader nieliczne: ustęp z Myszeidy: święta miłości.... na dzień 3. maja, tu i ówdzie narzekania na zepsucie obyczajów (satyra *Świat zepsuty)*, tu i ówdzie jakiś moment w Satyrach albo Podsto-

lim. Znano i uczono się na pamięć zwrotki z Myszeidy:

Święta miłości kochanej ojczyzny,
Czują cię tylko umysły poczciwe!
Dla ciebie zjadłe smakują trucizny,
Dla ciebie więzy, pęta nie zelżywe!
Kształcisz kalectwo przez chwalebne blizny,
Gnieździsz w umyśle rozkosze prawdziwe!
Byle cię można wspomódz, byle wspierać,
Nie żal żyć w nędzy, nie żal i umierać.

Potężny i mocny nastrój tej strofy osłabia się jednak przez późniejsze sparodyowanie jej w Monachomachii:

Wdzięczna miłości kochanej szklanice!
Czuje cię każdy i słaby i zdrowy;
Dla ciebie miłe są ciemne piwnice,
Dla ciebie znośna duszność i ból głowy,
Słodzisz frasunki, uśmierzasz tęsknicę:
W tobie pociecha, w tobie zysk gotowy.
Byle cię można znaleźć, byle kupić,
Nie żal skosztować, nie żal się i upić.

Chcąc ocenić stronę artystyczną utworów Krasickiego, trzeba pamiętać, że pragnął on oczyścić język i smak ówczesny z naleciałości XVII wieku i za wzór obrał sobie literaturę francuską. Jak ów ideał, nie posiadał zamiłowania natury, nie malował też natury kraju ojczystego. W obrazowaniu pomijał rysy najwybitniejsze i nie mógł artystycznych swych pomysłów złożyć w wielką całość. Kreślił za to po mistrzowsku drobne

obrazki, podpatrywał znakomicie słabe strony w ludziach i umiał spostrzeżenia swe ująć wybornie we formę. Sposób pisania miał przystępny, a ilość i dobór pomysłów ogromny i niezrównany. Przytem posiadał wyśmienitą pamięć, niesłychaną ilość wiadomości, to też rozpowszechnił masę tych wiadomości i praktycznych wskazówek. W 18. w. czytano go, jak żadnego innego pisarza. „Nowalia warmińska“ rozbiegała się w lot po całym kraju i była przyjmowaną z wdzięcznością i zachwytem. Świadkiem tej popularności jest jeszcze Pol, gdy mówi:

Chyba Jan Kochanowski za swojego czasu,
Gdy ranną pieśń wyśpiewał od Czarnego lasu,
Miał równą sławę w Polsce i tak wdzięczne chęci,
Jako biskup warmiński za mojej pamięci.
W każdym domu, i w mieście, i w każdym klasztorze,
I w najmniejszym zaścianku, i w największym dworze—
Znalazłeś jego książkę i każdy ją chwytał,
Gniewał się lub podziwiał, ale każdy czytał. —



Bibliografia.

Pierwsze zbiorowe wydanie dzieł Krasickiego wyszło w 1802—1804. pt. *Dzieła wierszem i prozą*. Edycya nowa i zupełna przez Fr. Dmochowskiego w 10. tomach. Warszawa. Nakład Dmochowskiego, druk XX. Pijarów. 8⁰. Drugie zbiorowe wydanie wyszło w 1819 r. we Wilnie pt. *Dzieła wierszem i prozą*. Edycya nowa, sporządzona przez Wileńskie Towarzystwo Typograficzne. Tomów 10. Wilno w drukarni A. Marcinkowskiego. 12⁰.

Potem ukazywały się prócz przedruków pojedyńczych dzieł wydania zbiorowe w 1824 we Wrocławiu, w 1829 w Warszawie, 1830 w Paryżu i Genewie (w I tomie wszystkie dzieła t. z. edycya Barbezata), taż sama w 1845, w 1834—5 w Lipsku, toż samo w 1840, wreszcie najzupełniejsze w 1878—9 pt. Dzieła ignacego Krasickiego (Biblioteka najcelniejszych utworów literatury europejskiej) Warszawa. Nakład i druk Lewentala. 8. Tomów 6.

O Krasickim pisali:

1. J. I. Kraszewski. Krasicki. Życie i dzieła. Kartka z dziejów literatury XVIII w. Warszawa. Gebethner i Wolf 1879. 8. str. 368.

2. **Piotr Chmielowski.** Szkice i studya z dziejów literatury polskiej. Serya I. str. 211—332.

3. **Nehring W.** Poezye Krasickiego. Studya literackie Poznań 1884 str. 179—230.

4. **Adam Asnyk.** Ignacy Krasicki — studyum Wędrowiec 1884.

5. **H. Skimborowicz.** Krasicki Ignacy i Kraszewski Józef dwaj polimaci. Bluszcz. 1878.

6. **Wróblewski.** O Krasickim i oryginalności w literaturze. (Ateneum Kraszewskiego r. 1842 t. 5. str. 87.)

7. Anegdoty o Krasickim. Przyjaciel ludu. Leszno 1836—7. str. 254.

8. **Borowski Leon.** Uwagi nad Monachomachią Krasickiego. (Dziennik Wileński. r. 1818 t. II. str. 284 i d.)

9. **Dr. Gruszczyński.** O znaczeniu Myszeidy Ignacego Krasickiego. Poznań. Nakł. księgarni I. K. Żupańskiego 1863. str. 28.

10. **Dmochowski Fr. i St. Potocki.** Mowy pochwalne na posiedzeniach Tow. Przyjaciół nauk. (Pochwały, mowy i rozprawy 1816. t. I.)

11. **Tretiak Józef.** Ignacy Krasicki, jako prezydent Trybunału. (Rozpr. Akad. Um. Krak. Wydz. filol. t. XXIV. 1895. str. 1—37).

Charakterystyki literackie

pisarzów polskich.

XIX.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer.

Przez

Antoniego Mazanowskiego.



LWÓW — ZŁOCZÓW.
Nakładem i drukiem księgarni Wilhelma Zukerkandla.

I.

Młodość.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer urodził się w Ludzimierzu pow. Nowotarskim w r. 1865.[1]) Dzieciństwo jego kołysała i duszę mu kształciła cudna natura Podhala. »U nas w Ludzimierzu — pisze sam poeta[2]) — było ślicznie. Dunajec szedł przez wieś, popod sam dwór. Były ciche pola, kamieńce puste, wieczorem od torfowego ognia chmura dymu nad wsią, wielki dzwon na Anioł Pański; były rozlewiska wodne, odmęty spokojne, nieruchome, przeraźliwie głębokie i głuche; były moczary, koła i obłędy wodne i torfowiska przepastne, kosodrzewiną zarosłe. Był las smerekowy, pusty, milczący, gdzie tylko szumiał wiatr. Były zarośla i zagaje tajemnicze, trwożące, gdzie się księżyc krył i skąd patrzał, jak upiór z wody wylazły, z mętnych

---

[1]) Wilh. Feldman w swojem *Piśmiennictwie polskiem ostatnich lat dwudziestu* podaje datę 12. lutego 1863 r. (str. 78 r. II); ale sam poeta w *Liście otwartym do pana Wilhelma Feldmana* (Warszawa 1909) na str. 9. jako prawdziwy wymienia r. 1865.

[2]) *Na skalnem Podhalu* t. IV., ustęp p. t. *Stara książka i stara pieśń* str. 186 i d.

topieli Dunajca. Były nakoniec z jednej strony góry Beskidy, z drugiej Tatry, cały łańcuch, jak stalowy mur.

W wieczornym mroku, we mgle szarej
idzie przez łąki i moczary,
po trzęsawiskach i rozłogach,
po zapomnianych dawno drogach
zaduma polna, osmętnica...
Na wodę ciche cienie schodzą,
tumany się po wydmach wodzą...
Na Anioł Pański biją dzwony...
Szare się dymy wolno wleką
nad ciemne dachy, kryte słomą...
Na Anioł Pański biją dzwony...

Ojciec poety był uczestnikiem powstania listopadowego, a potem pracy swej nie ograniczał do niwy własnej, lecz marszałkował powiatowi i posłował krajowi. W domu tym pielęgnowano uczucia polskie obok demokratycznych przekonań. Kiedy poeta Seweryn Goszczyński, jeden z belwederczyków, wyemigrował z Kongresówki za granicę austryacką, »siedział — mówi Kazimierz — na wsi u Tetmajerów w Mikołajowicach, potem w Łopusznej u Lisickich pod Nowym Targiem, siedział długo, z ojcem moim dozgonną zawiązał przyjaźń i do nas na wieś przyjeżdżał, jako starzec już i sławy wielkiej człowiek.« Był wówczas poeta jeszcze chłopcem małym. Na młodą duszę kładła swój czar przyroda gór tatrzańskich; podobnie jak Zaleskiego nasycało »mleko dum i mlecze

kwiecia« Ukrainy, tak Tetmajera duszę dziecinną poiły baśnie i legendy, opowieści i pieśni górali. Znał się z górami od dziecka. Kiedy miał lat dziewięć, spadał w Strążyskach z uboczy do wyschłego koryta potoku i byłby się na nic rozbił, gdyby go był Goszczyński nie uratował. Od ojca i od bohatera-poety słyszał niezawodnie niejedno opowiadanie walk listopadowych. Goszczyński też, sam rozmiłowany w świecie tatrzańskim i w ludziach tatrzańskich, otwarł mu na ten świat oczy. Jego przykład pchnął Tetmajera na drogę poezyi. »Wtenczas zacząłem pisać wiersze« — dodaje Tetmajer, wspominając o swych stosunkach z Goszczyńskim. Musiała być bardzo piękna owa ludźmierska młodość poety, skoro po długich lat przeżyciu, po mrokach chmurnych i zgrzytach zwątpień ma dla niej serdeczne, gorące słowa, skoro tyle i tak pięknie potrafił później pisać o górach swoich, które zna jak nikt inny u nas, o góralach, których duszę wyśpiewał, o Matce Boskiej cudownej w kościółku ludźmierskim, a wracał do tego »sielskiego-anielskiego« dzieciństwa z lubością i tęsknotą. Jemu liryka Tetmajera zawdzięcza nie tylko wiele ze swej treści, ale także szczerość i głębokość swej melancholii; jemu też zawdzięcza olśniewające barwy swego obrazowania, podobne do żywych i świetnych barw górskich kwiatów. Sam uważa za swą kolebkę Tatry. Na siny łańcuch skał — pisze w poemaciku *Patrząc ku Tatrom* — pierwszy

raz spojrzały oczy dzieciny, jedyne słodkie tam patrzały lata. Słuchał zaklętych powieści, odrywał wieko z trumny przeszłości. Tam w dzikiem pustkowiu poznał czyste piękno.

A gdy minęły dziecinne lata, znalazł się na ławie szkolnej w krakowskiem gimnazyum św. Anny i w uniwersytecie jagiellońskim. Nie ulega wątpliwości, że długo jeszcze w okresie swych studyów pielęgnował troskliwie uczucia miłości ojczyzny, wyniesione z domu rodzinnego i zapoznając się ze skarbami romantycznej poezyi za swe pierwowzory miał twórców *Dziadów* i *Anhellego*. W poemacie *Illa*, wydanym w Krakowie w 1886 r. zaleca narodowi miłość, ufność, wytrwanie i solidarność. Wpływ romantycznej poezyi widoczny w utworach okolicznościowych: *Ku uczczeniu pamięci Adama Mickiewicza* (1886), *Ku uczczeniu pamięci J. I. Kraszewskiego* (1889), *Z okoliczności sprowadzenia zwłok A. Mickiewicza, Poeci idealiści*. Jednakże już lata uniwersyteckie przyniosły jeśli nie zwrot, to w każdym razie coraz samodzielniejszą krystalizacyę przekonań i uczuć. Były to czasy u nas, kiedy nie można było hołdować w poezyi czystemu pięknu, kiedy życie nazbyt dolegało, bijąc jak młotem o dusze, niecąc namiętności, wywołując starcia i walki. Wszak jeszcze nie postarzało się pokolenie, które walczyło w styczniowem powstaniu; wszak młode siły uświadamiały sobie właśnie, którędy iść nam

należy po krwawych doświadczeniach lat 1831, 1848 i 1863. Nie tak dawno, bo w 1871 roku Aleksander Świętochowski formułował w *Przeglądzie tygodniowym* w artykule *My i wy* program tych sił młodych w słowach: »Marzenia o odzyskaniu samoistności zewnętrznej ustąpić winny staraniom o samodzielność wewnętrzną samodzielność ta może być wynikiem wzmocnienia sił umysłowych i materyalnych, wszechstronnego rozwoju narodowego, skojarzonego z postępem ogólnym, oraz demokratyzacyi społeczeństwa, powołującej do działania w niem pierwiastki nierozbudzone.« Wszakże i na gruncie krakowskim nie tak dawno, bo w 1867 r. w głośnej programowej broszurze pt. *Kilka prawd z dziejów naszych,* Józef Szujski, przywódca partyi stańczykowskiej, stojącej pod wielu względami na przeciwnym, niż pozytywista Świętochowski, biegunie — bardzo podobne pod względem społecznym wymieniał drogowskazy, głosząc, że jeśli naród, jako państwo, upadł, to z własnej winy; jeżeli powstanie, to własną *pracą;* że grzechem narodu było pogardzanie rządem, uciemiężenie ludu, odstępstwo od wiary ojców; że konspiracya ma absolutną niesłuszność, strona normalnej pracy organicznej absolutną słuszność. Młodzi społecznicy warszawscy kładli nacisk na konieczność współudziału klas oświeconych w sprawach zarządu gminy, szkółek wiejskich, parafii, kas pożyczkowych, oświaty, umoralnienia średniej wioskowej

intelligencyi. W latach 1880—1890 tj. w latach nauk gimnazyalnych wyższych i uniwersyteckich Tetmajera, powstały w Warszawie i z żywą sympatyą czytywany przez polską młodzież rzutki tygodnik postępowy *Głos* wymownie propagował myśl suprematu ludu w narodzie. Rozum dziejowy — wołał *Głos* — każe z dążeniem ludu do obywatelskiej samowiedzy połączyć żywotne interesy kraju. Potrzeby ludu powinny być górującym akcentem w pracy społecznej. »Stojąc na gruncie realnych interesów ludu, będziemy stanowczo potępiać samozwańcze pretensye do kierowania nawą społeczną tych sterników, co występując w imię naszej tysiącoletniej kultury i tradycyi, nie chcą wiedzieć, że ideały tej tradycyi (czytaj: szlacheckiej) i formy tej kultury są obce większości narodu« (czytaj: ludu). W tem też dziesięcioleciu wyłoniła się kwestya robotnicza, która w swych początkowych występach niosła jaskrawy sztandar międzynarodówki, z niepospolitą brawurą i namiętnością obrzucając przeszłość szlachecką stekiem ostrych obelg. Czyż wśród tego rozgwaru sporów i walk, obejmujących najistotniejsze sprawy narodu, mógł pozostać obojętnym pełen gorącego temperamentu poeta?

Ówczesna młodzież uniwersytecka nie była biernym i obojętnym widzem ruchu umysłowego w narodzie. Tworzyły się wśród niej partye, rozdzielone równolegle do stronnictw społecznych

i politycznych starszego pokolenia. Tetmajer należał do partyi bardzo demokratycznej.[1]) Jako jeden z założycieli radykalnego *Ogniska,* pisma młodzieży postępowej, bronił programu tego pisma. Ale Tetmajer był poetą. Poezya polska poromantyczna od r. 1863 podobnie jak życie narodowe przebyła niejedną ewolucyę do chwili wystąpienia Tetmajera. Niemało wrzawy narobił już był w *Przeglądzie Tygodniowym* w 1867 ogłoszony artykuł pt. *Groch na ścianę*, w którym autor ostro sarka na przeczulenie i jałowy sentymentalizm poezyi. »Czuli śpiewacy róży, makolągwy i gila: Floryanie, Zbigniewie, boskie Liliany, Wandy, Adele i Aniele! wy, co karmicie się lazurem i essencyą liliową, czemuż musiałem z wami cierpieć? Przebóg! wy jesteście uosobionemi ranami, karyatydami, schylonemi pod brzemieniem nieszczęścia, źródłami, sączącemi łzy milionów. Wasza wielka pierś — rozdarta od ramienia po żebra, wasze oczy zapatrzone poza kręgi gwiazd; komety zniszczenia świecą wam nad głową, a buchacie ogniem piekielnych czeluści, jak lawą wrzące piersi Wezu-

---

[1]) Nieraz zaliczano go do kółka, które tworzyli: Wyspiański, Rydel, Mehoffer, Tadeusz i Stanisław Estrejcherowie, Opieński. Ale sam on temu przeczy w liście z Zakopanego 20. grudnia 1897 do *Życia* pisanym. Tamci byli odeń o kilka lat młodsi, on zaś podczas ich rozwijania się był mało obecny w Krakowie, od niektórych w poglądach społecznych i przekonaniach politycznych różny. Estreicherowie i Rydel — dodaje — należeli w uniwersytecie do stronnictwa młodzieży klerykalno-konserwatywnej, on saś do partyi „bardzo demokratycznej“, czemu kilkakrotnie dał „jaskrawy“ wyraz.

wiusza.« Tak szydził autor z biernych uniesień, zwietrzałej muzy poromantycznej, nawołując równocześnie do postępu, do wielbienia pracy, do poznania praw przyrody i człowieka. W istocie tu i ówdzie poczęły się odzywać wątłe głosy w imię tych haseł. Wówczas to Karol Świdziński napisał odę *Naprzód — pracą,* wówczas Wład. Ordon malował niedolę robotników *(Przy kowadle)*, wówczas Stan. Grudziński pisał swe *Bohaterstwo pracy.* Ale poezya nie zdobyła pomimo tego u ogółu dawniejszego znaczenia. Napróżno Asnyk w wymownych i piękną oktawą kreślonych poematach roztrząsał proces wzajemnego nieporozumienia między poetami i publicznością, napróżno protestował przeciwko zgonowi poezyi *(Na zgon poezyi),* napróżno szydził i śmiał się z napadu pozytywistów na Parnas, napróżno w prześlicznych strofach zapewniał, że choć przeminął czas tęczowej cudów powieści, to jednak

»pieśń powstanie znów,
Cudowną moc swą odświeży
I z labiryntu ciemnych słów
Na światło dzienne wybieży.
Rozpostrze tęczę rajskich farb
I nowe jutrznie zapali,
Najczystszy ludzkich natchnień skarb
Na śpiewnej unosząc fali...
I nieśmiertelną życia treść
Dobędzie z prochu i kału,
I rzeczywistość zdoła wznieść
Za sobą do ideału.

Napróżno inny niemałego talentu poeta wołał do swych braci poetów:

Jeżeli chcesz być wieszczem bratnich ciżb,
Więc rzuć gruchania ckliwe, mądrość liczb,
Zdawkowych poziom wyobrażeń,
A stań się słowem wielkich wrażeń,
Sumieniem w ciemny wpływającem gmin,
Pamięcią żywą bohaterskich zdarzeń
I wiarą, uzbrojoną w czyn.

Asnyk pisał powyższy swój utwór pt. *Przeminął czas* w 1870, Leonard Sowiński hasło powyższe w *Radzie poecie* dał w 1868, a jednak w 1876 jeszcze rolę poezyi trzeci ówczesny niemiernego talentu poeta Felicyan Faleński w poemacie Obol Belizarowi jako bardzo smutną maluje.[1]) Na sutą ucztę życia wprasza się pieśń. Na świecie jej chłodno i głodno. Puka, aby otworzono. Była wielką panią, dziś prosi o trzy grosze. Ale uczestnicy biesiady odsyłają »nieprodukcyjną« istotę gdzieindziej. Wtedy zaklina wielkiem słowem. Wszak była przesławną królową — błaga o dwa grosze. Odpowiadają: »myśmy tu wszyscy wielcy demokraci«. Poezya płacze. »Byłam długi czas boginią, dajcie choć szeląg złamany. Odpowiedź brzmi:

»Myśmy tu wszyscy wielcy ateusze
I nic nam do twojej tam wiary.«

---

[1]) Ob. *Świstki Sylena.* Pozbierała Etcetera Bomba Poznań 1876. Etcetera Bomba = pseudonim Faleńskiego.

Nareszcie woła poezya, że była »bardzo piękną«, a teraz prosi o kawałek chleba.

— Piękną i żebrzesz? A! to ciebie szkoda.
Zanim źli ludzie spostrzegą
Wejdź, wejdź! No, prawda, choć nie bardzo młoda,
Jesteś ty jeszcze niczego...

Niezmierna gorycz tego poematu nie wymaga komentarza. Ale chociaż Leonard Sowiński jeszcze w 1885 narzeka na zmateryalizowanie świata, na gorączkę złota, to jednak około tegoż czasu Zenon Przesmycki przypisuje już poezyi wielką rolę, gdyż ona świat do nowych lotów wzniecić potrafi:

O, pieśni, karz i sądź, grzmij w serca strupieszałe,
Mojżesza laską bądź i twardą rozbij skałę;
Niech feniks natchnień znów z popiołów zimnych wzleci
I gwiazdą wielkich snów lśni długi ciąg stuleci!

To już nie piękna niegdyś, dziś nędzna żebraczka, lecz władczyni serc i królowa dusz. Wszelako godzi się zauważyć, że odradzająca się bezpośrednio przed wystąpieniem na arenę poetyczną — pieśń polska przez swoich twórców w dwa odmienne zmierzała kierunki. Byli poeci, że tak powiem, społecznicy. Do nich należał wymieniony Leonard Sowiński, do nich od 1880 coraz głośniejsza poetka Marya Konopnicka. Obok tego atoli odmienny kierunek zaznaczał dawno, bo już w 1856, Felicyan Faleński, gdy w utworze „*Sobie śpiewam nie komu*“ pisał:

Szła pieśń wędrowna, brzmiące słowo Boże,
Przez chłód światowy w wieczność ku grobowi.
Rzadki przechodzień rzucił jej grosz wdowi,
A nikt jej nie rzekł: Pójdź, serce otworzę!
O pieśni moja, przebrzmieć tobie próżno,
O myśli moja, zmierzchnąć tobie w ciemni![1])

Ten sam poeta w lat kilkanaście, już po katastrofie z r. 1863 zaopatrywał swój zbiór *Z ponad mogił*[2]) wspaniałym wstępem:

O, do mnie lutni, strojna w twarde liście
Skręconych wiekiem dębu latorośli!
Niech duchy ojców, co jak on wyniośli
Laur i oliwny cichy krzew przerośli,
Żelaznej mowy dadzą dźwięk lutniście...
Przystały tobie nawet dzikie zgrzyty,
Jakie niestrojna stal wygryza w szkliwie;
Bowiem być może nieraz, iż dotkliwie
Uśmiechem gorzkim usta tobie skrzywię,
Bolesnych wspomnień, łez lub skarg niesyty.

W tę samą strunę o wiele wytworniej i z większym talentem uderzał i Adam Asnyk, że przypomnę znany powszechnie jego poemat *Sen grobów*. Pokrewny temu kierunek wyłonił się około roku 1887 w Warszawie, gdzie pojawiła się grupa poetów, pragnąca rozwoju czystego piękna — bez programów społecznych. Miała ona nawet swój organ *Życie*. Tu umieścił Miriam swój *Hymn do Poezyi*, a w nim — jakby w uzupełnieniu do poematu Felicyana *Obol Belizarowi* — pisał:

[1]) Kwiaty i kolce. Warszawa 1856 str. 28.
[2]) Bezimiennie wydany w Dreźnie w 1870 r.

Biada tym chwilom, gdy z twoich lic
Nie błyska przedświt zarania,
Gdy w ciemnej wdowiej smutku zasłonie
Swe jaśniejące zakrywasz skronie,
Nie mówiąc ludom — karłom nic;
Gdy tęcze twoje nie mają barw
A z srebrnych harf
Dźwięk żaden nam nie podzwania.

W takim to momencie i wobec takiego dla poezyi nastroju ogółu zjawił się ze swą lutnią Kazimierz Tetmajer. Bardzo demokratycznie usposobiony młody talent wnet po swej *Illi*, jeszcze wielce na tony romantyczne nastrojonej, utworzył odmienny poemat pt. *Allegorya* (1887), wydany nakładem grona młodzieży akademickiej.

Chłop kocha dziewczynę, którą porywa książę i nasyca się jej wdziękami; ona jednak zabija księcia i siebie wydartym mu sztyletem. Jakkolwiek wątek niewątpliwie przypomina losy Nebaby, Orliki i Rządcy z *Zamku Kaniowskiego* Goszczyńskiego, to jednak poemat świadczy o talencie samodzielnym, gdyż poeta maluje z porywającą wymową nastroje dramatyczne i włada wybornie formą poetyczną. Nie będę się upierał przytem, że poemat *Allegorya* ma znamiona dzieła tendencyjnego, choć odpowiada on dobrze ówczesnym bardzo demokratycznym przekonaniom, podobnie jak jego *Cienie*, w których głodne tłumy szukają Boga sprawiedliwości To wszakże pewna, że Tetmajer nie zbyt długo potrącał o tę społeczną strunę swej

lutni i że ona nie brzmiała wtedy, gdy o nią trącał, tonem rozjemczym, jak niegdyś druga struna Ujejskiego, jak taż struna Kondratowicza, Lenartowicza, a nawet Romanowskiego. Słychać w niej raczej nieprzejednany ton cyganeryi warszawskiej z lat 1840—45, słychać ton Romana Zmorskiego lub Włodzimierza Wolskiego, autora poematu *Ojciec Hilary*, a już jeżeli chodzi o późniejszych, to jestto pokrewny ton z ludową liryką czy Konopnickiej czy Kasprowicza. Tetmajer jedna sobie uznanie wybitnego młodego talentu. Ale nie owe uznanie stanowiło rzecz główną w ówczesnym jego rozwoju. Umysł jego wzbogacony przez studya znacznym zasobem wiedzy, uczuciowość, wsparta żartkim temperamentem a wchłaniająca masę wrażeń przechodziły stadyum wewnętrznego przeobrażania się. Tetmajer, autor *Illi* i *Allegoryi*, a Tetmajer, autor zbiorku ogłoszonego w 1891 roku — to dwie odmienne postaci. Ażeby zrozumieć duchowe przeistoczenie się poety w tych latach, musimy znów zdać sobie sprawę z tej, że się tak wyrażę, męki duchowej, jakiej podlegała ówczesna jednostka nieprzeciętnej miary, żywo i głęboko odczuwająca tchnienia zbiorowej duszy. Teorya »pracy organicznej« — mówi Bolesław Lutomski w artykule p. t. *Z psychologii narodowej*[1]) — mogła być bodźcem dla natur pozytywnych i pieniężnych, temperamentów praktycznych i kupie-

[1]) *Życie* krakowskie r. 1897 N. 4.

ckich, ambicyi przeciętnych.[2]) Typ, wyobrażający szlachetne ambicye i prawa ludzkie i narodowe, czeka na swego wyraziciela i w historyi, i w estetyce, i w poezyi. Jakaś szarość osiadła na ludziach, duszach i typach. Pokurczyły się mózgi i wyobraźnie według prawa naturalnego, że organa nieużywane podlegają atrofii, zanikowi. Jesteśmy jakby przysypani popiołem. Są okresy historyczne — skarży się — w których dojść można do przekonania, że w posiadaniu prawdy są tylko pessymiści i fataliści, dla których gatunek ludzki jest stadem hyen, wyjących o żer, zgrają rabusiów, chciwą złota i użycia... Działanie sił rozkładowych nie pozwalało na łączenie się składników, osamotniając i oddzielając systematycznie grupę od narodu, jednostkę od grupy. Długie działanie tych sił wprowadziło owe czynniki do psychologi narodowej: pod postacią smutku i melancholii w typach szlachetnych i wykształconych, pod postacią bezbrzeżnego pragnienia patryotycznego w duszach czułych i marzycielskich, pod postacią trwałego i dziedzicznego przygnębienia w warstwach z dodatnim instynktem obywatelskim, nareszcie pod postacią silnego przytępienia w szerokich i zaniedbanych masach.«

---

[2]) Myśli powyższej nie można przyjąć bez zastrzeżenia, że czem innem jest praca narodu, a praca jednostki. Naród bez pracy organicznej, naród geniuszów czy talentów byłby z góry na śmierć skazany. O ile tedy myśl owa zawierałaby ujmę dla hasła „pracy organicznej", byłaby z gruntu fałszywą.

Jakkolwiek niepodobna zgodzić się bezwzględnie na wywody tej psychologii narodowej, o ile ona występuje z absolutnem potępieniem pracy u podstaw, boć i dzieje naszej kultury z lat 1840—1850 zwłaszcza w dzielnicy kongresowieckiej dostarczają przeciwko nim jaskrawych zbijających argumentow, boć po klęsce listopadowej tacy genialni poeci, jak Krasiński i Mickiewicz nie wahali się narodowi wskazywać pracy, jako środka odradzającego, — to jednak psychologia ta — acz zła i szkodliwa w zastosowaniu do duszy zbiorowej — tłumaczy niezgorzej zniechęcenie i pessymizm niektórych dusz wykształconych i głęboko czujących, dusz zwłaszcza nie dość zahartowanych w twardym boju z życiem i niechętnie przystosowujących się do ciężkich warunków istnienia w środowisku własnego narodu, którego kultura i umysłowa produkcya nie szła zawsze równorzędnym krokiem z kulturą i umysłową produkcyą zachodu. Takie jednostki, skazane na rolę i los chmielu ze znanej bajki Krasickiego, nie mogąc się zżyć i pogodzić z warunkami bytu, pogrążały się w beznadziejny pessymizm, nurtowane do głębi rozkładowymi pierwiastkami. Jeśli sięgnę do przykładów, to widzę, że w okresie, charakteryzowanym przez p. Lutomskiego, poeta Adam Asnyk, głęboki znawca dusz, ale analityk i dyagnosta własnej duszy, wyrobił sobie jasny i pogodny, a szczególnie kojący i ukojony na świat pogląd. Jakże to pięknie pisał w 17. sone-

cie z cyklu *Nad głębiami,* jakby w udokumentowaniu powyższych uwag:

Co złość zniweczy, co występek zburzy,
To miłość z gruzów napowrót postawi, —
Upadłość ludzką z krwi i łez kałuży,
Gdzie ją spychają występni i krwawi —
Czyn poświęcenia podniesie i zbawi.
Myśl, która dobru powszechnemu służy,
Wiedzie za sobą duchów zastęp duży,
Jak łańcuch w niebo lecących żórawi.
Cichych poświęceń nieustanna praca
I serc szlachetnych dobroć promienista
Grzesznej spuścizny przekleństwo odwraca
I, coraz głębiej przenikając, czysta,
Powszechny skarbiec duchowy wzbogaca,
Z którego każdy czerpie i korzysta.

Wynika stąd, że wśród złych warunków istnienia zbiorowego, mocna i szlachetna dusza niekoniecznie musi zanurzyć się w młaki chłonącego pessymizmu. Wszakże już Słowacki w *Anhellim* rozróżniał dwojaką melancholię: z mocy i ze słabości; pierwszą uważał za skrzydła ludzi wysokich, drugą za kamień ludzi topiących się.

Czy duchowa organizacya Tetmajera w tych latach była dość silną, aby w sobie znaleźć odporność na trujące ziarna rozpaczy? Czy w poszukiwaniu źródeł poezyi trafiła na zdrój czystych natchnień? Że nie zadowolnił go, nie skrępował na długo radykalizm socyalny — to pewna. Ale ówczesna Europa zachodnia niemniej od naszej arystokracyi umysłowej czuła starczość i przeży-

cie dawnych podpór i szukała dróg nowych. W łonie katolicyzmu wrzało życie w kierunku ujęcia steru kwestyi socyalnych. W maju 1891 wydał papież Leon XIII. swą wiekopomną encyklikę *Rerum novarum*, polecając pieczy katolików zagadnienia społeczne i wołając o czyny. Genialny rosyjski starzec Leon Tołstoj, marzył o urzeczywistnieniu na ziemi ideału ewangelicznego i wzywał do podporządkowania życiu zbiorowemu wszystkich sił ducha ludzkiego czy ludzkiego geniuszu. Pod jego wpływem we Francyi neochrześcijanie zalecali doskonalenie się moralne, miłość społeczną — ale żadne z tych dążeń nie porwało Tetmajera. Niewątpliwie zarówno w powikłaniach naszej duszy zbiorowej, jak i w przeżyciach własnego serca, znalazł on dość materyału do pessymizmu, ale nie mały wpływ wywarła nań poezya francuska, w której się rozczytywał, poezya, która odziedziczyła po Baudelairze i Verlainie pogardę dla świata i ludzi, niewiarę i zwątpienie, która przez utwory Leconte de Lisle'a, wyraziła żądzę zniszczenia wszelkiej ziemskiej istności i pogrążenia się w niebycie. Tych samych dźwięków brzmieniem napełnił Tetmajer pierwsze tomy zbiorowe swoich utworów.

II.

Lata 1890—1900.

Wydał on w 1891 pierwszą seryę, w 1894 drugą seryę, a w 1898 trzecią swych liryków. Dziesięciolecie owo tedy było czasem najżywszej twóczości poetycznej Tetmajera, największego wyrobienia formalnego i największej sławy. Zanim dowiemy się, jak zostały przyjęte dzieła poety, wypada zaznaczyć, że dawały one znakomicie wierne i nadzwyczaj szczere zwierciadło duszy, miotanej wszystkimi odcieniami negacyi, rozpaczy i zwątpienia, duszy głęboko cierpiącej, szalejącej w swojem nieukojonem cierpieniu, duszy, która wszystko tracąc, nie mogła, nie umiała, może i nie chciała znaleźć ostoi wśród wichury namiętnej, w którą się jakby naoślep bez steru i kotwicy rzuciła.

Głęboko tkwić musiały w tej uczuciowej organizacyi korzenie religijności, jeśli potrzeba było takiego szamotania się, aby je wyrwać. W poemacie *Niewierny*[1]) zwierza się poeta, że przychodzą nań godziny zwątpienia. Traci wiarę w dobroć Bożą, w miłosierdzie, w miłość, zbawienie, w istność Bożą. Pragnie, aby Bóg wstąpił na niebo w błyskawicach i płomieniach, pełen mocy i chwały. Najokropniejszą dlań męką staje się zwątpienie.

[1]) Ser. I. str. 72.

Gdy Ty mi konasz, dusza we mnie kona,
Noc się ogromna, wieczna rozpościera,
Myślom się otchłań i przepaść otwiera
Nieprzenikniona...
I dusza kona i serce umiera.

W jednej z takich chwil pisze poeta *Nie wierzę w nic.*[1])

Nie wierzę w nic, nie pragnę niczego na świecie,
Wstręt mam do wszystkich czynów, drwię z wszelkich [zapałów,
Posągi moich marzeń strącam z piedestałów,
I zdruzgotane rzucam w niepamięci śmiecie.
I jedna mi już tylko wiara pozostała:
Że konieczność jest wszystkiem, wola ludzka niczem.
I jedno mi już tylko zostało pragnienie
Nirwany, w której istność pogrąża się cała
W bezwładności, w omdleniu sennem, tajemniczem
I nie czując, przechodzi zwolna w nieistnienie.

O wiele silniejszymi akcentami Konradowego buntu dźwięczy bluźnierczy poemat p. t. *Nowina.*[2]) Poprzedza słoneczny obraz życia ziemskiego. A tam Jehowa spogląda na ziemię śród potopu światła. Ale nie łudzi się. Wie, że pod powłoką wesela zagryzł się smutek i ból, nędze i klęski, cierpienia, rozpacze i męczeństwa.

On wie, że gdyby wszystkie łzy palące
Na słońce padły: zgasiłyby słońce.
On wie, że gdyby wszystkie skargi ziemi

---

[1]) Ser. I. str. 35.
[2]) Ser. I. str. 160.

Buchnęły w nieba strop za jednym razem:
Takimby pierś mu przywaliły głazem,
Żeby się ugiął i cofnął przed niemi —
I precz aniołów pierzchłaby gromada
Widząc, że Bóg się cofa i upada.

Bóg — woła poeta na podobieństwo Konrada — nie jest miłością, lecz przestrachem. Nie może uczynić ziemi szczęśliwą, choć może ją zgruchotać. A jednak świat byłby piękny, gdyby Bóg był ojcem dobrotliwym.

I oto jedna jest ku temu droga!
Światu nowego trzeba stworzyć Boga.
. . . .
Ten Bóg, co teraz ludzkości się rodzi
W grzmotach piorunu i w ogniach nie chodzi,
Nie rozkazuje, nie klnie, nie przeraża...
We wszechmiłości jednem spólnem słowie
On świat ogarnia i jedyne prawo
Stanowi: miłość. Jozuego krwawą
Tarcz depce nogą, gnie miecz Gedeona:
Lilię białą zrywa na dąbrowie
I światu daje za swoje znamiona,
On chce, z gałązką przychodząc oliwy,
Świat nie pobożny widzieć, lecz szczęśliwy...

Tak poeta maluje wizyę Boga, zrodzonego we własnej duszy. Przeciwstawienie pojęcia Boga Starego i Nowego Zakonu nie jest w nowszej naszej poezyi przywilejem Tetmajera. Tak samo tłómaczy Boga Starego Zakonu Konopnicka w swoim utworze *Zachowaj słowo*, tak samo Kasprowicz w hymnie *Święty Boże* lub *Dies irae*. Tetmajer swoje poję-

cie o Bogu i jego stosunku do ziemi tłómaczy także we wierszu pt. *Przebudzenie Jehowy.*[1])

Przebudził się i spojrzał. Wszystko było, jak przed snem. Wszystko zdało mu się dobrem, tylko przy słońcu spostrzegł ciemną, małą wygasłą planetę. Rzekł: oto złe roztrącę. Pchnął planetę i o słońce uderzona rozprysła. Poeta kończy:

Zasłoń ramieniem pierś Twą, nim zaśniesz, Jehowa,
Niech złom planety w serce się Twoje nie wwierci,
Bo każdy pył jej w sobie tyle jadu chowa,
Że, nieśmiertelny, próżno z bólu zwałbyś śmierci.

Jakkolwiek utwory te świadczą bardzo ujemnie o religijnych uczuciach poety, jakkolwiek zawierają więcej niezrozumienia ducha religii chrześcijańskiej, niż bólu, wzbudzonego niedolą ludzkości, jakkolwiek nie mogą się co do powagi i głębi uczucia równać z hymnami Kasprowicza, to jednak nie dowodzą one jeszcze tak zupełnej prostracyi wiar i uczuć, jak inne — równorzędne, a jednak rozpaczliwsze i więcej beznadziejne, gdyż odsłaniające wyraźniej »martwe pustkowie duszy«. Do takich liryków należą: *Credo*[2]), *Wszystko umiera z smutkiem i żałobą*[3]), *Drwię*[4]), *Prometeusz*[5]), *Duch*[6]), *Koniec wieku*[7]). Najsmutniejszym jest

[1]) Ser. II. 39—40.
[2]) Ser. II. 9.
[3]) Ser. I. 48.
[4]) Ser. I. 104.
[5]) Ser. II. 20—21.
[6]) Ser. II. 12—13.
[7]) Ser. II. 18—19.

poemacik *Credo*. Doświadczenie wyryło na czole złudzeń: Śmierć i nicestwo! Jeżeli walczymy ze złem, to nie z powodu ufności w odrodzenie, lecz z powodu nienawiści ku złu i z powodu żądzy niszczenia. Ale wszystkie ofiary daremne. Przemoc złego trwa wiecznie. Pochód ludzkości nie jest niczem innem, jeno przemianą zła wieczyście trwałą.

Brutalna siła, która rządzi światem,
Wybawicielem nie jest ani katem;
Ślepa i głucha, zimna, obojętna,
Idzie bez celu i nie władnąc — włada.

Zaginęła tu bez śladu wiara w Boga miłości z »Nowiny«. Zło włada i rządzi światem niepodzielnie. Ale zło pojęte, jako brutalna siła ślepa i głucha, choć przytem potężna i trwała. Niegdyś Krasiński objaśniał filozoficznie swego Massynissę z *Irydiona* w ten sposób. »Jestto pierwiastek wszechzła, które ciągle przemienia się koniecznością samego stworzenia na dobre; są to ciemności na dzisiaj, które przestaną być ciemnościami jutro; jest to nic, to zero niepojęte, straszne, szatańskie, dopóki go nie znamy, dopóki ono nas otacza tajemnicą nieskończoności; a które co chwila przetwarza się na coś; jak tylko coś powstaje, robi się światło, dźwięk, harmonia. Jest to słowem szatan wszystkich wieków i społeczeństw, wiecznie walczący, wiecznie pobity, w mgłę się rozchodzący, mający jednak chwile swoje piekielne, zbrodnicze,

złośliwe.« Krasiński różni się od Tetmajera w pojęciu istoty zła na świecie zasadniczo po pierwsze przez to, że godząc się z koniecznością zła na świecie, wie o wszechwładzy i wszechmocy Boga, powtóre przez to, że wierzy w pierwiastek dobra, ugruntowany w ludzkiej duszy i wolną wolę, jako regulator dobra i zła na świecie. Tymczasem *Credo* Tetmajera uważa zło, jako potęgę ślepą i trwałą, władającą bezcelowo i bezmyślnie. Nic dziwnego, że konieczność śmierci staje się źródłem srogiej rozpaczy. Skonanie — mówi poemat *Wszystko umiera z smutkiem i żałobą* — jest zmianą kształtu, ale człowiek nie zmartwychwstanie nigdy sobą.

Cóż, że w tysiąciu kształtów moje ciało
Z tysiąca zmarłych kształtów w jedno zlane,
Dawne, jak ziemia dawna, będzie trwało
Do końca ziemi? Ja nie zmartwychwstanę.
Łamiąca myśl jest, że ludzie tak muszą
Ginąć, jak ginie zwierzę i roślina;
Że to, co we mnie nazywa się duszą,
To jest czująca i myśląca — glina.

Bankructwu wszelkiej wiary towarzyszy świadomość własnej niemocy. Bo i cóż przeciwstawić może? Przekleństwo? Dziki tylko przeklina. Ironię? Zwykły bieg rzeczy największą jest ironią. Wzgardę? Głupi gardzi za wielkim ciężarem. Rozpacz? Skorpion tylko zabija się w żarze. Walkę? Mrówka na szynach nie walczy z pociągiem. Rezygnacyę? Ona nie zmniejszy cierpień. Byt przyszły? Czy

istnieje, któż to odgadnie. Użycie? Ono pozostawia męty i gorycz. Cóż przeciwstawić złu wszechmocnemu? Przeto poeta drwi z woli, którą konieczność kruszy, drwi z czynu, nigdy nie odpowiadającego zamysłom, drwi z świadomości, która tylko powiększa istotę sił sprzecznych, drwi z prawdy, kłamiącej nazbyt często, drwi ze wszystkiego, prócz cierpień ducha i ciała. Chwilami jednak, opanowany gniewem wobec potężnej przemocy zła, wobec nieszczęścia, władającego wszystkiem, wobec przeznaczenia, radby jak nowożytny Prometeusz zniszczyć ziemię, pogrzebać ją na wieki w nicości. Woła i modli się do Nirwany:

Z otchłani klęsk i cierpień podnoszę głos do ciebie
Nirwano!
Przyjdź twe królestwo jako na ziemi, tak i w niebie
Nirwano!
Od oczu mych odegnaj złe i nikczemne twarze
Nirwano!
Człowiecze zburz przedemną bożyszcza i ołtarze
Nirwano![1])

To znów pragnie czasem wziąć na siebie jej rolę i zniszczywszy wszystko, pozostawić pustkę. Zdaje mu się, że duch jego z płomiennym mieczem nicestwień wszystko druzgoce. Ludzkość mu klnie, on nią gardzi, burzy i dobro i zło, a potem spoczywa w głuchem, wieczystem milczeniu.

Nie jest obcą literaturze naszej owa żądza

[1]) Ser. II. 42—3.

zniszczenia, płynąca z poczucia zła na świecie. Niegdyś, w młodzieńczych latach swojej twórczości Słowacki wyobraził sobie i odmalował w *Arabie* nienawidzącą potęgę, która pała ogniem unicestwień, jak grom niweczy wszystko po swej drodze, ludziom i naturze nie folgując. Nawet tak samo niweczy bez poczucia celu, bez poczucia potrzeby zastąpienia lepszem stworzeniem złego. U Araba atoli płynęła ta żądza z nienawiści i gniewu, nie zaprawionego goryczą i cierpieniem, było w niej górującem tętnem szatańskie poczucie własnej złości i własnej przemocy. Później i Krasiński wyobraził sobie bohatera-niszczyciela w Pankracym, ale podstawą kreacyi Krasińskiego, skazującego na zagładę istniejący rzeczy porządek, była chęć zbudowania lepszego. »Patrz na te obszary — marzy Pankracy zwycięski, wsparty na ramieniu krwawego Leonarda — na te ogromy, które stoją w poprzek między mną a myślą moją. Trza zaludnić te puszcze, przedrążyć te skały, połączyć te jeziora, wydzielić grunt każdemu, by we dwójnasób tyle życia się urodziło na tych równinach, ile śmierci teraz na nich leży. Inaczej dzieło zniszczenia odkupionem nie jest.« Jeszcze później i Gordon Przybyszewskiego w *Dzieciach szatana* podejmie na nowo rolę Pankracego, co prawda bez jego szlachetnych twórczych aspiracyi, natomiast znacznie okrutniej i bezmyślniej. Wszyscy oni zasadniczo różnią się od *Ducha* Tetmajera

przez to, że u żadnego pomysł zagłady nie powstał z takich przepastnych mąk i udręczeń skutkiem utraty wszelkich wiar, skutkiem niezgłębionego poczucia braku wszelkiej ostoi w życiu, skutkiem otchłannej rozpaczy. Możnaby o tym duchu ze świętym Augustynem powiedzieć: *perdidit utilitatem doloris et miserrimus factus est.* Miota się tedy w kole własnych udręczeń, zaćmił się przed nim widnokrąg wieczności, zatracił wiedzę dobra, zapomniał o pożytku cierpienia — i stąd ów rozpęd niszczycielski.

Niegdyś w połowie XIX. wieku Faleński w utworze pt. *Sobie śpiewam nie komu*, zakończył szereg myśli o swej poezyi smutną skargą:

Nie żyć piewcy, co śpiewa sam sobie!
Nie brzmieć pieśni, co brzmi dla nikogo!

Podobnie teraz, po upływie półwiecza we wstępie do drugiego wydania pierwszego tomu, wyjaśnia Tetmajer: »Pragnieniem mojem jest uczuciom ludzkim, uczuciom — o ile to jest w mojej mocy — różnym: dać wyraz szczery i bezpośredni. Uważam za rzecz niepotrzebną poezyę, której nikt nie odczuwa i która pozostaje wyrazem jednego tylko poety.« Zastosowując słowa te do wymienionych powyżej uczuć i myśli, stwierdzić należy, iż dawały one wyraz z pewnością szczery i bezpośredni różnym uczuciom, ale układały się w pewien całokształt poglądu na świat i życie, całokształt, który filozofia określa nazwą

pessymizmu. Poeta jest w nich rzecznikiem tych myślących i czujących młodych duchów schyłku wieku, które zagubiły drogowskazy religii, światła wiary chrześcijańskiej i dobroczynnej, a kojącej pracy społecznej i narodowej. W powyższych poematach śpiewa on niedole duszy zbiorowej tego właśnie pokroju, a przez to dzieła owe nabierają znaczenia dokumentów duchowego rozstroju na przełęczy pomiędzy wygasającym pozytywizmem i naturalizmem, a pomiędzy narodzinami nowych prądów filozoficznych i artystycznych. O szczerości nikt nie wątpi. Gdyby jakakolwiek tej szczerości wątpliwość powstać mogła, zniknęłaby pod wpływem szeregu drobnych liryków, objętych zbiorowym napisem preludyów, a ogłoszonych w tomie drugim. W preludyach poeta spowiada się z własnych nastrojów. Są to drobne kryształki tych samych myśli i uczuć, jakie złożyły się na uformowanie większych i złożonych tworów. Mają one przytem gorętszy ton bezpośredności, porywają brakiem wszelkich frazeologicznych efektów, przez co jednak nie tracą nic na piękności formy.

Melancholia, tęsknota, smutek, zniechęcenie — żali się poeta — są treścią mojej duszy. Myśl moja włóczy się po ziemi, jak żóraw ze złamanemi skrzydłami, krwią znacząc ślady ziemskiej drogi (II). Wiarę mu wydarto, a bez niej żyć nie może (VII). Niema nikogo przy sobie, w duszy pusto, droga męcząca i bez steru (VIII).

Chcę zasnąć... Przesyt pragnień i niesytość czynu
Męczy mię i zabija... Jestem jak żeglarze
Wtrąceni do więzienia, gdzie giną ze splinu,
Marząc o świście wichrów i fal morskich gwarze. (XIII)

Smutno mu i gorzko. Rzucił ludzi, gdyż z pośród nich nie wyniósł wesela. Coś dzieli go od nich. Dusza ginie w czarnej toni (XIV). Dla kogoż żałoby, cierpienia i smutki życia? Dla kogo grób, zionący strachem i ohydą? Może to bezbrzeżne zło ziemskie dla gwiazd i słońca? Nikt nie wyjaśnia — i tylko bezsilna rozpacz i martwa rezygnacya (XVIII). Ludzkość nikczemna, zła, ciemna i zgniła tchnęła w duszę jego wzgardę. Leci dusza ku Bogu, aby tę wzgardę rzucić przed próg Jego i pytać, czy patrzy Bóg? (XXI). Życie wyssało z duszy jego wiarę, że dobry Bóg włada w kościele (II). Długo opierał się:

Lecz dziś już nic się nie spodziewam zgoła,
Wszelką illuzyę z duszy mi wydarto,
Wielką zła przemoc widzę dookoła
I pytam siebie tylko, czy żyć warto? (X).

Wodą i chlebem dlań jest nadmiar wstrętu do podłości życia, gardzi też i nienawidzi całą duszą (XIV). Chce pędzić, jak wicher, roztrącać, jak piorun, rozcinać po drodze, jak miecz. Czuje potrzebę lotu i zniszczenia (XXVII).

Otóż w szeregu tych indywidualnych zeznań, tych osobistych dokumentów, ujawnia się najściślejsza łączność z cierpieniami zbiorowej duszy,

którym dał wyraz w powyżej rozpatrzonych poematach. Dopiero poznawszy je pojmujemy, z jaką szczerością tłómaczy się poeta i jaki zaprawdę ścisły związek zachodził pomiędzy stanami jego psychicznej organizacyi, a duchową niedolą środowiska. Bo — jak pięknie pisze w utworze *Pod śniegu srebrnym puchem:*[1])

W niejednej ludzkiej duszy
Gdy pozna, czem jest świat,
Zwątpienia mróz śmiertelny
Niszczy nadziei kwiat;
Lecz próżno potem czekać
Wiosennych złotych zórz;
Kwiat taki, raz uwiędły,
Nie kwitnie nigdy już.

Jednakże w tem bolesnem potarganiu wszystkich związków z dodatnimi walorami życia, w tem morzu otaczających zewsząd mroków — inni, równie czujący i równie nieszczęśliwi, szukają i znajdują bodaj jakąś wątłą nitkę, która łagodzi beznadziejność niedoli, bodaj jakąś maluchną smugę światła, która wskaże wązką perć ku ocaleniu. Weźmy dla przykładu przyrodę. Adam Asnyk czuł nieraz, że ludzka dola skazana na trud próżnego biegu, czuł, że człowiek nieraz musi się cofać przed nieznaną mocą

Przed rozesłaną na przepaściach nocą,
Przed skrytych potęg gwałtownym objawem,

[1]) II. 53.

Przed niezbłaganem, bezlitosnem prawem,
Przed rozpasanych żywiołów odmętem,
Przed nieświadomem... tajnem... nieujętem...

A jednak słuchał i słyszał cichą pieśń natury i

W ślad za tą pieśnią myśli moje biegły,
Wyswobodzone z tłoczącej je grozy.
Wolny, choć prawom powszechnym podległy,
Duch mój wstępował na gwiaździste wozy
I tracił z oczu ludzkich istnień chwile
I wydeptany ślad na ziemskiej bryle,
I zapominał o swojej obroży
I o boleści, co go we śnie trwoży...
On się zanurzył w źródle wiecznie — żywem
Poruszającem wielkie koło bytu;
Uczuł się jednem łańcucha ogniwem
Rozciągniętego przez otchłań błękitu;
On znalazł wspólne ognisko żywotów
I związek z całym ogromem stworzenia,
Z wieczystym duchem, co mu podać gotów
Rękę z ciemności albo z gwiazd płomienia:
Więc w rozpostartej na przepaściach nocy
Już opuszczenia nie czuł i niemocy.[1])

Może się to wydać dziwnem, nawet niezrozumiałem, wolę powiedzieć nieszczerem wyjątkowo, że Tetmajer, który jest dziecięciem tatrzańskiego Podhala, który jego cudną przyrodę wyśmienicie zna, zawsze wielbi, jak nikt, odczuwa i rozumie, niekiedy i względem przyrody stosował swój ostry, sarkazmów pełny ton. Tak np. w poemacie pt. *Wielbić naturę?*[2]) mówi:

---

[1]) Ob. Noc pod Wysoką. Wybór poezyi Asnyka, Warszawa 1905. Str. 224, 6.
[2]) Ser. I. str. 100.

Wielbić naturę? Za co? Prawda, nie pobłądzi,
Bo nią mus praw tajemnych dla człowieka rządzi,
Bo jest maszyną martwą, a jej ruchy wieczne
Są bezcelowe całkiem, są, bo są konieczne.
Kochać naturę? Za co? Za to, że mię gwałtem
Bezwzględnym utworzyła i odziała kształtem
Ludzkim, może nieszczęściu najbardziej przystępnym?
Że mi wciąż grozi skonu widziadłem posępnem?
Że mi dała poczucie i świadomość woli,
A w najsroższej tyrańskiej trzyma mię niewoli?
Że mi w mózg upragnienie wszczepiła poznania,
Ale poznać mi ślepe jej prawo zabrania?...

Pozostaje to oczywiście w zgodzie z nieprzejednanym pessymizmem poety; jednakże wiem, że jest chwilową niełaską i aby zrozumieć ją, muszę sięgnąć do dylematu: albo chciał uczuciom ludzkim, uczuciom — o ile było w jego mocy — różnym dać wyraz, albo też nie był szczerym. Bo zazwyczaj, najczęściej, w momentach uciszania się rozżaleń — rzadkich co prawda w okresie, o którym mówimy — naturze poświęca najładniejsze strofy. Podobnie jak u Byrona, jak u Shelley'a lub Keats'a i u niego człowiek, zwłaszcza tłum zasługuje na potępienie i pogardę, ale dla natury lutnia ma słodkie i czułe dźwięki.

Jakże pięknie pisze raz o swej poezyi i jej do natury stosunku:

Idzie na pola, idzie na bory,
Na łąki i na sady,
Na siwe wody, na śnieżne góry,
Na miesiąc idzie blady,

Idzie w niezmierną otchłań wszechświata,
Skąd blask dróg mlecznych prószy,
Idzie błękitna, cicha, skrzydlata
Muzyka mojej duszy.[1])

W stosunku swym do tłumu, do ludzi i do krytyki poeta w tym okresie częściej ma na ustach zastrzeżenia, ironię, pogardę, gniew, szyderstwo: i tu zresztą, jak pierwej, zdaje się przewodniczyć poecie ta myśl programowa, aby dać wyraz uczuciom różnym.

»Sztuka — mówi raz — jest jako drzewo, słodkim okryte owocem, pod którem stoją tłumy. Źle jest, jeśli kto wszedłszy, tłumom na dole stojącym słodkich nie zrzuci owoców, albowiem sztuka, w sercach nie znajdująca odczucia, podobną jest do zimnych promieni gwiazd i księżyca, pod którymi kiełkować ni rosnąć kłosy nie będą.« Ale innym razem tenże poeta zastrzega się przeciw zbytniemu zbliżaniu się do tłumu:

Jeśli poczujesz, że inną twe skronie
Myśl w sobie kryją, jak skroń tłumu kryje,
Jeśli poczujesz, że serce twe bije
Nie tak, jak serca biją w tłumów łonie,
Żyj sam ze sobą, zdaleka od ludzi,
Bo myśli twoich ogół nie zrozumie,
Bo twe uczucie szyderstwo w nim wzbudzi.
Z tłumów ten musi być, kto chce żyć w tłumie.[2])

Albo na innem miejscu:

---

[1]) Ser. II. 189.
[2]) Ser. I. str. 36.

Niech nie unosi cię nigdy namiętność,
Z ludźmi potrzeba, jak z wrogiem we wojnie,
Walczyć odważnie, lecz trzeźwo, spokojnie,
A jeśli nie chcesz, aby cię zdeptali,
Duma niech służy ci za hełm ze stali,
Za miecz szyderstwo, za tarcz obojętność.[1])

Pomimo niechęci, jaką głosi dla tłumu i dla ludzi, zdobywa Tetmajer sławę dużej miary talentu poetycznego. Czytają go chętnie i z zajęciem. Krytyka nim się interesuje. Mnóstwo recenzyi pojawia się po wydaniu seryi pierwszej i drugiej. Ambitny poeta gorąco bierze do serca zwłaszcza to, co w recenzyach było ujemnem. Rani go boleśnie, może nazbyt boleśnie tu i ówdzie wyrażona opinia o jego twórczej pracy. Odpłacał też z nawiązką niechęć. Temperament jego nie znosił połowiczności w omówieniach. W przedmowie *Od autora* do II. seryi utworów, poświęconej na pamiątkę wczesnej młodości Ferdynandowi Hösickowi, skarży się: »O wszystkich moich kolegach razem wziętych nie napisano tylu złych rzeczy z taką poprostu zaciekłością i zajadłością. Odmawiano mi nie tylko prawa do sympatyi u publiczności, ale nawet wprost prawa egzystencyi, usiłowano mnie zabić. Falanga głosów z najrozmaitszych obozów — od biskupa na skrajnych pozytywistach i na skrajnych modernistach skończywszy — podnosi się przeciw...«

[1]) Ser. I. str. 83.

To może uchodzić na podmiotowe sprawozdanie z ogólnego wrażenia, jakie autor osiąga z szeregu krytycznych ocen swojej twórczości; w tym samym atoli tomie pisze on:

Fałsz, zawiść, płaskość, mierność, nikczemność, głupota:
Oto rafy, o które łódź moja potrąca,
Płynąc przez życia mętne i cuchnące błota
Pod niebem zachmurzonem, bez gwiazd i bez słońca.[1])

Albo jeszcze ostrzej:

Kretynów ludzkich olbrzymie gromady
Z głupiem szyderstwem lub głupiem wzburzeniem
Patrzą na ludzi, którzy w nowe szlaki
Idą, wiedzeni myślą lub natchnieniem.
»Tylko to może być dobre, co stare!«
Kretynów motłoch krzyczy lub mamrota.
A więc wskróś dobrą głupotą, kretyni,
Jest wasza stara, jak sam świat, głupota.

A to już jest odwet, nawet słaby i niefortunny, gdyż podszyty zirytowaniem i złością, nawet nieładny, gdyż prostacki.

W podobny mniej więcej sposób rozprawia się z niechętnymi w bajce p. t. *Ptaki.*[2]) Spotkały się na żerowisku żórawie i kawki, wrony, sroki, gawrony, dudki, wróble i czyżyki, gęsi i indyki. Ptaki czynią żórawiom wyrzuty, że nie grzebią w śmietnikach, lecz latają po niebie. Żórawie wysłuchały, podniosły się z szumem do góry i roz-

---

[1]) II. 30.
[2]) *Życie* krakowskie r. 1897. Nr. 8.

krzyczanej czeredzie posłały respons wymowny... wprost na łby z góry.

Odwet brzydki, nie kulturalny. Niezawsze bywał wybredny w swych satyrycznych pomysłach i obrazach Jan Lemański, a jednak w analogicznej bajce p. t. *Wół i żóraw* o ileż piękniej i silniej myśl podobną wyraził.

Jeden zwłaszcza dział liryki Tetmajera wywoływał ostre sądy krytyki, dział w trzeciej seryi mnogością barw jaśniejący, tj. poezya miłosna. I w tym dziale liryki uwydatnił Tetmajer swoją oryginalność. Nasza poezya XIX. wieku znała kobietę bohaterkę, kobietę entuzyastkę, kobietę kochankę, zdolną do namiętnych i tkliwych uniesień, znała kobietę zbrodniarkę i kobietę wieszczkę, przenikającą mgłę przyszłości w chwilach natchnienia, Tetmajer zaś uzupełnił tę galeryę — kobietą samicą. Poeci romantyczni malowali duszę kobiecą w jej uczuciowości wyższego rzędu, malując zaś miłość indywidualną, nie zapominali o tem, że wstydliwość jest tej miłości głównym i najistotniejszym wdziękiem. Ponieważ Tetmajer już w swych preludyach (XV. i XVI.) wśród zupełnego rozkładu i bankructwa walorów duchowych jedyne miał pragnienie — rozkoszy, przeto w szeregu swych erotyków wielbi zmysłową miłość i zmysłowe użycie, wznosząc je na piedestał najwyższej dla człowieka ceny. Najwyższem szczęściem na

ziemi wydaje mu się *Virgo intacta.*[1]) Miłość jest najsilniejszem dobrem, wieczysta, pierwotna, najwyższa z sił, życie życia, jak śmierć »Królowa wszechistnień ziemskich«.[2]) Powiedział ktoś o kobietach Ropsa, że nie są ani aniołami romantyków, ani szatanami dekadentów, lecz całym światem życiowych zjawisk, całą drabiną upadków. Możnaby to zastosować do kobiet Tetmajera. W poematach *Narodziny Afrodyty*[3]), *Leda*[4]), *Zacisza*[5]), *Lubię kiedy kobieta*[6]) tyle szału miłosnego, takie pogrążenie się w rozkoszy, taka subtelna i wyrafinowana analiza upojnych stanów, taka expressya zmysłowych obrazów, że nic równie śmiałego w dawnej naszej poezyi się nie znajdzie. Poeci XVI. wieku sprawy zmysłowej miłości traktowali we fraszkach jowialnie i brutalnie, ale fraszek nie uważali za poezyę; poeci XVII. wieku napoili poezyę miłosną żarem namiętnym, ale czuli, że publicznie głoszone słowo powinno zachować swoją wstydliwość; poeci sielankowi XVIII. wieku uczucia zmysłowe maskowali gazą omówień i dyskretnych dwuznaczników; Węgierski i Trembecki swe zagadki i bajki lubieżne złożyli do kosza, produkując je chyba w kawalerskich zebraniach. Nasza romantyczna poezya (*Dziady*, *Rusałki*, *W Szwaj-*

[1]) III. 50.
[2]) Hymn do miłości.
[3]) II. 72—3.
[4]) II. 77.
[5]) II. 82—4.
[6]) II. 85.

caryi), opiewała miłość uduchowioną. Wiersze karmelkowe Asnyka cechują się rycerską galanteryą. Tetmajer pierwszy z pośród wybitnych talentów młodej doby, zanucił »pieśń białego ciała«. Prawda, że znaczna część utworów, poświęconych ciału i jego rozkoszom przenosi nas w odległe wieki rzymskiej i greckiej kultury pięknej, kiedy uwielbiano kształty klasyczne bez trujących wyziewów erotyzmu; do takich poematów należą: *Ogród Lesbijski, Capri, Danae Tycyana, Dyskobol, Kallipigos, W Arkadyi, Posąg Hermesa, Świątynie w Pestum, Nimfy* i t. p. Poeta w czasie swej włoskiej podróży zachwycał się dziełami sztuki, znał świetne sonety Heredii i w wytworne »pełne, szerokie, bronzowe«, dźwięki sonetu odlewał myśl posągów, życie ruin, fragmenty wzruszeń silnych, lecz zdrowych klasycznego wieku. Ale wyobraźnię poety ze szczególną siłą uderza i w świecie starożytnych ta właśnie dziedzina uczuć i wzruszeń. Najbarwniej i najplastyczniej odtwarza on wizye miłosnych uniesień, jakgdyby i Grek bohaterski ponad wszystko cenił miłość i kobietę. *W oliwnym gaju* stał z marmuru posąg Afrodyty. Szedł obok młodzian zbrojny do boju. Ujrzał posąg i zawołał, że za jeden uścisk bogini odda chwałę życia. Wówczas stało się, czego pragnął. Posąg różanobiały ożył, a poeta kończy:

Bogini piękna nie wyrazić w słowie,
Jej pięknu sami dziwią się bogowie,

jakgdyby usprawiedliwiał czyn Greka. Jednakże młodzieńczy lekkomyślny czyn ten niełatwo da się umieścić na tle ojczyzny Milcyadesa, Leonidasa i Epaminondasa. Jest on — że tak powiem — zmodernizowany, bo jakkolwiek i tam byli Parysowie, to jednak było ich chyba mniej, niż w dzisiejszym wieku kultu dla zdenerwowanego ciała. Tetmajerowska wyobraźnia nie może się otrząsnąć z wizyi miłosnych. *Wizya lipcowa*, *Ekstaza*, *Hallucynacya*, *Pierwotne zjawisko*, *Wąż* i w. innych poemacików dowodzi, że struna zmysłowego powabu, ledwie potrącona, dźwięczy skwapliwie i natrętnie, a żadna inna dziedzina poezyi nie wywołuje tylu jaskrawych obrazów, co ta właśnie. Czy to dobrze? Lamartine pisał: kwadrans miłości wart więcej, niźli dziesięć wieków sławy, a minuta cnoty, modlitwy, ofiary, ognistego polotu do Boga warta więcej, niż wiek miłości. Tymczasem dla Tetmajera zbyt wielkie znaczenie ma pierwsza część tego aforyzmu i podług niej przecenia on miłość zmysłową, poniżając przez to poezyę, która przeznaczona na tłumaczenie raczej postaci duszy, niż ciała.[1])

To dziesięciolecie 1890—1900 wysunęło Tetmajera na pierwszorzędne stanowisko, jako poetę. Pisano o nim wiele: chwalono i ganiono, zachwycano się i sarkono, uwielbiano i gniewano się; sama atoli mnogość ocen i artykułów dowodziła,

[1]) Ob. Zdziechowski Szkice liter. I str. 243.

że czytano nieobojętnie, a liczne przekłady na obce języki i powtórne wydania zbiorów, świadczyły o szerokim rozgłosie poety i przeniosły jego sławę poza granice Polski. Krytyce nie podobał się skrajny pessymizm Tetmajera, zatrata wszelkiej wiary i panteistyczna ucieczka duszy do Nirwany. Chmielowski, Tarnowski, Tretiak, Spasowicz, Zdziechowski — najpoważniejsi przedstawiciele krytyki literackiej odzywali się o poecie przeważnie z uznaniem, podając w wątpliwość zbyt jaskrawe oświetlenie znamion dekadencyi, niezgodnej z duszą rasy. Nie bez słuszności np. pisał Zdziechowski, że w hymnie do Nirwany poeta nie rozumiał filozofii, której buddyzm i Nirwana były kresem, nie zrozumiał, ile zawierała w sobie podniety do doskonalenia się moralnego, nauczając powszechnego w cierpieniu braterstwa i płynącej stąd litości dla wszystkiego, co żyje. A ponieważ samą rozpaczą żyć nie można, przeto nie znalazłszy ulgi w pessymizmie, szukał jej w upojeniach zmysłowych. Sarkał krytyk St. Kozłowski na erotykę, »zalatującą wonią alkowy dawno niewietrzonej«, słysząc w niej spóźnione echa naturalizmu. Poeta może nie wszystkie te głosy o sobie czytywał, może się nie bardzo nimi przejmował, dość, że szedł swoją drogą. Ubodła go atoli recenzya, odmawiająca mu oryginalności: [1]) — odpowiedział

[1]) Ob. *Przegląd literacki* krakowski, wydawany pod red. K. Bartoszewicza r. 1898 Nr. 13., oraz *Życie* krakowskie wyd. p. red. Szczepańskiego Nr. 31, rec. Ant. Müllera. Odpowiedź Tetmajera w *Życiu* 1898, lipiec Nr. 29.

tedy, objaśniając powstanie niektórych swych utworów. Zarzucił mu recenzent, że »w najlepszych razach wygrywa tylko obce melodye na swoim instrumencie, na poparcie zaś tego poczynił liczne zestawienia z utworami Leconte de Lisle'a i José Maryi de Heredii, jego ucznia. Poeta czytał wpradzie po kilka utworów każdego z nich, ale *Danae*, jak zeznaje, jest najwierniejszym opisem obrazu Tycyana w Muzeum w Neapolu, *Dyskobola* widział w Watykanie, *Pod Portici* nasunął mu widok morski pod Portici, a rytm nadała jazda tramwajem. *Na via Caracciolo* i *Dziecinne westchnienie* komponował chodząc wieczorem po via Caracciolo, wogóle notował wrażenia czy odczucia w czasie swej włoskiej podróży. Pessymistyczny sonet *Z nad morza* jest drgnieniem struny, która była zasadniczą w seryi II., gdyż wywołały ją pokrewne przyczyny. Ma tu zapewne na myśli głównie końcowe strofy sonetu:

Tam, w tych przepaściach wodnych przepaść jak żwir [z brzegu,
nic nie czuć, nic nie pragnąć, wszystko zrzucić z siebie,
na zawsze się wymazać z ciał i dusz szeregu...
Tam — nic nie chcę... Na wieki niechaj mnie pogrzebie
jakiś odmęt, niech zginę tak i znicestwieję,
jak nicestwieją w życiu wiary i nadzieje...

Godzi się tylko na wpływ ogólny tych poetów, zwłaszcza na wpływ genre'u Heredii.

W tym sporze bez wątpienia słuszność była po stronie poety. Trzeba było małej znajomości

dotychczasowej artystycznej twórczości Tetmajera, aby go posądzić o zapożyczanie się łatwe u obcej muzy. Niósł on dotąd wysoko znamię swego talentu, cenił się nie bez przyczyny i cenił w sobie iskrę bożego natchnienia; sięgał w głąb własnych odczuć i złożył dowody, że potrafi bez podszeptów odczytywać drgnienia dyonizyjskiego zapału w swem sercu. Jakże pięknie pisał o swej *Godzinie tworzenia:*

Czarodziejska godzino tworzenia,
Najpiękniejsza z wszystkich godzin życia.
Światło twoje duszę rozpromienia,
Jak toń morską rozpromienia słońce,
Kiedy szuka w niem swego odbicia
Na błękitach płonące.
W czarodziejskiej tworzenia godzinie
Myśl rozwija się jak kwiat różany:
Zwolna listek po listku rozwinie,
Coraz więcej z listków bije woni,
Aż cudnemi barwy malowany,
Cały kwiat się rozsłoni...
A ten kolor i ten zapach w kwiecie
Tak upaja bosko i odurza,
Że o całym zapominasz świecie,
Jakbyś w zamków zaklętych podwoje
Wstąpił nagle. — Świat twój — to myśl — róża,
Umysł i serce twoje.

Kto tak potrafi czuć i czytać we własnej duszy, ten nie potrzebuje przetwarzać i przerabiać cudzych choćby i cennych myśli i uczuć.

III.

Lata 1900—1905.

Druga połowa dziesięciolecia, o którem była mowa, zaznaczyła się w literaturze naszej o tyle, że w Krakowie założono tygodnik p. t. *Życie*, usiłujący skupić w pracy literackiej zwolenników nowego prądu, który wystąpił pod hasłem reakcyi przeciwko naturalizmowi i realizmowi. Ludwik Szczepański, pomysłowy założyciel pisma i sam poeta, nie zdołał wprawdzie zjednać dla nowego prądu opinii ogółu ani utrwalić bytu tygodnika, gdyż początkowa liczba 560 prenumeratorów stopniała do 400 w chwili, gdy pismo przeszło na własność Sewera Maciejowskiego, niemniej przeto od samego początku dość konsekwentnie i ze świadomością celu, acz niezawsze popartą naukowem przygotowaniem, głoszono idee społeczne, artystyczne i literackie, które pionierzy nowego kierunku uważali za przewodnie, a różne od kurs mających w starej prasie. Głosili je Bolesław Lutomski, Quasimodo, Antoni Potocki, Cezary Jellenta, Dr. Zofia Daszyńska i inni. Zarysowały się one jeszcze wyraźniej po przejściu pisma z końcem maja 1898 roku na własność Sewera Maciejowskiego, który uznał za potrzebne byt pisma utrwalić i oddać na własność spółce młodych literatów. Zdarzały się zresztą nieporozumienia nawet w łonie

redakcyi. Tak w końcu 1898 r. wycofała się Dr. Daszyńska, gdyż — jak oskarżała w liście pożegnalnym — nowoczesna sztuka zazdrosną jest i wyłączną, zahypnotyzować pragnie ludzi, odwrócić ich uwagę od wszelkich zadań społecznych, poniża naukę i wszelką celową działalność, w ludzie widzi przeszkodę dla indywidualności prawdziwych lub mniemanych wielkich ludzi.[1]) Trzeba atoli przyznać — przedmiotowo rzecz traktując — że o ile w zakresie filozofii moralnej *Życie* przez usta Cezarego Jellenty stanęło na stanowisku kosmopolitycznem i — co równie złe — utopijnem, gdy zalecało dążenie do samorzutnego postępu moralnego w społeczeństwie ludzkiem lub wykrywało czysto przyrodniczy, ziemski rodowód nakazów i popędów moralnych[2]) — o tyle w zakresie kryteryów artystycznych zwalczało wprawdzie utylitaryzm sztuki czy narodowy, czy religijny, czy moralny, ale występowało w ostry sposób przeciwko zmateryalizowaniu i naturalizmowi.

Cechą najmłodszych w literaturze miał być indywidualizm i refleksya filozoficzna. Młoda Polska — tak się grupa owa nazwała na wzór Młodej Skandynawii, Młodych Niemiec, Młodej Belgii — nie ma nic wspólnego z współczesnym filistrem, bezduszną masą, gminowładztwem zmateryalizowanego obywatela. Zadaniem sztuki jest przeniknąć

---

[1]) *Życie* Nr. 48 z r. 1898.
[2]) *Cesary Jellenta. Proces moralny.* Nr. 44. r. 1898.

do ludzkiej duszy oderwanej, cenić indywiduum, jako w sobie zamknięty świat i swoim najwyższym prawom podległy, spostrzeżono bowiem, że poza zewnętrznem życiem duszy istnieją głębie, całe tłumy uczuć i przeczuć, które nigdy w gwarze życia nie przychodzą do głosu. »Wielkim artystą — pisał Quasimodo — jest ten, kto zdala od turkotu bieżącego życia pochyla się nad głębią własnej duszy swojej i słucha głosów, które dobywają się z tej głębi. Bo dno tej duszy jego jest jako dno jezior nadmorskich, połączone z morzem ogółu, z duszą jego narodu, społeczeństwa.«

Wydało mi się potrzebnem naszkicować paru rysami dążenie artystyczne życia ze względu na to, że Kazimierz Tetmajer od pierwszego numeru stał się jego współpracownikiem, niewątpliwie solidaryzował się z kierunkiem i równocześnie do tego kierunku twórczość swą nastrajał. To też lata owe końcowe dziesięciolecia, o którem była mowa w poprzednim rozdziale, znamionują przeobrażanie się poety w znaczeniu dodatniem. Niepodobna oczywiście z zupełną ścisłością określić początku tej ewolucyi, gdyż wszelkie psychiczne procesy odbywają się zwolna, ale niektóre zewnętrzne wskazówki znaleźć można w ówczesnych utworach Tetmajera. Istnieją dwie strofy Asnyka, zatytułowane *XIX. wiekowi.* Asnyk nazywa wiek ten — nauczycielem zgrozy i nicości, wiekiem zwątpienia i niewiary; rzeszy błądzącej nie daje pociechy

nauka; nie rozgrzesza jej miłość; znikł świat idealny choć dla ziemi otwarte są jasne źródła, ziemia nie czerpie z nich rozkoszy i woła, sercem chorem upadając: poco ja żyję, cierpię i umieram. Temu jękowi Asnyka, streszczającemu, jak nie można lepiej, główny ton dotychczasowej Tetmajerowskiej twórczości, przeciwstawia poeta napisany w listopadzie 1897 roku wiersz p. t. *XIX. wiekowi*, a nawet potem napisaną w tym samym czasie *Pobudkę*. Oba te poemaciki są jakby dźwiękiem surmy bojowej, jakby radosnym krzykiem błądzącego dotąd w znękaniu i udręce pątnika, gdy znalazł zdrój ożywczy.

Naprzód! — woła poeta — przez zwichrzone ludzkości [przewały.
Naprzód! przez kolumn świata złomy i zwaliska.
Naprzód! poprzez przeklęte wojen bojowiska
I jasne cisze świętej pokojowej chwały!
Naprzód przez głód i przesyt, przez skarby i nędzę,
Naprzód przez śmierć i życie, rozkosz i męczeństwa.
Naprzód przez cały wielki wszechbyt człowieczeństwa.
Nie możem przestać istnieć, więc wytężmy wolę
Los zwalczać i szczęśliwszą wydzierać mu dolę.
Moc ducha przeciw ślepej fatalnej potędze.
Naprzód! Lepiej w gonitwie do słońca w proch runąć,
Niż czołgać się po ziemi! Krwi swej wylać rzeki
W obronie pragnień życia, niżby przyszłe wieki
Naszej epoce miały w twarz z pogardą plunąć.

Nie Asnykowi odpowiada Tetmajer w tem brawury pełnem wołaniu do walki: sobie odpowiada. Asnyk, mędrzec ukojony, znalazł dla swego

niedolą zbiorowej duszy znękanego ducha ostoję zaciszną i wskazał ją w największem dziele swojem: *Nad głębiami*. Tetmajer, który dotychczas błądził pośród ludzi z czołem posępnemi rozpaczy bruzdami porytem, przyobleka się bodaj poraz pierwszy od lat wielu w jasną zbroję woli i porywa się do odporu przeciwko złu ziemi. Jak na chorążego — nie dość się wyraźnie tłómaczy: ani końcowych zdobyczy ze zwycięstwa, ani środków walki, ani jej konieczności nie wskazuje. Ale też trzeba ten poryw uważać nie tyle za potężne wołanie wodza do zbyt opieszale postępujących za nim szyków, ile za mus rozżarzenia w sobie rodzących się nowych płomieni życia w dotychczasowem pustkowiu duszy. Poeta, jak Kordyan Słowackiego, w pewnej chwili zdaje sobie sprawę, że »trzeba mi nowych skrzydeł, nowych dróg potrzeba. Jak Kolumb na nieznane wpływam oceany z głową chorą i sercem rozbitem.« Wnet potem, a raczej równocześnie w listopadzie 1897 pobudka brzmi donośniej, czyściej, weselej i silniej, zawiera w sobie akcenty dodatnie.

Jest więc orla kraina — rozwińmy tylko skrzydła,
Czujemy w sobie siłę: to lećmy w górę, w strop.
Dość długo nas więziły przy ziemi ziemskie sidła,
Dość długośmy nie mogli oderwać od niej stop.
Dość długo nazbyt blizko głów ludzkich mielim głowę
I czuliśmy to tylko, co czuje szary tłum;
Od bark nam w górę rwą się szerokie nowe skrzydła,
Jak orły biją w wiatr i orli czynią szum...

Są w trzecim zbiorze dwa poematy bardzo piękne i bardzo znamienne dla tej przełomowej chwili w twórczości Tetmajera — to *Muszla* i *Psyche*. Pierwszy jest tęsknym rzutem oka wstecz, na cudne lata młodości, na pola i ogrody, pastwiska i wikliny, dom śród świerków, tejemnicze mroki szpalerów, pełne szeptów nocnych, ciemne lasy górskie, skąd groza szła ku dziecku; jest melancholijnem wspomieniem marzeń o bezludnych wyspach, lwach w sitowiach, białych okrętach, o bohaterach i bohaterkach bajek Andersena... I dziś muszla, do ucha przytknięta, wiedzie poetę do puszcz dziewiczych, gór i pieczar przepastnych, do niezmierzonych jezior i bezgranicznych stepów. Tam świecą dziwne księżyce i dziwne rosną drzewa, jak góry wysokie. W tej pustyni dusza poety skupia się w sobie i tonie w ekstazie.

Lubi tonąć w otchłaniach bezgranicznej głuszy,
w abstrakcyjnem pojęciu żywego bezbytu,
gdzie wszystko się jednoczy i jest w jednej duszy...
Lubi patrzeć oczyma wewnątrz zwróconemi
w świat, co się niezmierzony sam w człowieku stwarza,
tak wielki, tak odległy, tak różny od ziemi,
świat bez wrzawy, bez zgiełku, bez krwi i cmentarza.[1])

Taki to świat właśnie stanie się odtąd przedmiotem obrazowania poety; będzie on wiele razy wizye własnej wyobraźni ujmował w ramy pla-

---

[1]) Serya III. str. 103—108.

styczne, nada zarysy kształtów niebywałym tworom zmyślenia.

Ale prócz tego sięgnie w głąb ludzkiej duszy, co zapowiada w programowym poemacie *Psyche*.

Poemat ten wydaje mi się nietylko programem, lecz jakoby rozrachunkiem z dotychczasowymi twórczości nastrojami. Psyche każe poecie rzucić ciało, pogrzebać żądze i pragnienia, szały i namiętności, a wznieść się ku mistycznemu niebu. Wiele wiar i obłędów spoczęło w mogile

wielkie kościoły, kędy klękał wprzódy
kłamstw okazały się pełne i złudy...
Pustynia ruin wokoło się piętrzy,
strzaskanych kolumn leżą całe zwały —
posągi bogów o twarzy najświętszej,
strącone z podstaw, w proch poupadały.

Na tych gruzach dawnych posągów wstaje Psyche i ukazuje mu

»światy, gdzie wchodzić tylko ci są zdolni,
co poświęcili swoje zmysły Myśli,
których duch z ciała się więzów uwolni...
Jeśli przez moich namiętności zgliszcza
zbrudzoną duszę przelśnię i oczyszczę,
jeśli człowieka w duchu moim zgniotę
i ducha zmienię w wszechwładną istotę:
królestwa swego mistyczne wrzeciądze
naoścież wówczas otworzy mi Psyche,
i wejdę w jasność, jak dziś w mroku błądzę,
i ze skał grzmiących wejdę w łąki ciche.
W owej tajemnej, głębokiej wyżynie
duch mój się w duchu wszechświata rozpłynie,
a razem w siebie jego bezmiar wchłonie,

jak jedną tworzą toń dwie zlane tonie...
I wiem, że wówczas będę mógł w wszechświecie
znaleźć harmonię pełną i porządek,
i ze spokojem patrzeć, jak się plecie
nić na wrzecionie czas mierzących Prządek.
Bo ponad wszystkie i nowe i stare
znajdę tam głębszą: rezygnacyi wiarę;
wiarę poddania się najwyższej Woli...[1])

I oto nareszcie spotykamy poetę, poszukującego nowej treści dla swej twórczości na tym samym szlaku, na którym niegdyś znalazł się po przebyciu byronistycznych manowców Słowacki, gdy 20. października 1835 r. z Veytoux pisał do matki: »czuję potrzebę większej doskonałości; rozwinęło się we mnie jakieś nowe piękności uczucie. Trzy miesiące, spędzone pośród najpiękniejszych widoków przyrodzenia, były wielką dla mnie nauką. Uważałem harmonię, która wszystko łączy i nalewa jednym kolorem. Postrzegłem, że sztuka powinna naśladować tę dziwną jedność wszystkiego«. Znalazł się nasz poeta na tym samym szlaku, którym niegdyś szedł Asnyk, gdy pisał *Noc pod Wysoką,* którym niebawem pójdzie Kasprowicz, tworząc rozdziały *Z gór* i *W turniach* swojej *Miłości* (1902), na który prędzej czy później wkroczy każdy szczery i nietuzinkowy talent. Bo to jest szlak uprzywilejowany prawdziwego talentu. Któżby się niezgodził na sąd o tem genialnego psychologa Emersona, który powiada: »poza energią posiadanej umysło-

[1]) Ser. III. str. 126—8.

wości świadomej, ma człowiek inną władzę. Poza siłą, ukrytą w nim, jako w osobniku, jest jeszcze wielka siła powszechna, którą może pozyskać, jeżeli otworzy bramy swej istoty i pozwoli prądom niebiańskim przepływać swobodnie przez swą duchowość. Wówczas porwany zostanie w życie wszechświata, mowa jego stanie się gromem, myśl jego — prawem, a słowa jego będą wszędzie równie zrozumiałe, jak rośliny i zwierzęta«.[1])

Ale świat duszy wszechnatury i duszy jednostkowej — to kraina niedostępna, jak są niedostępne dzikie turnie o stromych ścianach bez chwytów; trzeba długo i umiejętnie po urwiskach piąć się, aby zdobyć rozległe widnie ze szczytu i napaść się ich rozkoszą. Trzeba mieć siłę i dzielność, a umieć ich zażyć, inaczej widnokręgi się nie odsłonią i błądzi się wciąż u podnóża tego, co upragnione, a dosięgnąć się nie da. Chęć tu nie starczy: wszelkie środki wyostrzonych zmysłów służą tylko za nieudolne narzędzie, którem, gdy kto władać nie potrafi, tem łacniej sobie upadek zgotuje. Tak i w dziedzinie ducha. Tajemniczy skarbiec duszy wszechświata i duszy jednostkowej, przez wieki pracy powszechnego ducha wzbogacany i komplikowany, kryje w niezliczonych komorach klejnoty o bajecznej krasie i rozmaitości; lecz trzeba poznać czarowne słowo wejścia do tego sezamu, a tem słowem: doświadcze-

[1]) Emerson Ralph Waldo. *Poeta*. Chimera. Z. 15 r. 1902 str. 414.

nie, wiedza, geniusz. Spółczesny artysta do sezamu wybrał się narazie przynajmniej bez hartownej zbroi z trzech tych blach ukutej. Stąd to bardzo często łudzi się, jakoby już do tych przepastnych głębin dotarł i skarby ich posiadł. To klejnoty są sztuczne, to nie powszechna ani indywidualna dusza, lecz jej konstrukcya, mniej lub więcej przemyślnie naśladowana. Dlatego brak im owych przedziwnie uformowanych, w najrozmaitszy kształt strojnych skrysztaleń, brak mnogich załamań, w których słońce potężnie gra tęczową barw rozmaitością. Ułudy wyobraźni, zmyślenia zjawisk w duszy nieistniejących, zaczem mdła monotonność, powtarzanie się motywów i pogoń za znikającymi jak para w oziębionem powietrzu obrazami: oto los kreacyi takiego poety. Bywa tak zwłaszcza wtedy, gdy poezya całkowity weźmie rozbrat z t. z. pogardliwie utylitaryzmem.

Młoda Polska głosiła zasadę, którą w rok później wódz jej artystyczny Stanisław Przybyszewski jeszcze mocniej zaakcentował, że sztuka niema nic wspólnego z jakimkolwiek utylitaryzmem czy religijnym, czy społecznym, czy narodowym, że obchodzą ją tylko zjawiska duszy. Choć hasło to było dobrowolnem ograniczeniem sfery twórczości, choć zrywało związek nowego prądu artystycznego z dawną poezyą polską, która zawsze pozostawała z duszą narodową w ścisłym kontakcie, niekiedy względem niej zajmowała stanowisko przewodnie

i prorocze, choć skazywało poezyę z góry na szybkie w takiej postaci bankructwo i skon, to jednak samą swą nowością w naszej literaturze nęciło poetów. Tetmajer, przyjąwszy hasło, że poezya zajmuje się fenomenami czystej duszy, był w tem szczęśliwem położeniu, że miał bogate i piękne wspomnienia młodości i bardzo żywą fantazyę, nadto ci ludzie i ta kraina, do której niosły go wspomnienia lat dziecinnych, jaśniała czarami przedziwnej krasy i olśniewała mnóstwem niewyzyskanych przez poezyę czarodziejskich skarbów rodzimej wyobraźni. Już też w trzecim tomie liryków, wydanych w 1898 roku zaznaczył się wspomniany zwrot w twórczości Tetmajera. Na czele tej seryi znajdują się próby symbolicznej poezyi: *Rzeka mistyczna*, *Łąka mistyczna*, *Potok symboliczny*, próby dość mdłe i martwe, gdyż strona opisowa tej rzeki, łąki i potoku nie zachwyca urokiem nowości i siły, a klucz do odczytania symbolu tak utajony, że go dojrzeć trudno. Za to piękne są dwa opisowe sonety, dwa obrazki z życia pierwotnej przyrody: *Mastodonty* i *Pierwotne zjawisko;* zwłaszcza drugi, malujący pogoń dzikusa-człowieka za kobietą-samicą i wściekła o nią walka między człowiekiem a gorylem, przepyszna zwartością, mocą stylu i wyrazem niehamowanej żądzy samca a wężowej bierności samicy. Lecz dopiero czwarta i piąta serya poezyi z lat 1900 i 1905 udzielają nowemu kierunkowi pełnego

oświetlenia. Na tom czwarty złożyły się poezye, powstałe w latach 1898—1900, zatem w czasie, kiedy w duchu poety tkwiły jeszcze dawne zwątpienia, rozpacze, pogardy, ale kiedy dusza rwała się do orlich lotów. Ślady zmagania się dwóch tych pierwiastków są jawne, zwycięstwo uduchowienia niecałkowite, lecz świadomość jego potrzeby pełna. Symbolika nie gmatwa się wśród określników wyłącznie transcedentalnych tak, że klucz do zrozumienia symbolów wszędzie łatwy. Zaraz na wstępie w poemacie *Na królewskiem jeziorze*, napisanym w maju 1898 r. w Alpach, widnieją granitowe złomy, kotliny, szczyty potwornej wielkości, a na ich tle dusza ludzka czy dusza poety ogromna i bezdenna.

Ha! Ozwijże się głosem godnym swojej mocy
Duszo ludzka, ty dumna, ty wielka, ty górna!...
Stoję przed tobą, jako przed otwartym tumem,
W który lękam się wstąpić — — zginę tam, przepadnę...
Jeden On z tobą może mówić, słuchać ciebie,
O duszo ludzka w prawdzie i jawie widziana...
Za wielkaś! Otchłań w tobie, otchłań nieprzejrzana,
Mieszcząca wszystko, co jest na ziemi i w niebie.

W tem myśleniu i obcowaniu z duszą ludzką na tle potężnej przyrody wkracza poeta na szczyty, gdzie zjawiają się wiary i pragnienia, dotąd nieznane muzyce jego duszy. Bogaty w myśli jest poemat *Na szczycie*[1]) Zaczyna się znowu wizyą

[1]) IV. str. 33—43.

dzikich, olbrzymich granitów, niżej jezior, a w głębi świata, życia, nędzy ludzkiej, tłumów nieszczęśliwych, cierpienia.

O! gdybym z tej góry
Sięgnąwszy ręką schwycić mógł kołowrót świata
I bieg mu zmienić, ażby jedna pieśń olbrzymia,
Jedna pieśń szczęścia w niebo runęła...
O pieśni! pieśni szczęścia! czyż nigdy nie zabrzmisz?
Czy nigdy tryumfalny twój głos się nie wmiesza
Do cudownej melodyi wichrów, mórz i lasów?
Czy nigdy oczy ludzkie nie będą, jak kwiaty
Uśmiechnięte ku słońcu? Nigdy ludzkie piersi,
Jak łąki, co oparem oddychają złotym
O świcie w dzień wiosenny? Nigdy ludzkie myśli
Nie będą jak obłoki swobodnie płynące,
Zanurzone w topiell błękitu i światła?
I nigdy dusza ludzka nie będzie jak słońce
Promienna i gorąca, jednem tylko czuciem
Przejęta, aby ciepło rozrzucać i świecić?

Potem rozważa niedolę ludzką, martwą bezwiedzę przyrody, ucieczkę przed bólem do szału i wyobraźni, lecz odnowę znajduje w potędze ducha i myśli. Odrzuca wątpienie.

Pierwszą podstawą dzieła: wiara w jego koniec.
Tylko kto ślepo wierzy, potrafi iść naprzód,
Zwycięży albo padnie, ale z raną w piersiach,
Jak recerz... Żyć to tworzyć, a tworzyć — to wierzyć...
Nie wierzyć, wątpić: lepiej znicestwieć i przepaść!...

Wówczas słyszy w sobie śpiew duszy, jako cząstki przestrzennego świata i w końcowych wierszach wyraża pragnienie zespolenia śpiewu swej duszy z potężnym chórem wszechświata.

Jestto niewątpliwie wyznanie wiary panteistyczne, niechrześcijańskie, ale w niektórych swoich momentach pełne wymownej poezyi i siły, dalekie od wygasającego materyalizmu i posępnej negacyi, głoszące wyzwolenie się z krępujących pęt nicestwa.

Znamienne pod tym względem są sonety pt. *W milczeniu*, zwłaszcza sonet III.

I czyż nigdy nie wrócę? Czyż to, co się zowie
Życiem, ma być mi wszystkiem? Czyliżbym już miał
Nigdy — przeżywszy chory, nędzny żywot ciał —
Nie powstać na pierwotne, wieczne ducha zdrowie?
Czyż duch mój nie jest w przemian wieczystych okowie?
Gdy się ciała rozłoży na pierwiastków miał,
Czyż niegodne, by duch mój w nowym kształcie wstał
Jasny, jak rozpętani błędni aniołowie?
Czyż nigdy nie powrócę bujać tak, jak wprzód
Na niezmierzonej fali sennego milczenia,
Jak jeleń ze zwierzyńca wypuszczony wrót?
Na nowe! nowe życie! Na szerokie tchnienia!
Na wyżynę, skąd świat się wydaje jak cud!
Na bezkres!... Czyż śmierć nie jest progiem odro-
[dzenia?

W rozmyślaniu nad niedolą, śmiercią, losem czy przeznaczeniem, wstąpiwszy w to nowe stadyum filozoficznych dociekań, spotkał się nasz poeta z dawno zmarłymi wielkiej miary ludźmi, których udręczały te same uczucia, te same myśli. Niegdyś marzył nasz mistyk Juliusz Słowacki o człowieku w anioła przeobrażonym i wykładał marzenie swe w Liście do Rembowskiego: »Człowiek, jako duch globowy, wewnątrz samorodnym

ogniem jest, przez pierwiastek miesięczny wodny zapomożony, przez światłość Odkupiciela ku celom ostatecznym podnoszony — aż do czasu, gdy zdoła samoistną miłością Bożą, pierwiastkiem światła w sobie złożonym ogień transfigurować i formę swoją w wieczną i świecącą przemienić«. I Nietzsche, mędrzec przez dzisiejszy młody świat tak wielbiony, nazywał się »der Lehrer der ewigen Wiederkunft«. I po nim niejednokrotnie doń zbliżający się rosyjski genialny psycholog-powieściopisarz Dostojewski w najznakomitszych utworach *Bracia Karamazow* lub *Biesy* wyobraża sobie człowieka przyszłości o niepodległym śmierci organizmie.[1]) Tetmajer może najwięcej zbliża się do Słowackiego, zwłaszcza w poemacie *W wyobraźni*.[2]) Kraj dziwny: wał gór, morze opodal i łąki bezludne. Z górskiej kotliny wyszły siostry Eliana z Arikarną. Im się skarży dusza poety na swe zgryzoty, prosi je aby ją wiodły na Łąkę mistyczną przeświętej trójcy: Ciszy, Przestrzeni, Światła.

Wierzę w byt przyszły! W nieśmiertelność duszy!
Zło życia we mnie obudza tę wiarę — —
Musi być inny byt!...

Znamiona tej Łąki mistycznej: wolność, swoboda lotu, spokój, wieczysta tęcza blasku, jasność jasności. Puszcze tam śpiewają, gwiazdy błyszczą,

---

[1]) „Новый свободный человѣкъ — utrzymuje Kiryłow — будетъ обладать новою плотью, не страдающею, не умирающею, нетленною, смертью смерть поправшею". Бѣсы. 1871.

[2]) IV. 60—63.

na polach rozwija się zboże, z mgławic powstają światy, sferyczne ciała pachną, życia i śmierci niema. Ale oto za wiarą i za tem pragnieniem zjawi się u poety potrzeba oddziaływania w tymże kierunku na ludzi, potrzeba apostolstwa, równocześnie z uczuciem małej wartości dotychczasowego plonu. Jakież jest ziarno z potu mego czoła — zapytuje.

Czas już nie wróci — a otom tu z dołu
Jednego ducha nie podniósł w błękity;
Jednej-em iskry nie dobył z popiołu —
Cóżem więc czynił?...
I cóżem wart jest, choćbym tęczą świecił,
Jeżelim nie jest dżdżem płodnym i słońcem?
Jeżelim ognia i blasku nie niecił,
Cóżem wart, choćbym lawy był gorącem?
Choć wszystkie czucia w człowieku poruszę,
Cóż, jeśli bóstwa nie rzucam mu w duszę?[1])

Teraz też we właściwem świetle ukazała mu się muza erotyczna, dawniej tak ulubiona muza jego. Cenną wskazówkę podaje w tej mierze poemacik *Pieśniarz grecki.*[2]) Usiadł zadumany nad morzem. Rzymianin zdeptał mu ojczyznę, bohaterowie legli, kraj schlebiał wrogom lub jęczał... Wtem ujrzał grono dziewcząt kąpiących się... Nacisnął harfę, struny pękły, została jedna, opiewająca piękność nagości, rozkosz zmysłów... Poeta z goryczą kończy:

---

[1]) IV. str. 94.
[2]) IV. str. 159—60.

Ten, co mógł być Tyrtejem w czasie Tyrteusza... poniżył się do opiewania zmysłów zamiast potężnie wydzwaniać pieśń wyzwolenia...

Z powyższych ustawień łatwo już wysnuć wniosek, jak dalece poezya Tetmajera w latach 1898—900 uległa przeistoczeniu w stosunku do dawnej, zawartej w seryach I. i II., poczęści III. Bogata jej treść refleksyjno-filozoficzna nie wyczerpuje się oczywiście, wykładnikiem kilku powyższych utworów. Tetmajer motywów roztacza mnóstwo, w pomysły nie bywa nigdy ubogi, ale nie wszystkie one przysparzają równie cennego materyału do charakterystyki twórczego rozwoju poety. Jest np. i w trzecim i w czwartym tomie szereg liryków, jakoby fantastycznych obrazków z czarodziejskiego świata: *Zapadłe jeziora*, *Zaczarowany las* i t. p. Oto ostatni. Elf miga między drzewami, z zielonej głębi świecą jak rubiny oczy potworów, w gąszczu pełzają olbrzymie węże o szklistej skórze. Rozpar słoneczny wydobywa z kwiatów ogień śmiertelnie silnych aromatów, a na wierzchołku rozbujałych drzew zrywa się, milknie ostry, dziwny śpiew. Cóż to za wizya? Czy obraz piękny, silny, porywający? Czy kogo zachwyci, kogo zajmie, komu przysporzy rozkoszy estetycznej, nie mówiąc już o dobru? Ot — fragmencik z bajki o nigdy nie widzianem, nie słyszanem ani przeżytem. A może to majaki gorączkującego organizmu? Być może. Skarbca poezyi naszej ten i temu podobne poe-

maty nie bogacą. Są natomiast w czwartym i piątym zbiorze cztery poematy, z którymi się należy bliżej zapoznać, gdyż na to zasługują. To *Qui amant,*[1] *Na wiosnę,*[2] *Dzwony*[3] *i Podczas wiatru z Tatr.*[4]

Qui amant należy do najlepszych dzieł Tetmajera. Nazywa go »snem swej duszy«. Ziemia się uciszyła: jedno imię słychać w tej ciszy. Oto wielkie jezioro, góry, śnieg, jakoby pieśń świata, cisza z gór spływa na wody. Nad jeziorem chodzi jasna cudna Pani jego duszy. Myśli jej czyste, godne upaść pod stopy Chrystusa. Wśród świerków kapliczka; do niej modlić się przyszła rankiem. Staw leży w dolinie kamiennej. Na urwisku głaz, pochylony w przepaść. Tam przeprowadził ją, a pragnąłby ją przeprowadzić na Łąkę mistyczną. Krew tętni w każdej jego żyle, ale nie chce żądzy. Pragnie ciszy, przestrzeni, siły. Jakże piękna jasna Pani. Teraz wierzy, że Bóg daje ludziom twarze aniołów, wierzy, że ze spojrzeń ludzkich kwiaty się rodzą, wierzy, że ponad ziemią krążą światy, do niej tęskniące, wierzy, że człowiek może ludy za sobą porwać, wierzy w cud, w bóstwo... Zsyła błogosławieństwo dla ukochanej Pani; chciałby ją zawsze widzieć najczystszą na ziemi i niebie.

---

[1]) IV 187—219.
[2]) V. 101—119.
[3]) V. 77—101.
[4]) V. 1—25.

Ogarnia go płomień miłości.

Ty jesteś mojem sercem, krwi mej zdrojem
I duszy mojej tyś harfą z płomienia.

Ona śpiewa, a głos jej budzi tysiące wrażeń, krąży nad głową jako demon, porywa go w bezmiar.

Pójdź! Niech się wali na druzgi strzaskany
Krąg ziemi! Niech się w proch rozpada cała!
Pójdź! Ramionami owinę cię, biała...

Teraz atoli miłość staje się dlań najpierw smutkiem, potem cierpieniem. Zawisnął na swym krzyżu bolesnem sercem. Anioł bolu roztoczył nad nim skrzydła, a on ofiarował mu się cały na wieczność. Ona też płacze, on zaś z łez tych różaniec wije i powoli przesuwa jego paciorki. Noc. Gwiazdy na niebie. Las objęty ciszą, u skraju drzewa półjasne. Nad góry wschodzi Syryusz. Szum strumienia, za nim kapliczka.

Zwolna wstaje w piersi wielka głęboka tęsknota. Obejmuje pamięcią, myślą i uczuciem wszechświat: źle człowiekowi na ziemi. Szuka jej, czeka na nią. Była w nim, przeszła, przebrzmiała. Wydaje mu się, że płynie w ciemność, w bezkres wody. Słyszy głos jej wołający i nie odgadnie, czy to się miłość, czy śmierć tak odzywa. Niema jej. Pragnie raz jeszcze słyszeć imię. Czy spotka za grobem?

Są w naszej literaturze XIX. wieku obok wielu analogicznych trzy główne poematy, malujące miłość ludzką na tle przyrody: w 1835 roku napisany poemat Słowackiego *W Szwajcaryi,* w 1877 roku

napisany poemat Konopnickiej *Romans wiosenny* i w 1899 roku napisany poemat Tetmajera *Qui amant.* Powszechnie znane arcydzieło Słowackiego maluje pierwszą miłość, która zwykła napełniać duszę ludzką światłem i jasnością, która nie wie nic o rzeczywistości, żyje w słońcu śród rojeń i ułud, czystą i anielską rozkoszą; uważa ona t. z. bezpośrednie uczucie, choćby nawet szczere i serdeczne — poprostu za profanacyę swojej świętości, bo dla niej wystarcza sama obecność osoby ukochanej, świadomość sama jej blizkości, bytu i wzajemnej adoracyi. Nikt cudniej, nikt subtelniej nie ujął w kształty poezyi szczęścia, jakiem taka miłość na wskróś nasyca i napełnia ludzką duszę, nikt harmonijniej nie zlał w jedno i nie połączył czaru wiosennej młodej a zarazem wspaniałej i tęczowymi barwami lśniącej natury. Bo Konopnicka, z pewnością rozumiejąc wybornie Słowackiego, zmieniła motywy, rozmyślnie pojąc to samo uczucie ziemskimi pierwiastkami goryczek. Bohaterka jej nie była wprawdzie salonową, miała serce, ale miała i wady. Znała się z jaskółką, z żabką, z kwiatami, biegała po łące, zrywała róże, kochała się w księżycu. On zazdrościł jej tej przyjaźni z naturą. Jaskółka ją kocha, słońce całuje, liliowe dzwonki tulą się w sploty... Spoczęła raz senna w ustroniu drzew i kwiatów, a on zazdrościł polnemu maczkowi, że był za blizko — i wyobraził sobie całą straszną historyę zalotów natury do

ukochanej. Wreszcie słowo *kocham* padło za przykładem całej natury. Wszystko jakby sprzysięgło się na ich zgubę — więc całowali się. Ale potem nastąpiły ciężkie dni: byli zdradzeni. Pełno ocknęło się naokół złości i zawiści: żółty tulipan dygotał z gniewu, brzydka makówka sąsiadce plotkę prawiła na migi...

Tak to Konopnicka wręcz odmiennie od Słowackiego położyła nacisk raczej na dyssonanse, niż na harmonię pomiędzy człowiekiem a naturą. Tetmajer zaś traktował motyw czystej miłości z punktu filozoficznej refleksyi. Poemat jego nazwałbym chętnie szeregiem rozmyślań o idealnej miłości na łonie natury. Z tych trzech poematów — rzecz dziwna — najmniej śladów rzeczywistego przeżycia ma *Qui amant*. Mówię: rzecz dziwna, boć ten to właśnie poeta ma za sobą szereg erotyków, wcale nieidealnych. Wygląda to tak, jak żeby chciał sarkającym na jaskrawe barwy erotyków odpowiedzieć: jestem dość bogaty, stać mię i na idealny obraz miłości. Zresztą i to podnieść trzeba, że jest to właściwie filozoficzno-uczuciowa synteza miłości. Jako taka ma ona dwa rysy ujemne: za wiele rozmyślań i brak akcyi, a przytem wyraźną bierność i co za tem idzie pewną martwość natury. Przyroda opisuje się tu przedmiotowo, jako piękny ale nieczuły świadek duchowego procesu ludzkiego. To roztacza nad poematem płaszcz klasycznego spokoju, ale i chłodu, pomimo momentów rozsza-

lenia miłości. Niemniej przeto całość jest dziełem godnem talentu Tetmajera i przyjęta też była z wielkiem uznaniem. Czy czuł poeta ten chłód, wiejący od natury w *Qui amant?* Nie wiem; ale w sonetach *Na wiosnę*, tworzących jakby *pendent* do tego poematu, roztoczył gorętszy, barwniejszy, pełen życia obraz uduchowionej, poetycznej miłości. Zdaleka od ludzkiego zgiełku i mrowia w dziewiczym lesie wytryska wiosna, do cudnej kobiety podobna w tem leśnem zaciszu. Ludzki duch płynie łodzią, którą aniołowie wiosny wiodą ku świętej naturze. Rozpętały się żywioły w swej krasie, więc duch ludzki modli się do boga wiosny. Arystokraci swego »ja« i swojej woli — on i ona — idą na łono natury. Mówić będą o pięknie, o niezmiernej poezyi wszechświata. Jego nadto zajmuje dusza kobiety, która zdala od ludzkiego zgiełku i mrowiska podobna do głębokiej wody przedziwnej piękności. Ośm sonetów stanowi całość mocno zwartą. Tetmajer lubi sonet i przyznać wypada, że od czasu Mickiewicza nikt tak po mistrzowsku tego trudnego kształtu poetycznego nie opanował. Kiedy w 1898 roku *Życie* krakowskie rozpisało konkurs na sonet, przysłano dwieście pięćdziesiąt utworów, z pośród których na dwadzieścia pięć nagrodzonych, pierwszą nagrodę otrzymał Tetmajer za trzy sonety p. t. *Gwiazdy,* nieco podobne do symboliki gwiazd i kwiatów ze Słowackiego *Księcia Niezłomnego*, ale mimo śladu tego podobieństwa cenne i nagrody przysądzonej warte.

Wiele kunsztu artystycznego włożył poeta w tryptyk *Dzwony*.

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Marya pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony...

Dusza samotna idzie, niosąc swe zło i ból, klnąc swą dolę tułaczą i swe straszliwe losy. Idzie jak potępione widmo bez spoczynku i przystani. Dzwony brzmią chwałą ziemi i błękitu, a każdy ich brzęk podobny do smugi krwi. Dusza ludzka leży na polach śniegu, gdzie pustka się włóczy i Smutek i Samotnia. Aż oto bieży Śmiech; pod jego stopą śnieg syczy, pryska płomień, a Śmiech leci, pysk wilczy szczerzy — okropny, suchy, głupi Śmiech. Dzwony brzmią na chwałę ziemi, błękitu i przestrzeni... Samotna dusza nie pamięta już o bólach i nie wierzy we własną istność. Martwa patrzy na smutek, pustkę, samotnię i śmiech, słucha, jak dzwonów grzmią organy. A dzwony biją...

Dusza ludzka czuwa na śnieżnych polach: nad jej czołem księżyc rzuca zimny blask i ściga Śmiech. A dzwony biją. Księżyc świeci nad czuwającą duszą

i wzywa oczy, by szukały,
i wzywa ucho, by słuchało,
i wzywa serce, aby biło.

Wtem ukazuje się widmo śmierci. Dusza i Śmierć patrzą na siebie. Nagle zdaje się duszy, że powstaje, że w lesie słyszy hymny, że głąb złota migoce,

zda się, że pragnie życia, że wydziera z ziemi zimne głazy, zda się jej, że ślady krwi na jej rękach — to siew zbóż, że miesiąc — to ranna zorza, — i wierzy już w swą istność. Lecz czas idzie. Śmierć i dusza patrzą na siebie, zwolna z leśnej mroczy wychodzą pustka, samotnia, śmiech — a widmo śmierci odchodzi. Dusza słucha dzwonów i widzi życie swe przeżyte, widzi pracę okrytą trupim całunem, boleść niczem nieodpłaconą, mozół nikomu niepotrzebny... A klekot duszy, drewniany, głośny, twardy, pogardliwy, brzmi coraz głośniej i głuszy dzwony... Ale dzwony znów biją pozdrowienie Maryi i Chrystusa i dźwięk ich płynie nad lasy, góry, wody, wsie, torfowiska i kamieńce, nad mgły i gwiazdy.

W pustym lesie chodzi ciche Szczęście i błąka się. Dusza samotna idzie borem, za nią wloką się Osmętnice i coś jej szepcą.

Dusza wyciąga dłonie
Chciałaby objąć wszechświat cały,
Chciałaby uczuć w jego łonie
Bijące serce...

Ale w okół milczenie i nic nie rodzi się z jej serca. W lasach, na wodach, od progów nieba aż do ziemi natura bezmyślna. A w dźwiękach dzwonów powstaje wiosna, podniesienie świata, przed którym korzy się życie i natura... Tylko dla duszy dźwięk ich gaśnie i nie wróci.

Chętnie nazwałbym ten poemat nowem *credo*

Tetmajera. Różnica pomiędzy niem a dawnem *credo* niestety polega raczej na formie; istota niewiary pozostaje. To, co tam wypowiedziane po prostu i z siłą, tu spowite w pajęczą tkaninę przenośni i symboliki, napojone melancholią. Ale sens jednaki: dusza poety nie spotyka się z błądzącem gdzieś szczęściem, wiara religijna z pociechą i wzlotami ku wieczności dla duszy zakryta, pragnienie miłości dla świata zmartwiało, przyroda okazała się bezmyślną, końcowy bilans wszelkich wartości życia duszy — rozpaczliwy. Pod względem formalnym natomiast utwór, jako dzieło poezyi, należy do najpiękniejszych w twórczości Tetmajera: pełen melodyjności, uroczystej chwilami powagi, pełen przejmującego smutku, budzi nastrój, jakoby jakieś oratoryum religijne bez Boga. Słowacki w 1835 pisał: »Zastanawiam się długo nad drzewami, kwiatami, szmerem, różnymi dźwiękami natury, widzę ją z blizka błękitną albo chmurną. Raz wywyszedłszy na wielką górę, pod nogami miałem wielki parów, zarosły sosnami, bardzo ciemny, przerżnięty potokiem. Było to w niedzielę rano. Dzwon kościoła wiejskiego, nadzwyczaj głośny i ponury, napełniał całe powietrze. Cały ten obraz ożywiony był duszą dzwonu, jak ciemny poemat, w którym brzmi imię Boga«. Te same wrażenia różnic w dwóch poetycznych duszach uwydatniły: większy poeta stwierdził Boga, mniejszy poprzestał na melancholijnem zrzeczeniu się wiary.

Poemat *Podczas wiatru z Tatr* przenosi nas w sferę, w której działalność poetyczna Tetmajera najwybitniej się zaznaczyła. Ani Goszczyński, ani Pol, ani Faleński, ani Asnyk, ani Konopnicka, ani Nowicki, ani Kasprowicz, ani Wolski nie odtworzyli duszy tatrzańskiej przyrody i duszy tatrzańskich górali z taką mnogością i rozmaitością rysów, z takiem umiłowaniem i tak głęboko, jak Tetmajer. Wita i wielbi wiatr. Dumny to, nieuskromiony, pyszny żywioł. Nie oprze mu się żadna siła ludzka. Samotnym lotem po królewsku unosi się w pustynię i nie dba o tłum ludzki na dole. Wiatr górski wzniósł wzrok poety do światła, przestrzeni i ciszy, on dał poecie nieujęte uczucia, gwałtowne wrażenia, z których wybucha

jakieś poznanie takiej duchowej swobody,
że się z tego religia własna rodzi z ducha.

Widział go, jak w borze igrał ze zdźbłem trawy, jak gonił po fali bańki powietrzne, jak błądził w dymie nocnych ognisk pasterskich, jak wodził po moczarach błędne ogniki, jak unosił nad skalne zwały niebotyczne, wielkie chmury, jak zakochany w wierchach, wspinał się nad przepaściami i morzem kamieni. Śnią mu się pewnie dawne wieki, pełne wymarłych dziwów, gdy z szalejącego skwaru młodzieńczego słońca dobywały się straszne potwory. Wiatr — to struna natury, na której gra ruch, wszechbyt, czas i przestrzeń

wieczna. W jego szumie gubi się dusza, pełna melancholii.

Ale jest sen, widzenie, wiara, że tam w górze
jest jakieś odpłacenie, jakiś zwrot w naturze,
że tam, kto tu chciał kochać i szukał miłości:
znajdzie ją; kto chciał zbawiać: zbawia; kto czuł siłę
świecić wśród gwiazd: wirować będzie wśród świa-
Że może, gdy zrzucimy z siebie ciało zgniłe, [tłości;
przeistoczeni w duchy w jednej cudu chwili,
powiemy, że zdawało nam się, żeśmy żyli.

Niegdyś Shelley wielbił *chmurę,* Byron wielbił *słońce*, podobnie Tetmajer duszę swą sprzęga z górskim wichrem i na jego fali igrając, ogarnia świat. Jestto pomysłowe, oryginalne i piękne.

Jednakże w sonetach tatrzańskich zebrał Tetmajer niezliczoną ilość odcieni górskiego nieba, niezliczoną ilość szmerów górskiego powietrza, niezliczoną ilość zjawisk górskich przestrzeni i niezliczoną ilość kształtów górskich złomów skalnych. *Widok ze Świnicy do doliny Wierchcichej*, *W Białem*, *W lesie*, *O zmroku*, *Przy Morskiem oku*, *Na żelaznej drodze pod reglami*, *Motyl*, *Hala*, *Z przełęczy Mechy*, *Pod Rysami*, *W Kościeliskach w nocy*, *Z Kasprowego wierchu*, *Ciemnosmreczyński las* i w. innych poematów tatrzańskich stanowią zbiór nieporównany i jedyny w naszej opisowej poezyi XIX. wieku. Do arcydzieł należą sonety: *Hala*, *W Białem* i drugi sonet *W Kościeliskach w nocy*, a zwłaszcza skutkiem mistrzowskiego zlewu w przedziwną harmonię formy i treści, skutkiem bardzo

subtelnego upostaciowania zjawiska przyrody tatrzańskiej i skutkiem pełnej melodyi rytmiki wiersz pt. *Melodya mgieł nocnych.*

Cicho, cicho, nie budźmy śpiącej wody w kotlinie,
Lekko z wiatrem pląsajmy po przestworów głębinie...
Okręcajmy się wstęgą naokoło księżyca,
Co nam ciała przeźrocze tęczą blasków nasyca
I wchłaniajmy potoków szmer, co toną w jeziorze,
I limb szumy powiewne i w smrekowym szept borze,
Pijmy kwiatów woń rzeźwą, co na zboczach gór kwitną,
Dźwięczne, barwne i wonne w głąb wzlatujmy błękitną.

* * *

Cicho, cicho, nie budźmy śpiącej wody w kotlinie,
Lekko z wiatrem pląsajmy po przestworów głębinie...
Oto gwiazdę, co spada, lećmy chwycić w ramiona,
Lećmy, lećmy ją żegnać, zanim spadnie i skona,
Puchem z mlecza się bawmy i ćmy błoną przeźroczą
I sów pierzem puszystem, co w powietrzu się toczą,
Nietoperza ścigajmy, co pocichu tak leci,
Jak my same — i w nikłe oplatajmy go sieci,
Z szczytu na szczyt przerzućmy się, jak mosty wiszące,
Gwiazd promienie przybiją do skał mostów tych końce,
A wiatr na nich na chwilę uciszony odpocznie.
Nim je zerwie i w pląsy znów pogoni nas skocznie.

Na wzór tego prześlicznego wiersza napisał Leopold Staff swoje *Melodye zmierzchów.* Uważam utwór ten Tetmajera za arcydzieło naszej liryki. Liryka pozostaje w najściślejszym związku z muzyką; liryk, który układa pieśni, nie słysząc chociażby wewnętrznie tonów śpiewnych w sobie, nie jest lirykiem prawdziwym. Muzyka nie bywa jeno akompaniamentem poezyi lirycznej; jest ona

jej duszą, życiem i światłem. Stąd pochodzi ważność muzyki narodowej i śpiewu narodowego, stąd pochodzi, że w krajach, gdzie lud przestaje śpiewać, poeci muszą z konieczności przestać tworzyć prawdziwe poezye liryczne. Muzyka ludowa jest ogółem tonów, wyrwanych z dusz narodów przez nagłe natchnienia muzykalne. Te tony wyrwane z dusz, nazywają się motywami. Muzyka uduchownia poezyę, łagodzi w niej pierwiastek materyalny. Bez niej poezya będzie mogła dobrze przedstawić to, co jest w człowieku zwierzęcego: krzyki wściekłości, krzyki żądz, będzie mogła nawet małpować wesołość; ale nigdy nie będzie miała tej wielkości spokojnej i tych poruszeń wyniosłych i boskich, jakie się odczuwa w hebrajskiej i w niektórych ułamkach orficznej. Chłop, który orząc rolę i patrząc na słońce, znajduje nutę, nie zdając sobie sprawy z jej pochodzenia, tworzy prawdziwą poezyę liryczną. Dlatego to w całej poezyi pieśni narodowych panuje tenże spokój, taż sama religijność, jakie podziwiamy w poezyi hebrajskiej. Naodwrót poezya, oderwana od śpiewu, popadła w rozumowania i była wiedziona na pokuszenie, by się odwoływać do poziomych namiętności. Te piękne myśli o liryce wypowiedział nie kto inny, tylko Mickiewicz.[1]) Tetmajer jest prawdziwym lirykiem i chociaż niekiedy popada w retorykę, a nawet — co gorsza —

[1]) Lit. słow. 62—65. wyd. z 1868 r. t. IV.

w pozę, ale najczęściej głęboko czuje i szczerze swoje uczucia wyraża. Nieczęsta retoryczność i jeszcze rzadsza poza w jego utworach, dadzą się usprawiedliwić wielką ilością motywów, jakie obrazował. W działach liryki, któreby można ująć w kategorye: religia, życie, miłość, przyroda — wyraził mnóstwo najróżnorodniejszych myśli i uczuć tak, jak to był we wstępie do drugiego wydania I. tomu zaznaczył. Nie ulega wątpliwości, że rola jego w dziejach najnowszej liryki, jako duszy, ogarniętej mrokami zwątpień, pogrążającej się w żarach zmysłowych upojeń, szukającej prawdy, ciszy, piękna, zwłaszcza w końcowym okresie tworzenia, roztęsknionej za ideałem, rozmiłowanej w przyrodzie, że rola jego po asnykowskiej poezyi — pierwszorzędna. Że stoi na przełęczy między realizmem a modernizmem, dlatego zapewne taki w swoich motywach i uczuciach nierówny. Ale uczucia te nie są ani zmyślone ani powszednie. Uczucie dalej sięga niż myśl i rozum; człowiek czuje moc i powab uniesienia uczuciowego. Jeden obraz, jedno potrącenie prowadzi go do nieskończoności. Przypominam tu gorącą i szczerą radość, spływającą na poetę w *Godzinie tworzenia*. Może jeszcze silniej maluje ów dyonizyjski akt twórczego natchnienia w jednym ze swych romansów pt. *Zatracenie*, gdy pisze o Rdzawiczu: »Nagle dziwne uczucie ogarnęło Rdzawicza. Szalone jakieś wezbranie rozdęło mu piersi. Podniósł ręce do góry.

Potężna fala żywiołu twórczego przeniknęła mu żyły. Z podniesionych do góry rąk, z rozprężonych palców, poczęły wylatywać ognie, błyski, światła, jak fosforyzacya. Cała pracownia napełniła się rozlatującemi się, rozpryskującemi, ogromnemi iskrami. Jak wybuchy wulkanu waliły z głowy Rdzawicza fale żywiołu twórczego. Wzbierały, wzdymały się, piętrzyły i wybuchały na zewnątrz. Marmurowe pieśni, mówiące obrazy, słowa o kolorach i dźwiękach muzycznych utworzyły naokoło niego chaos i wir.« Kto tak potrafi odmalować proces twórczy, ten nie tworzył na zimno, nie bagatelizował swego talentu i nie płacił światu zdawkową jego monetą.

We formach uprawiał Tetmajer najróżnorodniejsze odmiany z wielką wprawą, niektóre, jak sonet, z mistrzowstwem. Wprowadził w obieg wiele nowych wyrazów w mniemaniu, że mu one niezbędne do wydania nastroju. Otęcz (światło naokoło księżyca), rozchwiej (wodna), przewiej (pustynna), rozwiej (niebios), zwieja (droga mleczna), zaśnież, osmętnica (wyobrażenia zadumy słowiańskiej), zwiewny, rozlotny, przesenny — wszystkie wdzięcznie się w poetycznym języku przyjęły. Stworzył mnóstwo nowych przenośni poetycznych, niekiedy śmiałych i trudnych: Słoneczne zamyślenie, błękitne zadumanie, srebrne milczenie, cisza szmaragdowa, kształt muzyki, pieśń białego ciała, »mistyczny blask tęczy śpiewa

w obłoku«, »Nad trupem krąży krzyk skróś nieba wbity«, »Z głębi jeziora do księżyca płynie melodya srebrnolica«, »W głębi lasu śród paproci szmer się w księżyca blasku złoci«, »Róże się słonią w mgłę przezgonną, jej włosy dźwięczą pieśnią wonną«, »Po muzyce wodnej śnieżne cisze stąpają zwolna i idą błękitem« i t. p. Dzięki temu liryka jego jest dotykalną, jest *visible et sensible,* jakby powiedział cytowany już Mickiewicz. Powstała w górach i słusznie górom swoim poeta tyle pięknych poświęcił poematów.

IV.

Tetmajer jako powieściopisarz.

W chwili, kiedy Tetmajer zwrócił się do powieści, tj. w 1896 r. powieść nasza XIX. wieku miała już bogatą przeszłość i przebyła pod względem formy i istoty kilka ewolucyi. W ostatniej swej fazie powieść żywo zajmowała się rozwojem myśli społecznej i narodowej, szła chętnie na rękę socyalnym zagadnieniom i zadaniom, które wydawały się potrzebą chwili. Oświata ludu, utrzymanie ziemi, rola kobiety w rodzinie i społeczeństwie, assymilacya żywiołów sennych, martwych lub wrogich, udział sfery mieszczańskiej lub kupieckiej w narodowej pracy, zdegenerowanie warstw wyższych, patryotyczne aspiracye duszy ogółu — oto kwestye, jakiemi się powieść chętnie zajmowała. Ale też

dawała ona niekiedy czyto widok wcielonego ideału narodowego w przeszłości, czy też była pochodnią, rozświetlającą mroki toru, po którym naród kroczyć ma w przyszłości. We formie zaś kreśliła typy. Każdy z powieściopisarzy: Jeż, Prus, Sienkiewicz, Orzeszkowa, pozostawił szereg typów, jak Pan Graba, Ślimak, Stary sługa, Bartek Zwycięzca, Wokulski, rycerze sienkiewiczowscy, Płoszowski, Podfilipski i w. in. We formie zawsze znaczyła dość dużo zajmująca akcya. Realizm jednak przeważał. Zaopatrywano się w bogaty materyał obserwacyjny t. z. dokumenty ludzkie i społeczne, a na tej kanwie rozsnuwano powieść. Znikły tyrady i omówienia wprost od autora dawane, znikły rzeczowe wyjaśnienia powieściopisarza o charakterach osób działających. Charakter rysował się w toku czynów. Obrazy przyrody natomiast pozostały jako piękny ornament powieści, lecz malowano je przedmiotowo. Tylko Jeż, piszący na obczyźnie i, rzecz dziwna, Prus pozostali obojętni na ojczystą przyrodę.

Obok powieści, chętnie pisano mniejsze nowele, szkice, obrazki, portrety, najczęściej tendencyjne i najczęściej smutne: rodzaj jednoaktowych dramatów.

Wówczas Tetmajer napisał swego *Księdza Piotra* i zdobył na nowelistycznym konkursie krakowskiego *Czasu* pierwszą nagrodę. Ks. Piotr Załański był rotmistrzem w rewolucyi listopado-

wej, świetnym kawalerzystą. Pełen szlacheckiej samowoli i buty, cenił niegdyś nadewszystko swój herb, swoją szablę i swój szlachecki w narodzie supremat. Gdy mu luzak Sobek, chłopak z Załan, szabli nie dopolerował lub butów na czas nie przyniósł: buch go w pysk. Ojciec, dziad i pradziad za takie same rzeczy swoich sobków: buch w pysk. Dlatego chłopak przed pierwszą bitwą uciekł, dlatego żaden chłop z Załan do Kościuszki nie poszedł, dlatego stryjecznego brata ks. Piotra w 1846 roku chłopi zasiekli. Ks. Piotr postanowił spełnić pokutę za winy ojców i swoje: postanowił jednać dusze Bogu i Polsce. Został księdzem wiejskim, otoczył się chłopami, piękną naturą i czynił dobrodziejstwa. Ale nie mógł się pozbyć ułańskiego temperamentu i choć miał lat ośmdziesiąt sześć, musztrował swego organistę Dzięgielewskiego, herbu Ozorya v. Cykorya, jak zwykł był żartobliwie staruszek trawestować. Umiera cichą śmiercią, syt życia i świadom spełnionego zadośćuczynienia za własne i rodu przewiny. Noweli sprawiedliwie dostała się pierwsza nagroda. Okraszona staropolskim humorem, bogato strojna w urocze obrazki ojczystej natury, maluje ona zacny typ patryoty księdza, a zarazem wskazuje rządzącej sferze szlacheckiej drogę ekspiacyi błędów, popełnionych względem ludu w myśl postulatu starej, lecz rozumnej maksymy Szujskiego z *Kilku prawd z dziejów naszych.* Ideowo i artystycznie należy do pereł

naszej nowelistyki, miała też kilka wydań i dotąd nie straciła swego znaczenia w literaturze. Pisała się w czasie, kiedy u nas dokonywać się zaczęło przeobrażenie w pojęciach literackich i artystycznych. Sukces osiągnięty zachęcił poetę do dalszego ciągu, ale też zwrócił go w innym kierunku.

Powołanie powieściopisarza — sarkali krytycy z obozu młodej Polski[1]) — stało się zawodem i sprowadziło wolnego twórcę do roli stałego, systematycznego fabrykanta. Coraz rzadszem zjawiskiem stawał się u nas powieściopisarz — artysta w rodzaju Flauberta lub Bourgeta, zdolny dziełu poświęcić lat kilka lub kilkanaście. Trudno spotkać dobrze zbudowaną, należycie pogłębioną, wszelkich pozbawioną zbyteczności i podpórek i artystycznie ze stylem jakimś napisaną powieść. Obniżono wymagania estetyczne, zastępując je względami redakcyi: społecznemi, politycznemi, obyczajowemi, partyjnemi, koteryjnemi — i poczytnościowemi. Mania powieściopisarska stała się szkodliwą i groźną. Co rok wychodzą setki banalnych zwierzeń, płytkich pseudoanaliz, sentymentalnych lub burszowsko-rodzajowych anekdot... Ulewa nędz odbiera czytelnikom smak, wrażliwość i wszelką oryentacyę, przyzwyczaja do powierzchownego czytania, uniezdolnia do odczuwania głębszych rzeczy. Czczość, banalność i niedołęstwo językowe, odbija się na konwersacyi...

[1]) *Chimera* t. III. str. 812.

Powieść jest poezyą — stwierdzał dalej tenże krytyk — a jako dzieło sztuki, nie służy do rozrywki; rzeczą jej nie jest wzbudzać śmiech lub łzy, udowadniać lub zbijać jakieś teorye czy doktryny, lecz — jak mówi Paul Adam — *aceroitre la viqueur de l'ésprit,* potęgować ducha, a to się dzieje, gdy powieściopisarz nie zadowoli się powierzchownem odtworzeniem jakiegoś oderwanego od całości fenomenu, lecz da odczuć całą sieć niewidzialnych nici, pasm, ogniw, dzięki którym tenże spółpulsuje z wielką jednią bytu.

Podług tej definicyi zdawało się, że jedyną racyę bytu ma powieść psychologiczna. Ponieważ zaś równocześnie w kółku berlińskiem Młodych Niemiec wielkie tryumfy święcił Stanisław Przybyszewski, jednając sobie sławę powieścią, nie należy się dziwić, że stał on się mistrzem i pierwowzorem niejednego u nas talentu powieściopisarskiego.[1]) Przybyszewski utrzymywał, że instynkty, uwolnione ze wszelkich skrępowań i tarzające się w nurtach płciowości, zrodziły sztukę,[2]) że sztuka w naszym czasie przejawia się tylko we wzajemnym stosunku płci do siebie,[3]) że akcyi żadnej powieść nie wymaga, gdyż opisuje jedynie życie duszy. Ale poza ciasnem kółkiem świadomych

[1]) Przybywski wydał w 1893: *Teteumesse* i *Vigilien;* w 1894: *Homo Sapiens, I. Ueber Bord, II. Unterwegs, III. Im Malstrom:* w 1895: *De Profundis;* w 1897: *Satans Kinder.*

[2]) *Die Synagoge des Satan.*

[3]) *De Profundis: Pro domo mea.*

stanów naszego *ja* jest ocean wewnętrzny, morze tajni i zagadek, kędy się wichrzą dziwaczne burze, kryjówki sezamu, pełne skarbów i cudów, mistyczne *mare tenebrarum*. O analizę tych właśnie stanów kusić się powinna powieść.

Tetmajer, który w liryce miłosnej okazał, z jaką finezyą umie traktować różne stany erotycznego uniesienia, postanowił w dużym powieściowym obrazie rozwinąć tezę, że i o ile miłość bywa źródłem sztuki. Dokonał tego w 1897 roku w powieści p. t. *Anioł Śmierci.*

Anioł Śmierci bardzo mało ma akcyi. Rzeźbiarz Roman Rdzawicz wraca z chwilowej wycieczki zagranicę i zastaje list swej narzeczonej Maryi Tyżwieckiej, dający mu rekuzę bez powodu, ale stanowczą i nieodwołalną. To napełnia Rdzawicza bólem do niepamięci, szalonym, rosnącym w miarę czasu coraz bardziej. Otóż cała książka jest obrazem spustoszenia, jakie dokonywa się w duchowym ustroju Rdzawicza pod wpływem niezgłębionego żalu, rozpaczy, beznadziejności i marzeń o szczęśliwych chwilach, przeżytych z Maryą. Powtóre jest książka obrazem wielkiego spotężnienia talentu i twórczości genialnego rzeźbiarza przez cierpienie. Ono staje się w myśl zdania Przybyszewskiego zdrojem twórczej potęgi. Końcowem arcydziełem Rdzawicza stał się Anioł Śmierci — naga kobieta z przodem podanym na trupie człowieka. Posągowi kobiety dał artysta głowę Maryi.

Rdzawicz — to natura do szpiku kości zmysłowa, wrażliwa i subtelnie odczuwająca, natura artystyczna, w której wprawdzie świat wyrył kodeks formułek, ale która w końcu godzi się z tem, że jej wszystko wolno, nawet deptać po sercach. Zasady i przekonania moralne Rdzawicza pod koniec gruntownej uległy przemianie. Nie było dlań nic świętego, nie widział żadnych węzłów, któreby go mogły krępować. Dla ogólnej etyki miał obojętność żelaza, które leży w wodzie.[1]) W końcu po walce wewnętrznej rozstrzaskał skończony posąg Anioła Śmierci i runął u stóp jego napół martwy w chwili, gdy żywy jego anioł Ela Rosieńska, zakochana w nim, prowadziła go na nowe życie.

Powieść daje też zarysy otoczenia, wśród którego Rdzawicz żyje i cierpi: potęguje ono jego męki i przyspiesza katastrofę lub usiłuje go ratować — bezskutecznie. Najplastyczniej wyraża się sylwetka dzielnego przyjaciela. Tężel, dobry człowiek, również artysta, skromny a pełen uwielbienia dla Rdzawicza, choć twardy w swojej szlachetności. Dusza mu się krwawi z bólu, lecz zrywa dawną przyjaźń za to, że Rdzawicz dał Aniołowi Śmierci głowę Maryi, co było niegodną geniusza zemstą. Piękną parę stanowią poeta Przerwic i jego żona Laura: ukojona, kulturalna, wytworna para małżonków. Wyborny też muzyk-

[1]) str. 377.

dyletant hr. Morski, bogacz o wysoce subtelnem poczuciu artystycznem. Zajmującą jest Heimertowa, nimfomanka, bogata, platonicznie rozmiłowana w sztuce i jej przedstawicielach. Natomiast obrzydliwa w swym niekobiecym cynizmie Strzeliska, kuzynka Maryi Tyżwieckiej. Namawia ona Rdzawicza, aby wówczas zbliżył się do Maryi, gdy ona już wydzie za mąż, a korzystając z obojętności Maryi dla męża, stał się jej kochankiem. Kobiety u nas są wedle niej »od góry do dołu« bardzo łatwe. »Jakto — pyta raz zdziwiona Rdzawicza. — Nic? Żadnego stosunku? No — to jakże pan tak może żyć? I tak marnować życie? Przecież trzeba je uprzyjemniać, jak się da tylko.[1])

Powieść obmyślona i skomponowana niezwykle starannie, napisana wprost świetnie. Rozmaitość stylu w kreśleniu portretów różnych postaci, wprawa i siła w malowaniu obrazów zmysłowej miłości i gryzącego cierpienia miłości nienasyconej, dużo subtelnej finezyi w dyalogach, każą zaliczyć ją do najlepszych zjawisk w naszej belletrystyce. Nowym rodzajem dyalogu jest tu t. z. flirt, rozmowa dwojga młodych ludzi domyślnikami niby o niczem; sypią się słowa niby nieznaczne, jak nici pajęcze, ale niemi, jak pająk muchę, oplątuje mężczyzna młode niedoświadczone serce. Podobna to gra do sztuk czarodzieja, który najpierw w zakryte karty grając okaże swoje mistrzowstwo, a później

---

[1]) str. 357.

wyjaśni je. Każdy frazes, każdy wyraz ma znaczenie podwójne, jedno własne, drugie tajemne. Rdzawicz na raucie zaczął już w rozmowie gorącej i głębokiej docierać do serca Eli Rosińskiej. Wtem nagle w tok tej rozmowy i w najgorętszym jej momencie, jak ostry zgrzyt raniący, aby siłą kontrastu tem mocniej serce zaciąć, wstawia następny dyalog:

— Państwo mają dużo sąsiedztw?

— Dużo — uprzejmie odpowiedziała panna.

Jest doskonale wychowana — pomyślał i mówił dalej:

— Szlachta w okolicy musi mieć dobre konie?

— Wyborne.

— A do wolantów czy tam się używają kuce?

Przeląkł się, bo uczuł, że było grube, ale ona odpowiedziała uprzejmie, jak pierwej:

— Czasem, ale u nas mało wogóle kucami jeżdżą, chyba dzieci.

Pobiła mnie, pomyślał i ozwał się prosto:

— Pani jest nadzwyczajnie wychowana i nadzwyczajnie mądra.[1])

Gdyby się nie uwzględniło poprzedniego dyalogu i podwójnej gry, toby się nie wiedziało, na czem polega owo wychowanie i mądrość.

Podobnie wyszukanym i finezyi pełnym jest dyalog Rdzawicza i Heimertowej.[2]) Tetmajer w tej

[1]) Str. 193.

[2]) 212—214. Ob. w tym stylu „skrzydełkowym" sceny między Poetą a Maryną w *Weselu* Wyspiańskiego.

właśnie powieści dał wzory i próby nowego miłosnego stylu, odpowiadającego towarzyskim nastrojom okresu i sposobom wyrażania miłosnych porywów. Bo rzecz to pewna, że różnym okresom sztuki i różnym falowaniom obyczajowości odpowiadają różne formy wyrażania się miłości. Z powodu niejakiego podobieństwa czasów i sposobów miłosnej walki — pozwolę sobie powołać się na zdanie niebylejakiego znawcy kwestyi H. Balzaca. Pisał on w 1846 roku w *Ubogich krewnych* o jednej z głównych swoich postaci Hulocie, starym a tragikomicznym Adonisie, co następuje: Niemłody ten człowiek, pamiętający cesarstwo i do tamtoczesnej taktyki miłosnej przyzwyczajony, nic a nic nie znał przeróżnych sposobików tegoczesnego romansowania. Obce mu były nowe skrupuły, rozmaite rozmowy, wymyślone około r. 1830, w których biedna, słaba kobieta każe się uważać za ofiarę żądzy kochanka, za siostrę miłosierdzia, opatrującą rany, za anioła, który się poświęca. Ta nowa sztuka kochania zużywa niezmiernie wiele słów ewangielicznych na dyabelskie swoje dzieło. Namiętność jest męczeństwem! Wzdycha się do ideału, do nieskończoności, obie strony chcą się stać lepszemi przez miłość. Wszystkie te piękne frazesy są tylko pretekstem do tem większej gorliwości w praktyce miłosnej. Dwa anioły, jeżeli tylko mogą, postępują jak dwa szatany.[1])

[1]) Ob. wyd. Bibliot. arcydzieł Lewentala str. 88.

Taki jest flirt w *Aniele Śmierci* Tetmajera, jako nowa sztuka kochania.

O wiele bardziej podległą wpływowi powieści Przybyszewskiego jest następny utwór pt. *Otchłań*. Fantazya psychologiczna.[1])

Płomienna miłość połączyła Maryę i Ludwika. On zrzekł się swych górnych aspiracyi, byleby jej zapewnić jaki taki dobrobyt. Został urzędnikiem we Wiedniu. Przez dwa lata na niebie ich szczęścia świeciło słońce bez chmur. Potem poznali Ryszarda Halnickiego, wielkiej inteligencyi, niezłomnej woli, szlachetnego, jak złoto. Jedynem jego pragnieniem — pracować wyłącznie dla innych: dla ludzkości? dla narodu? dla biednych? To nie dość jasne, ale dla innych. Obojętny na przydrożne pokusy, kroczy śmlałym i pewnym krokiem ku celowi. Podobny do Ludwika przed ślubem. Marya całą swą duszę oddała miłości ku Ryszardowi. Ludwik to poznał. Odtąd zaczyna się dramat. »Otchłań« jest szeregiem wybuchów duszy Ludwika, szarpanej wściekłą zazdrością, pokusami zemsty, dyktowanej przez rozpacz i ból. Jest cała rozmyślaniem niesłychanie bolesnem, aż do rozkoszy bólu sięgającem. Dochodzi do paroksyzmów ciężkich i długich omdleń: raz, drugi raz... Wyjeżdżają z Maryą nad morze i tam Ludwik przekonywa się, że Marya go nie zdradziła, że cierpi i ginie z cierpienia, ale jest ślubom swoim wierna

[1]) Warszawa. 1900.

że Ryszard nawet nie wyjawił jej swojej miłości. Otrzymują depeszę, iż się udaje do Ameryki, bo również żyć nie może, opanowany miłością ku Maryi.

Wówczas Ludwik zdobywa się na bohaterskie poświęcenie. Łudzi, że w nim wygasła miłość ku Maryi; teraz nienawidzi jej, wypędza ją od siebie. Godzi się na rozwód i przesyła przez nią list do Halnickiego. Po roku Ryszard i Marya połączyli się.

Szkic psychologiczny w rodzaju Przybyszewskiego ma karty zajmujące, silnie napisane, nawet głęboko wyczute, zwłaszcza w momentach obrazów ataku zazdrości Ludwika. Ale nagły przełom w skondensowanym procesie duchowym Ludwika mało psychologicznie prawdopodobny. Akcyi brak; zastępują ją rozwlekłe refleksye. Powieść przenosi czytelnika w sferę wyjątkowych stanów duszy, dla których trzeba mieć też wyjątkowe odczucie. Napisana zgodnie z postulatem Przybyszewskiego dla serc przeczulonych lub artystów. Jest to obszerne malowidło rzadkiej w swem natężeniu choroby duchowej, zabijającej organizm ludzki w sposób nowożytniej wyrafinowany, niż w *Otellu* Szekspira. Wielki Will atoli, ze szlachetnym rozmysłem artystycznym zgromadziwszy cienie na postaci Negra, ustawił Desdemonę w promiennem i czystem słońcu, aby na niej plamki żadnej nie można było dostrzedz. Przez to okropny dramat uzyskał nowy czar, a wyroki wyższej sprawie-

dliwości pomimo tępych losu przeznaczeń nie zostały zachwiane. Tutaj zaś pomimo wszelkich uszlachetnień, omówień i ozdobień gruntem dramatu u obu stron stały się szały zmysłowe, wiodące aż do unicestwienia organizmu, przeznaczonego do czynniejszej i pożyteczniejszej doli, niż trawienie się w śrubie zazdrości. Jedynem usprawiedliwieniem całej męki jest dodatek do tytułu: fantazya psychologiczna.

W rok potem napisał Tetmajer powieść p. t. *Panna Mery.*[1] Mery Gnieźnieńska, córka milionera Rafała, bankiera — i mamy, która całymi dniami w głębokim fotelu bezczynnie *berce son infini*, jedynaczka, pełna kaprysów i żądz zmysłowych, marzy dość bezmyślnie o zamianie swoich pieniędzy na tytuł. »Madame la comtesse Mery Zamoyska, madame la comtesse Mery Potocka — dyga przed sobą w lustrze — la princesse Mery Lubomirska, la princesse Mery Radziwiłł«... Zaczęła wabić muzyka Strzyżeckiego. Rafał kupił majętność Zagajowice i tam panna Mery raz w cieplarni odurzyła artystę. Został jej narzeczonym i był nim do chwili, aż jego opera *Róża Saronu* upadła na scenie. Wówczas dość brutalnie odepchnęła go, on zaś zrazu zemdlał, potem pojechał do Wiednia i strzelił sobie w łeb, potem wyleczony gdzieś zaginął. Panna Mery tymczasem została hrabiną Czorsztyńską, hrabia zaś za tytuł dostał ćwierć miliona

[1]) *Panna Mery.* Powieść. Warszawa 1902.

rocznego dochodu. Aż oto do Warszawy przybył jakiś muzyk Saroni i wystawił na scenie *Lilię przy dolinach*, operę, która już świat obiegła w tryumfie. Okazało się, że to Strzyżecki. Hrabina Czorsztyńska sama oświadczyła mu teraz swą miłość, sama poszła do jego mieszkania i stała się jego kochanką. Chciała z nim uciec na kraj świata, lecz on oznajmił, że jej już nie kocha i z nią nie pojedzie. Uciekł od niej do Ameryki. Ona zaś, uderzona w brutalnej scenie przez męża szpicrutą, rozwiodła się, zrazu podróżowała po Europie, później została kochanką jakiegoś eleganta we Włoszech, potem siostrą miłosierdzia, potem chciwie gromadziła skarby w swym pałacu, następnie stwarzała egzotyczny świat podzwrotnikowy w Zagajowicach, wreszcie wróciła do Warszawy, aby pozować do rzeźby Rdzawiczowi.

Powieść jest studyum pięknej kobiety nader zmysłowej, którą matka nazywa »cudaczną histeryczką«, o której sąsiedzi twierdzą, że »zupełnie zbzikowała«, którą szlachcianki nazywały »piekielnicą«. Naiwna, rozpieszczona i bezwolna tak, że wszystkim podszeptom instynktowości niewolniczo ulegała, nie usiłuje nawet walczyć z popędami. Bałwochwalczo ubóstwia pieniądz, w czem dziedziczy instynkt i spryt starego cynika, o wiele gorszego od Dra Szumana w *Lalce* Prusa. »Pan Bóg już nie potrzebuje czuwać — chełpi się Hammerschlag. My czuwamy i rządzimy: der Baron

Adalbert Rothschild in Wien, twój Papa, baron Blumenfeld, ja, Cypres, Pukeles i spółka w Warszawie. Ja, ja, es geht so. Der liebe Gott ist schlafen gegangen und hat als seinen Stellvertreter das liebe Geld gelassen.«[1]) We względzie złota nieodrodna jest panna Mery. Skutkiem swej natury lubieżnej i nie znającej żadnych skrępowań, skutkiem swego egoizmu, doprowadzającego ją do tego, że »nie kocha ani Strzyżeckiego, ani rodziców, ani dziecka — nikogo i niczego«,[2]) skutkiem swego kosmopolityzmu, wstydzi się bowiem swej narodowości a nie uznaje żadnej, skutkiem swej brutalności w chwilach wybuchów — postać to wstrętna i obmierzła. Przypomina cokolwiek Lalkę Prusa. Podobnie pojmuje świat, jako dziedzinę zabawy i rozkoszy, podobnie brak jej zrozumienia i współczucia dla ludzkiej nędzy, podobnie upaja się w samotnych siestach gabinetu. Epizodyczne figury powieści nie zasługują na uwagę. Nawet znany nam już z *Anioła Śmierci* meloman hr. Morski zagubił gdzieś znamiona swego wykwintnego wychowania, a nabył zapewne w swej wyścigowej stajni dżokiejskich manier i burszowskiego stylu. »Psiakrew! psiakrew! — wyraża swój zachwyt. — Ty, bestyo! Proszę mi pokazać takie drugie bydle!« To mają być pieszczotliwe epitety przyjaźni... Wogóle trzeba przyznać, że

[1]) str. 37.
[3]) str. 245.

autor w satyrycznem przejaskrawieniu sfery arystokratycznej pieniężnej i rodowej posuwa się za daleko, wkładając w usta jej stek ordynarnych wyrażeń, zebranych ze śmietnika i nie licujących nawet z niewybredną kulturą. Arystokracya np. mówi o Mery, »jak o klaczy wyścigowej, na na której można dużo wygrać«.[1]) Pani Łódzka syknęła w myśli o Mery, że jest »arogancka żydówka«, a Mery odwzajemniła się jej myślą, że jest »szwajcarską krową«. Albo np. dyalog Mery z mężem, hrabią Czorsztyńskim:

— Milcz, ty! — krzyknęła pani Mery.

— Ty milcz! — odkrzyknął jej Czorsztyński.

— Ty hołyszu!

— Ty żydówko!

A potem ona: hołysz, dziad, golec, żebrak... Natomiast rozmowy miłosne, t. z. flirt i tutaj bywają zręczne, dowcipne i w swej podwójnej grze wprost niekiedy świetne. Oto np. rozmowa Mery i Strzyżeckiego po jego powrocie w sławie i tryumfie. Pani Mery przypomina, że Strzyżecki jest autorem także *Róży Saronu*, natchnionej przez miłość dla niej. Teraz wysnuł z tego samego źródła *Lilię przy dolinach.*

— Tak, odpowiada Strzyżecki — ale wszystko, co czułem, wypisałem. Czy pani zna *Wolnego strzelca Webera?* — spytał z uśmiechem.

---

[1]) str. 181.

— A pan czytał powieść *Powracająca fala?* — powiedziała pani Mery wyzywająco.

— Teraz czytam *Dusze w odlocie* — rzekł Strzyżecki, powstając z miejsca, a mam ochotę przeczytać tu w Warszawie *L'enfant de volupté* — dorzucił.

— *Sen nocy letniej* — roześmiała się pani Mery pogardliwie i powątpiewająco.

— Dają go zwykle po *Burzy*, rzekł Strzyżecki, odchodząc.

Są to »słowa, słowa, słowa«, jak mówi wuj Hammerschlag, albo Maryna w *Weselu*, ale całość układa się misternie. Chybiły zaś próby dania powieści jakiegoś psychologicznego pogłębienia przez włożenie w myśli Mery kilkakrotnie strof o miłości z *Pieśni nad pieśniami*. Nie dość ona na to demoniczna ani poważna. Całe zresztą życie ujęte za powierzchownie i za jednostronnie, postać główna o profilu duchowym nieco za wązkim. Z partyi lirycznych wymienić trzeba bardzo ładnych parę kart sprawozdania z opery Lilia przy dolinach.[1])

Naogół powieść ta, jako dzieło sztuki, nie stoi na poziomie *Anioła śmierci*, jakkolwiek jednolitość kompozycyi jeszcze utrzymana, czego już nie można powiedzieć o następnem dziele p. t. *Zatracenie*.[2])

---

[1]) str. 171—177.
[2]) Warszawa 1905.

Zdaje się, że na powstanie *Zatracenia* nie mały wpływ wywarło wielkie powodzenie *Anioła śmierci*, sama bowiem powieść nie roztacza nowych widnokręgów myśli tak doniosłych, żeby ją uznać można za wypływ wewnętrznej potrzeby wypowiedzenia się u artysty. Jestto druga część *Anioła śmierci*. Rdzawicz nie zginął. Sławny już na Europę rzeźbiarz kocha hrabiankę Teresę Morską i posiada jej kryjomą wzajemność. Ale w Abazyi utrzymuje związek miłosny z panną Kamillą Naborowską z Królestwa, wolno — czy lekkomyślną, która nagli go do czynu, nazywa erotomanem i wypowiada niebrzydkie myśli o uspołecznieniu sztuki. Życie z mężczyzną nie wypełnia całej jej duszy, całego mózgu. Podług niej artysta powinien budować jutro świata. Pod jej wpływem Rdzawicz rozumuje: »Co u nas komu po widmach i upiorach? Co u nas kogo obchodzić mogą psychiczne symbole i zagadki? U nas niema czasu na wizye i fantazye. Zmuszę się pracować ze społeczeństwem, dla społeczeństwa. Zmuszę się czuć instynkt gromadzki, wspólnie myśleć, wspólnie działać. Wyklnę z siebie artystę, stanę się obywatelem, który pracuje pędzlem i dłutem. Będę się starał oddziaływać na szeroki ogół. Głupstwo wszelkie sztuki dla sztuki.«[1]) Widocznie atoli są to tylko puste słowa, gdyż ten sam Rdzawicz z tą samą Naborowską po przybyciu do Abazyi Teresy Morskiej

[1]) str. 77.

wołają pod jej oknem: »Niech żyje wolna miłość! Precz z ołtarzem i stułą! Precz ze wszystkiem, co jest zatraceniem życia.«[1]) Teresa mdleje, a potem wyjeżdża. Potem przenosi nas autor do Zakopanego. Jerzy Strzyżecki, mąż pani Laury, poeta dogorywa na suchoty. Zjeżdżają się tam znajomi nasi z *Anioła śmierci:* Ela Rosieńska, która zawsze smutna po swem niepowodzeniu z Rdzawiczem, oddaje rękę choremu na dziąsła malarzowi Łanowskiemu dlatego, że nieszczęśliwy; Leon Morski, muzyk, który i tu uprawia swój z *Panny Mery* ohydny, trywialny żargon, rozpoczynający uwielbienie słowami: a to złodziej — co?[2]) Tężel, znany z Anioła śmierci — teraz klerykał. Tu też zjawiają się i hrabianki Morskie. W czasie wycieczki do Morskiego Oka następuje porozumienie pomiędzy Rdzawiczem a panną Teresą. Po śmierci Strzyżeckiego Morskie odjeżdżają, a panna Teresa listownie obiecuje Rdzawiczowi zostać jego żoną.

Po raz trzeci akcya przenosi się do Morskich na wieś. W okolicę przybywa wielki pan książę Samuel Wiśniowiecki: ma trzysta wsi, trzydzieści miasteczek i trzydzieści milionów złr. w banku angielskim. Zakochał się na zabój w Teresie. Rodzice zmusili ją do ślubu z księciem dla interesu, pomimo jej błagań, pomimo jej choroby, pomimo jej wstrętu do księcia. Rdzawicz dowie-

---

[1]) str. 78.
[2]) str. 82.

dział się o tem z dzienników, odesłał jej list rozdarty, a sam wyjechał do Rzymu.

Po raz czwarty przenosi nas tok wydarzeń do Rzymu. Tam jeszcze raz spotkał Teresę: za kilka miesięcy stanie się ona matką; pomimo tego czyni mu bolesne i ciężkie wyrzuty, twierdząc, że popełnił na niej zbrodnię. Rdzawicz udał się do Zakopanego i rzucił się w staw Ciemnosmreczyński.

W 1896 napisał był Tetmajer w Zakopanem poemat oktawą p. t. *Pour passer le temps*. Henryk i Irena kochali się; ona jednak wyszła za piwowara Kufkego, on podążył do Włoch — i tam się ponownie spotykają. Niewymyślny ten motyw rozsnuł teraz poeta w ramach *Zatracenia*. To, co od biedy starczyło na poemacik, w aryostycznym tonie tworzony, rozwleczone na książkę rwie się w strzępy, gruntownie narażając na szwank jednolitość kompozycyi. Przenoszenie akcyi z upodobaniem, lecz bez potrzeby, w różne miasta i uzdrowiska kraju, a zwłaszcza zagranicy, stało się wprawdzie modą u niektórych dzisiejszych powieściopisarzy i nowelistów, ale to jest kiepska moda; da się ona wytłumaczyć gorączkowem zdenerwowaniem samych autorów, pościgiem za nadzwyczajnemi ramami do nieprawdopodobnych sytuacyi, ma zaś tylko jedną dobrą stronę, mianowicie tę, że młode pary, wysyłane przez autorów za granicę na miodowe miesiące swych bezślubnych związków, broją w obcych krajach, widocznie nie

czując w Polsce odpowiedniego terenu dla swych marnego gatunku uczuć i jeszcze marniejszego gatunku działań. Tak jest w *Zatraceniu*, tak w *Dziejach grzechu* Żeromskiego, tak w *Jaskółce* Daniłowskiego, tak w *Grze fal* Tetmajera, tak we wielu innych tworach dzisiejszego powieściopisarstwa. W *Zatraceniu* jest wszystko: kawałki dzienników, kopie listów, próby wspomnień, opisy wizyi, marzenia dość jałowe, dyagnozy i analizy psychologiczne. Zgoła romans jest zlepkiem fragmentów, pośród których tu i ówdzie błyśnie piękna perła, jak np. powyżej przezemnie przepisany obrazek porywu twórczego Rdzawicza. Sam Rdzawicz znacznie już duchem postarzał i stał się prawie niezajmującym. Za to nie szczędził poeta soli attyckiej w malowaniu sfery arystokratycznej. W jego mniemaniu arystokracya polska jest »jedną z najmniej kulturalnych w Europie«.[1]) Trzebaby istotnie temu orzeczeniu dać wiarę, gdyby się przyjęło za dobrą monetę takie np. cyniczne objaśnienie księżny Wiśniowieckiej, zwrócone do syna z powodu oziębłości Teresy: »głupi jesteś — każda samiczka musi się drożyć«,[2]) albo też takie porównanie poety o córkach, gotowych oddać się bogatemu ks. Samuelowi: one »grzebały ziemię nogą i żuły wędzidło« w tej gotowości.[3]) Jednakże

---

[1]) str. 70.
[2]) str. 226.
[3]) str. 200.

poważnie tego potępienia arystokracyi naszej traktować nie należy; uważać je raczej trzeba za dowód zgryźliwego humoru autora. Szkoda, że zły ów humor nazbyt się przedłużył, szkoda, że Tetmajer uznał za stosowne w tym duchu i w tym tonie napisać jeszcze w lat parę w 1908 roku książkę pt. *Z wielkiego domu.*[4]) Tom, tak zatytułowany, obejmuje także obrazki z wielkim domem w żadnym nie zostające związku, jak np. *Sen nauczyciela w Płakanowie pod Poznaniem* lub *Neftzowie*, chybaby za wielki dom uważać państwo niemieckie czy pałac króla bawełnianego w Łodzi. Niemniej *Wrażenia słuchowe nauczyciela z wielkiego domu z dodatkami, Pochód księżniczki przez ogród, W warszawskim salonie* i *Zdanie sobie sprawy* zajmują się arystokracyą, nie przynosząc zgoła zaszczytu poecie. Pierwszy utwór jest zlepkiem zapisków nauczyciela, notowanych dorywczo z nienawiścią ku swoim chlebodawcom: zarzucają one wielkiemu domowi sobkostwo i prywatę, zwyrodnienie obyczajowe w ordynarnym gatunku, fagasostwo wobec możniejszych, ucisk i ciemiężenie niższych, bezwstydną austryackość — słowem stek plugastw w najgorszym stylu. Utwór ten i inne odnośne w wyż wskazanej książce bez najmniejszego śladu talentu wprost nie kwalifikowały się do druku. Podaję tu, jako curiosum dla poparcia surowego sądu *Zdanie sobie sprawy* w całości:

[4]) Warszawa 1908.

Ja myślę — powiada hrabia —
ja myślę e — e — e,
myślę, że się wyrabia
coś złego w świecie — he?
Jakaś po prostu inwazya
z dołu się ku nam prze,
jeśli nas burżuazya
nie poprze, będzie źle.
Wszędzie się słyszy — rzekł książe —
lud, praca, wiedza, ruch;
ledwoże z jednem zdążę,
już nowe słowo: buch!
Hm — mruknął z cicha margrabia,
Hm, hm — z nim baron wraz,
Ha, ha — tak westchnął hrabia,
Phi, phi — w tenż książe czas.
Hu, hu — współ hrabia z nim wtóry —
i zamyślili się — —
widzą, że się »do góry«
coś prze — — może być źle...

To ma być poezya. Zaprawdę, najlepiejby jej było... w koszu.

W rok potem wydał Tetmajer nową powieść pt. *Król Andrzej.*[1]) Rzecz dzieje się w południowej słowiańszczyznie nad Adryatykiem. Stolica Spalato. Króluje Andrzej, strąca go jednak z tronu kapitan inżynieryi, genialny człowiek Zbigniew Polan. Zdetronizowany król z żoną, kochanką Maryśką i synem Jerzykiem ucieka do Szwajcaryi i pomimo tytułowej roli powieściowego bohatera ginie z oczu. Działa zaś dyktator Polan. Pobija

[1]) Warszawa. 1909.

armię włoską, planuje wojnę z Węgrami i Niemcami. Jednak intrygi księżniczki Metelli Teresy z rodu Zwonimirów sprawiają, że wypędzony ze Spalato, udaje się w świat szukać awantur.

Dwie są w powieści główne postacie: Zbigniew Polan i księżniczka Metela Teresa. Pierwsza postać — to jakaś dziwaczna mieszanina hrabiego Henryka z *Nieboskiej* Krasińskiego z nadczłowiekiem Nietzschego. Polan wierzy w uszczęśliwienie ludu przez absolutyzm jednostki. W jego pojęciu świat istnieje dlatego, aby od czasu do czasu zrodził się geniusz, któryby nim wstrząsał od posad, zawładał i ujarzmiał w swą niepodzielną moc dusze ludzkie. »Nie masy tworzą i nie masy wiodą świat — współwyznaje z nim autor. Dumna, królewska moc geniuszu znalazła swój wyraz ogromny — i słusznie. Arystokracya ducha jest wieczną: jest wieczną i jest potrzebną, jak suchej ziemi deszcz, jak życiu płciowemu wiosna«.[1]) Ale ten rzekomy geniusz z pogardą patrzy na ludzi. Dla niego nie istnieje zbrodnia — tylko wola uprzywiliowanego władcy ziemi; nie istnieją też wyrzuty sumienia.[2]) Jest egoistą czystej wody.

— Haha! Wisieć tak piorunem nad głowami, niech drżą, bo niewiadomo, w którą uderzy!

— Haha! kołysać się tak, jak zaraza w powietrzu, a przerażone tłumy kulą się, chcąc ujść śmierci!

---

[1]) str. 337.
[2]) str. 93.

— Haha! Jak góra pochylona grozić dolinom![1])

Marna ta osobistość nie pojmuje słów: ojczyzna, patryotyzm...

Nielepszą jest Metella Teresa. Zakrojona zrazu na sprytną działaczkę, przeistacza się z tokiem powieściowej akcyi w »ścierkę«, jak sama siebie nazywa. Żyje w nieprawym związku z Polanem, a niby kocha Marka Slawicza — anarchistę. Dla pierwszego ma ciało na zawołanie, dla drugiego — duszę. Jestto słowem w każdym celu *animal impudens*. Inne figury są zaledwie szkicowane.

Powieść, zdaje się, obliczona na niewybredne gusta i głód chwilowej senzacyi. Z ubolewaniem wyznać należy, że współzawodnictwo z Conanem Doylem oddziaływa zabójczo na talent i jest talentu niegodne. Prawda, poza senzacyjnością pomysłów jest jeszcze coś: Tetmajer w ostatnich powieściach nie szczędzi naddatku, polegającego na lubowaniu się w scenach i obrazach, nawet wyrażeniach i porównaniach, czerpanych z kroniki pornograficznej. W chwili *coup d' état,* zastają spiskowi króla w łóżku Maryśki Rybarzówny. Z jakążto satysfakcyą, z jaką pikanteryą i humorem odsłania autor sekretne drobiazgi alkowy. Podobna scena na statku między Polanem a Metellą lub w sypialni Metelli, podobnie przy opisie chłopskiego tańca. Epizody te świadczą niewątpliwie ujemnie o artyście, który posługuje się talentem i sztuką

[1]) str. 176.

dla budzenia poziomych instynktów. Nie jest też godnem prawdziwej sztuki używanie jej za środek odwetu względem niemiłych ludzi. W *Królu Andrzeju* ponadawał Tetmajer niektórym postaciom nazwiska nader przejrzyste, ośmieszając w ten sposób pisarzy żyjących, co gorsza, swoich krytyków, do których za niepochlebne recenzye żywił urazę. Nie wchodzę w analizę osobistych zatargów, mniemam atoli, że ta forma rozprawy nie ma nic wspólnego ze sztuką i nie podnosi zgoła znaczenia powieści.[1])

Za to z przyjemnością wracamy z Tetmajerem zawsze w tatrzańskie góry. To, co Chałubiński zrobił dla odkrycia tego zakątka polskiej ziemi, czego Matlakowski lub Witkiewicz dokonali w zakresie sztuki tatrzańskiej, to Tetmajer uczynił dla tatrzańskiej poezyi. Nie dość, że cudnemi barwami malował zjawiska górskiej przyrody w lirykach, nie dość, że jego np. poemat o wietrze współzawodniczy skutecznie z *Wiatrem halnym* Witkiewicza, usiłował on wierszem i prozą zobrazować niezliczoną ilość legend, podań i opowieści zwłaszcza o dawnem bohaterskiem życiu górali.

W piątym zbiorze poezyi mieszczą się trzy piękne

[1]) Bliższe szczegóły literackiej kłótni wskażą broszury Wilh. Feldmana: *Pro domo mea et pro arte*, oraz K. Przerwy-Tetmajera: *List otwarty do pana Wilhelma Feldmana*. Wsrszawa 1909. O ostatniej, drukującej się w *Nowej Reformie* powieści pt. *Gra fal* nie mówię, gdyż dotąd nie skończona.

poematy o *Janosiku*.[1]) Pierwszy poemat opowiada, jak to Janosik mścił się na dwunastu magnatach węgierskich za hańbę chłopskich dziewek, za cześć chłopskich kobiet. Zjawił się on na turnieju, który wyprawiał król dla czci córki.

Juhaską miał koszulę, przy portkach złoty sznur;
sam król dziwował mu się i z królem cały dwór.
U czapki złotych blaszek błyskotał mu się pęk,
co tylko głową ruszył, czyniła czapka dźwięk;
miał w toporzysko wbity mosiężnych kółek rzęd,
co kroczył, to zazberczał. Podkówki miał u pięt.

Walczył tylko ciupagą i odrazu z całą dwunastką. Pobił wszystkich, i dopiero gdy padł dwunasty trup, tęgo odetchnął, oparł się na ciupadze i bujny stał, jak buk — ten hetman zbójecki. A drugi poemat opowiada, jakto Janosik rozkochał w sobie kasztelankę Szalomonównę. Zrazu go nie chciała, bo był »chłopski syn z chłopskiego plemienia«, ona zaś grafa córka, lecz w końcu uległa. Ojciec kazał ją żywcem zakopać. Janosik, jak góra potężny — zleciał z burzą z Tatrów, spalił zamek, ale odkopał tylko trupa, zaniósł na szczyt staroleśny.

Nad jej ciałem wybudował granitowy dom,
z litych głazów go ułożył, kładł na złomie złom.

Kiedy zawiódł lament, grań staroleśna jękła, Tatry jęczały w mrocznej mgle. A Janosik, pogro-

---

[1]) *O Janosikowym turnieju* str. 151, *Ballada o Janosiku i Szalamonównie Jadwidze* str. 163, *Legenda o Janosikowej śmierci* str. 179.

miciel miast zeszedł z gniewem na Madziarów, jak powietrzny mór. W trzecim poemacie opowiada poeta o śmierci Janosika. W Mikułaszu radzą panowie, jakby go dostać. Chcą nań urządzić obławę, ale przed wojskiem znika, hajducy się go lękają, przytem ze złem jest w zmowie: smreka wydziera z czarnej ziemi, jak krzyknie — woda w stawach się mąci, kula się po nim skiełznie, szabla spłynie bez obrazy, sam zaś topór jego, jak żywy rąbie. Ma też Janosik władzę znikać w oczach. Tylko zdradą da się ująć. Ogłaszają tysiąc jasnych dukatów za wydanie. Janosik wtedy tańczył pod Krzywaniem u ojca Marty od Orawy. Wieść głosi, że miłuje też Hankę Bunkoszkę. Hanka zazdrości. Biegnie do Mikułaszu i obiecuje wydać. Gdy go schwytali, posłał do króla list:

Królu! nie daj mi odjąć żywota,
ja ci stanę za pułk wojska twego,
a za drugi mój topór obstoi,
a za trzeci towarzysze moi.

Żupanów prosi, aby jeszcze raz pozwolili się ucieszyć; ci jednak, nie czekając na odpowiedź króla, kazali go powiesić. Podali fajkę z macherzyną: wykurzył funt, pożegnał się rzewnie z Tatrami i zginął. Liptowowi król za wydanie na śmierć Janosika naznaczył karę: ćwierć korca cwancygierów co roku. Hanka zaś skoczyła w czeluść lodową z rozpaczy.

We wszystkich trzech poematach próbował

Tetmajer tonu i formy poezyi bohaterskiej średniowiecznej z wielkiem powodzeniem. Janosik wyrasta w niej na pełnego szlachetnych porywów mocarza, na bohatera w stylu Achillesa czy Rolanda, nie tracąc przytem rodzimej fizyonomii góralskiej. Zwłaszcza pierwsza powieść o walce Janosika z magnatami przepyszne ma brzmienie w swej rytmice i męskim rymie, jak chrzęst kowanej zbroi. Od poezyi, snutej na tle tatrzańskich podań, przeszedł Tetmajer do prozaicznej powieści o Podhalu i stworzył cykl nowel, jedyny w swoim rodzaju w naszej literaturze, objętych wspólnym tytułem: *Na skalnem Podhalu.* Siedmiotomowy cykl mieści w sobie kilkadziesiąt opowiadań. Ponieważ autorowi recenzenci insynuowali, jakoby brał je z ust ludu góralskiego, przeto niejednokrotnie zastrzega się w przedmowach, że są one wytworem jego wyobraźni; ilekroć zaś coś od ludu przejął, zaznaczył skrupulatnie w przypiskach. Zależało mu zaś zawsze na tem, aby doświadczyć, w jakiej mierze można się zbliżyć do fantazyi chłopskiej — i ten dopiero naprawdę chłopskie rzeczy pisać może, kto sam we własnym mózgu tak, jak chłop myśleć, we własnem sercu tak, jak chłop czuć potrafi. Niedość jest obserwować, trzeba umieć stać się chłopem.[1]) Nie są to zatem nie tylko powtórzenia oryginalnych powieści góralskich, ale nawet nie są waryacye na ich temat. Z tego

[1]) Przedmowa do IV. tomu str. 6.

wychodząc założenia, godzi się spytać, czy się autorowi udało stworzyć chłopa-górala? Aby na to odpowiedzieć, trzeba — o ile bogaty materyał w kilkudziesięciu ustępach, *Na skalnem Podhalu* dozwoli — skonstruować syntezę człowieka, wyobrazić typ jego uczuciowy, umysłowy i fizyczny. Przedewszystkiem atoli jedno zastrzeżenie. Poeta wyśmienicie zna Podhale; ale w okresie długiego pobytu w Zakopanem interesowało go nie dzisiejsze podhalańskie społeczeństwo, lecz dawne, czego wyraźne wskazówki znajdą się w rzewnem pośmiertnem wspomnieniu Szymka Krzysia. »Któż tak, jak ty, kochał starodawne nuty, które, według twego wyrażenia »w złoto oprawić;« któż tak, jak ty, miłował starodawne pieśni i starodawną chwałę podhalańską... Któż tak, jak ty, czuł bezwiednie, ile było Homera i jaka homeryckość była w dawnych chłopach pod halami... Któż tak, jak ty, lubił i umiał grać po staroświecku na skrzypcach«...[1]) »Staroświecki, stary, pierwotny humor wychowanych na swobodzie i w zdrowem życiu chłopów zamarł z Krzysiem w Zakopanem bodaj zupełnie.« »Cywilizacya nie przylepiła na nim ani jednego swego wytartego liczmanu, nie starła zeń ani jednej łuszczki rodnej dawnej kultury. Krzyś zanadto był wbity w pamięć o »dawnych czasach« i zanadto pierwotny, aby cokolwiek nowego i obcego doń przylgnąć zdołało.« »Wiel-

[1]) IV. 101.

kiej żywej epopei homeryckiej dawnej podhalańszczyzny ubył z Krzysiem jeden z ostatnich świadków...« »A że moje *Podhale* jest książką, w którą ja wszystko, co w Tatrach znalazłem i czułem, zamykam: więc i twojej pamięci, opowiadaczu ich homeryckiej przeszłości, grajku we wichrze urodzonych nut i śpiewaku przedwiecznych pieśni — te kilka kart poświęcam.« Pomimo końcowych słów Podhale Tetmajera jest książką nie o spółczesnej podhalańszczyźnie, lecz o dawnej w myśl tej prawdy, że zginąć musi w życiu, co ma ożyć w pieśni. Góral, opiewany przez Tetmajera, był w uczuciach swych religijnych napoły poganinem. Dziwożony mieszkały podług niego rzeczywiście powyżej Bielskich grot, dyabły funkcyonowały bezpośrednio, »cosi« było potęgą świata. Chmury gradowe sprowadzały płanetniki,[1]) śmierci tańczą na kulowej dolinie,[2]) po usypach, po dziurach, w potokach, w halach po źlebach siedziały boginki, które różne psoty ludziom czyniły, strzygonie z ludzi krew podczas snu wysysały,[3]) słowem poza człowiekiem czy obok niego żyło mnóstwo istot możniejszych odeń, lecz swawolnych, złośliwych i jeszcze dzikszych. O Bogu, Chrystusie i religii chrześcijańskiej wie góral Tetmajera mało i bardzo niedokładnie. Bóg Jakóba Zycha pozwala

---

[1]) *Jak zrobił Sobek z płanetnikiem* II 225.
[2]) *Jak tańczyły śmierci na Kulowej dolinie* II. 215.
[3]) *Dolina Podhala* II. str. 203.

grzeszyć, bo wie, że choćby kto pięćdziesiąt i sto lat »brojeł«, to za to go przecież na wieczność do piekła skazywać — niesprawiedliwie. A że księża inaczej prawią z ambony, to dlatego, że po ludzku sobie Boga wyobrażają, tak jakby np. po kociemu wyobraził sobie swego boga kot. Józek Śmaś, stary poganin, znaglony pojechał do kościoła w ciężkiej chorobie i tam w głos się spowiadał Panu Bogu, jak równy równemu. Franek Seliga domagał się od Boga, aby mu pomógł w zalotach do szlachcianki Walewskiej, a gdy niczego nie uzyskał, zemścił się przez strącenie figury. Oczywiście Chrystus jeszcze mniej wzbudza uszanowania. Nędzarz, wrzodami ropiącymi się okryty i szczuty przez ludzi, Walek Sietniak staje przed figurą Ukrzyżowanego i widzi, że On też półnagi, pokrwawiony, w cierniach na głowie. »Z Pane Jezusem jek sie dogodać nimóg — prawi. I cos On mi poradzi? Dy je taki biédok, jako i jo. Nawet gacisków niémo, a krew sie leje po Nim, jak se mnie boloki. Biéda sie takiemu o co wprosać, co nawet gacisków niémo. Kie w takiem odzieniu syn, to ta i ociec wielo więcél nie będzie miał. Zyjze se tys ta, Panie Boze, jako mozes, zyj.« Nic też i dziwnego, że taki Bartek Gronikowski modli się pobożnie i prosi Pana Boga o dwie rzeczy, żeby mu cudzą zwierzynę kraść pomagał i żeby mu dozwolił zemścić się na leśnym Dobrowolskim za to, że Dobrowolski go miał za naj-

gorszego raubszyca. Rzecz prosta — kościoła nie znają, a księży lekceważą. Dla Krzysia ksiądz był przedewszystkiem figurą, mającą gospodynią, nawet o »ojcu świętym« mówił bez osobliwego namaszczenia, a gdy Jakóbowi Zychowi proponują przed śmiercią wezwać księdza, odpowiada: — Mnie go haw nie trza. Co jo mom z pahołke gadać, kie jo wnet z samym gazdom bede gadał. Umierają też ci górale po pogańsku, grzebią ich po pogańsku i chrzczą po pogańsku. Nie chrzczono wogóle, a »kie ta już barz źle bélo, je to zaś i samy baby ukrzciełу z wody, i bélo.« Rozbójnik Sobek Jaworcarz w niedzielę oblekał się w długą po pięty Zojscyną kosulę, brał książkę do garści i odprawiał głośno pod piecem nabożeństwo, a baby klektały, aż giełcało po izbie, potem jedli i pili, bo hań u Sobka nie dostąpił odpustu nikt, jak nie przyniósł gorzałki w dzbanku, sperki albo i masła kruźlika. Odpowiednią też do wiary i uczuć religijnych miał góral Tetmajera i etykę: prawdziwie wilczą etykę. Ginęło dziecko, nikt go nie żałował, chyba że był chłopiec i miał długie palce — boby mógł dobrze owce doić. Nędzarza, ranami okrytego, Walka Sietniaka, ludzie poniewierali i rodzice wypędzili. »Było mu siedm lat, wygnali to z domu. Wrócił się. Wybili. Poszedł i znowu wrócił. Wybili znowu. Znowu poszedł i znowu wrócił. Ej, dobili tak, że czysto zdrętwiał. Kawałka skóry na nim całej nie było. Sprzecinali

gałęziami het. Naprzód go bił ino ojciec, potem go bili ojciec i matka, za trzecim razem wraz i rodzice i obaj bracia i siostra. Bili, bili — i już się nie wrócił. Wyleżał za ogrodem pół dnia, w smreczkach pół nocy i poszedł.« — Zabić człowieka — to nic, ale zabić go w sposób wyrafinowany — to dopiero rozkosz nielada. Bartek Gronikowski nie jednego już zgładził ze świata, ale dopiero wówczas rad był ze siebie, kiedy Dobrowolskiego ułowił w oklepiec na niedźwiedzia, zawlókł do wielkiego mrowiska i pozostawił na noc, że go do rana wilki i mrówki do kości ogryzły. Albo te trzy okropne *Orlice:* Wikta, Ulka i Róża. Dźgały nożami, zabijały obuchem, rżnęły po gardle, mordowały z pistoletu. Najokrutniejszą była Róża, najlepiej kradła Ulka, aż kiedy się raz dostał w ich ręce chłop rosły i bujny, każda z nich chciała go sobie przywłaszczyć i wszczęły oń walkę. Był związany i zakneblowany. Dziewki szarpały go ku sobie: jedna pod pachy, druga w pół, trzecia pod kolanami. Prawie go na kawały rozerwały. Wreszcie Róża, aby się której nie dostał, szarpnęła ciało z wysiłkiem ku sobie i z całym zamachem grzmotnęła głową strzelca o kant głazu. Jęk przeraźliwy wydarł się z pod szmaty na ustach. Naokół prysła krew i mózg... Albo nareszcie owo mordowanie powolne i systematyczne pięściami, powyrywanemi z płotów kulikami, patykami przez tłum Murzańskiego, które

ustało, kiedy już był podobny do krwawej masy. Z zazdrości o ziemię spalił Szczepan Głombik w sposób wyrafinowany Jakóba Głombika, żeby mu i koszula na grzbiecie nie została; z zazdrości o kochanka wypaliła dziewczyna swej rywalce oczy głownią. Mord, grabież, złodziejstwo cechują tego dzikusa pogańskiego. Instynkty w nim grają rozszalałe; chciwy złota, widzi je w snach, szuka po górach i pieczarach, wyprawia się po nie na Węgry, — tylko nie pracuje. Młódź za chwałę i zaszczyt ma zbójecki proceder, za zabawę uwodzicielstwo lub kłusownictwo; starzy są chwalcami i bojarzami *temporis acti*, a gdy ginąć przyjdzie — oddają dyabłu duszę. Prawda, że bez lęku. Bo do cech górala Tetmajera należy odwaga i brawura. Należy też humor doskonały, niezamącony nigdy zgryzotami duszy, chyba wówczas, gdy okoliczności oderwą od gór rodzinnych. Tak Jaworcarz w Wiśniczu miota się w tęsknocie do swobody zbójnickiej i gór umiłowanych, tak Bartek pogrąża się w zasłuchaniu głosów natury puszczańskiej w głębokie zamyślenia, tak Janosik na szubienicy zwraca tęskne oczy ku Tatrom i żegna szczegółowo każdy wierch i każdą przełęcz. Wesoły, bystry, chytry, srogi, sprawny, miłujący swobodę i góry, pełen wyobraźni, ale dziki junak posiada wszystkie znamiona Irokeza — i jak on w tej właśnie postaci na dobro świata prawie wytępiony przez t. z. przez autora »liczmany

kultury«. Niech żyje w pieśni, owszem; jednakże nikt, korzystający z potężnych dobrodziejstw kultury, nie powtórzy na wieść, że ubył życiu jeden z takich dzikusów: Szkoda cię, Krzysiu.

Inaczej przedstawi się rzecz, jeżeli spojrzymy na tomy *Na skalnem Podhalu*, jako na dzieło sztuki. Zawierają one cudowne piękności stylu i obrazowania, wydobyte i artystycznie przeistoczone z legend i podań ludu, z tego życia, które tętni taką pełnią swobody i beztroski, odwagi szalonej i zuchwałej, ciągłej junakieryi nieudanej i nieuwyuczonej, lecz naturalnej. Przyroda górska drga taką samą — rzekłbyś — rozigraną i żadnem prawem w karby nieujętą swawolą, tysiącem barw strojna, tysiącem różnych kształtów skacząca do oczu. Cóż dopiero mówić o języku! W przedmowach zwierza się poeta, że nie bez trudu i rozmysłu, z naukową prawdziwie gruntownością zdobywał sobie, przyswajał i bogacił słownictwo góralskie. A przyswoił je tak znakomicie i w takiej pierwotnej czystości, i w takiem bogactwie i rozmaitości zwrotów, że najsurowsza krytyka musi mu przyznać, iż potrafi nie tylko »we własnym mózgu jak góral myśleć, we własnem sercu, jak góral czuć«, ale że potrafił myśli te i uczucia wyrazić, jak góral o pierwszorzędnym talencie narratorskim. Co do stylu i języka dzieje literatury zapiszą nazwisko Tetmajera na podstawie książek *Na skalnem Pohalu* obok nazwisk autorów

Trylogii i *Chłopów*. Jestto zresztą epos wprawdzie chłopskie, lecz zgoła odmienne od *Nad Niemnem* Orzeszkowej lub *Chłopów* Reymonta. Tam Litwa i Mazowsze — tu góry; tam życie spółczesne — tu przeszłość; tam tendencya — tu sztuka czysta; tam prawda — tu fantazya. Można tu mówić o sympatyi lub antypatyi do tego rodzaju twórczości, nie można atoli odmówić temu zbiorowi, jako dziełu sztuki, pierwszorzędnego znaczenia. Z pewnem atoli ograniczeniem. W piątym tomie tego cyklu, zatytułowanym *Maryna z Hrubego* cała część dramatyczna i historyczna powieści chybiona tak, że wydziwić się niepodobna, dlaczego poeta jeszcze raz po niefortunnym dramacie Kasprowicza wplótł blagierską, tchórzliwą, niedołężną, obłudną postać swego Kostki w tok powieści i usiłował bezskutecznie otoczyć go jakimś nimbem wielkości i ofiary. Wszystko w tej powieści, co jest Podhalem, górami i ludem barwne, piękne, silne i zajmujące; wszystko, co stara się być historyą — jakże blade, retoryczne i robione. Nader zajmujące są obrazy wyjścia na hale bacy z juhasami, opisy zabobonów i mitologii góralskiej, takie obrazy, jak walka górala z niedźwiedziem (190—193), zupełnie chybione sylwetki szlachty i księży np. opata tynieckiego Pstrokońskiego albo opis stracenia Kostki w Podgórzu. I to wmieszanie historycznego elementu wątpliwej wartości z odległej nazbyt epoki burzliwego życia szlachty

polskiej XVII. wieku do eposu góralskiego, określonego tytułem *Na skalnem Podhalu* — wydaje się tego eposu istotną a niepożądaną skazą.

Dalszym ciągiem *Maryny z Hrubego* jest *Janosik Nędza Litmanowski.*[1]) Historya niektórych momentów z życia opryszka góralskiego — ma go odmalować w postaci obrońcy ubogich, a tępiciela wielmożów. Grasował ze swą bandą zbójecką w niesłychanie okrutny i dziki sposób po Polsce, dotkliwie cierpiącej dzięki klęskom mocnych nieprzyjaciół i wewnętrznej anarchii w połowie XVII. w. i zgromadził skarby mnogie, po dworach szlacheckich złupione, u siebie w górach niedostępnych. Aliści biskupowi chełmskiemu i administratorowi opactwa Tynieckiego przyszło do głowy, że nikt inny, tylko rozgłośnej a brutalnej sławy opryszek mógłby zbiegłego przed Szwedami Jana Kazimierza przeprowadzić ze Śląska do Polski. Jedzie tedy naiwny biskup samotrzeć do groźnego zbója, najpierw mu srodze wymyśla, następnie odpuszcza zbrodnie i błogosławi (!), a tak go poskromiwszy skłania do wyprawy przeciw Szwedom. Dzieje się to, co stokroć piękniej opisał Sienkiewicz: walka ze Szwedami w wąwozie, wybicie Szwedów przez górali i wjazd króla. Jestto jedna część *Janosika Nędzy Litmanowskiego*, przeplatana gęsto dowcipami, góralską poezyą, przypowieściami i gawędą, czasem już po tem wszystkiem, co się z sześciu

[1]) Warszawa 1911.

poprzednich tomów *Skalnego Podhala* poznało, nieco nudną. Niewątpliwie o wiele bardziej zajmująca jest historya nędzy i głodu wśród górali. Ma ona charakter nowości i dała autorowi sposobność do namalowania wielu obrazków, pełnych plastyki i siły. Oczywiście następująca wyprawa Litmanowskiego na Liptów na czele tysięcznej gromady poszukiwaczy łatwego łupu, jakkolwiek upozorowana jest zamiarem dopomożenia swojakom w biedzie i głodzie złupionem cudzem dobrem, nie jest niczem innem, jeno wyprawą łotrzyków, zakończoną na szczęście sromotną ich porażką i śmiercią Litmanowskiego, który poetycznie i wybrednie spalił się w stosie kosówek, niestety, wobec szczupłego ledwie grona admiratorów. Jakkolwiek i ta powieść ma sporo momentów tragikomicznych, jakkolwiek i tu autor, podobnie jak w *Marynie*, *Na fali*, *Z wysokiego domu*, *Królu Andrzeju*, nie krępuje się zgoła w bezwstydnych i nieprzyzwoitych obrazkach i wyrażeniach, to jednak i sama akcya ujęta w linie harmonijniejsze, a zwłaszcza spokojniejsze i nie tak wichrowate, i pośród licznych dygresyi, o ile nie rażąco naśladowane, można znaleźć wcale piękne karty. Jużci kiedy Marduła po wyjściu z rzeszowskiego więzienia obdziera dziada, aby pozyskać dla siebie ubiór, albo kiedy Litmanowski skałami z gór i drzewami wydusza Szwedów, — w tem należy się pierwszeństwo pomysłu Sienkiewiczowi. Ale tropienie i zabicie

niedźwiedzia przez dzikiego Sablika, wyzwolenie z oklepców niedźwiadka (209—10), obrazy tańców góralskich (244), a nawet opis śmierci Janosika, opisy śnieżnych opadów i wiatru halnego (64), — są to w naszej literaturze przednie malowidła, dozwalające siódmy tom *Skalnego Podhala* zaliczyć do szczęśliwszych, niż np. dwa poprzednie. Szkoda, że autor taką pocieszną rolę wyznaczył dla biskupa Stanisława Pstrokońskiego. Prawda, że się Tetmajerowi udało stworzyć *Ks. Piotra.* Były to dawne dobre czasy. Odtąd postaci księży nie udają mu się. Ks. Pstrokoński i w *Marynie z Hrubego* i w *Litmanowskim* odgrywa rolę św. Gwalberta z *Balladyny.* Czem wobec poety zawinił ten szanowny swego czasu biskup, o którym i Szczygielski i Pruszcz i Niesiecki z takiem uznaniem się wyrażają, nie wiem; wiem jednak z Niesieckiego, że rola, przypisana biskupowi w *Litmanowskim* jest historycznie mylna, gdyż Pstrokoński »podczas gwałtownych w ojczyźnie zawieruchów uchylił się za granicę Węgier, a śmierć go tam zastała w 1657«. Szkoda również, że autor uważał za stosowne dodać na końcu swej powieści »adnotacyę«. Zupełnieby się bez niej utwór najnowszy poety obszedł.

V.

Dramaty Tetmajera. Studya. Pogląd na jego twórczość.

Żadna gałęź literatury XIX. w. nie przebyła tylu zmian, co dramat. Produkcya jego olbrzymia i ciągła, żaden bowiem rodzaj nie udzielał tak odrazu sławy i uznania, a nawet żaden nie dawał tyle zysku, ile mógł dać sceniczny dramat. A jednakże mimo niezliczonej ilości talentów, które sięgały po laurowy wieniec dramatyków, wiek XIX. nie może się pochlubić geniuszem tej miary, co Sofokles, Eschil, Kornel, Kalderon, Szekspir. Ani w twórczości dramatycznej Szyllera, ani Byrona, ani Musseta, ani tłumu francuskich dramaturgów od Eug. Scribe'a do Henryka Bocka, ani Ibsena, ani Hauptmanna, ani Maeterlincka, d'Annunzia, Strindberga, Schlafa, Schnitzlera nie znaleźć arcydzieł, którymby wróżyć można na wieki trwałe uwielbienie ludzkości. Nasza literatura od okresu romantycznego marzyła o stworzeniu narodowego dramatu. Kilku niepospolitych poetów kusiło się o uświadomienie sobie warunków narodowego dramatu i usiłowało za pomocą dzieł spopularyzować poczucie jego właściwości. Mickiewicz, Krasiński, Słowacki, Szujski, Świętochowski, Przybyszewski, Wyspiański wydali pokaźny poczet dzieł niemałej wartości artystycznej. Ale poza tymi

głównymi u nas twórcami w zakresie dramatu, podąża liczna rzesza poetów w dramacie mniejszych, którym się atoli zdawało, że w każdym dziale dzięki swemu talentowi piękne tworzyć mogą dzieła. Był zwłaszcza moment, kiedy za przykładem nowych prądów w europejskiej literaturze i u nas odzywać się zaczęły nowe hasła i nowe głosy. Po dramacie psychologicznym Ibsena i dramacie ideowym Hauptmanna ukazały się próby dramatu symbolicznego Maeterlincka. Pierwszy swój utwór dramatyczny *La princesse Malcine* ogłosił ten belgijski poeta w 1889, wnet po sławnych *Serres Chaudes*. Wrażenie tej poezyi było wielkie w Europie, imię autora stało się głośnem, zaczęto go naśladować. U nas Zenon Przesmycki (Miriam) niedługo potem, bo już w 1894 r. wydał przekład kilku dramatów Maeterlincka i bardzo pięknie napisaną rzecz, pełną szczerego uwielbienia dla nowej symbolicznej poezyi. Jeszcze przedtem pojawiły się też i próby naśladowania. Do najwcześniejszych trzeba zaliczyć Tetmajera: *Mąż-poeta* (1892) i *Sfinks* (1893). Rzecz w *Sfinksie* dzieje się w wytwornie urządzonym apartamencie Matki — przed burzą. Z Matką żyją córka jej Anna i brat Anny Leon, głuchoniemy i ślepy, lecz za to nad pojęcie czułego powonienia. Anna też nerwowa, wielka wielbicielka muzyki. Leon, zdaje się, płonie ku siostrze pomimo swego kalectwa miłością. Wtem przybywa Artur Weren, syn sławnego mu-

zyka, ulubionego kompozytora Anny. Weren opowiada zajmująco o swych podróżach, Anna chciwie słucha opowieści i pomiędzy obojgiem wiąże się nić sympatyi. Zazdrość szarpie atoli serce kaleki. Kiedy wreszcie nadchodzi moment miłosnego wyznania, Leon ciężkim wazonem zabija Werena. Sam pomysł nie posiada znamion nowości. Nowe są natomiast nastroje, nie wypływające zgoła z psychologii osób działających, lecz będące szeregiem zjawisk poza człowiekiem, nawet poza zwyczajną naturą: swoją niezwykłością podnoszą te zjawiska nastroje istniejące lub wytwarzają nowe w ludzkiej duszy. Oto nocny ptak jakiś frunął koło oleandrów (str. 163), drzewa drżą w ogrodzie (164), słychać szelest roślin podwodnych w jeziorze (165), w powietrzu stłumione migotliwe dzwonienie (165), wicher gwiżdże po szklannym dachu cieplarni (177), ptaki nocne szeleszczą skrzydłami (181), ogary wyją na folwarku (184), węże budzą się w trzęsawiskach, dźwigają głowy i syczą (185), coś idzie przez ogród, nie dotykając drzew (186), w ciemnościach świecą wielkie, okrągłe, krwawo iskrzące ślepie (187)[1]) i t. d. Ale przedstawienie *Sfinksa* nie zdobyło mu trwałego uznania. Tetmajer dopiero w kilka lat, a mianowicie w 1901 r. wystawił w krakowskim teatrze nowy dramat pt. *Zawisza Czarny.*[2]) Rzecz

---

[1]) Strony wszędzie cytowane podług wydania II. seryi z r. 1894, do której dołączono *Sfinksa.*

[2]) Wystawiony 1. lutego 1901, wydany ozdobnie z rycinami Włodzimierza Tetmajera in 4⁰ w 1901 r.

dzieje się w górskiej okolicy w Polsce z końcem wieku XIV. Tłum osób. Są polscy magnaci, polska szlachta, polski lud, dworzanie, rycerze niemieccy. Zawisza Czarny, dwudziestokilkoletni bohater wsławiony niepomierną siłą i rycerską dzielnością na dworach zagranicznych, po trzechletniej nieobecności w kraju wraca do wojewody Mateusza Góry po odbiór jakiejś sumy. Po drodze spotyka bawarskiego rycerza księcia Felsburga, który wyjechał szukać rycerskich przygód, bez trudności go pokonywa, ale na słowo zwalnia z więzów i jako gościa prowadzi ze sobą. W akcie pierwszym Zawisza z Felsburgiem uczestniczą w chłopskiem weselu. Zawisza zachwycony łanem pszenicznym, kłosami żyta, zapachem pól, puszczą, cudną wsią polską, śpiewami, gościną u ludu, chlubi się trochę naiwnie całą tą idyllą przed Niemcem. Drugi akt odbywa się w zamku wojewody Góry. Zawisza zakochany w Ewie, ale w nim namiętnie i bez pamięci zakochana starsza z córek Góry Dwina. Ewa słodka i dobra, Dwina — demoniczna. Poza młodemi knuje się atoli spisek: opat Barber, Niemiec, wraz z Felsburgiem układają w porozumieniu z wojewodą odebrać Polskę Jagielle, a uczynić z niej królestwo niemieckie: w niemby Felsburg, ożeniony z Dwiną, był królem, a Barber kardynałem. Wojewoda łatwo bierze się na lep tych bardzo naiwnych kombinacyi, zbiera rokoszniczą szlachtę, lecz Zawisza gromi i rozpędza z szaloną

furyą zdradzieckie zgromadzenie — w akcie III. Zabija jednak wojewodę, Ewa z żalu rzuca się w Wisłę. Akt czwarty przenosi nas w głębokie góry. Zawisza ginie z rozpaczy po Ewie. Dopiero wid króla Bolesława Chrobrego pasuje go na swego rycerza i każe zarabiać na sławę.

Jak Wisły fale
Duch mój wiecznie płynąć będzie;
Bóg źródło wykuł w skale,
Wody nie zbędzie...
Wzbija się fala,
Spiętrza, przewala,
Rozpienia —
Jam jest rycerz z cierpienia,
Choćbym padł, orle skrzydła
Będą trupowi ciężyć,
Aż się podźwignie!

Dramat Tetmajera powstał w tych latach, kiedy to u nas kosmopolitycznemu *Confiteor* Przybyszewskiego przeciwstawił swoje narodowe utwory Wyspiański. Były to czasy tryumfów *Wesela* Wyśpiańskiego. Ale w ustroju Tetmajera w tych czasach jeszcze walczyły ze sobą dekadentyczne osady mętne z jasnymi porywami duszy. Właśnie wyszedł był czwarty tom jego poezyi, a w nim *Qui amant*, *Pieśniarz grecki*, *Szalony Faun*, wyraźnie odbijające rozdwojenie upodobań i porywów. Struktura też *Zawiszy Czarnego* ma główne następujące składniki: *a)* z odległej przeszłości na polską scenę przeniesioną sielankę: magnat na

chłopskiem weselisku,[1]) zjawi się on w *Weselu* Wyśpiańskiego w odmiennej roli i z odmiennem obliczem; *b)* w szlacheckim dworze dwie dziewczyny: dobra, tkliwa, kochająca i rozszalała posępną namiętnością — Ewa i Dwina, nowe wydanie Aliny i Balladyny; *c)* pierwszy ślad tego srogiego konfliktu między Niemcami i Polakami, jaki się niedługo rozegra partyą na Grunwaldzkiem polu — to knowania Barbera, Felsburga z jednej, Wojewody i jego popleczników z drugiej strony przeciw Jagielle. Wszystkie te trzy składniki nie łączą się w organiczną całość ze zwartością spiżu. Akt pierwszy — luźny, historyczna oprawa za mało historyczna, iżby o niej mówić warto. Sama tylko postać Zawiszy bardzo piękna, bohaterska, dzielna: nawet skłonni jesteśmy darować mu sentymentalizm za tę prawość narodowego charakteru. Boć nareszcie: czyż Wallenrod nie był sentymentalnym, gdy się żegnał z Aldoną, a choć mu z tego powodu krytyka czyniła zarzuty, nie przestał on być jednak bohaterem narodowym. Wogóle atoli już po tym dramacie — choć nie brak scen wymownych, silnych i porywających — można było stanowczo powiedzieć, że liryczny talent Tetmajera nie nadawał się do dramatu. Poetyczne słowo gra odmienną rolę w liryce i dramacie, choć nowożytny dramat miałby być lirycznym. Podczas gdy liryka pragnie w jasnych obrazach

[1]) Ob. Trylogia Sienkiewicza: Zagłoba na chłopskiem weselu.

wypowiedzieć uczucia i myśli, które głucho kipią na dnie ludzkiej głowy i serca — dramat usiłuje odtworzyć w obrazach słowa mówiącego człowieka, aby przez nie samą ludzką postać zakląć przed oczy widza. Tam przeto słowo jest narzędziem poety a jego uczucia i myśli przedmiotem, tu zaś słowo jest i narzędziem i przedmiotem reprodukcyi; tam odtwarza poeta myśli i uczucia, tu słowa. Poeta dramatyczny usilnie i sumiennie będzie tedy podsłuchiwał żywą mowę ludzi, aby się dowiedzieć, jak w niej uzewnętrznia się głąb duszy. Nie tylko, co człowiek mówi, ale i jak mówi — ważne jest. Często bowiem, gdy człowiek chce co ukryć, to jak zdradza go. Aby być dobrym dramatykiem, trzeba przedmiotowo gromadzić psychofizyologowy materył ludzki, a gdy się go zgromadzi, trzeba własne porywy namiętne podporządkować układowi ludzkiej duszy malowanej w działaniu dramatycznem. Jnaczej bowiem figura dramatyczna uzyska składniki psychologii, obcej jej charakterowi — i utraci swą żywą plastykę. Tak w *Zawiszy Czarnym* nawet najwyrazistsze dwie figury: Zawisza i Dwina nie żyją własnem życiem i nie są plastyczne. Ale *Zawisza Czarny* pomimo stron ujemnych jest najlepszym dramatem Tetmajera, nieporównanie lepszym od *Rewolucyi.*

Rewolucyę pisał poeta w Zakopanem w styczniu, lutym i marcu 1906 r. i równocześnie

drukował tak, że w połowie kwietnia wyszła; jednakże po wyjściu z powodu zbyt jaskrawych wyrażeń niektóre kartki przedrukował i wydał dopiero w czerwcu. Rewolucya jest niescenicznym poematem w pięciu obrazach, wysnutym z rozmyślań nad niesławnej pamięci rokiem 1905 w Warszawie. Obraz pierwszy — na wyspie *Młody człowiek i Młoda kobieta* rozstają się: on musi iść naprzód, w otchłanie walki, by spełnić czyn, ona zostaje. Obraz drugi daje nam poznać gronko osób, fabrykujących bomby: studenci, panny, robotnicy; wśród nich rosyjska jenerałówna ma odkupić winy dwudziestu pokoleń — łupieżców, rozbójników, siepaczy, katów, złodziei... Przybywa po nią ojciec, ona go poleca zamordować i ciało rzucić do rzeki, co się staje. Obraz trzeci — to barykada. Przesuwa się na tej barykadzie kilkadziesiąt figur ze wszystkich stanów, wszystkich zawodów i wieków, wszystkich przekonań: studenci, robotnicy, członkowie komitetów, chłopcy, wojskowi, obłąkaniec, książę, bankier, kupcy, szlachcic, hrabia, sportsman, gimnazyaliści, służące, lokaje, brzydkie i ładne, mężatki, pisarz, malarz, sklepikarz, dziennikarz, uczony, urzędnik, lekarz, polityk, ekonomista, filantrop, antymilitarysta, socyolog, psychiatra, pięknoduch, naiwny, sceptyk zawodowy, chamska dusza, kokota, żebrak, braciszek, ksiądz, drugi ksiądz, baba, ślepy, starzec, mistrz i wiele innych. Tworzy się z tego zbioro-

wiska wieża babel. Nikt rzeczywiście nie myśli ani o rewolucyi, ani o barykadzie, ani o sposobie jej obrony, tylko każda z tych kilkudziesięciu postaci wygłasza w długiej tyradzie domniemanie o tem, co nastąpi. Ponieważ uczuciem dominującem u całego tłumu wogóle i w każdej szczegółowej duszy — egoizm, ponieważ widnokrąg umysłowy każdej z tych postaci — nie wyłączając mistrza — wielce ograniczony, przeto otrzymujemy zamiast akcyi kilkadziesiąt stron pozującej na dowcip, nudnej i bezbarwnej gadaniny, która zaprawdę nie przyczynia się do spotęgowania wrażenia dzieła, ale jest zabójczą satyrą na t. z. ruch wyzwoleńczy 1905 r. w Warszawie. Obraz czwarty ma tytuł *Zwycięstwo*. Barykadę zmieciono, zwycięstwo odnieśli bandyci i wojsko rosyjskie. Ten obraz jest też jakoby rozrachunkami trzech czynników ruchu wyzwoleńczego: szczerych rewolucyjnych Polaków, grabieżców i moskali. Wobec jeneralicyi rosyjskiej tryumfującej zabija się, miotając jej słowa pogardy — jenerałówna, za nią porucznik — i te dwa rosyjskie trupy budzą w żołnierzach opór przeciw rozkazom wodzów do strzelania w tłum. W końcu przemawia z patosem mistrz, lecz przebija go obłąkaniec ze słowami:

Marzycielu!
Giń! Nie zatruwaj dusz próżnym snem
O szczęściu! i t. d.

Obraz piąty ma tytuł *Sen*. Młoda kobieta, zapewne ta z pierwszego obrazu w otoczeniu nereid, duchów, światła, ciszy, przestrzeni, Faunów, ech śni o młodym człowieku, jako bohaterze. Jawią się Apollo i Dyana. Dyana prosi Apolla, aby ze złotego rycerza i białej dziewczyny przy nim uczynił posąg. — Objektywna ocena tego poematu nie może odmówić mu, zwłaszcza w partyach obrazowych, jak część ostatnia, lub niektórych tyradach wymownej czy plastycznej wartości. Naogół atoli poemat niewątpliwie chybił. Warszawa — jako cząstka organizmu polskiego — przebywała w 1905 roku straszliwie bolesne chwile. Można o nich pisać z ironią, sarkazmem, oburzeniem, wstrętem — ale jeżeli ironia, sarkazm, oburzenie, wstręt, nie będą drgały w głębi dotkliwą, rozrywającą duszę boleścią, lecz jeżeli będą się sączyły, jak zimnej żółci wylew — to źle. Swada nie pomoże. Dość porównać dwie książki o roku 1905: *Różę* Katerli i *Rewolucyę* Tetmajera. Tamta jest satyrą, ale sama drga do głębi przejmującem wzruszeniem i nawzajem czytelnika do głębi wzrusza; ta jest satyrą, ale wylewa potoki zimnej wymowy.

Kazimierz Tetmajer zaznaczył działalność swą nie tylko w dzidzinie poezyi i powieści, lecz i w zakresie krytyki literackiej, a zwłaszcza artystycznej. W 1899 napisał był szkic p. t. *Arnold Boecklin.*[1])

---

[1]) Świeżo przedrukowany w książkowem wydawnictwie *Nowości literackich* (Warszawa 1910) w tomiku p. t. *Szkice* str. 107—140.

Studyum to napisane niewątpliwie z doskonałem wyczuciem głębi poetycznych pomysłów wielkiego poety i z niemniej doskonałem zrozumieniem kolorystycznych efektów genialnego kolorysty. Nieraz wprawdzie Tetmajer w tem studyum odwołuje się do powagi Witkiewicza, lecz to, co wysnuwa na kanwie opisów dzieł Boecklina, świadczy wielce chlubnie o zdolności analizy i o zdolności budowania na gruncie tej analizy syntetycznych wywodów. Pod każdym względem piękne to studyum. Ciekawem zaś — nie zawsze niestety trafnem — nazwać można w tym samym zbiorze zawarte studyum literackie pt. *Poeci Tatr.*[1]) Nie jest to nawet studyum, lecz szkic ulotny o kilku poprzednikach Tetmajera: Goszczyńskim, Polu, Asnyku, Nowickim, Witkiewiczu. Że Witkiewicz znalazł się w tym szeregu ze względu na *Na przełęczy*, to zrozumiałe. Ale czemu niema wśród poetów Tatr Faleńskiego, Konopnickiej, Kasprowicza i wielu innych, trudno zgadnąć. A przytem sądy Tetmajera o twórczości omawianych poetów są zbyt indywidualne, iżby mogły być prawdziwe. O Asnyku np. pisze: »powstaje szereg poematów, jak wogóle poezya Asnyka: doskonałych w formie, poważnych myślą, rzadko fantastycznych, przeważnie refleksyjnych i chłodnych, a zatem jednak zupełnie prozaicznych, a liczących się do poezyi tylko

[1]) str. 175—193.

dzięki rymom«. Nie zdaje sobie Tetmajer sprawy z tego, że w słowach końcowych tkwi obelga dla Asnyka, notabene wyrażona zupełnie bezkrytycznie, gdyż nie wyłącznie uczucie stanowi atrybut i warunek poetyczności. Tetmajer w swych krytycznych wywodach nie umie objektywnie dyskutować: nawskróś liryk entuzyazmuje się lub gniewa, z różową pochopnością podniesie na piedestał wiekuistej chwały Nowickiego czy Witkiewicza, jak pogrąży Goszczyńskiego lub Asnyka, usposobiony zresztą dla nich doskonale. Jestto krytyka impresyi, zawsze zajmująca, niekiedy zdolna porwać i przekonać, lecz nader często niesprawiedliwa i chwilowy tylko walor mająca.

Dotarlibyśmy do kresu twórczej działalności poety, dramaturga i powieściopisarza. Jakkolwiek obecnie jest on w sile wieku, to jednak ostatnie dzieła powieściowe i dramatyczne nie wróżą dobrze na przyszłość. Należy się obawiać, czy istotnie nie nastąpi powracająca fala obrazowania zmysłowych uniesień. A przytem nader źle usposabia kulturalnego czytelnika owo bezgraniczne lekceważenie artystycznej architektoniki dzieła, owa nonszalancya w wypisywaniu wszystkiego, co się pod pióro nawinie bez kontroli krytycznych czynników rozumowych, podpowiadających przecież każdemu twórcy, czy godzi się to lub owo uwieczniać, czy się nie godzi. Podobno kiedy Michał Anioł ciosał swego Mojżesza w wielkiej bryle marmuru, oczy

mu dziko płonęły, silną ręką bił młotem, a okruchy daleko pryskały. Zdawało się, że za każdym ciosem marmur w kawałki się rozsypie. Wyobraźnią widział w złomie posąg. Śmiało odrąbywał zbyteczne części, pewny, że nic od posągu nie odkruszy. Tak, lecz Michał Anioł był geniuszem i tworzył w natchnieniu. Tetmajer ostatnie dzieła tworzy, że tak powiem, od ręki — i jawią się ułomne. Niemniej przeto kończąca się oto ćwierćwiekowa [1]) działalność poety obfitą jest w owoce i poeta już teraz nie bez radości może za siebie spoglądać na drogę, którą zdobią owoce jego talentu.

Dominująca jego rola na polu poezyi przypada w latach między 1890—1900. Wówczas to po poezyi asnykowskiej obejmuje Tetmajer pierwsze skrzypce o tonie tak odmiennym od propagandy alltruizmu z *Sonetów nad głębiami.* Wszystkie żale, skargi i łzy nieukojone, wszystkie gorycze, zwątpienia i rozpacze dusz, dla których życie stało się udręką — wyśpiewał Tetmajer. A było dusz tych coraz więcej w miarę tego, jak skazy, pęknięcia i szczeliny znaczyły się w budowie materyalizmu, pozytywizmu i naturalizmu.

Oto wali się w gruzy gmach mozolnie konstruowany, a natomiast co? Nic nie widać naokół. Dusza ludzka wije się, szarpie w udręce i zwątpieniu, miotając bluźnierstwo i klątwy. Mroki przed nią

[1]) Pierwszy utwór *Illa* wyszedł w 1886 r., zatem od tej chwili w 1911 roku upływa lat dwadzieścia pięć.

zaległy, nie widzi nic, tylko czuje straszliwie swą niedolę beznadziejną, jak owe dantejskie dusze w olbrzymiej przestrzeni piekielnego przedsionka. Tetmajer wówczas stał się rzecznikiem zbiorowej duszy, piewcą bankructwa, porażonym samowiedzą własnej bezsilności. A że miał upodobanie do filozoficznych nastrojów i rozmyślań, że wypowiadał się nadzwyczaj szczerze i śmiało, bez ogródek, że władał wierszem dźwięcznym i melodyjnym, że dzięki wyobraźni plastycznej, mówił obrazowo i silnie, przeto głos jego nie szedł w pustkę: czytano go, ceniono, wiele sarkano, lecz też i chwalono wiele. Była to na niebie Polski bodaj że najjaśniej świecąca poetyczna gwiazda. A kiedy Młoda Polska wygłosiła swoje *Confiteor*, Tetmajer, sam już zresztą przeistoczony, wstąpił do jej szeregów nie jako wódz zapewne, gdyż to miejsce objął Przybyszewski, niemniej jako jeden z przodowników pierwszego szeregu. Tej przemianie literatura nasza zawdzięcza kilka dzieł trwałej wartości. W bardzo różnostronnej, bogatej i płodnej pisarskiej pracy tego poety widniała zawsze pełna cywilnej odwagi szczerość. Mówił to, co czuł i co myślał, bez kompromisów z opinią czy publiczności czy krytyki. Zrażał też ku sobie ludzi zbyt nieraz czerwoną skrajnością swoich przekonań. A że obok dzieł tak niepospolitych, jak *Qui amant, Na Anioł Pański*, *Sonety tatrzańskie, Anioł śmierci*, *Ksiądz Piotr*, *Hanka*, *Na skalnem Podhalu* zdarzały się

i słabsze, niekiedy nawet zgoła słabe, przeto i broni nie zabrakło do wykucia zarzutów przeciw poecie. Wystarczyłaby atoli tylko poezya tatrzańska Tetmajera, aby mu zapewnić w dziejach literatury poczestne miejsce. Jeślibyśmy tedy pragnęli paru słowy określić znaczenie tego autora w naszej literaturze, tobyśmy powiedzieli: śpiewak rozpaczy i zwątpienia o najdonioślejszem brzmieniu, niezrównany kolorysta przyrody tatrzańskiej i Homer tatrzańskiego eposu. We formach atoli wielokrotnie wprawdzie zależny od Słowackiego i Asnyka, ale w najlepszych swych dziełach od tego ostatniego jeśli nie wyższy melodyjnością swej rytmiki i obrazowaniem, to w każdym razie wcale nie niższy.

BIBLIOGRAFIA.

1. *Ks. Koterbski Józef.* Dekadentyzm a religia katolicka w lirykach Kaz. Przerwy Tetmajera. Tarnów 1904.
2. *Brunner Ludwik.* Szkice krytyczne. Kraków 1902.
3. *Korczak.* Asnyk i Tetmajer. Wędrowiec 131—3. 1902.
4. Rodowód Kaz. Tetmajera. Wędrowiec 23. 1902.
5. *Jellenta Cezary.* Kazimierz Tetmajer. Wrażenia. Ateneum zesz. I. str. 98 i d. 1903.
6. Epika K. Tetmajera. Przeg. Tyg. Nr. 27, r. 1903.
7. *Ig. Matuszewski.* Tyg. ill. Nr. 37. 1903.
8. *M. Zdziechowski.* Szkice literackie, t. I. Kaz. Tetmajer.
9. *Chmielowski Piotr.* Najnowsze prądy w poezyi naszej. Lwów 1901.
10. *Mazanowski Antoni.* Młoda Polska. Kraków 1901. Liryka.

11. *Feldmann.* Współczesna literatura polska. Warszawa 1903.
12. *Potocki Antoni.* Szkice i wrażenia literackie. Lwów 1903.
13. Ateneum zesz. V. (maj) 1903. Bibl. Warsz. 1904. t. III. z. 2. Przegląd Polski r. 1891.
14. *Wasilewski.* Od romantyków do Kasprowicza. Lwów 1907.

Charakterystyki literackie

pisarzów polskich.

XX.

MARYA KONOPNICKA

przez

Antoniego Mazanowskiego.



LWOW — ZŁOCZÓW
Nakładem i drukiem księgarni Wilhelma Zukerkandla.

I.

Tło społeczne i literackie w okresie dojrzewania talentu Konopnickiej.

Nie pamiętam, który z licznych krytyków działalności literackiej Maryi Konopnickiej powiedział, że mnóstwo jej utworów posiada znamiona wstępnych artykułów. »Marya Konopnicka jest poetką najbardziej społeczną ze wszystkich poetów polskich«, powiedział też nie bez słuszności M. Radosławski. W istocie, ażeby należycie zdać sobie sprawę z treści i tendencyi jej poezyi, musi się przypomnieć i te koleje, jakie przebywała umysłowość poetki przed wystąpieniem na arenę publiczną i te wpływy, jakie umysłowość poetki kształtowały po roku 1870.

Marya z Wasiłowskich Konopnicka urodziła się w Sieniątkach pod Kaliszem w 1846 r. Pierwszych nauk udzielał jej ojciec. Z tych lat dziecinnych przypomina sobie poetka charakterystyczną scenkę, dowodzącą patryotycznego kierunku wychowania. »Bratu mojemu i mnie dawał ojciec czasem do

oglądania książkę z wizerunkami marszałków Francyi. Wybieraliśmy sobie wtedy z pośród nich ulubionych bohaterów, o których sławę, wyższość, a nawet frendzle od szarfy zawzięte powstawały sprzeczki. Lannes i Massena byli ideałami brata mojego dla dzielnej miny i dla wielkich czynów. W rejestrze chwały wojennej kładł on ich zaraz po Neju, którego z koniem i bez konia przerysowywał na każdej wolnej ćwiartce papieru. Co do mnie, o wiele bardziej podobał mi się Joubert z ognistą i ciemną twarzą, oraz po republikańsku urodziwy Łazarz Hoche. Skutkiem tych różnic w opinii wywiązywały się dotkliwe szyderstwa i cierpkie przymówki o »nędznym guście kobiet«. Miałam wtedy lat dziewięć, dziesięć może, ale niemniej czułam to głęboko. W dumnem tedy milczeniu słuchałam przycinków tych czas jakiś, aż wreszcie, zaczerwieniona z oburzenia, zaczynałam krytykować guziki Masseny albo rękawice Neja — do poważniejszych zarzutów nie czułam się zdolną — i to było punktem wyjścia dla zaciętej kłótni, kończącej się wtedy dopiero, kiedy przewracając kartki z energią, nic dobrego książce nie wróżącą, trafiliśmy wypadkiem na księcia Józefa w ułańskiej kurtce, z oczyma w niebo wzniesionemi. — To mój! — wołałam wtedy z zapałem. — I mój — dodawał brat mój zamyślonym głosem. I pątrzyliśmy na bohatera naszego, przytuliwszy głowy do siebie — i tak nastawała zgoda.

Biedny chłopcze! — dodaje poetka, myśląc o śmierci brata — żołnierzu małoletni, niepożegnany na bój, niebłogosławiony! Bez wodza ty poległ, bez broni, bez chwały. Nie było tobie bohatera, za którymbyś szedł, ani konia, ani lancy ułańskiej. O mogile twej ptacy tylko wiedzą, a zna ją rosa polna, co przychodzi płakać nad samotnymi grobami«. [1])

Po nauce w domu przez czas krótki kształciła się u Sakramentek w Warszawie, gdzie kolegowała z Elizą Orzeszkową. Po wyjściu za mąż mieszkała do 1876 roku w Bronowie, lecz już od roku 1870 ogłaszała w pismach warszawskich luźne wiersze. Dopiero jednakże 1876 przybyła na stałe do Warszawy i poświęciła się wyłącznie pracy twórczej. Rozpoczęła ją od szybkiego oryentowania się w życiu zbiorowem, od uzupełnienia swego umysłowego zasobu, od spotężnienia ducha. Weszła w życie zbiorowe ówczesnej Polski z dużym zasobem energii i zapału do czynu, w pełni sił duchowych. A życie nasze biło wówczas zdwojonem tętnem. Dziesięciolecie między r. 1864 a 1876 różniło się tem od dziesięciolecia między 1831 a 1841, że naród w pierwszem z nich obudził się z martwoty wcześniej i wcześniej zaczął szukać nowych dróg dla znośnej egzystencyi wśród trudnych do zniesienia warunków. Emigracya po

[1]) Wrażenia z podróży Maryi Konopnickiej. Warszawa 1884. str. 119—120.

roku 1831 porwała w kraje obce najlepsze siły narodu, najdzielniejsze umysły. Emigracya po roku 1865 nie wyjałowiła tak dalece kraju. Pozostali mężowie niepospolici, poblicyści dużego rozumu, politycy bystrzy i dalekowidzący, którzy potrafili i sami mądrze ocenić tok wypadków, i wpływem swym wytworzyć szkołę młodych duchów, ożywionych dla społeczeństwa gorącą wolą pracy, i ruch obudzić umysłów, i zainicyować walkę idei, z której to walki, kierowanej dzielnie, natchnionej dobrem ogółu, łatwiej się mogła wyłonić prawda.

Tym, który najwcześniej począł krytycznie liczyć się z wypadkami, powołując przed forum swe różne sprawy i różnych ludzi po styczniowej klęsce, był Józef Ignacy Kraszewski. Rozpoczął on w r. 1867 wydawać *Rachunki* i wydał tych rachunków sumienia narodowego za lata 1866, 1867, 1868 tomów cztery. Były to księgi (ostatnia ma stron 1047!) krwią i łzami pisane, jak sam we wstępie zeznaje: *cum ira et studio.*

Od pewnej chwili — mówi on [1]) — w której cierpienie do najwyższej potęgi rozpłomienia naród, życie jego staje się poematem. Napróżno ostygająca cząstka stara się wyobrażenia ostudzić, tłumy wprowadzić na drogę realizmu, otrzeźwić go, oblać zimną rozwagą... atmosfera rozgorzała upaja najtrzeźwiejszych, poezya obwiewa szyderców, tłumy

[1]) Rachunki za r. 1866 str. 45—46. Dalej str. 51—52.

i wiry pociągają za sobą wszystkich, kto chce i nie chce.

I tworzą się dzieje lat ostatnich podobniejsze do marzenia, do poematu, do epopei... niż do życia na ziemi; pod ich wpływem całe pokolenia rodzą się i rosną z aureolami na czołach, z krzyżami na piersiach krwawemi, z pragnieniem męczeństw i ofiary; pod ich wpływem wszyscy znoszą na stos palącej się ojczyzny do ostatniej koszuli i do ostatniego dziecięcia.

Zaprawdę, kto historyę półwieku Polski pisać zechce piórem, zmaczanem w zimnym stoku rozwagi i rozsądku, ten napisze rzecz niezrozumianą i niezrozumiałą: w gorączce przeżyta epoka musi mieć gorączkowego historyka-poetę.

Ale oto naród, który żył pół wieku marzeniem, nagle się z niem pragnął rozbratać. Zjawisko to uważa Kraszewski za jeden z najwybitniejszych faktów lat 1860—1870. Ciekawym fenomenem jest to, że gdy młodzież pchnęła do ruchu 1863 roku, młodzież także galicyjska, prawie pierwsza poczęła po nieszczęśliwych jego skutkach odzywać się w duchu tym reakcyjnym, przebranym w miłość nauki praktycznej, *w potrzebę pracy wytrwałej a organizacyjnej*. Głosy podobne odzywają się ze wszystkich stron kraju mniej lub więcej wyraziście. Jednakże w najsilniejszy akord zlały się nawołujące do otrzeźwienia głosy dwóch partyi polityczno-społecznych, bardzo zresztą różnych pod

wielu względami, mianowicie t. zw. stańczyków w Krakowie i t. zw. pozytywistów w Warszawie. W samej Galicyi po roku 1863 wyróżniały się wybitnie dwa prądy; z nich główny zachowawczy, który wszystkie klęski Polski przypisywał Polakom samym, ich błędom i wadom, który ostro występował przeciwko konspiratorstwu i pragnął wytępić nasiona spisku doszczętnie, »ocalając cień bytu na drogach legalnych«. Właśnie powstał w Krakowie miesięcznik *Przegląd polski*, w którym wyrabiały się młode energiczne i tęgie siły, około obrony zachowawczych idei zgrupowane.

Najwybitniejszą wśród nich osobistością okazał się Józef Szujski, który niezwykłą odznaczył się ruchliwością w owych latach. W jednym tylko 1867 roku obok *Rysu dziejów literatury świata niechrześcijańskiego*, obok *Pamiętnika Gapiątkowicza* i licznych recenzyi w *Przeglądzie* wydał dramaty: *Halszkę z Ostroga*, *Królowę Jadwigę*, *Twardowskiego, Adama Smigielskiego* i *Wallasa*, oraz broszury polityczne: *List do Floryana Ziemiałkowskiego* i *Kilka prawd z dziejów naszych ku rozważaniu w chwili obecnej*. Zarówno w dramatach, jak w *Kilku prawdach* dowodzi ów niepospolity rzecznik stronnictwa zachowawczego, że jeżeli naród upadł, to z własnej winy, jeżeli powstanie, to własną pracą; dowodzi, że grzechem było nieszanowanie władzy królewskiej, występowanie przeciw religii katolickiej, uciemię-

żanie ludu; że najgorszem złem porozbiorowem było *liberum conspiro;* wreszcie radzi usilnie starać się o rozwój wewnętrzny drogą pracy organicznej przy równoczesnem lojalnem popieraniu każdorazowego rządu. Tak samo też w szeregu swych dzieł poetycznych występuje przeciw nazbyt rozbujałemu romantyzmowi, starając się uczynić poezyę — zwłaszcza dramatyczną — apostołką idei kierowniczych dla szerokich mas społecznych, tępicielką śmiałą tych wad, jakie spowodowały upadek Polski.

Podobnie jak w swej nowej poezyi unika Szujski liryzmu i rozbujania, tak w polityce domaga się pracy organicznej na legalnej drodze. Godzili się w tem z Szujskim wówczas i daleko mniej odeń konserwatywni Polacy, jakkolwiek nie bez niejakich zastrzeżeń. »Wyrzeczemy się — pisze z powodu tej broszury Kraszewski w *Rachunkach* [1]) — i *liberum veto* i *libero conspiro,* ale nigdy *liberum cogito.* Według naszego przekonania spiski nie były dobre, roboty potajemne uwłaczały godności i charakterowi narodowemu — pod rządem despotycznym jak moskiewski w razie pogwałcenia praw i przemocy jedynym środkiem było stawanie chłodne, bierne, mężne i otwarte przy prawdzie. Gdyby wszyscy Polacy zgodnie stawali przy swych prawach, nie czyniąc ustępstw, przeciw którym własne ich sumienie protestowało,

[1]) Rachunki z 1867 r. (wyd. w 1868) cz. II. str. 285—286.

gdyby sile tylko ustępowali, niezłomnie głosząc prawdę zawsze i wszędzie, potężniejszemby to było od spisków i rewolucyi«.

Równocześnie drukowały się w *Przeglądzie polskim* krakowskim listy polityczne szeregu młodych wówczas polityków, ujęte w 1870 r. wydaną książkę p. t. *Teka Stańczyka*. Korespondentami są Stańczyk, szambelan Poloniusz, trybun Sycyniusz, ex-minister Brutusik, kandydat do parlamentu Liberyusz Bankrutowicz, kobieta polityczna Aldona, właściciel apteki Optymowicz i urzędnik bankowy Trwożnicki, prezes rady powiatowej Paflagoniusz Tarapaciński, poseł sejmikowy Napoleon Bałamucki, uczony Ignorancyusz, dziennikarz Sprycimir. Autorami tego szeregu korespondencyi byli: Szujski, Stanisław Tarnowski, Stanisław Koźmian. Nie wymienia się tu osób, znanych wówczas powszechnie działaczy politycznych, lecz powłoka pseudonimowa łatwo pozwala odgadnąć istotne nazwy. Lwów nazywa się Tygrysowem, Wiedeń — Chaopolis, Florestanem — Floryan Ziemiałkowski, Deaczkiem — Franciszek Smolka, Antenorem — Agenor Gołuchowski, *Czas* nazywa się *Wiecznością, Dziennik poznański* — *Bezstronnością* itp. W szeregu tych postaci wytłómaczone są wszystkie odcienie zasad politycznych, na widownię wysunięte wszelkie stronnictwa polityczne ówczesne, wyśmiane wszelkie intrygi i zabiegi grup i indywiduów. Trybun Sycyniusz pisze: »Bezpośrednim i najbliższym

naszym celem i zadaniem nie może być nic innego, jak *pozyskanie mas*. Żeby je pozyskać, nie masz innego sposobu, jak elektryzować je bezustannie, utrzymywać, je w ciągłem oczekiwaniu czegoś, w ciągłym ruchu«. Aby trafić do mas, trzeba je chwytać za wyobraźnię, gdyż do rozumu trafi się nieprędko, do uczucia niełatwo. Niezbędne są tedy demonstracye uliczne. Na nich mowy, obietnice, krzycząca blaga...! Środkami: pochlebstwo, niesumienność, zła wiara, gonitwa za popularnością«. [1]) Aldona, wielbicielka Towarzystwa tygrysowsko-demokratycznego, obiecuje sejmowi dać votum nieufności, podpisane przez tysiące żon, matek, sióstr i kochanek. Zwoływanie meetingów niewiast polskich, zbieranie adresów, teatralne efekty patryotycznych manifestacyi — maskują krótkowidztwo i dziecinne igranie rzeczami świętemi. [2]) Optymowicz cieszy się *nieprzerwalnością powstania*, a środkami ku temu zmierzającymi są podług niego: utrzymywanie nieustającego niezadowolnienia w kraju, wykazywanie niedostateczności wszystkich mniemanych koncesyi, ciągła protestacya, bezwzględna opozycya i agitacya, która dobrze prowadzona utrzymuje sama przez się nieprzerwalność powstania. [3])

Najważniejszą atoli, streszczającą program polityczny stańczykowskiej partyi, jest *Rozmowa*

[1]) List 3 str. 15—18.
[2]) List 7 str. 36—38.
[3]) List 8 str. 40—41.

pana Piotra z panem Pawlem.[1]) Z walki rozumu z głupotą powstały dwa systemata polityczne — tak opowiada Pan Paweł. Pierwszy chce przemawiać do rozumu politycznego i uczucia obowiązku, — drugi odzywa się do wyobraźni, do sentymentalizmu, do nienawiści i do namiętności, a przedewszystkiem do ciemnoty: ten ma u nas niezaprzeczoną wyższość i częściej zwycięża. W dalszej rozmowie dwaj poważni narratorowie dają odprawę polemistom *Czasu*, *Przeglądu* i *Teki*, odpierają zarzut niepatryotyzmu, oburzają się porównywaniem *Przeglądu* z *Dziennikiem Warszawskim*, organem rosyjskim, zajmują się insynuowaniem nieżyczliwości stańczyków dla emigracyi. »My wszyscy — mówi Pan Paweł — czujemy i bóle i tęsknoty i upokorzenia wygnania, my wszyscy jesteśmy biedni, bezsilni, na łasce obcych, jak wygnańcy, my wszyscy nareszcie jesteśmy wygnańcami, marzącymi i dążącymi do lepszej przyszłości. Nie, p. Piotrze, dla prawdziwie polskiej duszy niema emigrantów, są tylko Polacy. Ale między Polakami, tak jak między Niemcami, Francuzami, Włochami, a nawet zapewne Lapończykami i Eskimosami, są ludzie rozsądni i szaleńcy, rozumni i głupi, roztropni i fanatycy, uczciwi i łajdaki, sumienni i lekkomyślni, ludzie pracy i ludzie wrzawy i hałasu, uczeni i szarlatani, jasnowidzący i zaślepieni, politycy i entuzyaści, patryoci i demagogi, Polacy

[1]) Teka str. 74—108.

i kosmopolici, ludzie przywiązani do ojczyzny i ludzie przywiązani do doktryny, ludzie praktyczni i ideolodzy, baczni i niebaczni, mężowie stanu i komedyanci, ludzie, którzy umieją korzystać z doświadczenia i ludzie, którzy nigdy z niego nie korzystają, ludzie którzy przecież czegoś się nauczyli i ludzie, którzy wszystko zapomniawszy, niczego się nie nauczyli, nawróceni i niepoprawni. Broni następnie *Przeglądu* wobec zarzutu, jakoby doradzał rządom występowania przeciw emigracyi. Wiara, że za pomocą powstania dojdzie się do Polski, jest optymizmem, a ludzie tak wierzący, są szkodliwi, jako alarmiści, podczas gdy my jesteśmy otoczeni wrogami, czyhającymi na naszą zgubę. Zjawiają się jednak wśród Polaków obok entuzyastów, szaleńców, prawdziwych i bezrozumnych patryotów w chwilach groźnych i tacy, którzy pragną korzystać materyalnie z klęsk i zamieszania. Przeciwnicy polityczni nazywają stańczyków *grabarzami* i zwolennikami *nieprzerwalności snu.* W istocie jednak *grabarzami Polski* — mówi Pan Piotr — są ci, którzy czy przez egzaltacyę, czy przez ambicyę, czy przez szał, czy przez ruchliwość, czy przez głupotę, czy przez egoizm narażają ojczyznę na klęski, na przedwczesne i nieudane powstania, którzy łechcąc wyobraźnię narodu, popychają go do nierozważnych czynów; oni to skazują go na nieprzerwalność snu, oni to już lekkomyślnem postępowaniem

skazali Litwę, Zabrane prowincye, Królestwo na *nieprzerwalność snu,* bo ściągnęli na te kraje zniszczenie, wytępienie i zemstę wrogów.[1]) Tłumacząc potrzebę tak ostrego tonu, w jakim przemawiał *Przegląd polski,* p. Paweł gani zamiar demonstracyi przeciw Austryi, jako środek utrzymania ducha polskiego. Biorą w nich udział tylko przekonani, zatem wychowawczo są one bez znaczenia; nie wypełniają też zadania przypomnienia sprawy polskiej Europie, służą tylko jako łatwa i dziecinna pociecha oswojonymi i wyuczonymi chłopami, którzy mają niby stan włościański w czasie demonstracyi przedstawiać. Naprawdę jednak demonstracye zaszczepiają moralne i polityczne wałęsanie się i odrywają od pracy, która jest kamieniem węgielnym całej naszej budowy. One budzą niesmak do codziennej, mozolnej, żmudnej a twardej pracy. Praca organiczna — to oświata. Należy energię, zużywaną na urządzanie demonstracyi, zwrócić ku oświacie. Zużytkowanie i utrzymanie instytucyi istniejących, walka przeciw próżniactwu — oto szeroka niwa do działania.

Ostremu i bezwzględnemu, jednostronnemu a nieraz niesprawiedliwemu sądowi poddaje zasady, wskazania polityczne i społeczne, nawet literackie, osobiste i religijne Zygmunt Kaczkowski w bezimiennie wydanej w 1883 roku książce p. t. *Teka*

---

[1]) Str. 86.

Nieczui.[1]) Rzecz zaczyna się w r. 1869 tj. w tym roku, kiedy *Teka Stańczyka* w listach drukowała się. Odpowiedź Nieczui ma także formę listów z nieba, a podaje rozmowy umarłych sławnych Polaków: Lelewela, Niemcewicza, Ign. Potockiego, X. Woronicza i t. d. Lelewel czytał właśnie *Tekę Stańczyka,* gdy od piekieł dał się słyszeć wielki hałas. Tak burzył się tam Jarosz Bejła (Henryk Rzewuski), wołając, że oto w Krakowie utworzyło się stronnictwo, którego hasłem: Polska jest trupem, który toczy robactwo. Zwolennicy tego stronnictwa plują w twarz patryotom, depcą nogami ofiary, które ginęły za Polskę... W tym tonie zaczyna Nieczuja swoją książkę. Uważa on stańczyków za materyalistów,[2]) przybierających postawę mężów stanu i mędrców narodu, w gruncie oderwanych od pnia społeczeństwa, bez żadnych zasad i przekonań, nabożnych w słowach, lecz nie w uczynkach, za wrzekomych stronników władzy, ale w istocie za filary przemocy, utrzymujące się przy władzy nie szacunkiem publicznym, lecz intrygami i terroryzmem. Równa ich z komunistami: jedni i drudzy zaparli się ojczyzny — i tylko ta jest pomiędzy obudwoma różnica, że kiedy ci po cudzą własność sięgają rewolwerami

[1]) Teka Nieczui. Posłanie Imć Pana Nieczui do Małych Polaków i Czerwonych Rusinów, a które też i Wielcy Polacy na czas sobie [illegible] ytać mogą dla zbudowania i dla krotochwili. Paryż 1883. T. I. [illegible]r. 304.

[2]) Zestawić polemikę Józefa Szujskiego w r. 1866 przeciwko [illegible]ryalizmowi.

i dynamitem, tamci ją wyskubują powolnie kłamstwem, podstępem i intrygami.[1]) Autor, demokrata lelewelowskiego pokroju, czyni stańczykom szereg tych wszystkich zarzutów, jakie roztrząsają tak rozumnie i spokojnie w swym dyalogu Pan Piotr z Panem Pawłem: zarzuca im tedy potępienie demokracyi, pogoń za orderami i posadami, klerykalizm kosmopolityczny, a zwłaszcza nieszczere postępowanie względem ludu. Stańczycy przyjęli nową zasadę, która się nazywa: magnaci i lud — tak mówi ksiądz Podkanclerzy (Hugo Kołłątaj) i objaśnia ją retrospektywnie w ten sposób.[2]) W przeszłości nie było magnata, który próbowałby opierać się na masach ludu wiejskiego. Dla magnatów przeszłych ludem była drobna szlachta. Ale wyzwoliła się ona z moralnej niewoli magnatów podczas Konfederacyi Barskiej. Targowica ludu nie tknęła, gdyż za świeże były wspomnienia rzezi humańskiej. Wiejski lud po raz pierwszy wystąpił na plac boju pod sztandarami Kościuszki. Wtedy też po raz pierwszy u nas zrozumiano znaczenie ludu, ale i wtedy żaden magnat nie myślał, aby go opanować dla swoich celów, bo ten lud poszedł w legiony, a któż pytał legionistę, jakiego jest herbu? To samo dziś. Różnią się w tym względzie dziś tylko ci, którym prywata leży na sercu. Ich też kłuje w oczy demokracya

[1]) Str. 45.
[2]) Str. 65 i d.

szlachecka i boją się tej demokracyi, bo to są miliony — rozumne, zacne i patryotyczne, bo są potęgą i tworzą opinię publiczną. Otóż któryś z tych magnatów, nie lubiących szlacheckiego gminu, rzucił raz kiedyś myśl, aby panowie na ludzie wiejskim się oparli, a tak zrównoważą ów gmin szlachecki, w którym widział wcieloną rewolucyę. Obiecywał on za to, że »magnaty kiedyś wstaną z wielką tęczą chorągwianą i rozpoczną wielki bój«, a natenczas »z szlachtą polską polski lud« wyswobodzi Polskę i uczyni z niej Chrystusa narodów. Stańczycy tę myśl Krasińskiego podnieśli do znaczenia politycznej zasady. Ale Nieczuja drwi sobie z tego i kuje przeciw stańczykom insynuacyę. Potrzeba im — według Kołłątaja[1]) — aby lud pozostał ciemnym i nieukształconym, ażeby się nie poczuł w swojej niezawisłości, którą mu dziś ubezpieczono prawami, ażeby nie wyrobił w sobie uczucia patryotyzmu, ofiary i poświęcenia, bo wtedy nie tylko niepodobnaby go opanować, ale nie możnaby nawet udawać, że się ma wpływy na niego. Stąd idzie, iż partya krakowska zawsze sprzeciwiać się będzie rozszerzeniu oświaty pomiędzy ludem i zakładaniu szkółek ludowych, a jeśli takie szkółki z konieczności powstawać będą, postara się je opanować i tak prowadzić, jak jej właśnie potrzeba.[2]) W dalszym zaś ciągu dyskusyi Ignacy Potocki

[1]) Str. 66.
[2]) Zestawić i porównać: *Teka Stańczyka* str. 93.

analizuje poglądy Zygmunta Krasińskiego na lud, zwłaszcza zaś na jego szumowiny, zgromadzone w obozie Pankracego i wyraża własne mniemanie: »Namby się zdało, że lud polski i ruski jest jeszcze najzdrowszą częścią naszego narodu«.[1])

Gdy tak w Galicyi wre walka o najżywotniejsze sprawy narodu polskiego, gdy w starciu odmiennych przekonań wytwarza się polityczny rozum i doświadczenie, gdy coraz jaśniej wyłania się myśl, że tylko w zlewie sił wszystkich i tylko przez wytężoną pracę u podstaw można lepszą dolę wywalczyć, w Warszawie także budzi się życie umysłowe, także zaczyna kipieć wśród waru sprzecznych sądów i zgrzytu antagonizmów, tylko że tam tło nie jest polityczne, lecz zrazu kulturalne i naukowe, a następnie społeczne, myśl bowiem polityczna wskutek skrępowań i ucisku rozwijać i kształtować się nie mogła. Dzięki założeniu *Szkoły Głównej* w 1862 roku młodzież zdała sobie sprawę z tego postępu, jaki nauka uczyniła w Europie. Z prelekcyi Henryka Struwego — jak zeznaje Piotr Chmielowski, jeden z wybitnych wychowanków tej Szkoły[2]) — dowiedziała się młodzież o burzy materyalizmu w Europie, wzniesionej przez Moleschotta, Vogta i Büchnera; z odczytu J. Plebańskiego posłyszała o nowym kierunku historyo-

[1]) Str. 77.
[2]) Zarys najnowszej literatury polskiej (1864—1897). Wyd. 4. Kraków 1898 str. 21—22.

zoficznym, inaugurowanym przez Tomasza Buckle'a w dziele *Historya cywilizacyi w Anglii.* Równocześnie przetłómaczono H. Taine'a *Filozofię sztuk pięknych.* Młodzież zapragnęła zmniejszyć przedział między nauką i życiem kulturalnem kraju i Europy, jęła się bezwzględnej i nieco bezkrytycznej propagandy nowinek zachodu, skąd wywiązała się walka *starych* z *młodymi*, jak z początku zaraz oba obozy nazwano. Spór niebawem przeniósł się na łamy czasopism, zwłaszcza gdy młodzi skupili się około *Przeglądu Tygodniowego,* założonego w 1866 r.

Młodzi odrazu zwracają się przeciwko jałowej, sentymentalnej poezyi i domagają się, aby służyła życiu i potrzebom społeczeństwa. Jan Maurycy Kamiński w odczycie *O stosunku poezyi do życia społecznego*, Eliza Orzeszkowa w *Listach o literaturze* zarzucają poezyi, że jest urną, do której w postaci mętnych łez spływają wykluczone z głów ludzkich przesądy. »Zepsuty wiek XIX, tłusty bankier, sprzedajna niewiasta, niestała kochanka, prozaiczna chemia, bluźniercza ekonomia i ...cóż więcej? Nic więcej w poezyi naszej niema. *A tłumy wojujące i tłumy uciskane i miliony jednostek ze wszystkiemi uczuciami i myślami swemi,* ze wszystkiemi tak zmiennemi kolejami swemi? A ideały cnoty, sprawiedliwości, piękności, miłości, zgody, braterstwa, przebaczenia, które jaśnieją nad ludzkością? A otchłanie pokus, a *krzywdy,* występki,

zbrodnie, zgryzoty i pokuty, otwierające się pod jej stopami? O niczem z tego nie wie tegoczesna poezya. Słusznie więc mówim do poety: O' przestań lunatykiem być i na księżyc patrzeć: nie śpij, lecz czuwaj i gdy na ulicę grodu wychodzisz lub w ściany domostw wstępujesz, szeroko otwieraj wpółsenne dotąd twe oczy, a ujrzysz krzyże, o które się pytasz, krzyże *sieroctwa i niedoli,* krzyże rozpaczy i rezygnacyi i bólów serca i zwątpień umysłu i zgryzot sumienia; ujrzysz te krzyże, a ponieważ dłoń twórcza zapaliła w twej piersi iskrę talentu, zaśpiewasz nam o tych krzyżach coś wielkiego i pięknego.[1]) Inni także nawoływali do tego, aby poeta żył ogólnem życiem, aby rozumiał potrzeby społeczeństwa, rozumiał ducha czasu, aby szedł ręka w rękę z najdroższymi interesami zarówno materyalnymi, jak duchowymi narodu. Oskarżano już nie tylko spółczesną sobie poezyę, lecz zwrócono się do romantyzmu. Franciszek Krupiński w artykule *Romantyzm i jego skutki* (Ateneum 1876) obwiniał poezyę o to, że stała się przyczyną nieszczęść, idealizując niedorzecznych zapaleńców, wichrowate głowy, zbrodnicze czyny. — W słynnym manifeście Aleks. Świętochowskiego p. t. *My i Wy* (Przegl. Tyg. 1871, Nr. 44) rzucono starym rękawicę i walka przybrała ostrzejsze zarysy a zarazem musiał się sformułować program młodych, dotąd krążący

[1]) Niwa 1873. Nr. 48.

około kwestyi takich, jak postęp, stanowisko kobiet w społeczeństwie, kwestya przemiany gatunków Darwina itp.

Nazwawszy się *pozytywistami* młodzi wzięli sobie za zadanie rozpowszechnić do najszerszych granic tę myśl, że oświata dla wszystkich jest konieczna, zbawienna; że jedynie samoistna działalność mas zdoła przynieść skutki pożądane. Ponieważ pozytywiści nie liczą na poparcie ze strony uprzywilejowanych, więc zwracają się do mas i wołają o oświatę *dla wszystkich*. W szeregu artykułów, zatytułowanych *Praca u podstaw* rozbiera się udział inteligencyi w sprawach zarządu gminy, szkółek wiejskich, kas pożyczkowych i oszczędności, oświaty i umoralnienia wsi. Obywateli wiejskich wzywano do pracy nad ludem, duchowieństwu przedstawiano obowiązek nie tylko czuwania nad duszą parafii, ale nad oświatą ludu.

Od pewnego czasu u nas weszła na porządek dzienny życia zbiorowego obok ludowej także kwestya robotnicza. Już od r. 1878 poczyna pojawiać się u nas nowy kierunek społecznej myśli, obejmując nie tylko wieś, lecz okręgi i dzielnice robotniczej ludności miejskiej. Socyalizm atoli nie znajdował z początku ani obrońców, ani licznych zwolenników. Nawet tak postępowy publicysta, jak Al. Świętochowski wykazywał ujemne jego strony, z których najgorszą był kosmopolityzm. Ale pomimo tego kwestya robotnicza weszła w kompleks

kwestyi pracy organicznej, broszury Marxa, Engelsa, Lassalle'a przekładano na język polski, w miarę potężniejącego rozwoju przemysłu fabrycznego robotnik i fabrykant, praca i kapitał stawały wobec siebie, jako dwie siły, które rosły, jak rośnie grudka śniegu w lawinę; i w rezultacie trudno było zamykać oczy na wytwarzające się nowe rzeczy położenie, spowodowane innem niż dawniej ustosunkowaniem warstw społecznych w narodzie.

Tak się przedstawiał ruch umysłowy w naszem życiu zbiorowem po 1863 mniej więcej do 1875 roku. Jak widzimy, z gmatwaniny sporów, programowych pomysłów, politycznych projektów bez względu na dzielnicę dawnej Polski: czy w Wielkopolsce, czy w Królestwie, czy w Galicyi, bez względu na różnice wyznaniowe i kulturalne autorów programów życia narodowego, bez względu na to, czy te programy tworzyli stańczycy, czy pozytywiści, czy Kraszewski, czy Szujski, czy Kaczkowski, czy Świętochowski, — wszędzie na czoło wysuwały się dwie kwestye: kwestya skupienia sił czynnych ku zbiorowej a zgodnej pracy organicznej i kwestya assymilacyi żywiołów martwych lub sennych przez społeczeństwo polskie tj. obudzenia ludu, mieszczaństwa, żydów, oraz druga, jako pilna i nieodzowna: kwestya jak najszerzej pojętej oświaty warstw, u dna społeczeństwa bytujących i zapewnienia im praw do materyalnego dobrobytu przy pomocy i przy

inicyatywie szlacheckiej inteligencyi. Na razie rozwój idei unarodowienia ludu nie szedł dalej: nie myślano do r. 1880 ani o odrębnościach tej warstwy ani o jej roli kierowniczej. Dawne hasło demokratycznej centralizacyi emigracyjnej: »wszystko dla ludu przez lud« — nie rozbrzmiewało jeszcze z późniejszą wyłącznością i siłą. Lud uważał się wciąż za cząstkę narodu, której przynależą równe z innemi częściami prawa, ale nic ponadto.

Wśród takiego ruchu umysłów, nieraz nader wartkim mknącego potokiem, wśród tych gorących i namiętnych sporów, rozjątrzeniem i ogniem nieraz płonących, dochodziła do pełni swego rozwoju nasza poetka. Od lat paru posyłała ona po r. 1870 swe poemaciki do Warszawy i drukowała w czasopismach. W 1876 r. przybyła sama i zajęła się z woli grona działaczek redakcyą tygodnika, poświęconego sprawom kobiecym p. t. *Świt* w duchu postępowym. Równocześnie wchłaniała nowe prądy, kształciła się w szybkiem tempie, pisała coraz więcej, mężniała pod względem twórczym. Na pierwszych jej utworach znać wprawdzie niemały talent, lecz znać niemniej duży wpływ poezyi romantycznej. Pierwiastek uczuciowy tętnił w pierwszych poematach odrazu silnie, forma okazywała się łatwą i poprawną, lecz zależność w pomysłach od koryfeuszów wielkiej poezyi biło w oczy.

II.

Romans wiosenny. Z gór. Obrazki. Pieśni sielskie.

W r. 1877 w czerwcowych zeszytach Tygodnika illustrowanego ukazał się poemat Konopnickiej p. t. *Romans wiosenny.*

Treść. *Zobaczył ją w maleńkim dworku, zgubionym w zieleni drzew, a stało się to na początku wiosny. Ona nie była ani piękną ani salonową. Była kobietą z sercem i z wadami, lubiła kwiaty, ptaszki, biegała na łąkę rwać dzwonki, miewała dużo róż w ogrodzie, kochała się w księżycu. Miała wady. Była zmienna, płocha i niecierpliwa. Raz smuci się nad czemś, to znów ociera oczy i leci róże otrząsać z rosy. Nie strzegła jej zbroja zwyczajów i konwenansów. Przez krzaki jeżyn, leszczyny i tarnie ciągnęła go, aby pokazać gniazdo pliszki; załamywała ręce, nie słysząc żabki zielonej, albo znów wieczorem pod niebem gwiaździstem, cicha, tłómaczy myśl spojrzeniem i trzyma swą rączkę w jego dłoni. Tak rozpoczęła się miłość. Od początku ziemi nie było takiej drugiej wiosny: kwiecistej, wonnej, tęsknej i pełnej miłości. Co rana motylki nowe tryskały rojami; co wieczór rzeczka kradła księżycowi srebro i kryła je w swoje zakręty; słowik rozkochany lał płomienne pienia. On szedł podsłuchać, o czem marzy senna i z czem się przebudzi: ze łzą czy z uśmiechem? A gdy ujrzał tuż przy niej polny maczek — krew w nim z zazdrości zawrzała. Zerwał gniewnie rywala i zdeptał. Zazdrościł tego jej zbratania z naturą, zazdrościł, że jaskółka ją kocha, słońce całuje, liliowe dzwonki tulą się w sploty. Nareszcie słowo „kocham“ padło za przykładem całej natury. I byli szczęśliwi. Cóż, kiedy wszystko sprzysięgło się na ich zgubę. Choć*

świat zapomniał o nich i byli samotni, to jednak zostali zdradzeni.

Raz »wieczorny powój się rozchyla
I pokazuje śpiącego motyla.
Czy tylko spał on? Och, bardzo być może,
Iż psotnik wybrał to błękitne łoże,
Aby podsłuchać, co też mówi dwoje?
Poranek sprawdził nasze niepokoje.

Zdrajca motyl rozniósł wieść o ich miłości po ogrodzie, stokrocie przekazały ją wietrzykowi, wietrzyk trzcinie, a stamtąd rój muszek zaniósł do ludzi. Wówczas

Pełno się wokół ocknęło zawiści.
Żółty tulipan uniósł się z łodygi
I całem z gniewu zadygotał ciałem...
Brzydka makówka, co nie miała liści,
Sąsiadce plotkę prawiła na migi...

On zaś marzył, że gdzieś daleko obok cichego ogniska we dwoje chleb czarny jedli z uśmiechem a szczęście ich przestało być grzechem. I znikło szczęście, a dusza zraniona i chora, pamiątek pełna i tęsknoty, zwraca się do wieczornych wspomnień, łaknąc ukojenia pieśniami.

Ocena. W literaturze naszej wieku 19. nie pierwsza to sielanka. Pomijam oczywiście odmiennej natury *Wiesława.* Już jednak poezya romantyczna uzyskała w *Rusałkach* Zaleskiego prześliczny pierwowzór poematu o rodzącej się w sercu miłości na tle wiosennego rozkwitu przyrody. Ani jednak Zaleski Bohdan, ani później Gaszyński Konstanty w swej *Sielance młodości,* ani H. Sienkiewicz w swej *Sielance,* ani Kazimierz Tejmajer w *Qui amant* nie zdołali w tak subtelny sposób wyrazić czaru wio-

sny w przyrodzie i wiosny w młodych zakochanych duszach, jak Słowacki w poemacie p. t. *W Szwajcaryi.* Znane są pomysły krytyków, dotyczące tego poematu. Jedni twierdzili, że jest on odbiciem miłości Słowackiego ku Maryi Wodzińskiej, inni utrzymywali, że w nim wyraz swój znalazła jakaś przelotna miłostka Słowackiego i jakiejś góralki, jeszcze inni domyślali się, że poemat jest allegoryą a jego bohaterka jest muzą poezyi. Nie wdając się atoli w odczytywanie i odgadywanie tego, co nie istniało i do czego niema danych, stwierdzić trzeba, że poemat Słowackiego maluje cudnie pierwszą miłość i jej duchowe niewysłowione rozkosze, które natura dzieli z człowiekiem.

Słowacki w czasie powstania poematu w Szwajcaryi w 1835 r. (przyjmujemy bowiem tę datę powstania, jako najwięcej prawdopodobieństwa mającą) obserwował dziwną harmonię, rozlaną w naturze i myślał o niej dużo i często, przystosowując do harmonii tej rozmaite kształty zwaśnień i wirów w ludzkiem życiu. Poemat *W Szwajcaryi* jest właśnie odzwierciedleniem tej harmonii w zespole z momentem takiejże w życiu ludzkiem na tle życia natury. Niezwykłem czuciem poetycznem Konopnicka odgadła taką intencyę wielkiego poety; nie tylko jednak odgadła, lecz potrafiła ją oryginalnem ożywić tchnieniem, nakładając na obraz świeże barwy zazdrości kochanka ku przyrodzie,

miłośnie chylącej się ku jego kochance — i nawzajem: zazdrości przyrody ku wyłącznemu uczuciu dwojga zakochanych. Tego ujęcia brak poematowi Słowackiego, a przyznać należy, że nie jest ono bez wdzięku i nie jest bez dowcipu. Wszystko się w pewnej mierze uduchawia w myśl owego orzeczenia Malczewskiego:

Step, koń, kozak, ciemność — jedna dzika dusza.

We formie zaś poemat Konopnickiej był — jak na początkującą poetkę — wprost doskonały. Technika wiersza prawie mistrzowska, w rytmice i w rymach bez zarzutu; obrazy, prawda, bez skrupułu zapożyczane od mistrza — Słowackiego, tu i owdzie całe wiersze dosłownie przepisane; niemniej przeto łatwość toku wierszowego, łatwość i poprawność rymu, bogactwo słownictwa, niejednokrotnie nowe sploty obrazów, bardzo rzadkie utykanie w porównaniach i poetyczności ich, — świadczyły niewątpliwie o zjawieniu się nowego dużego talentu. Oto np. ujemna pod względem poetycznym refleksya krytyczna:

Pomiędzy tłumem obojętnym sami
Doszliśmy prędko do czarownej chwili,
Kiedy się dwoje rozmawia oczami,
Chociaż się żadne z nich nigdy nie sili
Na tę rozmowę wymownej źrenicy.

Niezawodnie krytyczna myśl w końcowych dwóch wierszach wyrażona psuje poetyczne wrażenie. Oto np. porównanie złe:

Rojami barwnemi
Co ranek nowe tryskały motylki,
Świecąc, jak *drogie brylantowe szpilki.*

Niezawodnie wprowadzenie tu przedmiotu z konfekcyi damskiej, acz brylantowego, jest za grube i niepoetyczne.

Ale to są rzadkie i wyjątkowe szczególiki. Całość czyniła wrażenie wyborne.

Zjawienie się nowego talentu witał z Ameryki Sienkiewicz, zachwycony utworami Konopnickiej. Głęboko odczuła tę pochwałę sławnego już nowelisty, autora *Hani*, Konopnicka. Dowiedziawszy się o niej, wybiegła w najsamotniejszą stronę ogrodu, odczytała raz jeszcze i rozpłakała się z radości. [1])

W tym samym roku ogłosiła cykl krajobrazów p. t. *W górach*. Są to wrażenia z wycieczki letniej w Pieniny. *Przygrywka* mogłaby świadczyć o tem, że poetka nie bez poetycznych intencyi wybierała się w drogę. Lecę w odmienne krainy, niż otaczające mnie równie — pisze w *Przygrywce*. Serce mię boli i smutno wróży, ale sina dal pociąga. W swojej wiosce znam wszystko aż do znudzenia. Chcę widzieć, jak nad cudzym jarem miesiąc wstaje, gdzie tęcza podziewa końce swych wstążek, jakie tam piosenki o zmroku spiewają? I oto następują: *Na Dunajcu*, *W poranek*, *Noc*, *Na Czorsztynie*, *Na szczytach*, *Rabsztyn*, *W Jaworkach*, jeszcze raz *Na Dunajcu*.

---

[1]) Tyg. illustr. 1902 Nr. 14.

Już z tego cyklu okazało się, że Konopnicka kocha ziemię polską: jej góry, lasy i wody, jej pola, żniwa i sianożęcia, jej poranki i noce; jednakże równocześnie okazało się, że jeszcze ta miłość jest dość bezwiednym sentymentem, jeszcze dusza poetki nie zespoliła się z ojczystą przyrodą silnie i organicznie, nie uczuła się jej cząstką. Brak na przykład umiłowania przeszłości tej ziemi. Cóż z tego, że wiersz ma tytuł *Na Czorsztynie?* Kto widział potężne, jakby przez cyklopów wznoszone grube mury resztek tego zamku, na wysokiej wznoszących się skale, kto podziwiał ogrom dawnej budowli i wyobraził sobie świetność jej, gdy potężny ród magnacki tu się gnieździł, jak stado skalnych orłów, tego dusza musiała zwrócić się ku przeszłości, do której oto znalazła okienko. Tak patrzał na Czorsztyn autor *Olbrachtowych rycerzy*, tak autor *Maryny z Hrubego* albo *Kostki Napierskiego*. Konopnickiej wyobraźnię gdy stanęła śród gruzów na skale Czorsztyńskiej, uderza Dunajec u stóp płynący i dobrze zachowane, bo o kilka wieków młodsze, mury zamku Niedzicy po przeciwnej Dunajca stronie widne. I oto sentymentalna poetka wyobraża sobie, że Czorsztyn — to kochanek, a Niedzica — jego luba. Idą tedy zaloty. Po pierwsze trudno doprawdy wynaleźć pomysł, nieszczęśliwiej przylegający do Czorsztyna, który jest trupem już, i żyjącej do dni dzisiejszych, bo zamieszkałej Niedzicy. Powtóre — taką weselną kantatę,

jaką Konopnicka na tle domniemanej miłości Czorsztyna i Niedzicy rozsnuła, można bardzo gładko i ładnie napisać bez tych ruin na tle zalotów Bartka i Kaśki, dębu i brzozy, słonecznika i róży, gila i makolągwy itp. Brak w tym poemacie o Czorsztynie główne tylko Czorsztyna, tak jak brak w poemacie p. t. *Rabsztyn* główne tylko *Rabsztyna* i t. d. Zanadto poetka w tych krajobrazach wsłuchana we własną duszę, nie umie się od niej oderwać i objektywnie zagłębić w duszę przyrody lub miejsca, o którem czy na którem marzy. W rok potem był w Tatrach wysokich Adam Asnyk, poeta starszy od Konopnickiej o lat kilkanaście, gdyż zaczął już w 1864 roku ogłaszać swe utwory — i również na tle przyrody tatrzańskiej rozsnuwał tkaninę swych myśli. Jakże odmiennie. Dość porównać Asnyka *Noc pod Wysoką* z Konopnickiej *Nocą,* ażeby przyznać wyższość Asnyka lirycznemu traktowaniu gór.

W nocy pod Wysoką poeta znalazł się w kotlinie między dwa ramiona góry wciśniętej. W głębi toń jeziorka i mchu zielony aksamit. Głazy pochyłe osłaniają od wichru. Słońce barwi szczyty złotem, purpurą albo fioletem. Poeta siadł nad jeziorkiem. Fala podmywa powłokę brzeżną lodu, łamie się i płynie nazad ze szmerem. Oderwana kra wokoło brzegów krąży, jedna potrąca o drugą, skazana na trud próżnego obiegu. Tak ludzka dola. Dołem rosną cienie. Ślady życia giną. Obszar zastygł posępny i blady.

Geniusz tych wyżyn, surowy i groźny,
Powstał z przepaści, mierząc mnie oczyma.

W milczącym ogromie słabość ludzka chce się cofnąć

Przed skrytych potęg gwałtownym objawem,
Przed niezbłaganem bezlitośnem prawem,
Przed rozpasanych żywiołów odmętem,
Przed nieświadomem, tajnem, nieujętem...

Poeta wraca pod dach gościnnych kamieni. Cisza, a jednak słychać szmer czegoś, co się spowiada z życia. Woda syczy w szczelinie, powietrze faluje z szelestem, głazy gdzieś pękają z głuchym łoskotem, góry szepcą ze sobą podmuchem wiatru i szemraniem zdroju; a cicha pieśń natury płynie w przestrzeń, gdzie się zlewa, wiąże i brata »z całą harmonią nieziemskiego świata«.

Myśli poety biegną za tą pieśnią wolne od grozy. Duch traci świadomość chwilowego istnienia, zapomina o swej »obroży« i zanurza się w źródle wiecznie żywem. Poeta czuje się jednem ogniwem łańcucha i odnajduje swój związek z ogromem stworzenia. Znikło niemocy poczucie:

Już mógł się poddać, jako drobny atom
Tej twórczej myśli, co przewodzi światom,
I z nieodmiennym zgodzić się wyrokiem,
I odpoczywać, jak pod matki okiem.[1]

[1]) Dzieła II. 186—192.

Logika i ład asnykowskiej koncepcyi są w tym poemacie wzorowe. Poeta maluje obraz natury, potem dzieli się myślą własną; znów wraca do obrazu natury i znów tłómaczy myśl swą i uczucie, wywołane naturą. Związek i ścisłość pomiędzy jednem i drugiem, uwydatniona następczość zjawisk w przyrodzie i czujnym ludzkim duchu dają poematowi posągową postać, dają mu spokój, nie pozbawiając głębi i zapewniając jasność i przejrzystość. Końcowa myśl dźwięczy prawdą i w sercu naszem prawdę zapala. A przytem nic zmyślonego, nic podszytego bajką i bujną wyobraźnią.

Przypatrzmy się górskiej *Nocy* Konopnickiej.

Piękną jest ta cząstka ziemi. Smreki zaplotły jej na skronie koronę, a rzeźbione ciało owiały mgły. U spodu pólka zboża i modra przepaska Dunajca. Księżyc opowiada jej bajki, budzi białe duchy, rozwija mchom włosy. Oto wiatr halny powiał chłodem, słychać dzwonek zbłąkanej owcy, huka juhas, odzywa się czujny róg; wtem w miesięcznej poświacie przebiegła kozica...

Świstaki wabią się, watra w dali błyska, Dunajec szumi, a nad nim stoi blada Sokolica.[2]) Kamiennym snem zasnęły Tatry i śnią się im stare dzieje.

Spienione i sine morze ponad Tatrami szumi. Tam w głębi w mętnych nurtach tonie najwyższy czub tatrzański. Wokół skalne przyczoła tęskno

---

[2]) Góra w Pieninach.

patrzą poprzez fale ku błękitom nieba. Smutno Tatrom w niewoli. Wtem wybuchły huragany. Zatrzęsły się otchłanie, ruszyły z swych posad zręby wód, morze cofa się ze swego łożyska, pęka na grzbiecie Tatr łańcuch wodny, podnosi się siwy Krywań, a wierzchy Tatr płoną promiennymi blaskami słońca.

Obie połowy poematu wydają się czytelnikowi dziełem wyobraźni. Kto zna Tatry a zwłaszcza Pieniny, w których zapewne wiersz powstał, ten doskonale wie, że o takie nagromadzenie zjawisk niełatwo. Wszystko tu jest: i »modry« Dunajec (w Pieninach Dunajec jest zielony a w chwili zamącenia żółtawy), i dziwożona, i »chłodny« wiatr halny (wiatr halny bywa ciepły), i zbłąkana owca z dzwonkiem (dzwonki przyczepiają górale krowom, nie owcom; owce chodzą wielkiemi stadami i dzwonkówby dla nich zabrakło), i hukanie juhasa, i róg, i kozica, i świstaki, i watra... Dzienne i nocne zjawiska górskiego życia pomieszane, jak groch z kapustą, przytem w tak osobliwy sposób, jak gdyby opisujący nie widział i nie obserwował ich na miejscu. Druga zaś połowa jest już oczywistym wymysłem wyobraźni, rojącej o niewoli prastarej gór w morskiej topieli i o ich wyzwoleniu przez huragan. Taki poemat niema wartości ani rzeczowej, ani myślowej, ani uczuciowej, ani artystycznej. Podobne też są i inne kompozycye krajobrazowe ówczesne poetki. Jeszcze

największej temperamentu i siły zawiera kompozycya IX. p. t. *Na Dunajcu.* Jestto impresya rozpędu łodzią w dół Dunajca w Pieninach od Czerwonego Klasztoru zapewne. Sam początek atoli razi zgrzytem niewiary, zgoła niepotrzebnym w takim poemaciku. Poetka pisze:

Lecimy! on mnie w swoje pochwycił ramiona
I runęliśmy w przepaść z skalistego proga...
A fala, żarem piersi mojej przenikniona,
Modrym słupem bryznęła, aż w niebo, do Boga,
Skrytego za sklepieniem swojem tajemniczem...
Za nią poleciał krzyk mój, pytaniem nabrzmiały,
I potrącił błękity, i *powrócił z niczem...*

A z czemże miał powrócić? Razi niejasność owego pytania, zamknięta negacyą — bez potrzeby. A Konopnicka, nasyciwszy się łakomie nieposilną strawą idei pozytywnych, niebawem pospieszyła się z zamanifestowaniem swych wolnomyślnych przekonań, wydając trzy fragmenty dramatyczne p. t. *Z przeszłości.* [1]) W pierwszym fragmencie Hypatia, córka Teona, matematyka z IV. wieku po Chrystusie, filozofka grecka, pada ofiarą chrześcijańskiego motłochu aleksandryjskiego pod wodzą zakonnika; w drugim Wezaliusz, lekarz i anatom za to, że śmiał krajać trupa dla celów naukowych, oddany pod sąd inkwizycyi; w trzecim Galileusz za wyznawanie idei kopernikowskiej więziony przez duchowną władzę. Spółczesna krytyka przyjęła

[1]) Wydane we Wilnie w 1880 r., lecz ocenzurowano w 1879, zatem też w tym roku i napisane.

te fragmenty — postępowa z zachwytem, konserwatywna z oburzeniem. Ostro potępiali tendencyę fragmentów Jan Gnatowski i Teodor Jeske-Choiński,[1]) zarzucając poetce obcą naszej dotychczasowej literaturze XIX. w. tendencyę antyreligijną. Pozwalam sobie powołać się w ocenie tych utworów na sąd krytyka nieuprzedzonego, gdyż należał do tegoż, co i Konopnicka, obozu. Piotr Chmielowski pisze o dramatycznych fragmentach tak: »Wykonanie pomysłów nie jest zadowalającem. Są tu wprawdzie ustępy niepospolitej piękności, są wymownie skreślone rwania się duszy do światła, są silne wzloty myśli w górę; ale niema tego, czego w poezyi dramatycznej przedewszystkiem szukamy: niema ludzi rzeczywistych, artystycznie żywych. Zarówno Hipatya, jak Wezaliusz i Galileusz są to nerwowi, rozgorączkowani retorowie, umiejący dobrze deklamować, są to uosobione tyrady, nie ludzie z różnorodnie ustosunkowanemi uczuciami, pragnieniami i popędami«.[2])

Następne lata (1881 i 1883) przyniosły dwa zbiory książkowe poezyi Konopnickiej. Zbiory te ukazały Konopnicką, jako niepospolity talent już nie przetwarzający, lecz twórczy. Wniosła ona przez nie do skarbca polskiej poezyi XIX. w. nowe cenne myśli, nowe uczucia, wydane w mistrzowskiej formie, wierszem, pełnym niezwyczajnego blasku i śpiewności. Niewątpliwie miała ta

[1]) Obacz bibliografię na końcu charakterystyki.
[2]) Zarys literat. str. 360.

poezya słabe strony, które dziś już widne są wyraźnie. Zalety jednak przeważały i czytająca Polska zaczęła liczyć się z nową siłą, zjawioną na polu twórczości. —

Konopnicka w licznym szeregu utworów zajęła się losem ludu i robotników, poświęciła zatem talent swój i pióro propagandzie idei, w ówczesnej prasie polskiej trzech zaborów szeroko omawianej. Wynalazła ona w tym celu nowy kształt poetyczny, którego nie zdefiniowała tak, jak w 1822 r. zdefiniował Adam Mickiewicz w rozprawie *O poezyi romantycznej* balladę i romanzę. Nazwała zaś ten kształt poetyczny *obrazkiem*. Były to niby gawędy; lecz od gawęd różniły się uczuciem i ukrytą tendencyą społeczną; były to niby ballady, lecz od ballad różniły się brakiem pierwiastku cudownego. Na czele tych obrazków umieścićby najlepiej godziło się przygrywkę p. t. *Na progu*, którą Konopnicka otwarła zbiór drugi z r 1883. Piękny ten poemacik brzmi tak:

Jak braciom, co po długich niewidzenia latach
Padli sobie w objęcia — od łez rwie się mowa;
Tak nam, gdy stajem w waszych poddaszach i chatach,
Nie łatwo przed wzruszeniem serca przyjść do słowa.

* *

Gdzie my od was odbiegli? gdzieście wy zostali?
Czemu nie razem w górę poszła wasza droga?
Czemu my dzisiaj wielcy, a wy czemu mali?
Kto z nas za to odpowie przed sądem u Boga?

* *

Ó, bracia, jeśli sobie przebaczyć co mamy,
Zróbmy to zaraz, dzisiaj! dość żalów, dość kłótni...
Otwórzcie nam ramiona! to my was szukamy,
Bośmy może winniejsi... ach, i bardziej smutni![1])

W pierwszym też zbiorze z 1881 r. znalazł się znany i popularny dziś obrazek p. t. *Jaskólka.*

Treść. *Powraca z za morza pod naszą strzechę. Rozgląda się po wsi: na drogach kałuże, dachy się zapadają, ściany krzywe, ludzie nędzni, dzieci rosną jak płonne kłosy na dzikim ugorze. Leciała z nadzieją, że wiosna, tymczasem — zima bez końca.*

Och! gdybym ja mogła rozegrzać was pieśnią,
Jak słonko tę rzeczkę pod lodem.
Myśl zstrzęsłaby z siebie, co rdzą jest i pleśnią,
Duch zrzuciłby więzy, co lot jego cieśnią
I *ludby* się zbudził — *narodem!*

W rozmowie, jaka się zawiązuje między jaskółką, panią z dworu i panem, jaskółka błaga panią, aby zajęła się dolą wieśniaczej chaty, pani prosi męża, aby zmniejszył przepaść dzielącą chatę i dwór, aby założył szkołę we wsi, mąż zaś nie pragnie być Don Kichotem, nie zamieni pastuszków na żaki, nie będzie, jak klecha, sam nauczał ludku na pośmiewisko sąsiadów.

Trzydzieści lat przedtem pisał swe poematy: *Zawiana chata, Za służbą, Błonia medyckie* demokrata Ujejski. I on maluje niedolę dzieci chłopskich, mus pracy pięcioletniego dziewczęcia, które wszystko umie i na chleb zarabia, gdyż »maty

[1]) Rzecz godna uwagi, że poetka ostatnią zwrotkę, taką poczciwą, w wydaniu swych poezyi z r. 1903 (str. 29) opuściła. Zupełnie bez racyi.

zmerła«, a ojciec siedzi w karczmie; lecz Ujejski każe »Aniołowi swego domu« wołać dzieci i nakładać na nie obowiązek uznania wiejskiego ludu — za braci młodszych, równych sobie. Stanowisko poety jest zatem rozjemcze. Nie o ironizowanie tu chodzi. W poemacie brzmi nuta do łez rzewna, a gdy poeta czyni ziemi polskiej pełne głębokiej miłości wyrzuty, że dla dzieci swych nie ma chleba i że po macoszemu się z niemi obchodzi, to w tych wyrzutach znowu dźwięczy nuta żalu, nie goryczy ani sarkazmu.

W tym samym prawie czasie (1851 r.) co Ujejski pisał i Kondratowicz swe utwory: *Lalka* lub *Wyzwolenie włościan* (1859). Pewnie: *Lalka* cała jest subtelnie ironizowaną. Dziecko pańskie wypowiada opinie starszych, ale i osądza naiwnie starszych.

»my — to panowie,
A jeszcze jest lud inszy, chłopami nazwany,
Którym Pan Bóg z niebiosów przykazał surowie,
By pracowali na pany«.

Słychać w tej opinii odległe echo owej satyry Krasickiego, w której pan dziedzic uczy, że »chłopi pochodzą od Chama a my — od Jafeta« i dlatego im należy pracować, a nam z nich łupić skórę. Ale i Kondratowicz nie jest nieprzejednany. Choć szydzi sobie z tego, że »papa kocha swe konie, mama swego szpica, a chłopów każdy łaje, każdy kijem kropi,« to jednak litościwe serduszko

umieszcza w piersiach tej pańskiej córki, skoro wkłada w jej usta zapewnienie, że

Już ja kiedy wyrosnę i będę mieć zboże,
Póki się cała wioska chlebem nie nasyci,
Nigdy się spać nie położę.

I pod koniec gawędy rozrzewnia nas to naiwne dziecko wezwaniem, zwróconem do Lalki:

zmówmy pacierze o chleb i o zdrowie
Chłopom i papie i mamie.

W obu tego rodzaju niemal równoczesnych dawnych utworach na tę samą nutę rozjemczą układa się tendencya; w obu obowiązek opiekuńczy nad braćmi młodszymi wkłada się na młodsze pokolenie. Rzecz dziwna, że Konopnicka ostrzej formułuje kwestyę. Jej *Jaskółka* nie obiecuje pomyślnego rozwiązania trudnej kwestyi; nic nie wróży złagodzenia antagonizmów. Końcowy apel do Boga o więcej światła i więcej ciepła nie jest jasnym zwrotem. Silniej dźwięczy szyderstwo, zawarte w słowach pana.

Podobnie w obrazku *Sobotni wieczór* niemy wyrzut skierowany w stronę inteligencyi. Rzecz wzięta ze sfery robotniczej. Robotnik powstał od zgrzytającej zębami maszyny i udał się do okienka kasy, a wziąwszy zapłatę, wyszedł na ulicę. Chciałby on uczuć się ogniwem ludzkości; chciałby uścisnąć życzliwą rękę przyjaźni, usłyszeć głos bratni... Stanąwszy na ulicy, znalazł się naprzeciw szynku, dokąd cisnął się tłum robotników. Zmrok wie-

czorny nawiewał mu myśli o wiośnie, o ciszy, przyrodzie, Bogu; czuł się cząstką siły i ruchu, czuł, że są uciechy wyższe i czystsze, niż wrzask pijanej ciżby. Ale nie umiał ich znaleźć. Może nie jeden z przechodniów kochał lud i myślał o jego oświacie, ale te dwa duchy: robotników i inteligencyi nie spotkały się. To też wyrobnik »postał, podumał i poszedł — do szynku«. I tu mi się przypomina satyra Krasickiego *Pijaństwo*. Ów szlachcic doskonale wiedział, jak ohydne jest pijaństwo, jak zamienia rozumnego człowieka w bydle nierozumne, a jednak wygłosiwszy na ten temat piękną tyradę poszedł — »napić się wódki«. Oczywiście był nałogowym pijakiem. Lichy to materyał ludzki, który chcąc tylu pięknych rzeczy, jakie poetka wymienia, czując, że są »wyższe i czystsze uciechy« — pomimo tego idzie do szynku. A przytem zauważyć należy, że poetka wyobrażała sobie za dobrodusznie sferę robotniczą. Wyłączność jej, oddawna wystawiona na łup agitacyi rozmaitych apostołów nienawiści stanowej, zarysowała takie głębokie szczeliny między inteligencyą a sobą, że już za czasów Pankracego i hr. Henryka kompromis był trudny; cóż dopiero mówić o czasach autora *Tkaczów*, kiedy walka pracy i kapitału wiedzie do rozgromów i krwi rozlewów.

Bliższe dzisiejszych pojęć i uczuć są takie obrazki, jak *Z szopką*, ale i w tym obrazku więcej

szło poetce o siłę wyrazu i tendencyi, niż o prawdę. Nikt — mówi Konopnicka — nie uczył wiejskich dzieci tego, co jest godłem czci, jak kochać ojczysty zagon, jak szanować cudze prawa; za to batogiem uczono je odkrywać głowę przed wielmożnym dworem pańskim. I oto gdy dziatwa przyszła do dworu z szopką, najmłodsze »dziecko drobne« przerwało pieśń i myślało:

Czemuto, mój Boże,
Choć Chrystus przyszedł, tak źle jest na świecie?
I czarnej mąki garść tylko w komorze?
I niema ciepłej sukmanki na grzbiecie?
I tatuś, taki pijany z wieczora,
Matulę bije, choć głodna i chora?
Czemu to ludzie w przednówek tak bladną
I jakby cienie po drogach się włóczą?
A dzieci we wsi z maleńka już kradną?
A jego dotąd na książce nie uczą?
Wszakże choć corok do dworu chłopięta
Idą z kolędą i z szopką w tej porze,
On przecie nigdy, jak żyw, nie pamięta,
Żeby kto z dworu do chaty przychodził
I mówił: »Bracia, Chrystus się narodził!«

Trzeba przyznać, że choć nikt nie uczył dzieci wiejskich tego lub owego, jak żali się poetka na wstępie, to jednak owo drobne dziecię najmłodsze aż dziw tak mądre; jakież to dopiero muszą być starsze! Mniejsza o to, że tkwią w niem *in statu nascendi* wszystkie ziarna opozycyi i socyalizmu; skoro jednak najmłodsze umie ocenić zło nieuszanowania cudzej własności, zło pijaństwa, zło braku oświaty, to i zasługuje na to, aby mu się cześć

ludzka wymierzała hojną miarą. I ułomność tkwi właśnie w tem, że w rzeczywistości wiejskiej nawet starzy nie mają należytego pojęcia o obowiązkach, moralności i potrzebie wiedzy, a rzecz niezawodna, że dopiero z praktyką życiową tych walorów duchowych i społecznych przybywa uprawnione poczucie równości ze sferą kulturalnie wyższą. Możnaby też owemu przemądrzałemu chłopięciu powiedzieć: »zacznij od siebie i pełń wszystko, o co pytasz, a dwór z pewnością przyjdzie do twej chaty. Twoje zaś negatywne pytajniki mogą budzić tylko zdziwienie, podobnie jak podziwienie budziła w główce ptaszka, siedzącego na drzewie, niewiadomość ludzi, gdzie znajduje się szczęście. Wszędzie go szukają, tylko nie we własnej duszy. Tam ono właśnie jest: od siebie zacząć należy«. Ale Konopnicka w tych obrazkach swoich najczęściej przenosiła punkt winy po za sferę, traktowaną przez siebie *eximio cum amore*. Tak jest i w obrazku *Przed sądem*.

Wiejski sierota, drobny, chudy, blady, jak nędza, stanął przed kratką sądową. Nikt go nie bronił — sędzia pyta: gdzie rodzice? Nieznani — odpowiada pisarz. Sędzia pyta: Czy jest szkoła we wiosce? Niema — brzmi odpowiedź. Zadumał się sędzia: ujrzał tłumy, które mu się wydały siłą, straconych dla wielkich celów i dzieł ludzkich. To wydziedziczeni, którzy cierpią za winy swego społeczeństwa. Zdało się sędziemu, że słyszy głos:

Niechże was Chrystus osądzi,
Kto więcej winien! Czy ten nieświadomy,
Co drogi nie zna i w ciemnościach błądzi,
Czy wy, co grube spisujecie tomy
Karnej ustawy, a nie dbacie o to,
By uczyć dziecię, które jest sierotą...
Niechże was Chrystus sądzi!...
Lecz krzyż czarny
Stał nieruchomy i cichy na stole,
Jako milczące wobec łez ołtarze...
A sędzia powstał i szedł, gdzie pacholę
Blade czekało na wyrok surowy
I dotknął ręką jego płowej głowy
I rzekł: Pójdź dziecię! ja cię uczyć każę.

Jednakże znów nasuwają się tu zastrzeżenia i refleksye, podające w wątpliwość sprawiedliwy z pozoru wyrok sędziego. Skoro chłopiec dostał się przed sądowe kratki, musiał popełnić jakiś czyn, wzmiankowany »w grubych tomach karnej ustawy«. Skoro go popełnił, to sędzia musiał kwalifikować czyn ów podług »grubych tomów karnej ustawy«, w przeciwnym bowiem razie sędzia popełniał bezprawie. I tu oświata nic nie poradzi. Już nasz stary Frycz Modrzewski w XVI. wieku wiedział doskonale o tem, że prawo nie wtedy dobre, jeśli pozwala uchylić się od kary, lecz wtedy, gdy zapobiega winie. W tym zaś jednostkowym wypadku prawo winie nie zapobiegło, natomiast sentymentalnie uchyliło karę od winnego. To też ten sędzia wydał sobie nieosobliwe świadectwo. Choćby w jego głowie i po-

wstała myśl zapobiegania zbrodniom przez oświatę, to należało jednak tego winnego ukarać, a poświęcić się zapobieganiu innym zbrodniom w analogicznych warunkach popełnianym. Poza tem nie można zgodzić się, ażeby oświata była zawsze i wszędzie panaceum na występność. Oświata — jak powiedział jeden z moralistów — może stać się złodziejską latarnią, tem jaśniej oświetlającą drogę do występku. My, chrześcijanie, mamy w zasadach naszej etyki o wiele silniejszą tarczę przeciw występności. Tymczasem według poetki, niestety, »krzyż czarny stał nieruchomy i cichy na stole, jako milczące wobec łez ołtarze«... Otóż właśnie tem jaskrawiej i tem dziwniej wydaje się bezprawne i niewłaściwe postąpienie sędziego, do którego serca nie przemawia krzyż i ołtarze. I wyrzut w stronę krzyża skierowany przez poetkę i przez jej sędziego niewiele pozwala nam wróżyć dobrego z tej gotowości końcowej: Pójdź dziecię! ja cię uczyć każę! Będzie to zapewne nauka bez Boga — kto wie tedy, czy się nie stanie ową złodziejską latarnią... I nieraz już w obrazkach wtrąca się zgrzytliwie ów antireligijny pierwiastek w utworach Konopnickiej. Oto np. obrazek p. t. *Bez dachu*. Noc owiała stolicę srebrnem tchnieniem. Tysiące mówiły tej nocy: przeklęta! Drżały z zimna, pragnęły chleba. W taką noc i mroźną zawieję stanął przed bramą biedny chłopczyna. Stróż zamknął przed nim bramę, bał

się bowiem, aby nie zamarzł chłopiec. Wówczas dziecię podeszło ku murom świątyni i uklękło pod progiem.

Chciał wejść — lecz kościół szczelnie był zamknięty
Razem z litością — i z Bogiem.

Wtedy modlił się do Boga: »Ojcze nasz«... Jakto o Synu królewski — zwraca się poetka z apostrofą do Chrystusa — Ojca twojego narody zwą Bogiem, a ty konasz bez dachu? Czyimżeś ty bratem?

Czy tych, co w zbytku umarłą tkwią duszą
I głośnym pełnych puharów wiwatem
Gasnące jęki twe głuszą?
»Ojcze nasz!«... Boże! czy słyszysz to dziecię,
Co usta z nędzy zbielałe otwiera?
Ach, ono wierzy, żeś ojcem mu przecie
I z wiarą taką — umiera!

Dziecię istotnie skonało — bez dachu.

Stąd tylko jeden wysnuwa się wniosek: ludzie samolubni i źli, Bóg samolubny i zły, Chrystus bezsilny, a miłosierdzie chrześcijańskie i nauka Zbawiciela o miłości bliźniego na ziemi ani o włos ludzkiej niedoli nie przynoszą ulgi. To jednostronne i niesprawiedliwe, a zatem i nie wzrusza.

Wszakże nie wszystkie obrazki utworzone podług tych typów. Istnieje ich serya bez zgrzytów myślowych czy religijnych — i te spełniają wybornie swe zadanie budzenia w sercach współ-

czucia dla nędzy ludzkiej. Do tych należą: *Chłopskie serce*, *Czy zginie?*, *Wolny najmita*, *Dwie wiosny*, *Na dnie przepaści*, *Z wiejskiej szkółki*, a zwłaszcza *Jaś nie doczekał* i *W piwnicznej izbie*. Oba ostatnie są, jak i poprzednie, wzięte z dziecinnej doli. W pierwszym maluje poetka dolę Jasia. Zima była ciężka, robota sroga, Jaś żywił się tylko chlebem, a był ciężko chory. Doktor przestrzegał, że tu powietrze zgniłe, że wilgoć, że dziecku potrzebna obszerna, jasna i ogrzana izba, ciepłe okrycie, posiłek lekki, pożywny, gorący. Jeśli chłopczyna doczeka wiosny, to wyżyje. Ale Jaś nie doczekał ani słońca ani wiosny. Prosta, lecz przeraźliwa tragedya kończy się tak samo prostem, lecz przenikliwem pytaniem:

O bracia, czy w nas wcale niema winy,
Ze słonka — Jaś nie doczekał?

W obrazku drugim prowadzi poetka do piwnicznej izby o zmroku wczesnym, wilgotnym i ponurym. Słychać głos dziecka. Pyta ono matki o wieś. Jak na wsi? Czy dzieci chodzą po trawie? Widzą obłoki? Nie mieszkają w piwnicy? Matka opowiada dziecku o wsi. Widzą dzieci — pola, lasy, łąki, gaje; pługi rżną skibę, siewacz rzuca ziarna, woły ciągną bronę... Niebo otwarte, Pan Jezus bliżej... Na polach zboże już, na łęgach trawy, słychać rżenie koni... Tak samo pięknie na łąkach, w lesie. Matka chorej dziecinie opo-

wiada cuda wsi, a dziecię ciężko wzdycha i marzy, kiedy to ono wieś zobaczy.

Oba te obrazki mają wyraźny cel: zdobycia serc szerokiego ogółu dla tej ubogiej dziatwy wielkomiejskiej, której należy się też dar słońca, zieleni, powietrza, aby dobrze rosnąć mocno i zdrowo. Zaczęły się właśnie w Warszawie pierwsze wyjazdy na kolonie wakacyjne — i dla poparcia tej szlachetnej idei pisała je Konopnicka. Nieraz i później i wówczas wrażliwa jej dusza głęboko i silnie odczuwała nędzę ludu, a ręka mimowoli sięgała za pióro, aby dać wyraz wezbranym uczuciom i myślom. W takich momentach powstawały najpiękniejsze jej obrazki.

Tak kiedy w 1885 roku Bismark zarządził rugi Polaków z Prus i kiedy 40.000 ich wydalono przymusowo, Konopnicka napisała jeden z najpiękniejszych i najrzewniejszych swych obrazków p. t. *Do granicy.*

Treść. *„Zaparli chałupę*
I „befel“ gwoździem do wrotni przybili.
Więc dzieciąteczka zgarnęłam na kupę,
A to najmłodsze, co płacze i kwili,
Jak ten wróbelek, dźwignęłam na ręce
I tak powiodłam to stadko jagnięce
W świat, gdzie poniosą oczy“...

Jaskółka żegna ich szczebiotem. Idą żałosną gromadą, a obok straże konne klną, biją dziatwę, nagląc do drogi. Matka jeszcze odwraca głowę i żegna swą siedzibę. Chata, obórka, wiśniowe sady, rola trójpotem

zroszona, dwa siwe gołębie, wszystko aż do żórawia nad studnią wydało się jej jakby żywe. Bielicha, krowa, patrzyła za odchodzącemi i nie jadła, lecz wzdychała, jak człowiek. Troje dzieciątek nie rozumiało nieszczęścia, tylko najstarszy niósł na przodzie sukmanę ojcowską i jakby płakał. A bliżej szła siwa staruszka, ślepa, z trzęsącą się głową, drżąca. Została w tyle, żołnierz popchnął ją, że upadła. U matki na ręku dziecko było

„jak kamień ciężkie, jak węgiel gorące“.

Płacz niewiast wreszcie ustał, a pod wieczór w lesie matka w mchu utuliła zziębnięte dzieciny, odziawszy w nieboszczykową sukmanę. Ale najmłodszy posiniał, oczy miał szklane, chwytał się rączkami powietrza... Tak pędzono gromadę przez trzy dni i trzy noce. Dzieci pozostało tylko troje, bo czwarty zastygł w ręku i bez trumienki pochowała go w olszynie. Nareszcie na granicy straże oddały gromadę innym. —

W czasie, kiedy z Wielkopolski rugowano przemocą Polaków, nie mających pruskiego obywatelstwa, choć z dawna osiadłych, działy się tam sceny przemocy i pisma oburzały się na niekulturalną samowolę pruską. Wtedy to wyszła znana powszechnie powieść Prusa p. t. *Placówka* (1884). W niej Prus również maluje chłopa, jego potężne, instynktowe przywiązanie do roli i swojej siedziby, jego niepospolitą odporność w zetknięciu się z wrogim żywiołem niemieckim; ale zarazem maluje jego nałogi, słabości, ciemnotę, nieporadność, czasem egoizm, czasem służalczość, wszystko to na tle obrazu życia, drobiazgowymi rysami napełnionego i ze skrupulatną ścisłością, jakby przez mikroskop, obserwowanego. Konopnicka

wytknęła sobie cel inny: wzruszyć czytelnika. W tym celu wybiera parę momentów z tragedyi ludu: pożegnanie z obejściem, śmierć dziecka, rzucenie się w świat bezdomnie. Umie odtworzyć w prostych słowach nieszczęsną dolę tak, jakby sama była matką wieśniaczką i momenty te przeżywała. Umie przytem wymownie i z uczuciem przemawiać tak, że w istocie wzrusza do głębi czytelnika. Obrazek ten zasłużenie zjednał sobie szeroką popularność: przedrukowywano go, uczono się na pamięć i deklamowano wielokrotnie. Ma on w sobie akcenty szczerości, prostoty, prawdy i siły.

Niektórzy krytycy nie byli zadowoleni z obrazków Konopnickiej. Niesłusznie dostała im się popularność — twierdzili. Są to sielanki, malujące tylko niedolę ludu. Brak im bezpośredniości. Poetka sama wszędzie mówi; sama przemawia i za dziecię z szopką i za robotnika... Jestto sentymentalizm społeczny, nie zaś bezpośredniość. Przeważa w nich mniej lub więcej zręczny zwrot retoryczny. Nie zagląda w duszę malowanych osób. Takie podawano zarzuty i trudno im odmówić niekiedy słuszności. Ale nie zawsze. Nie zawsze mianowicie poetka sama mówi za osoby malowane. Nie mówi sama ani w *Do granicy*, ani w *Jaś nie doczekał*, ani *W piwnicznej izbie*, ani w niektórych innych obrazkach. Nie zawsze też retoryce powierza budzenie współczucia. Nieraz sama do głębi

przejęta i wzruszona umie w proste słowa tchnąc siłę uczuciową. Ale trzeba nadto powiedzieć, że sam rodzaj obrazków był w naszej poezyi mało uprawiany. Zapewne znajdą się one i u Lenartowicza, i u Syrokomli, i u Ujejskiego, zwłaszcza zaś u Pola w *Pieśniach Janusza;* jednakże były to utwory o charakterze czy pieśniowym, czy sielankowym, czy satyrycznym. Do tych też rodzajów poezyi należały w mniemaniu twórców. Konopnicka zaś świadomie nadała swoim poemacikom ludowym nazwę obrazków, nazwę właściwą i słuszną, bo też one są w ścisłem znaczeniu wyrazu obrazkami. Malują zawsze albo jakieś zdarzenie, albo jakiś pełen wyrazu portret, albo nawet naturę. Konopnicka stała się przeto twórczynią nowego kształtu w naszej poezyi 19. wieku. Nic to nie znaczy, że takie albo podobne poetyczne obrazki przed nią istniały. Wszakże i Pol nie wynalazł gawędy. Sam nie przyznawał się do wynalazku, przypisując go K. Wł. Wójcickiemu; a jednak wszyscy uważają go za pierwszego twórcę gawęd, gdyż nadał temu rodzajowi prawo obywatelstwa w literaturze. Sam Kondratowicz uznał w nim swego mistrza. To samo z Konopnicką. Obrazki poetyczne w literaturze polskiej będą w niej miały pierwszą mistrzynię. I trzeba dodać: popularność swoją zdobyły słusznie, głos ogółu nie popełnił tu omyłki. Te struny liry Konopnickiej właśnie dźwięczą wielkiem i szlachetnem

współczuciem dla niedoli ludowej. Nie bez skutku zanosiła ona prośbę do Boga, aby dał jej śpiewać na ogromnej niwie:

Przy wielkiej kośbie, przy wiosennem żniwie,
Gdzie łanem idą szerokie pokosy
I gdzie się z jękiem kłos wali na kłosy.

O łzach ludu, o sieroctwie i bezdomności, o wietrze, co łamie skrzydła jego losu, śpiewa poetka rzewnie i pięknie. Należy czcić — słusznie nas uczy — dolę kmiecą i zgrzebną sukmanę, należy uchylić czoła przed tym, co się krwawo znoi, gdyż »lud i praca — to są siły, a świat cały niemi stoi«. Wzywa nas poetka, abyśmy szli do pracy na łan tej ornej ziemi, bośmy dziedzicami klęsk, a te klęski — to martwota łanów, to stary ból i stare krzywdy.

Równocześnie z obrazkami życia szły cudne obrazki przyrody rodzimej, zbiorowo zatytułowane *Z łąk i pól*. Oczy napiły się błękitu strumieni, szły dumające za falą kłosów, widziały ziemię w łunach zachodu i do gwiazd biegły przez lazury. Ale smutne są, bo lud nasz posępny i chałupy nędzne. I tak długo dalej wywodzi o piękności naszej ziemi i o niedoli naszego ludu. To już nie są w ścisłem znaczeniu obrazki: to są pieśni. Melodya towarzyszy tu treści. Pieśń u nas zawsze dawała najlepszy wyraz uczuciu. Nastrój w pieśni bywał różny, lecz rytm bywał zazwyczaj muzykalny i melodyjny. »Tyle życia, co jest w pie-

śni« — rzekł poeta, a to życie drga uczuciem. Jeżeli pieśń jest melodyjną, upaja duszę i przenosi słuchacza w krainę wyobraźni, wówczas bywa podług słów Mickiewicza »dla myśli winem«. Tak Mickiewicz określił pieśń w Konradzie Wallenrodzie, lecz później w *Literaturze Słowiańskiej* (III. 62—65) mówił o niej niemniej pięknie »Pozostaje ona w najściślejszym związku z muzyką; liryk, który układa pieśni, nie słysząc chociażby wewnętrznie, tonów śpiewnych w sobie, nie jest lirykiem prawdziwym. Muzyka nie jest jeno akompaniamentem poezyi lirycznej, stanowi ona jej część zasadniczą; jest ona jej duszą, życiem i światłem. Stąd pochodzi ważność muzyki narodowej i śpiewu narodowego; stąd pochodzi, że w krajach, gdzie lud przestaje śpiewać, poeci muszą z konieczności przestać tworzyć prawdziwe poezye liryczne. Muzyka ludowa jest ogółem tonów, wyrwanych z dusz narodów przez nagłe natchnienia muzykalnę. Te tony, wyrwane z dusz, nazywają się motywami. Muzyka uduchownia poezyę, łagodzi w niej pierwiastek materyalny. Bez niej poezya będzie mogła dobrze przedstawić to, co jest w człowieku zwierzęcego: krzyki wściekłości, krzyki żądz, będzie mogła nawet małpować wesołość, ale nigdy nie będzie miała tej wielkości spokojnej i tych poruszeń wyniosłych i boskich, jakie się odczuwa w hebrajskiej i w niektórych ułomkach orficznej poezyi. Chłop, który orząc rolę

i patrząc na słońce, znajduje nutę, nie zdając sobie sprawy z jej pochodzenia, tworzy prawdziwą poezyę liryczną. Dla tego to w całej poezyi pieśni narodowych panuje tenże spokój, taż sama religijność, jakie podziwiamy w poezyi hebrajskiej. Naodwrót poezya, oderwana od śpiewu, popadła w rozumowania i była wiedziona na pokuszenie, by się odwoływać do poziomych namiętności«.

U nas w pieśni wyrażały się najgłębsze boleści narodowej duszy, najdonioślejsze postulaty czasu, najskrytsze tajniki artyzmu. Pieśń miewała częstokroć ludowy charakter, rzewność, wdzięk prosty a szczery, świeżość uczucia, a przytem smętność, leżącą na dnie natury słowiańskiego ludu. Tylko w XIX. wieku pieśni u nas tworzyli: Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Zaleski, Pol, Wasilewski, Ujejski, Lenartowicz, Syrokomla, Romanowski, Sowiński, Faleński, Asnyk, Konopnicka, Tetmajer, Kasprowicz, Staff, Wyspiański i wielu innych. Niektóre pieśni miały szczęście uzyskania wielkiej popularności. Znane są, jak Polska szeroka, pieśni: »Rosła kalina z liściem szerokiem, Nad modrym w gaju rosła potokiem«, albo *Jeszcze Polska nie zginęła,* albo *Z dymem pożarów* itp. Zaleski, niezrównany pieśniarz, mówi o dumce smętnej:

Nie chcę dumki, dumka *płaczka,*
Już ją śpiewam wiele lat;
Zagraj szumkę lub kozaczka,
A wyskoczę sercem w świat.

Ale poetka o kołomyjce powiada:

A w mej duszy kołomyjka
Takiem dźwięczy echem,
Jakbym w dziwnym śnie widziała
Taniec *łzy z uśmiechem.*

I w tem porównaniu udało się jej wybornie uchwycić charakter pieśni polskiej ludowej. Rzadko ona bywa całkiem pusta, figlarna i wesoła, częściej śmiech przez łzy się wybija. Tak u Konopnickiej. We formie wyzyskała ona szeroką skalę rytmiki pieśni ludowej, potrafiła zawsze wynaleźć przedziwnie melodyjny rytm, nadający się do treści, a w treści umieściła niezliczoną ilość tych wzruszeń serca, tych pomyśleń, tych zachwytów i zasmuceń, tych przywiązań i rozżaleń, tych rozczuleń, i wiar, i nadziei, jakich nie mogła pomieścić w obrazkach. Przez swe pieśni z łąk, wsi, i pól, i lasów stała się Konopnicka ukochaną naszą pieśniarką. Z wyjątkiem Zaleskiego, Pola i Wasilewskiego nikt nie umiał władać pieśniarską lirą, jak Konopnicka. Jej pieśni muszą wcześniej czy później przeniknąć do wsi i wejść w zwykły repertuar pieśni wiejskiej.

Jakże cię mam brać, dziewczyno,
Jakże cię mam brać,
Kiedy mi cię z białej chaty
Nie chcą ojce dać

albo

A kiedy mi przyjdzie zagrać
W polu dziewczynie,

W polu dziewczynie,
Wykręcę ja fujareczkę
W tej wodnej trzcinie...

Te i tym podobne pieśni ludowo-artystyczne nie mają w naszej poezyi równych obok Zaleskiego. Jakże cudną jest np. następująca pieśń:

Zaszumiał las, zaszumiał las
Od płaczu mojej pieśni,
Po szczytach drzew ruszył się śpiew,
Ptaszkowie łkają leśni.
Zakipiał zdrój, zakipiał zdrój
Od tęsknot moich żaru,
I sine mgły i srebrne łzy
Rozbryznął w cieniach jaru.
Zerwał się wiatr, zerwał się wiatr,
Echem mych skarg zbudzony
I poniósł szum żałosnych dum
W dalekie cudze strony.
Uderzył dzwon, uderzył dzwon,
Jak serce me na trwogę,
A sennych chat, gdzie lud, gdzie brat
Rozbudzić dziś nie mogę. (II. 213).

Jestto oczywiście pieśń artystyczna, od ludu wzięła ona już tylko melodyjność, rytmikę, nie zaś treść. Konopnicka od swego ukochania wsi polskiej nie odłączyła ukochania polskiej pieśni ludowej. Kiedy w 1880 roku była w Alpach i widziała wieś niemiecką, dziwiło ją milczenie pracowników w czasie sianokosów. »Słychać, gdzie kosy, gdzie grabie, gdzie skrzypienie wozów, ciągnionych przez woły siwe; słychać nawet śmiech i rozmowy; tylko nie słychać pieśni. Pieśń... to

słowianka rodem. Tutaj uwija się góral przy pracy, aż pot mu kipi z czoła, spluwa, śmieje się, pali fajkę, mamrocze nawet sam do siebie, jeśli niema z kim gadać, ale nie śpiewa. Hej! hej! gdzie ty, pieśni nasza wioskowa, niosąca się po łąkach skoszonych, po rosie po chłodnej? Cicho! wiatr wschodni echa jakieś niesie...

»A po tej rzece płyną łabędzie,
Jeno je woda garnie,
Oj pójdziesz we świat, Jasienku miły,
Oj zginiesz na nim marnie«...[1])

Są tedy w twórczości poetki mniej i więcej zbliżone do ludowych pieśni utwory. Wogóle atoli cechuje ten dział poezyi Konopnickiej swojska nuta, bogactwo pomysłów, ogromna łatwość wcielania ich w melodyjną formę wiersza, rzewne uczucie, proste, pełne życzliwości dla ludu. Cechuje je także niezwykła wrażliwość na czary przyrody. Konopnicka duszę ludu rozumie, kocha ją po prostu; stara się, by żadna łza ludu nie padła niepocieszona, by żadna jego dolegliwość nie została bez echa. I pośród strun jej liry ta struna najpełniejszym brzmi akordem, najszlachetniejszym i najczystszym rozlega się dźwiękiem. Rozumiała to wybornie sama poetka, gdy rozmyślała o swem epitafium nadgrobnem. Prześlicznie wyraziła to w poemaciku p. t. *W kamieniu polnym.*

---

[1]) Wrażenia z podróży Maryi Konopnickiej, Warszawa 1884, str. 28—29.

W kamieniu polnym, co grób mój pokryje,
Niech mi kamieniarz lireczkę wyryje,
Lirę tę swojską, a własną, a oną,
Którą to po wsiach za dawna noszono,
Iżby szła z brzękiem skowrończym śród kmieci,
Aż w echo rzuci płacz swój, a odleci.
A pod tą lirą, jeżeli mu wola,
Niech żytnie kłosy z naszego da pola,
Kłosy ubogie z chudemi, ot, ziarny,
Na chleb powszedni ościsty a czarny,
Po którym człowiek do ziemi przyrasta
I ciągnie pług swój prastary od Piasta.
A potem chce-li, niech kamień obtoczy
Polnym powojem, co modre ma oczy,
A niechaj na nim napisu nie kładzie
I niech go w rzędzie nie stawia ni w ładzie,
Tylko w zakątku, gdzie brzoza szum niesie...
A można w lesie? To owszem, niech w lesie.

Takie ujmujące, skromne, lecz piękne życzenie objawiła poetka dla swego grobu i tak twórczość swą oceniła. Zaprawdę, nikt nie mógłby sprawiedliwiej i piękniej o sobie powiedzieć. Życzenie poetki niezawodnie spełni się kiedyś, bo w zakresie transkrypcyi duszy ludowej na wiersz artystyczny nikt w literaturze wieku 19. nie dokonał cenniejszych rzeczy i zasług większych poetycznych niema. Naród to pozna i wypełni kiedyś prośbę Konopnickiej, wyrażoną w poemacie *W kamieniu polnym*.

III.

Biblia Konopnickiej. Poematy filozoficzne i religijne.

Tymczasem z biegiem lat kwestya ludowa, zainicyowana po r. 1863 przez stańczyków i pozytywistów, weszła w odmienne stadyum. W 1886 r. zaczął się od października ukazywać w Warszawie tygodnik p. t. *Głos*. Redakcya uznała lud za »najgłówniejszy składnik społeczności narodowej«. »Powołany w nowych warunkach do samodzielnego bytu, lud siłą konieczności rozwija się na mocy własnych zasobów i dąży do obywatelskiej samowiedzy«. »Interesy i potrzeby ludu powinny być górującym akcentem w naszej pracy społecznej, wytycznym punktem działania zarówno tej części inteligencyi, która ma obowiązek zmazania błędów przeszłości, jak i tej, co w pocie czoła musi stwarzać zadatki nowej doli«. »Trzeba potępiać samozwańcze pretensye do kierowania nawą społeczną tych sterników, co, występując w imię naszej tysiącoletniej kultury i tradycyi, nie chcą wiedzieć, czy zapominają o tem, że ideały tej tradycyi i formy tej kultury są obce większości narodu (czytaj: ludowi)«. Tak pojęto wyodrębnienie masy ludu, zerwanie z tradycyą przeszłej Polski, jako szlacheckiej, stworzenie nowej Polski ludowej — i oczywiście skutkiem tego uczyniono lud w narodzie warstwą główną, wyłączną, uprzywilejo-

waną, powołując do służby dla tej warstwy wszystkie inne pierwiastki narodowego organizmu. Nie należy się dziwić, że Konopnicka skutkiem tych idei urosła wprost na wieszczkę. Wszakże głosiła od paru lat też same idee. Co prawda nie wszystkim się one odrazu podobały. Byli krytycy, którzy zarzucali poetce, że jedną warstwę narodu faworyzując, na inne składa ciężar winy, a przez takie postępowanie nieci wzajemną niechęć między stanami, nawet może wzajemną nienawiść. Na to Konopnicka odpowiedziała we wierszu *Co ja sieję*. Sieje bratnią miłość dla tych, co słabi i prości, sieje ciszę i pogodę w sercach tych, co maluczcy. Sieje ciepło, by z niego błysnęło światło na niwie myśli. »Ja wam mówię — zapewniała — mój kamień mogilny mieć będzie napis: »braterstwo i zgoda«. Razem pójdą i słaby i silny. Lecz teraz — dodawała — pora rozterki. Przeto poetka pełna goryczy jest a jej słowa »jak świst giętkich biczy« rażą uszy tym, którzy są zbyt bezpieczni.

Tak! biczem jestem na serca w tłustości
Własnej osiadłe i skrzepłe bezruchem!
I jednych chłoszczę i wstrząsam łańcuchem
Drugich, a wszystkich chcę porwać mym duchem
Ku dnia rozświtom, ku wielkiej przyszłości...

Przyznaję, że nie bardzo jakoś rozumiem metodę siania »bratniej miłości« za pomocą chłosty słowami, rażącemi jak świst giętkich biczy. Przyznaję, że słabą stroną tej właśnie działalności

poetycznej była nierówność miary w traktowaniu sfer społecznych. Dla jednej sfery dobre wszystko — tj. dla ludu, dla drugiej sfery złe wszystko, tj. dla inteligencyi i dla szlachty. Świat stoi tylko ludem i robotnikiem. Dla ludu świt zabłyśnie, z niego nam wyjdzie wszystko, co będzie, lud osiągnie łaskę u Boga. Oto w cyklu wierszy *Z mojej biblii*, w jednym ustępie znajduję taką wizyę. Bóg otwiera wrota jutrzenki nad światem i pyta: czy są przed drzwiami setniki i namiestne moje?

Lecz ujrzy rzesze ciche, jak łan żyta
I nie odziane żelazem ni złotem,
Rzesze, co we lnach chodzą, zlane potem.

Więc się zdumieje i onym otworzy. A inni? Ci padną i zginą, jak ów król, który świat zawojował, padł na jedno skinienie Łazarza, co zjawił się z kością psu wydartą. Później ulegnie niejakiemu złagodzeniu owo wyłączne i nieżyczliwe uprzedzenie poetki dla inteligencyi i szlachty. Wtedy istniało ono w dość jaskrawym tonie.

Jednakże dość ostrą formę przybierały i inne kwestye, przez poetkę w utworach podniesione. Nie była bowiem ludowość jedyną struną jej liry. Owszem. Warszawa kipiała wrzawą walk o przekonania i zasady, a głos Konopnickiej od czasu do czasu rozlegał się jak donośny dzwonek nad tym wielkomiejskim rozgwarem. Brała ona w ten sposób czynny w umysłowym ruchu udział, wy-

nalazłszy nawet zbiorowy tytuł dla swych filozoficzno-religijnych lub artystycznych rozmyślań. Ilość mnoga tych utworów świadczy nader chlubnie o udziale poetki w umysłowym ruchu swego czasu. Dadzą się tu atoli rozróżnić pewne grupy i kategorye i w ten sposób da się oczywiście wyjaśnić zarys przekonań poetki: da się wytłómaczyć jej biblia.

Rozumie się, że w czasie, kiedy Szkoła główna rozniecila taki zapał do nauki i wiedzy, musiała wyłonić się sprawa stosunku wiedzy do poezyi. Dzieje się to zawsze w okresach przejściowych od jednego prądu do drugiego. Na początku wieku XIX. w okresie romantycznym, po zwycięstwie już romantyzmu dostojeństwo poezyi i poety ogromnie wzrosło. Czyż nie pisał Mickiewicz w Wallenrodzie, że poezya może »dzierżeć nawet miecz Archanioła?« Czyż nie wołał dumnie Konrad: »Depcę was, wszyscy mędrcy i prorocy!« Nasi moderniści podobnież na wysoki piedestał wznoszą poetę. Poeta »ipse propheta, deus, daemon et omnia!« woła Przybyszewski w swem *Confiteor*, a *Chimera* Miriama w 1902 roku w przekładzie z Emersona szkicu *Poeta* pisze: »Poeta jest wieszczem, głosicielem i reprezentuje piękno. Jest nieograniczonym władcą i stoi w środku wszechświata. Materyaliści utrzymują, że fizyczna zręczność i działalność stanowi największą zasługę człowieka, zapominając, że niektórzy ludzie, mia-

nowicie poeci są z natury swej głosicielami, zesłanymi na świat gwoli wieszczeniu i przepowiadaniu. Poeta nie czeka na bohaterów i mędrców, lecz podobnie jak oni bezpośrednio czynią i myślą, tak on z pierwszego popędu tworzy, a im wyznacza drugorzędną rolę zjawisk i sług swoich, aczkolwiek oni sami przez się mają pierwszorzędne znaczenie«. Stąd wynika, że w porównaniu poety i mędrca może istnieć co najwięcej równomierność. Ale w okresie, kiedy zaczynała tworzyć Konopnicka poezya na liczne wystawiona była ataki ze strony pozytywistów. Począwszy od artykułu *Groch na ścianę* w *Przeglądzie tygodniowym* (1867) do artykułu p. t. *Romantyzm i jego skutki* w *Ateneum* (1876) na poezyę zwalono całą górę obwinień i zarzutów. Występował przeciwko publiczności Asnyk, usiłując wytłómaczyć i poprawić wzajemny stosunek poetów do publiczności i publiczności do poetów. Zarzuca on poetom, że opiewają rozpacz, melancholię, miłość i jej rany; zarzuca publiczności, że jest maskowaną i płytką.

Nasze anioły i nasze kobiety
Są w sentymenta ubrane po kostki;
Lubią poezyę zajadać na wety
I lubią także bawić się w miłostki.
Któżby wyliczył wszystkie ich zalety?
Jednej im tylko brak jeszcze drobnostki:
Prawdy w uczuciu. Lecz ta jest zbyteczna,
Niemodna dzisiaj, nawet niebezpieczna.
Potrzeba śmiać się więc na równi z wami

I razem z wami nad przepaścią pląsać
Potrzeba kryć się ze swojemi łzami
I z własnych uczuć głośno się natrząsać.
Karmić się codzień skandalem, plotkami,
Różować twarze i przechodniów kąsać.
Wszystko szlachetne zdeptać, sponiewierać,
Potrzeba śmiać się... śmiać się... i umierać.

Jest gorycz w tem określeniu roli poety u Asnyka. Zapewne w swych poematach innych, jak *Przeminął czas, Zmierzch melodyi* z dużą siłą akcentuje on nie w sposób ironiczny wieczną trwałość i cenę poetycznych uniesień; ale i on, co się tyczy porównania nauki i poezyi, zaledwie śmie wartość obu zrównoważyć. Oddaje on cześć Minerwie, chce, żeby Parnas był z Minerwą w zgodzie, zaleca poecie, ażeby wszystkie życia prądy świeże odtwarzał w swojej pieśni. Jakże Konopnicka?

Jest w poezyi Konopnickiej ładny poemat p. t. *Z dziejów pieśni.* Jedne pieśni opiewały miłość; te czas ściął kosą i nie dały chleba. Inne pieśni stały na grobach; tym czas rzekł: wiele tu próżnych żalów, zeschły już te wieńce. Inne biegły za rydwanem wieku; tym czas kazał zniknąć po burzy, jak kurzawie. Inne paliły serca ludzkie pożarem zawiści; czas uczynił sądy i pieśni te jak trąd precz wyrzucił. Inne, jak szare ptaszyny, nuciły wiosce swej, trzymały się płotu zagrody i jadły czarny chleb; te dostały od czasu zapłatę: fujarkę wierzbową. Inne wreszcie leciały w dzień przed ludzkością, jak jasny obłok, w nocy, jak

słup płomieni. Z tęsknoty uczyniły struny i szły, miłością walcząc. Czas rzekł:

Błogosławiona
Pieśń, co zasiewa przyszłości nasiona!
Wy, co słuchacie jej — błogosławieni!

W tem bardzo pięknem określeniu zadania poezyi najwyżej stawia poetka wzniosłe cele, głosicielstwo ideałów, jakby się wyraził Emerson. Zdawałoby się przeto, że w porównywaniu poety i mędrca konsekwentnie, jak Emerson, wyższość przyzna pierwszemu, albo co najmniej, jak Asnyk, zażąda, iżby Parnas żył z Minerwą w zgodzie. Tymczasem poetka, widocznie nie wygubiwszy doszczętnie w piersi swej zarodów pozytywnego pojęcia o mniejszości uczucia i wyobraźni w sferze ludzkiej umysłowości w porównaniu z rozumnem i doświadczalnem dociekaniem, przyznaje we *Fragmencie* (I. 239) wyższość wiedzy. Pieśń bywa rosą dla spragnionych, podług tego Fragmentu, chlebem dla milionów. Komu na czoło położy pieczęć hańby lub wielkości, ten budzi zapał lub trwogą przejmuje. Duchy służą poecie; nowy świat stwarza, jest pomnikiem swej ziemi, wykutym przez Boga. Ale większym jest myśliciel. Słowo jego jest jak miecz dyamentowy. Sława go nie nęci. Tryumf jego bywa cichy, jak prawa, świat obejmujące. Myśliciel, zamknięty w ścianach spokojnej pracowni, nie nosi uniesień swoich, jak jaskrawej szaty, co tłum podżega. Ale od iskry jego ducha jaśniej robi się na świecie,

Umysł Keplera większy od umysłu wieszcza. Poeta porywa, wiedzie do cnoty, ale i do zbrodni. Droga zaś badacza podobna do drogi słońca: pewna i niezłomna. Poeta daje brylanty i kwiaty; myśliciel odkrywa przyszłość. Poeta włada naszem sercem; myśliclel nie pieści, lecz jak konieczność — uderza. Poetów miały gasnące ludy, myśliciele rodzi nowe słońce. Naród ma się modlić o poetów, ale zwłaszcza o myślicieli.

Tak dziwne i niepojęte jest to zmniejszenie znaczenia poezyi i poetów przez Konopnicką! Tymczasem dzieje ludzkości rozstrzygnęły dawno i doskonale nieporozumienia. Prawda, że są poeci i poeci. Emerson geniusza-poetę porównuje do Chimborasso pod równikiem, który ze swej podstawy, spalonej żarem słońca, dźwiga się po przez wszystkie klimaty i strefy ziemi i opasuje swe wysokie, różnobarwne stoki roślinnością wszystkich szerokości. Lecz są poeci, podobni do willi pośród nowoczesnego parku, przyozdobionego wdzięcznie fontannami i posążkami, gdzie po promenadach i tarasach przechadzają się i wypoczywają dobrze wychowani panowie i damy. Jeżeli zatem idzie o geniusza-poetę, to Homera lub Danta świat wielbi w wyższym stopniu i zna ich lepiej, niż Keplera czy Sokratesa. Mickiewicza znają, wielbią i kochają w naszej Polsce miliony; ale czy także miliony znają, wielbią i kochają Kopernika? Jeżeli zaś chodzi o poetów utalentowanych i uczonych śre-

dniej miary, to zestawienie we formie jeszcze dosadniejszej rozstrzyga spór na korzyść poetów: choćbyśmy np. niedaleko szukając porównali Konopnicką i Chmielowskiego. W powyższym tedy *Fragmencie* ustosunkowanie dwóch wartości uważać należy chyba za komplement poetki, uczyniony wiedzy i jej adeptom.

Już pierwsza kategorya myśli, rozwiniętych w biblii poetki, nie imponuje mocą argumentów, logiką i ścisłością dowodzenia. A jednak — rzecz godna uwagi — poetka z niemałem upodobaniem lgnęła do poezyi filozoficznej, wykładając swe poglądy na różne sprawy. Najsłabsze wśród szeregu tych retorycznych tyrad są te, w których z natury rzeczy brak pierwiastków uczucia lub wyobraźni. Ale i w utworach, z głębi uczucia płynących, nieraz razi chaos myśli, frazesów, obrazów, wykrzykników i pytań. Czytelnik, przywykły do logiki i kryształowej przejrzystości rozumowanej liryki Asnyka, musi, czytając spontaneiczne wytryski myśli Konopnickiej, przydymione frazeologią i amplifikacyami, przy całej dobrej woli usposobić się ironicznie dla poetki, która żywi znaczne pretensye do głębi myśli i naukowego swego przygotowania. Oto np. ważny wiersz p. t. *Credo.*

Wierzę w potęgę ducha i zdobycze wiedzy; wierzę w braterstwo ludów; wierzę, że dobro wyleczy ziemię z jej ran i cieni; wierzę, że dawne

błędy ciężą nad wiekami; wierzę w dziedzictwo kary; wierzę w przejrzyste sfery ponad wrzawą ziemi, gdzie milkną nizkie zabiegi przed obliczem wiekuistej ustawy; wierzę, że ludzkość dąży do idei prawa i równości; wierzę w duchów zbudzonych obcowanie święte.

Jest to spis wiar, jakby jakie ragout obiadowe bez ładu, przewodniej myśli i całości. Poetka wymieniła ze dwadzieścia pięć wierzę, mogła jednak z tym samym skutkiem wymienić ich sto dwadzieścia pięć, a jeszcze nie wyczerpałaby analogicznych wierzę, zwłaszcza, że niektóre powtarzają się niby muchy natrętne.

Pierwszy wiersz opiewa:
Wierzę w światła potęgę i w ducha zdobycze;

przedostatni wiersz głosi:
Wierzę w orli lot ducha, co nigdy nie stoi: myśl ta sama.

Trzeci wiersz opiewa:
Wierzę w braterstwo ludów;

siedmnasty wiersz głosi:
Wierzę w uścisk, co kiedyś świat połączy cały;

szósty od końca wiersz mówi:
Wierzę w braterskiej dłoni uścisk i zachętę: we wszystkich trzech myśl ta sama.

Dziewiąty wiersz opiewa:
Wierzę, że dawne błędy ciężą nad wolą późnych wieków;

jedenasty wiersz głosi:
Wierzę w dziedzictwo kary: myśl ta sama.

Czternasty wiersz opiewa:
Wierzę w siłę, co walcząc ze złem się nie nuży; -

czwarty od końca wiersz głosi:
Wierzę w siłę, co stapia czyny... myśl podobna.

Proszę zwrócić uwagę na to, że cały poemat niema więcej nad 38 wierszy. Poza temi powtórzeniami zawiera on sporo frazesów. Czemże, jeżeli nie frazesem jest wiersz:

Wierzę w ciszę i spokój po gromach i burzy, albo wiersz:
Wierzę, że błędnych komet blask zagasa zwolna?

Pomimo tego, że z utworu wieje jakieś humanitarne tchnienie, czytelnika, przywykłego do chrześcijańskiej kultury w europejskiej nowożytnej umysłowości, razi w tem wyznaniu wiary brak: wierzę w Boga, tego prostego, bez szumnych omówień i wykrzykników: wierzę w Boga. Jest wprawdzie dwuwiersz tajemniczy:

Wierzę w przejrzyste sfery ponad wrzawą ziemi,
Kędy się krzepią duchy wodami żywemi;

lecz co on właściwie ma oznaczać, nikt nie odgadnie. Trzeba się z tem pogodzić, że najbałamutniej w biblii Konopnickiej i najniestrojniej dźwięczy jej nuta religijna. Nie - żeby Konopnicka wprost odrzucała Boga. Nazwano Konopnicką antireligijną poetką, połączywszy ją w parę z Aleksandrem Świętochowskim.[1]) W taki sposób powiedziano

[1]) W artykule p. t. Interpretacya *Duchów* Świętochowskiego p. Maryę Grossek w Sfinksie r. 1910 z czerwca str. 427.

za wiele. Antireligijną nie jest. Poetka odwołuje się do Boga często, zbyt często; lubi Go wspominać, czy potrzeba czy nie potrzeba. A już winien wszelkiej niedoli ziemskiej zawsze Bóg — nie zaś człowiek. Pełne skarg na Boga są usta tej poetki. Nikt z naszych poetów tak się nie naprzykrzał Bogu swemi prośbami, żalami i narzekaniami bez końca i bez miary, bardzo często o rzeczy błahe, jak właśnie Konopnicka. To dowodzi pewnej wiary w Boga, boć niepodobna przypuścić, aby te skargi i to odwoływanie się nieustanne było tylko zdawkową monetą czczego frazesu. Antireligijną tedy nie jest. Tylko pojęcie Boga majestatyczne i wzniosłe, zrozumienie katechizmowe jego nakazów, osobiste uczucie dewocyi religijnej leżało poza sferą duchowego świata Konopnickiej. Pierś jej żywiła głęboką, szczerą miłość ku ludziom; zdolną była zwłaszcza niedolę bliźnich rozumieć i odczuć, ale do wielkości Boga nie dorastała i nie pragnęła dorość. Boga przed widnokręgiem Konopnickiej zawsze coś zasłaniało. Sprawdźmy to na przykładach, których dostarczą poematy: *Ja się nie skarżę, Ave, Przed Bogiem, Z dni smutku, Modlitwy wiosenne* itp.

W utworze *Ja się nie skarżę* mówi poetka, że wiatr roznosi jęki, że chmury są pełne łez, że jasność dnia w noc zapada przeklętą, że kwiat umiera często w pąku, że Bóg stworzył miliony ciał, lecz duchów mało, narody idą nie wiedzieć

skąd, kędy i po co, hasła wieku prowadzą nas w bagna nicości; że konający i spragnieni próżno w niebiosy biją okrzykami, że ołtarze Boga nie płoną pochodnią wiecznej jasności, że Bóg wykuł serce ludzkie nie z siły, lecz z marnych porywów, że w chacie nędzarza nie świeci słońce...

Jakkolwiek cały długi wiersz jest zbiorem skarg dotkliwych, gorżkich a czasem i nieuzasadnionych, to jednak każda zwrotka zaczyna wbrew swej treści zapewnieniem: »Ja się nie skarżę« w myśl brzmienia tytułu. Na końcu tej litanii żalów, ku Bogu wysłanych, dodaje poetka zimną impertynencyę, nasyconą przekąsem i ironią:

Smutno mi tylko, żeś Ty, wielki Boże,
Całej tej nędzy jest — panem.

W utworze *Ave* pozdrawia poetka konającego na krzyżu Chrystusa. Pozdrawia Go przez mękę duchów, przez tęsknoty i żary, przez głuche porywy, przez gorzki kielich zwątpienia — jak zwątpienie Jego. — Słońce, lud i Bóg opuścili Chrystusa. Tak samo duchy, gdy widzą senne morze i ciemne tłumy skarżą się: Czemuś nas opuścił, Boże!

Jaką intencyę miała poetka, śląc pozdrowienie Zbawicielowi z powodu Jego cierpień? I jaką intencyę miała, przeprowadzając analogię pomiędzy słowami Chrystusa, wypowiedzianemi na krzyżu a między zwątpieniem ludzkiem? Jeżeli cierpienie

wiedzie człowieka do zwątpienia, to jest ono bez pożytku i oczywiście równa się złu, lecz jaka w tym procesie słabej duszy ludzkiej rola Chrystusa? Wszelka analogia bez śladu znika, a porównywanie nędznego w swem bezcelowem cierpieniu człowieka do Chrystusa na krzyżu za ludzkość konającego i mającego wnet w tryumfie zmartwychwstać — wygląda, jak szyderstwo. Bóg nie opuścił Chrystusa, Bóg też nie opuszcza i człowieka, o ile potrafi sam wzbudzić w sobie siły, mogące mu zapewnić życie.

Podobnie zgrzytliwym jest poemat p. t. *Przed Bogiem.*

Jeżeli poetka zgrzeszyła — spowiada się tylko Bogu. Nie życzy sobie prośby, ani obrony, ani pośrednictwa. Niech cofną się ci, co chcą ją zakryć przed okiem Boga, własny »zbłocony« płaszcz jej rzucając. Serce jej zawsze pełne łez i musi je nosić »w piersiach, jak wiecznie skrzypiącą tam piłę.« Bóg widzi, jak duszno jej żyć w ciemnicy, gdzie duchy się męczą, jak trudno być posłuszną prawom ziemi. Prawom Bożym błogosławi, lecz pręgierze przeklina. Jeśli się skarzyła lub skarzy, to nie za siebie. Własnej krzywdy nie liczy, choć wie, że ma także ojca na niebie, który mógłby dziecku płaczącemu dać trochę słońca — »w konwalii kielichu.« Chodzi jej atoli głównie o niedolę ludzką. Kończy ciężką insynuacyą, zwróconą ku Bogu.

I nie wiem nawet, czy Ty sam, o Boże!
Gdybyś na chwilę porzucił błękity
I ujrzał chaty te — i zgrzebne świty,
I w karki wrosłe niedoli obroże,
I twarze blade i serca złamane,
I w każdej ludzkiej piersi jakąś ranę...
Tobyś zapłakał sam łzami krwawemi
Ty, któryś przecież jest Bogiem!

Wiersz jest spowiedzią poetki, jej poufnem zwierzeniem swych najgłębszych zeznań Bogu Najwyższemu. Nie pierwsza to spowiedź poetyczna w literaturze XIX. w. Mickiewicz rozmawiał z Bogiem w 1830 r.:

Z Tobą ja gadam, co królujesz w niebie,
I gościsz razem w domku mego ducha;

Asnyk zwierzał się w poemacie *Pod stopy krzyża* ze wszystkich rozpaczy, zwątpień i pocieszeń; Kasprowicz później w poemacie *Moja wieczorna modlitwa* wchłaniał w pierś swą winy ziemi i błagał Boga o ratunek. We wszystkich tych poematach atoli dostojeństwo człowiecze jakoś się wyższe wydawało, mniej żałości wywołujące, a więcej mające godności — poprostu dla tego, że więcej uczucia religijnego pierś penitenta mieściła. Tu zaś kwili penitentka, jednając względy niby nie dla siebie, niby dla siebie. Zaraz z początku odpycha pośrednictwo i to jej wolno, lecz nie wiadomo, dla czego pluje na pośredników zarzutem, że płaszcz ich »zbłocony«... Potem zastrzeżenia, że niby za ogół się modli, lecz w na-

wiasie i dla siebie słońca prosi, zamkniętego »w konwalii kielichu.« (?) Nareszcie ta gniewna impertynencya Bogu rzucona! Jeżeli poetka nie wierzy we wszechwiedzę, wszechmoc i wszechdobroć Boga, pocóż się Doń udaje? A z ostatniej strofy oczywiście wynika niewiara. Jest to zatem spowiedź, pełna zgrzytów i dysonansów, nieosobliwie świadcząca o pojęciu Boga u Konopnickiej. Jest atoli w jej biblii wiersz, w którym jasno tłómaczy się to pojęcie i wysnuwa zeń wniosek dla człowieka. Wiersz ma tytuł: *Zachowaj słowo...*

Zachowaj słowo cierpliwości moje:
Jam ten, co wilki i jastrzębie poję,
A patrzę, jako rwą jagnięta w dwoje.
  Ten, co ujmuje ginącym od głodu,
  A mnoży skarby możnego od rodu
  I przeciw słabym umacnia mur grodu.
Ten, co niziny zatapia wylewem,
Co płód niedoszły powala wraz z drzewem,
Co groby karmi żywota posiewem.
  Jam ten, co patrzy bez błysku i gromu
  Na znieważony cichego próg domu,
  Na głowy zwiędłe wśród krzywdy i sromu.
Jam ten, co słońcem ozłaca blask mieczy,
Co kłamiącemu moc bożą — nie przeczy...
— A niech się uczy ze mnie syn człowieczy!

Któż to jest: Bóg czy szatan? Czy to ów groźny Jehowa starego zakonu czy też ów wróg, bez braku ludzkie rzeczy mieszający bez względu nato, prawli kto, krzywli? I dla czego od tego złego mocarza uczyć się ma syn człowieczy?

A jednakże we wierszu *Samotna idę,* zawartego w cyklu *Credo* poetka wyraźnie mówi:

Dla mnie, co jasne, słoneczne — to boże,
Lecz nienawiści duch u mnie przeklęty!
A ten, kto niesie krzyż razem z nędzarzem
I wierzy w świty przyszłości — ten święty.
A każda boleść jest dla mnie ołtarzem,
A sprawiedliwość — najczystszą ofiarą...

Zdawałoby się przeto, że hasła i przykazania chrześcijanizmu dla niej nie są obce. I zaprawdę nie mogły być obce duszy tej poetki, która tyle cierpiała na widok ludzkiej nędzy, która w swem gorącem i prawdziwem współczuciu dla niedoli przez całe wytrwała życie. Tylko po prostu przychodziły na nią takie dni zgnębienia i smutku pod wpływem widoku niedoli, że ona, która dzięki iskrze talentu Bożej uważała się za zastępczynią wszystkich, cierpiących nędze i tęsknoty ducha, wybuchała skargą protestem, czasem gniewem, a nawet bluźnierstwem. A do negacyi, protestu i skargi przyuczyły ją nawyknienia lat młodych, które nie zasiały razem z miłością ziarn wiary i nadziei w jej sercu. Stąd zwłaszcza w dniach smutku silne zgrzyty.

Jeżeli z wierszem *Zachowaj słowo* porównamy pierwszy fragment z cyklu *Z dni smutku,* to się przekonamy, że w tym szeregu bez końca pytań, docierających do istoty Boga, na dnie kryje się pojęcie z *Zachowaj słowo.* Poza maską pytań pełne

usta oskarżeń Boga, łagodzonych jednak ukochaniem ludzkości i polotu jej ku świetlistym wyżom. Przepaść dzieli braci na pokrzywdzonych i krzywdzicieli — bezbrzeżna jak ocean. Nienawiści nic wypełnić nie może, nawet Bóg, choć rozbrat ten potępia — nie może go usunąć. Nie to atoli jeszcze pole najkrwawsze, na którem pełno trupów; lecz to, gdzie duchy biją się o prawdę nieznaną,

I gdzie od wieków w dwie strony targano
Nieskończoności zasłonę.

I nie wie poetka, dlo czego Bóg ze słonecznej prawdy nie zerwie zasłony, aby już o nią nie walczono na śmierć i życie. Nareszcie w czwartym fragmencie *Z dni smutku* gniewnie wybucha poetka:

Nie płaczcie, smutni! Ach, czy wy myślicie,
Że tam wysoko, w tym cichym błękicie
Jęk wasz odbity od gwiazd złotych proga
Zakłóci spokojność Boga?...
Czy wy myślicie, że z ust waszych skarga
Jakieś marzenie wieczności potarga
I że rozdźwiękiem bić będzie w błękity
Aż Bóg się zbudzi ukryty?...
Och, świat zbyt wielki, wy na nim zbyt mali!
Choćbyście łzami krwawemi płakali,
Nic się nie wzruszy i nic się nie zmieni
W wiecznie pogodnej przestrzeni.

Są to jednak najsilniejsze akcenty niewiary i zwątpienia, wywołane widokiem ludzkiej biedy. Bez wątpienia one to uzyskały Konopnickiej epitet niechlubny poetki antireligijnej.

Obok zagadnienia stosunku Boga do człowieka Konopnicka w ciszy rozmyślań dotykała mnóstwa innych pytań, mniej lub więcej bolesnych dla człowieka, owych »przeklętych« pytań, od których każdy czujący i myślący człowiek nie może się uwolnić i w pętach których wije się, nie umiejąc odpowiedzi znaleźć.

W noc cichą poetka tęskne wyciąga ramiona do tajemnicy światów lecących. Komu i na co potrzebne walki ludzkości? Jaka rola przyrody w stosunku do człowieka? Namiętne pytania rzuca myśl niespokojna. Pójdzie, gdzie czas do biegu się sposobi, gdzie przestrzeń rozmierza swe linie, stanie oko w oko z tajemnicą bytu, a prawda się przed nią odsłoni. *(Wskroś nocy. I.)* Co jest życie? Oś przemian i ruchu. Łachmany żebraka, purpura króla, upadek ducha, wiosenna miłość, trud bez zapłaty, krwawy znój, boleść, sieroca dola... Koronę ma w błękitach, a odrodzeń trwałość w grobie. W swej materyi — garść pyłu i błota; w swym duchu — iskra nieśmiertelna. Gdzie jest tajemnicza spójnia, łącząca wieczne ze znikomem? Kto dostrzegł momentu, w którym materya wchłania ducha? Wiecznie człowiek pytać będzie wśród łez i tęsknot, co to jest życie. *(Wskroś nocy. II.)* Czy marzą kiedy ludzie biedni? Czy czują więź swoją z ludzkością całą? Czy słyszą kiedy szmery narodzin wielkich idei? Czy czują płomień braterskiej miłości, co łączy duchy? Jeżeli nie, należy roz-

szerzyć ognisko, aby światło i ciepło spotężniało. *(Wskroś nocy. III.)* Dla czego gasną tęcze wiosny, czemu cichną słowicze pieśni, czemu wysychają czary? Czemu giną porywy młodości? Czemu nie wydają plonu? Czemu marnieje świeżość uczuć? Zapał młodzieńczy do pracy, do wiedzy? Co pokolenie — ludzkość rozbudza się. A tymczasem nie ma tyle wytrwania, żaru i siły, żeby znów nie zagasnąć w mgle powszedniości. *(Wskroś nocy. IV.)* Geniusze tworzą nieśmiertelne dzieła. Duchy rwą się do prawdy. Serca płaczą nad niedolą. Pomimo tego nic się nie zmieni — i nie warto ani płakać, ani tęsknić, ani konać. *(Wskroś nocy. V.)* Wciąż rzuca pytania w błękit. Nie ma odpowiedzi. Ale ludzie nie chcą życia bez walki. I ona jest dziecięciem wieku, który wyrzekł, że gdyby mu dano prawdę gotową, nie zdobytą łzami i potem, rzuciłby ją, bo mu trzeba z trudem zdobywać. Poetka idzie w pomroce zwątpień, któremi trują się duchy dzisiaj. W oddali drga płomyczek, lecz wkoło lecą huragany, ciskające strzały w słońce. Od tych huraganów przygasa światło boże i trzeba wytrwania, aby je w piersiach utrzymać. Gdyby była Bogiem, dałaby każdemu spokój, swiatło, zdrowie; gdy zaś myśli o Wszechmocy Boga, nakazanej przez wiarę, i o nędzy ludzi, wtedy pyta: czemu? O losy ziemi śmie pytać się — Boga! *(Wskrosia nocy. IV.)* Wiosną kwitną ciernie. Ale nad schylonem w zadumie czołem wije się gałąź

cierni, nie mogąc zakwitnąć wiosną: cierniowa korona wszechświata. *(Zakwitły ciernie. I.)* Poecie wiosna obiecuje dać wszystkie głosy do opiewania swych czarów, obiecuje całą przyrodę ożywić i wskrzesić. Lecz poeta pyta, czy i serce mu także wskrzesi? *(Zakwitły ciernie. II.)* Ziemia wydała ją w starości swojej. Dla tego jest takiem posępnem dziełem. Niema czem żyć, nie może czynić, nie ma gdzie spocząć. Czuje się przeklętem ziarnem. *(Zakwitły ciernie. III.)* Spogląda z goryczą na spustoszone pola ziemi; coraz więcej słyszy słabości w tętnie serc ludzkich; serce wieku bezsilne jest i strupieszałe; Bóg widać czyni ludy starymi za karę i strąca je do mogił własnej ich niemocy. *(Zakwitły ciernie. IV.)* Jeżeli Bóg jest cieniem, niech się rozwieje, aby poetka nie wyciągała ku niemu ramion z wieczną tęsknotą. Czem jest w swej treści? Czy duchy cierpiące zrodziły Go? Czy podniósł się z oceanów, aby niebiosy zapełnić? Czy imię Boga powstało, gdy człowiek padł przed grozą, wołając: święty? Czy może wtedy, gdy pierś własną potęgą stworzyła marzenie nieskończoności? Czy pierwej był Bóg, czy też duch stęskniony, wołający: Boże! Czem jest Bóg? Byt wiekuisty, zamkniony w mdłem słowie... Otchłań — w koronie wszechmocy...

Słychać toczenie skał syzyfowych, świadczących o wiecznem istnieniu zagadnień... *(Zakwitły ciernie. V.)* Nigdy nie wzniesie się ku wyżynom

niedosiężnym, nigdy nie doleci do tych błękitów, gdzie nie słychać skarg ludzkich. Nigdy wiedza nie da jej takiej pociechy, iżby za jedno brała złe i dobre, ból i uśmiech. Wiecznie latać będzie nad pola i lasy i błękity wstrząsać swem zapewnieniem, że są smutni na ziemi. *(Zakwitły ciernie. VI.)* Był taki wieczór, gdy w ironii wyśmiała własne tęsknoty, trwogi, niepokoje; wyśmiała porywy, wyśmiała wizye nieśmiertelności, wyśmiała mędrców, którzy czołem biją przed wielkiem Nieznanem. Z wybuchem gorżkiego śmiechu stała wpatrzona w przepaść nicości. Czuła się nieszczęśliwą, zdjętą zgrozą i patrzyła na gwiazdy i noc w ciszy majestatu, aż łzy potoczyły się gradem i usłyszała przejmujący głos: »On przecież jest tam!... ja Go czuję!...« *(Zakwitły ciernie. VII.)* Dokąd dzień wiedzie rzeszę ludzką? Traci się dech w pośpiechu, niema chwili dla szczęścia, unosi jakaś ślepa siła... Gdzie jest? Żar jej piersi przechodzi w puls ziemi, a tęsknoty skarżą się nocami. *(Zakwitły ciernie. VIII).* Dopóki przestępcy ducha bluźnić będą Bogu? i przewodniczyć ludom na drodze do słońca? i stać u przenajświętszych ołtarzy, jako ofiarnicy ludzkości? Bije do Boga głos, wzywający nad sąd »rodzaj jaszczurczy«, który nieprawość swoją wytrząsa na dzieło Boskiej ręki. Głos pomsty skarży człowieka, który szaty szkarłatowe nosi, utkane z łez i potu sługi, a gdy sługa zachorzał, odliczył z mizernej zapłaty grosz.

Głos pomsty skarży innego, który głosi miłosierdzie, lecz gdy mu nędza zaszła drogę, rzekł z szyderstwem: »niech cię śmierć rychła wspomoże«. (*Zakwitły ciernie. IX.*) Niech ludy zbudzą Chrystusa, bo oto dyszy otchłań, idą pioruny bić w błękity, duchy chwieją się, chore serce głośno bić zaczyna w piersiach ludzkich, wodze rzesz ludzkich piorun obrali za znamię. Burza nadchodzi, aby świat zawichrzyć. (*Zakwitły ciernie. X.*)

Anioł milczenia ukląkł na rąbku szaty Boga i zwrócił ku globom białe czoło, szepcąc światu: pokój... pokój... pokój... On od wieków niósł światu ukojenie; on uciszał harde pytania: po co i dla czego? on zlecał człowiekowi, by wzniósł się nad siebie; on pomagał nędzy dźwigać brzemię; on był mądrością, rozwagą, pogodą, ciszą, słońcem, modlitwą konającego. Niech ziemia modli się milczeniem. Ale i tęsknota ucisza gwary, lirnikom szepce dumy, ptaszkom piosenki; u kogo w sercu żyje, ten nie zazna pokoju. Ona w mędrcu budzi czyste pragnienia, ona popycha ziemię ku słońcu. Ona oplata groby miłością, ocienia życie, jak powój... (*Tęsknota*). I nadzieja staje przed człowiekiem prosta i cicha. Gdy płomień ducha rozpali oddech ludzki, wówczas nadzieja leci za światy; gdy człowiek kona z tęsknot, nadzieja daleka odeń. Leci ona przed nim, oświeca świętość i zbrodnie wciąż przy człowieku. Nad mogiłą nawet rozciąga ramiona. (*Nadzieja*).

Z powyższego przeglądu głównych filozoficzno-religijnych poematów Konopnickiej dostatecznie widać, że zajmuje się ona najwyższemi zagadnieniami ludzkości: Bóg, przyroda, życie, jako byt, wiara, tęsknota, miłość, jako nakaz Chrystusowy, wszechświat, śmierć, słowem cały szereg tych piekących pytań, na które człowiek od wieków domaga się odpowiedzi, lecz odpowiedzi nie ma. Nie udziela też jej oczywiście i poetka. Kilkadziesiąt poematów, wymienionych powyżej, są właściwie długim łańcuchem pytań bez odpowiedzi. I słusznie zauważył jeden z krytyków, że Konopnicka daleko większy okazała talent w pytaniu, niż w odpowiadaniu na pytania. Dla czego? Jak mniemam, przyczyna leży w jej niedostatecznem do dyskusyi w zakresie wielkich filozoficzno-religijnych kwestyi przygotowaniu i wyrobieniu filozoficznem, a następnie także w istocie jej talentu. Talent Konopnickiej wynika z wyobraźni, żywej, lecz nie dość plastycznej i nie dość jasno uświadamiającej wyobrażane przedmioty, oraz z uczucia, bardzo pobudliwego zwłaszcza na wrażenia smutne. Jasność, ścisłość i konsekwencya myśli, dary kombinującego i kategorye układającego intellektu, opuszczały ją natychmiast, gdy była opanowaną przez twórczy poryw. Wówczas, gdy umysłowość z natury skłonna do logicznego konstruowania szeregów myśli, bywa dobrze wyszkolona latami nauki klasycznej i ścisłej, nawet chwile twórczego

uniesienia nie pozwolą uczuciu i wyobraźni tak zawładnąć nad procesem myśli, żeby tracił się logiczny ich związek, jasność przeglądu i ład wewnętrzny. Tymczasem poematy filozoficzne Konopnickiej są właściwie nieskończonymi szeregami krótkich, obrazowo pomyślanych pytań bez wewnętrznej między sobą spójni szczegółowej: podobne są do ogniw, zwalonych na bezładną kupę; lecz każde ogniwo, choć z tego samego materyału, kształtem jest inne. Niech ten, kto pragnie utworzyć jednolity łańcuch, szuka ogniw do siebie najlepiej pasujących i niech sam je układa w ciąg spojony nie tylko jedną główną myślą lub uczuciem, lecz także układem poszczególnych argumentów, do udowodnienia tej myśli głównej wiodących. Jeżeli nadto się zauważy, że w tym dziale poezyi Konopnickiej powtarzających się obrazów i myśli daleko więcej, niż w działach innych, to wyobrazić sobie nie trudno, jak niedoskonałymi są te poematy. Nie przeczę, że pytanie miewa nieraz wartość, gdy trafia doskonale w sedno zagadnienia, gdy dotyka bolącej kwestyi, gdy drga namiętnym żarem i natrętnie ciśnie się do głowy i do serca. Człowiek wówczas, otrzymawszy w niem potężny impuls, sam mozoli się nad odpowiedzią. Cóż z tego jednak, skoro poetka: po pierwsze miesza ze sobą ważne i mniej ważne pytania bez rozumowanego układu, a powtóre bez tchu po pierwszym zadaje dziesięć, piętnaście,

dwadzieścia innych tak, że jedno goniąc za drugiem odejmuje czytelnikowi możność przemyślenia pierwszego i napełnia głowę jego brzękiem obrazów, zabijających wątek myśli.

Nie będzie się zresztą dziwił temu szeregowi poematów filozoficzno-religijnych w dziełach Konopnickiej ten, kto wie, że tkwiła ona swojemi poważniejszemi studyami w okresie warszawskiego pozytywizmu. On to zasiewał w dusze, do uczuć skłonne i wyobraźnią żyjące, ziarna zwątpień i buntów przeciwko złu, a nie dając na dręczące pytania odpowiedzi ani dogmatycznej ani doświadczalnej, pogrążał je w męce. Inny poeta, Adam Asnyk, równocześnie z Konopnicką poszukiwał na też same pytania odpowiedzi. Ale głęboko i wszechstronnie wykształcony, o umyśle jasnym, o filozoficznej i przyrodniczej wiedzy rozległej, o nabytej wprawą biegłości w dyalektyce, zajął się nie rzucaniem w przestrzenie i pośród gromadę myślących ludzi pytań, lecz odpowiedzią. I stworzył poetyczne dzieło pierwszorzędnej wartości pod względem logiki i konsekwencyi w rozumowaniu, oraz pod względem artystycznej budowy. Mówię tu o *Sonetach nad głębiami*. Jakaż wielka jest różnica pomiędzy tym poematem, złożonym z trzydziestu sonetów, a pomiędzy cyklami Konopnickiej, rozpatrzonymi powyżej! Prawda, że *Sonety nad głębiami* należą do niełatwych poematów. Powierzchowny czytelnik i niedostatecznie przy-

gotowany nie dopatrzy ścisłej wewnętrznej rozwijającej się idei głównej w sonetach; każdy z nich, zda się, stanowi odrębną myślową całość. Dopiero odczytywanie wszystkich z kolei przekonywa, że każdy nie tylko stanowi odrębną myślową całość, lecz łączy się z poprzednim i następnym tak, że nie można bez zepsucia całości przestawić np. sonetu 24. na miejsce czternastego i odwrotnie. Co więcej wszystkie układają się w pięć grup: wstęp, Bóg i wszechświat, człowiek, wszechświat i człowiek, epoka i człowiek. W obrębie tych głównych grup poruszono, odpowiedziano na wszystkie dręczące Konopnicką zagadnienia, z czego utworzył się jakoby światopogląd poetyczny. Tego nasza poetka nie osiągnęła w swoich fragmentach. Ograniczyła się do bicia w dzwon alarmowy, do »wstrząsania protestem swym błękitów«, co doskonale świadczy o jej głębokiem i szczerem uczuciu dla ludzi, cierpiących na tym padole łez. Lecz największą dla niej jest chlubą, że w tem swojem biciu w dzwon, w tem swojem rozgłośnem wołaniu o odpowiedź na piekące zagadnienia była ona rzecznicą czasu, wzięła w pierś swoją magnetycznie zwątpienia wieku, niewiary wieku, i ów pochop do protestu, i owo zaufanie do prawd, osiągniętych przez doświadczenie, a nadewszystko uspołecznienie jednostki, inteligencyi, talentu, wiedzy i sztuki. Wszelki arystokratyzm ducha obcy był szlachetnej poetce, wszelka sztuka była dla

niej atutem we walce o byt społeczeństwa. Ona sama, jako talent poetycki, szła ze swym wiekiem i ze swym narodem w pierwszym szeregu, śpiewając bole i pragnienia swego narodu.

IV.

Hasła. Poematy ideowe. Malarskie obrazki z obczyzny. Prometeusz i syzyf. Przez głębiny.

Jeżeli poprzedniej grupie poematów można zarzucić niejakie oderwanie się od szczegółów życia, niejaką metafizyczność zagadnień, dotyczących całej ludzkości, wszechżycia i wszechnatury, to stąd zgoła nie wynika, aby Konopnicka szczegółom życia nie dawała baczenia, aby choć na chwilę zapomniała o narodzie własnym i o swej ukochanej Warszawie. Już we fragmentach są utwory, silniej związane z bieżącem życiem, niż poprzednie. Do rzędu tych dzieł należy cykl p. t. *Czuwaj strażnico.* Skarżą się poeci na wiek, że ideały waży i mierzy. Niema komu śpiewać, a pieśń nie budzi echa. Lecz pieśń nie przykuwa potęgą swych czarów szermierzy, lecących na bój, nie błyszczy zorzą, nie jest młotem olbrzyma, ani gromem, nie wybiega do wyżyn ducha, nie wkracza w przyszłość, nie sieje prawd. Taką pieśń trzeba właśnie zanucić tłumowi ostygłej, martwej czerni. *(Skarżycie się).* Niech poeta będzie silnym, niech

miłość bratnia rozszerzy jego pierś. Ludzkość nigdy w pochodzie nie liczy tych, co giną, cofnąwszy się przed walką. Niech poeta dyamentową zbroją okuje pierś przed palącym oddechem ziemskiej żądzy, przed zatrutemi strzałami zwątpienia. Niech będzie poeta silnym, gdyż tylko ten nieśmiertelny, kto z lwią siłą odciśnie ducha swego na wieku. *(Bądź silnym).* Wielkością czynu, nie martwą pokorą, płodne są dzieje ludzkości. *(O wy, co cierpieć...).* Jeżeli zaś serce poety kołysze się w piersiach gnuśnym i sennym ruchem, niech zaprze się robaczego serca, gdyż mu potrzeba takiego, które się tchem wieku jak iskra zapala, jak płomień wybucha, jak piorun gaśnie. *(Połóż rękę na sercu).* Podobnie też więdną, jak orchideje, nie dotykające ziemi, duchy marzycieli, którzy się nie wkorzenili w ojczyste pola, i lasy, i chaty. *(Jak orchideje).* Poeta powinien spoglądać w przyszłość, nie we wspomnienia, powinien trwać z podniesionemi ramionami i oczami zwróconemi ku jutrze. *(Kiedy wspominasz).* Niech zresztą pije poeta nie z płytkich zdrojów wieku, lecz z głębi. Otchłań niech mu będzie kipiącym puharem. Niech pije gorycz — lecz z morza. *(Życie — jak woda).* Niech wystrzeli jasną myślową kolumną nad czas i niech wielkość czasu w siebie wcieli. *(Pod każdą stopą...)* Nie należy liczyć na żadną w drodze latarnię, lecz ze siebie krzesać światło. *(Nie licz wśród burzy).* Ponieważ

Lud i praca — to są siły
A świat cały niemi stoi,

przeto nie tylko należy w sobie szanować człowieka, ale czcią i szacunkiem otaczać zgrzebną sukmanę. *(Wstań, o dziecię!)* Nic nie ginie w świecie, przyroda nigdy nie roni swych sił. Ideał jasny coraz wyższego i szerszego ruchu trwa wiecznie. Duch dąży w światło przyszłości. Jest też myśl, która w godzinie tryumfu policzy każdy wysiłek. *(Nie skarż się).* Trzeba jednak być silnym wzniosłym celem przyszłości, mocą z przyrody wziętą, nędzą i krzywdami ziemi, tęsknotą, resztkami młodzieńczych ułud; trzeba być szczęśliwym przez ukochanie, przez służbę dla ideału, przez iskrę rozdmuchaną w narodzie, przez miłość i natchnienie, przez umiłowanie przyszłości. *(Ty będziesz silnym).* Dęby nasze odarł wicher z krasy wiosennej po liściu. *(O, czemuż...)* Grom wprawdzie uderza niekiedy, lecz po nim żyje stara nędza i nic nie może przeważyć szali krzywd. *(Przeklęty los...)* Mimo tego należy patrzeć w słoneczność. Ściele się nam w przyszłości jaśniejsza droga. Niech duchy zabrzmią porannym hejnałem. *(W słoneczność)* Lecz bez miłości, bez zapału i bez czci ideału na nic nie przydadzą się hejnały. *(A choćbyście).* Niech tedy czuwa strażnica. Niech duchy młodzieńcze idą przodem. Niech w rozterce wieków, ludów i pojęć zapału tchnieniem rozgrzewają, niech będą czyści i pełni prawdy. Lecz

samym zapałem dziś nie można walczyć. Niech tedy myśl przekują w słowo, a słowo zrobią ciałem. Niech czyny sieją i naprzód idą. *(Do młodych braci).*

W cyklu tedy p. t. *Czuwaj strażnico* poetka nie skarży się na Boga, tajemnice bytu, niedolę ludzką i t. d., nie rzuca nieskończonej ilości pytań, nie docieka do głębin i nie stara się przejrzeć otchłani, lecz zbiera na jedną więź główne nakazy, hasła i przestrogi dla młodych duchów, idących na czele narodu. Bardzo ujmującym jest dla poetów nakaz aktualności i współżycia duchowego ze zbiorową duszą narodu. Podobnie jak Asnyk zaleca postęp, lecz i cześć dla ideału. Cały ten duży cykl różni się od poprzedniego zasadniczo unikaniem zgrzytów, zwątpień i negacyi. Można się w nim zresztą dopatrzeć dość dokładnej wskazówki, skąd błyśnie świt w mniemaniu poetki: nie nadaremnie domaga się czci dla sukmany ludowej. Pod względem formy i tu też same zalety i wady: brak precyzyi w formułowaniu nakazów i haseł, przewaga obfitości obrazowego słowa, niekiedy pieszczenie się z retoryczną ozdobą, która na poetkę czyni wrażenie siły i piękna. W cyklu powyższym, zdaje się, zwraca się Konopnicka przeważnie albo może wyłącznie do poetów i do młodych duchów, narodowi przodujących.[1]) Ze słowami przestróg

[1]) Cykl ten w znacznej części powstał zapewne w 1886 roku, wydrukowany bowiem w trzeciej seryi Poezyi w 1887 r.

odzywa się też i do kobiety swojego okresu, a jej wołanie było nowe, silne i nie pozostało bez wpływu na kierunek emancypacyjny kobiety. W bieżącym wieku pierwsza Klementyna Tańska, zwróciła uwagę na ważne znaczenie kobiety w naszem życiu i na niedostateczne przysposobienie się jej do wykonania roli. Dopiero wszakże po r. 1841 entuzyastki a na ich czele Narcyza Żmichowska zażądała stanowczo dla kobiety szerszej i głębszej nauki. W poemacie *Do moich dziewczynek* [1]) zaleca jako ozdobę od piękności bardziej wartościową dobre uczynki, ostrzega przed wyrzutami sumienia, ale szczególniej przed pychą i egoizmem. Za szczęście uważa młodości lata niewinne, miłość, lecz za największe szczęście staranie o dolę ludu.

A większem szczęściem od tej miłości
Jest wielkie szczęście ludu całego;
Prawo Chrystusa w rzeczywistości;
Ze słowem Bożem — chleb dla każdego;
Z życiem na ziemi — miejsce wśród tłumu;
Ze światłem słońca — światło rozumu;
Z pamięcią przodków — win odpuszczenie
I z pracą wszystkich — wszystkich zbawienie.

Już tedy u Żmichowskiej kiełkują ziarna wskazań szerszej roli dla kobiety. Dopiero wszakże po roku 1864 stawała się ta sprawa naglącą i zaczęto o niej pisać więcej, a zwłaszcza gruntowniej. Józefa ze Śmigielskich Dobieszewska w odczytach

[1]) Wybór pism, Warszawa 1901. str. 418—423.

p. t. *Wychowanie kobiet wobec dzisiejszych dążeń społecznych* w 1871 wzywała do gruntownej nauki; Anastazya Dzieduszycka w *Kilku myślach o wychowaniu i wykształceniu niewiast naszych* (1871) nakreśliła program edukacyi kobiecej; Eliza Orzeszkowa w książce *O kobietach* (1873) wytknęła kobiecie drogi nauki i pracy. W kilka lat potem wystąpiła ze swym wierszem *Do kobiety* Konopnicka. Poemat zawiera trzy części. *W urywku* zwraca się poetka do płochej, rozbawionej, strojnej kobiety z surowem zapytaniem.

Ty, której puste serce goręcej uderza
Tylko na dźwięk muzyki i widok tancerza,
Powiedz mi, co tam w domu robi — dziecię twoje?

Druga część p. t. *Do kobiety* jest analizą poetyczną wyrazu miłość w jego nowożytnem pojęciu. — »Kocham« — to nie znaczy, że chcę być pieszczoną, chcę tonąć w szale pocałunków, chcę, by mąż słuchał cały dzień mego szczebiotu, chcę żyć z jego pracy, chcę, by cieniem był moim, niewolnikiem... — »Kocham« — to znaczy chcę dźwigać społem z mężem ciężar życia, chcę mu nieść pokój i zdrowie i ciszę, chcę jego cel uczynić swoim, chcę, by był głosem mego sumienia i wiódł mię do Boga, chcę z nim dzielić gorzki chleb trudu, i łez, i boleści. Nie chcę przykuwać go do ciasnych i nędznych trosk, lecz chcę być mu »bratnim i równym duchem.« Nareszcie w trzeciej części p. t. *Psyche* Psyche spłoniona wstała z lampą

i patrząc na drogą głowę kochanka poznała, że był bogiem. Cóżby się stało, gdyby spostrzegła, że to tylko człowiek?

We wszystkich trzech częściach zwraca się poetka do kobiety matki i kochanki, nie zaś do kobiety obywatelki. I tu jednak podkreśla potrzebę pogłębienia praw kobiety i zrównania ich z prawami mężczyzny. A stać się to może wówczas, gdy kobieta zda sobie sprawę ze swej roli: nie jest bawidełkiem i igraszką, lecz współpracownicą swego ukochanego, powinna tedy zrozumieć go, jego cele uznać za własne i uzyskać tyle umysłowej kultury, aby na równi z nim dążyć do wytkniętego kresu, jako jego myśl, jego ramię — i przyjaciółka i żona. Wiersz ten, jakkolwiek dziś już nie rości sobie pretensyi do znaczenia programowego, gdyż wydaje się niewątpliwie przestarzałym, był w swoim czasie bardzo popularny i posuwał kwestyę emancypacyi kobiety w rozumnem jej znaczeniu naprzód, nie odejmując kobiecie charakteru, przekazanego jej przez tradycyę narodową, tak pięknie wyobrażoną w typach polskiej niewiasty, czy im Malczewski nadał imię Maryi, czy Fredro Anieli, czy Mickiewicz Rollisonowej lub Zosi.

Ale są takie melodye w lirze Konopnickiej, w których ona zniża się do prostszej jeszcze mowy, do idyllicznej niemal piosnki czy powiastki, aby w rzewny, pieszczotliwy sposób wskazać jakiś

ideał i zachęcić do pójścia za nim. Niknie tu patos zaklęć i nawoływań, głos dowodzeń i obrazowej argumentacyi usuwa się, retoryczne zwroty nie mącą jasnego wyrazu myśli; na czoło występuje jakaś powiastka, jakaś prośba, jakiś portret, który do nas przemawia z siłą prawdy i przekonania. Niektóre z tych utworów zaliczone są do księgi poetki, niektóre mieszczą się w zbiorze, zatytułowanym *Hellenica*.

Z pierwszych typowym jest idylliczny niemal obrazek *Angelus*.

W cichej komnacie na odkrytą skroń mędrca padają ostatnie promienie zachodzącego słońca i złotem zalewają brzegi otwartej księgi. Myśliciel nie widzi tego: ciało i duszę rozbił na atomy, odrzucił marzenia i złudy, zaprzeczył głośno wszystkim wiarom i obojętny patrzy w wyludnione niebo, w chłodną pustkę. Wtem stary zegar zaskrzypi i na »Angelus« jak sygnaturka dzwoni. Dwoje skrzydeł odskakuje z suchym trzaskiem w dwie strony i ukazuje się w głębi tryptyk: Marya Panna klęczy z przejasną twarzą, srebrny anioł w białej szacie wchodzi przez drzwi i wznosi białą lilię na znak niebiańskiego poselstwa. A zegar bije na »Angelus«. Mędrzec codzień słyszy, codzień patrzy — ale nie pragnie rozstać się z zegarem, lecz słucha jakichś wewnętrznych głosów...

Ile razy tych samych wątpliwości dotykała poetka poprzednio, jak się męczyła niemi sama,

nigdy jednak tak poprostu i tak ładnie nie udało się jej przy całym aparacie wielu i wielkich słów przedstawić tego wiekuistego i najgłębszego trwania w piersi ludzkiej świadomej czy bezwiednej tęsknoty do Boga, jak w tym obrazku. Czyż nie słusznie powiedział jeszcze Sęp Szarzyński w sonecie *Miłość*, że ciało,

To chwaląc, co zna początku równego,
Zawodzi duszę, której wszystko mało,
Gdy Ciebie, wiecznej i żywej piękności
Samej nie widzi, celu swej miłości.

Prześlicznie do krainy ideału wzywa poetka w prośbie p. t. *Pójdź ze mną:* tam, gdzie duchy lecą do słońca, tam, gdzie jest siła, wcielająca z siebie życie, napełniająca kłosy chlebem. Schyleni nad księgą, zaklną w ciało wieki ubiegłe, przyjrzą się walkom zniklych pokoleń, przyłożą palce do ran ludzkości, usłyszą wołania stuleci... Można wiedzą przeniknąć świat, ulżyć pracującym, rozbudzić ducha. Pomimo tego wyżej od ziemi — w lot! Jako duchy lećmy w krainę cichą i pogodną, gdzie nie burzą uroków ołtarza, gdzie milkną żądze, gdzie wzrok odkrywa głębiny duchowe... Nie jestże to komentarz do *Angelus?* Nie jest to dokładniejszy wykład owej tęsknoty duszy do Boga, wskazanej w sonecie Sępa?

Ale choć skrzydła rwą się w przestworze, poetka świadoma jest tego, że *Ktoś mnie czeka.* Żegna więc zdroje i łąki, żegna wioskę i sny prześnione i życie, bo czeka na nią: czarna ziemia,

Innego rodzaju są obrazy, zawarte w *Hellenica*. Należą one do okresu twórczości po r. 1885, kiedy poetka dużo przebywała zagranicą. Podobnie jak u Lenartowicza, gdy przeniósł się na stały pobyt do Włoch, wskutek zerwania nieustannego związku bezpośredniego z krajem ojczystym lały się albo pienia tęsknoty doń albo natchnienie lutni dawały bogactwa włoskiej kultury, podobnie jak Kraszewski po stałem osiedleniu się w Dreznie zwrócił się nie wyłącznie wprawdzie, lecz przeważnie do powieści historycznej i napisał setkę tomów historycznych powieści, tak i Konopnicka w latach 1885—1901. wiele tworzy dzieł, wysnutych z kultury duchowej Grecyi, Rzymu, Włoch, wiele dzieł przekłada, aczkolwiek, jak się niebawem przekonamy, żyje ze swem społeczeństwem w obcowaniu duchowem bardzo ścisłem i nieraz nawet pozornie obcy nam treścią malując obrazek, polskie życie i polską zbiorową duszę ma na myśli. Hellenica są poprzedzone żartobliwym wstępem z kultury greckiej. Wyborny to wstęp. Maluje w nim poetka zejście ze sceny poetów, tryumf Platona, wyrażony w pogardliwej tyradzie ku poezyi i poetom. Wówczas jednak ukazało się pacholę, wołające lutni, aby opiewać cienie bohaterów.

Konopnicka odczuwa prostotę, piękno klasyczne i wielkość starożytnej duszy greckiej, niemal w każdą postać, wydobytą z mroków odległej

przeszłości, wciela myśl szlachetną i piękną, ale czy to powieści, czy portrety, czy obrazy greckie i łacińskie nie są doskonałe pod względem formy. Prawda, że należą do utworów wczesnych, kiedy wpływ romantycznej techniki wierszowej był wszechwładny. Być może, Konopnicka zaczęła tworzyć obrazy greckie i łacińskie w myśl okresowych upodobań literackich. Wszakże i Orzeszkowa ku wschodowi zwracała się po materyał, i Sienkiewicz czynił to niejodnokrotnie, i Prus osnuł wielką powieść *Faraon* na dziejach wschodnich, i Świętochowski wprowadzał nas w zaczarowany świat starożytny, i Faleński okazał w licznych poematach znakomite znawstwo tego świata, i Asnyk niejeden motyw z tego czarownego przejął wspomnienia. Konopnicka strofę poematu *Helios* po Asnyku właśnie odziedziczyła. Treść zaś wcale nie bogata. Helios, bóg słońca, stworzył naród dzielny i świetny, dopóki nie pojawił się cień niewolnika. Cień nędzarza pod tchem wichru przeobraził się w olbrzyma, zgasił ruch w piersiach Grecyi i urągał słońcu. A Grecya upadła. Aby tę prostą myśl wyrazić, potrzebowała poetka trzydziestu czterowierszowych strof!

O wiele piękniejszy, chociaż znów w stosunku do treści swej przydługi, jest poemat p. t. *Cytara Tymona*. Na rynku w Skias tłoczy się zajadle tłum — około wkopanego w piasku słupa, na którego dwóch ramionach w kształt krzyża zbitych kołysze się cytara.

Na dźwięcznej desce *dziesięć* strun
Wysrebrza się pod słońce,
A lekki wiatr oblata ją
I budzi echa drżące...

Przyniósł tę cytarę Tymon z Miletu; ponieważ zaś w Sparcie cieszył się czcią od wieków tetrachord, tj. cytra czterostrunna i na pierwszej strunie brzmiał pean bogom, na drugiej tren ojcom, na trzeciej pieśń wojenna, na czwartej ślubna, przeto dziesięciostrunna cytra budziła niepokój, podejrzenia, gniew, i efor kazał ją w Skias na rynku obwiesić, a lud biegł jej urągać. Nagle zjawił się Tymon.

Spartanie! — wołał — odkąd to
Apollo zdał swe moce
W efora ręce, co go łzy
I lirę mu druzgoce?

Pieśń zduszona zabrzmi głośniej niż prawa eforów. Oto nadchodzi czas, w którym duch zerwie fałsz hańbiących praw efora.

I milion strun ozwie się z chat,
Gdzie milczy dziś helota
I stanie Grecya, stanie świat
Jak jedna lutnia złota.

Tymon tą obroną przekonał i porwał tłumy.

Poemat obejmuje pięćdziesiąt cztery zwrotek czterowierszowych. Jest on odpowiedzią na spółczesne zarzuty poezyi, jest w egzotycznej postaci obroną zasady wpływu ludowej pieśni na litera-

turę i życie narodu, jest też apoteozą jej i obroną niezałeżności królewskiej pieśni wobec przemocy, wywieranej na nią przez siłę ziemską. Trudno zgadnąć, dla czego Konopnicka dla wyrażenia tej pięknej myśli sięgała po materyał aż do dziejów Sparty. Tak samo trudno odgadnąć, jaka głębsza intencya skłoniła ją do napisania fragmentu dyalogowanego p. t. *W pirejskim porcie*. Jest to drobiazg, poddający bardzo wątłej ocenie niektóre pomysły greckiej filozofii o pochodzeniu świata. Tales z Miletu głosi, że Ocean zrodził świat. Anaksymenes osusza ziemię zalaną Talesem i każe powietrzu być duszą wszechbytu. Heraklit wykurza dymem wszystkie dawne bogi i każe, by ogień był rodzicem bytu. Demokryt rozbija wszystko w drobne atomy... Takim krytykiem systemów jawi się w poemacie Atenogenes filozof.

Fragment tego dyalogu uważać chyba trzeba za transpozycyę w wierszową formę jakiegoś wrażenia po przeczytaniu studyum o greckiej filozofii. Przeciwnie — wyraźną jest tendencya innego fragmentu p. t. *Kaloskagatos*. Glaukon młodzieńczego syna oprowadzał śród swych niewolników, prezentując mu »zgraję znikczemnioną, obrzydłą i podłą«, ku której wstrętem pałał. Istotnie byli to nadzy, wychudli, z sińcami na grzbietach niewolnicy. W głębi siedział niewolnik z rękami wbitemi w gęstwinę włosów i z płomieniem na twarzy. Zwolna podniósł oczy, uderzył niemi

Glaukona, jak mieczem, pochylony wstał z barłogu i z pięścią szedł ku panu, wołając: idź, idź, idź!... Miał ten krzyk coś z ryku zwierza i z jęku człowieka... Kaloskagatos uznał go za pijanego, lecz my wiemy, że to był skuty słowianin, do głębi swej istoty przejęty wstydem i goryczą własnej niewoli. Wyraźnie nam objaśnia to poetka w tak odmiennym, a jednak tak podobnym obrazku p. t. *Sclavus saltans.* Maro po uczcie prowadzi gości na przegląd świeżo wczoraj zakupionych niewolników. W piwnicy na zgniłej słomie, wpółnadzy i bladzi wypoczywają oni. Pierwszy Numid. Tors z bronzu, włos jak lwia grzywa, Maro kopnął go nogą, wołając: wstań bydle! — on zaś ryknął wściekle: Nie budź niewolnika!, a krzyknął tak, że patrycyusze zadrżeli z przerażenia. W innej stronie stał młody Grek i płakał. Płacz przejada męską moc ducha. Kto słabnie w więzach, godzien swej doli. Wtem z boku dolata wesoła nuta. To śpiewał Słowianin.

Wszędy mu dobrze — i wszędy mu chata,
Byle miał pląsy i trochę muzyki.

Z wierzby uczynił sobie fujarkę, skakał i zapomniał o łańcuchu swoim.

Och! niewolnikiem ten był, jest i — będzie! —

kończy z goryczą poetka.

Obrazek ten jest jakoby pendent do poprzedniego; odgrywa w nim rolę Słowianina dziki

Numid z większą historyczną prawdą, natomiast Słowianin uzyskał rolę pieśniarza i prawie trefnisia. Obrazek ten zdobył sobie wielką popularność, zwłaszcza akcentem swym wychowawczym. Pod tym względem może on z powodzeniem stanąć obok *Śmierci Epaminondasa* Asnyka, a nalеży do grupy tych powieści, które jak *Grób Agamemnona* Słowackiego, jak *Maraton* Ujejskiego pod postacią allegoryczną kryją zawsze głębokie i silne wskazania dla narodu polskiego i chwili bieżącej. Podobno *Sclavus Saltans* powstał pewnej zimy, kiedy Warszawa zbyt się bawiła karnawałowym objęta szałem, zapomniawszy o swej doli pod ciężką ręką Moskwicina. Takie poematy nie formą swą, lecz treścią, potężnym wyrazem, wierną i szlachetną myślą żyć będą w literaturze. To też słuszną jest popularność tego obrazka.

Do wczesnych powieści, na tle życia Rzymu rozsnutych, należą poematy: Klaudya, Tarcza Scypiona, albo też na tle historycznych momentów, przez przeszłość przekazanych, portrety: Mojżesz, Jan Hus. Nie uważam ich za dzieła wybitne Konopnickiej. Nie zajmują ani swą treścią ani formą. Odznaczają się rozwlekłością lub sztucznym nastrojem.

W *Klaudyi* opisuje poetka trwogę Rzymu z powodu kamiennego deszczu. Augur objaśnia, że klęski, jakie deszcz ów wróży, dadzą się usunąć, jeśli czysty mąż przywiezie do Rzymu *Ideę*, matkę

bogów z Pessinontu. Znaleziono takiego męża w Scipionie i wysłano, lecz wzrok jego padł na przepiękną Klaudyę i zamąciła się czystość jego serca. Lud chciał ukamienować Klaudyę, uważając ją za zalotnicę. Lecz ona okazała się niewinną, a gdy i Scipion to uznał, lud zmienił swą wolę i nalegał, by Klaudya prowadziła orszak dziewiczy i bogini uczyniła ofiarę.

Czy warto było tak słaby wątek myśli stroić w barwy powieści poetycznej o rozciągłości *Grażyny*, lecz bez jej zalet. Nie tylko nie da się ona porównywać z *Grażyną*, choć ma za bohaterkę niewiastę, lecz wogóle nie wytrzymuje krytyki. Treść gubi się w opisach nader nieplastycznych tak, że czytelnik nigdy prawie nie widzi opisywanego przez poetkę przedmiotu. Niewyraźne zarysy ludzi wprost sięgają ku ich duszy, z grubsza jeno dając kontury powłoki cielesnej. Niesłychanie uboga i nic nieznacząca akcya, wraz z bezkrwistą treścią pozbawiają powieść zaciekawienia, co jeszcze powiększa się sentymentem, jakim poetka namaszcza zawsze i wszystko, czego się dotknie. Nieco więcej zalet posiada powieść *Tarcza Scypiona*. Pobudkę do tej powieści dała Konopnickiej tarcza, wydobyta w 1665 roku z Rodanu, znajdująca się w gabinecie starożytności w Paryżu, uznana za tarczę Scypiona. Opisawszy traf wyłowienia jej przez rybaka w Rodanie, poetka wymyśliła dość malowniczą historyę srebrnej tarczy.

Było to w noc zdobycia Kartaginy przez Scypiona. W namiocie stał wódz, patrząc na zgliszcza grodu. Stoczył on tej nocy nie jedną, lecz dwie walki: jedną z Kartagińczykami, drugą ze sobą. Oto w nocy do samotnego w namiocie Scypiona pretor wepchnął prześliczną brankę i odszedł. Zostali się sami:

Siła i piękność: dwa berła, dwa światy.

Namiętne żądze zakipiały w piersi rycerza. Wyciągnął ramiona do branki, chciał ją porwać, lecz bezbronność i słabość jej wydały mu się taką ochroną, że zamiast ją znieważyć, rzekł: jesteś wolna. Dał jej swoją tarczę, niby list żelazny i odesłał do miasta, uczciwszy »wolność — w niewolnicy«. Ojciec zaś branki kazał wykuć w srebrze wielką tarczę, wyryć na niej pośród tajemniczych godeł, kwietnych opasek i złotniczych ozdób słowo *dziewica* i Scypionowi posłał w podzięce. Taką malowniczą i romantyczną powiastkę wymyśliła poetka na widok paryskiej tarczy. Gdyby nie rozwlekłość (z górą 500 wierszy) i nie brak epicznego spokoju w opowieści, utwór ten niewątpliwie mógłby sobie zaskarbić uznanie czytelnika szlachetnością myśli przewodniej. W dwóch poematach p. t. *Mojżesz* i *Jan Hus* usiłuje Konopnicka osiągnąć patos lirycznego uniesienia, dając głos wielkim wyznawcom religijnych uczuć. Pierwszy maluje żal, gniew, rozpacz Mojżesza,

gdy Bóg mu oznajmił, że nie ujrzy własnemi oczami ziemi obiecanej. Widział grzbiet smagany swego ludu, słyszał krzyki jego niedoli, śniły mu się krwawe kajdany skrzywdzonych i jęki i westchnienia. Teraz bluźni:

Bodajbym nie widział Pana w gorejącym krzaku,
Ni głosu Jego słyszał w wichrów szumie.

Teraz oczyma ducha dostrzega szeregu cieniów, szarpanych wichrami, zanim nastanie dzień tryumfu. Piersi potężnym oddechem wstrząsa niebiosy. Na skinienie jego wicher się zrywa i znów opada. Z czoła tryskają mu dwa snopy, w prawicy czuje moc cudu, on prawodawca, wódz ludu, patrzy twarzą w twarz Boga... I wszystkie cuda teraz w pamięci odżywają... Lecz opuścił go Pan, wydał na wzgardę, urąganie i zelżywość światu. Więc o litość błaga. Na chwilę zwątpił, omdlały na widok nędzy i cierpienia swego ludu. Litości woła, niech pierwszy stąpi nogą na ziemi świętej... Czuje tchnienie Boże, Bóg idzie...

Poemat ten powstał przed 1883 rokiem, wydrukowany w drugiej seryi utworów; powstał może pod wpływem *Mojżesza* Vigny'ego. W części protestującej, w okrzykach bluźnierczych siła uczucia i wyrazu duża. Ale część prometeiczna słaba. Jeden z wielbicieli poetki W. Bogusławski na pytanie, czy Konopnicka ma skrzydła, konradowym lotem niosące ją aż ku wieczności, odpowiada twierdząco głównie na podstawie *Mojżesza*. Trzeba

się atoli zastrzedz przeciwko temu. Mojżesz gorący i namiętny jest w swoich patetycznych wywoływaniach nie wtedy, gdy mu los narodu ciąży, lecz wówczas, gdy osobista doskwiera mu boleść wobec pewności, iż skutkiem kary za zwątpienie nie ujrzy ziemi obiecanej. Przeciwnie mickiewiwiczowski Konrad. Ten na własnej piersi skrwawił pięści, przeciw Bogu ich nie podniósł wówczas, gdy Bóg osobiste odjął mu szczęście. Teraz zaś patrzy na męki swego narodu, jak syn na ojca wplecionego w koło. I to jest najszlachetniejsze pojęcie Prometeusza. I to właśnie godzi nas z Prometeuszem czy jest on pomysłu Hesioda, Eschila czy też Goethego, Shelleya, czy najdroższy nasz — mickiewiczowski. Mojżesz zaś Konopnickiej wydaje mi się głównie bluźnierczym egoistą...

A poemat *Jan Hus* powstał wówczas, gdy do Warszawy przywieziono sławny w swoim czasie obraz Brožika pod tytułem: *Jan Hus przed sądem.*

Stoję i milczę — mówi poetka za Husa. — Nie uważam sędziów za sąd Boga. Podobny jestem do skrwawionego łabędzia, lecącego do Boga; podobny do Chrystusa, który kona milcząc, lecz mówi zań krzyż, cisza, pełna miłości głowa, nad nią korona męki i hańby. Tryumfują rzymskie pany. On zaś idzie z krainy wolności; choć wie, że czeka go stos, nie boi się. Napróżno biskup wyciągnął ramię, rzucając ognistą klątwę: duch

jego nie zaprze się swej prawdy. Zdarto już zeń szaty kapłańskie, lecz nie dla tego dusza rwie się mu w kawały. W duszy jego zostało drżenie gołębicy, latającej nad gmachem, gdzie gniazdo jej płomienie objęły. Trwoży się o ojczyznę. Zbliża się rozwiązanie. Od Białej Góry i od Taboru słychać tętent. Lud powstanie znowu. Gdy ma tę wiarę, gotów iść na stos. Wyciąga ręce ku dniom świtania. Duch jego stanie się ich uczestnikiem. — Takie myśli wkłada poetka w usta milczącego na obrazie Husa. W drugiej części utworu dodaje komentarz od siebie. Dziwi się, dla czego tłum ciśnie się do oglądania Husa z takim niepokojem. Dziś niema już obawy, aby Rzym na stos skazywał; Rzym nie ma ani tej siły ani tego znaczenia; co najważniejsza zaś: choćby nawet stos gorzał, skąd wziąć męczennika?

W poemacie tym, z dwu części złożonym na patetyczny ton stroi się część pierwsza. Jednakże w tym monologu, który za wielkiego heretyka wygłasza poetka, są skargi, żale, okrzyki, złorzeczenia, jest wyraz trwogi o ojczyznę, jest nieskromne, pychy pełne porównanie siebie do Chrystusa, ale niema dowodu prawdy. Ani milczenie nie jest dobrym dowodem prawdy własnej herezyi, ani użalania się na niesprawiedliwość. Druga zaś część, nie pozbawiona konceptów, rzekomo zabawnych, osłabia wrażenie pierwszej. Dziś — mówi Konopnicka — można figurę woskową Torkwemada

oglądać za grosz w budzie; dziś »sobory nudzą Rzym — daję wam słowo! — zapewnia poetka z jowialną pewnością conajmniej kardynała; dziś — kończy — choćby zjawił się biskup, rzucający klątwy, — *ja* daję wam glejt, zatem nie trwóżcie się«. Taki komentarz osłabia patos Husa i wydaje mi się niesmacznym. Co do formy poemat *Jan Hus* pisany oktawą o zmienionej rytmice i zmienionym układzie rymu. Mianowicie rytmika nie jest jednostajną we wszystkich ośmiu wierszach, lecz w wierszach siedmiu bywa zgłosek jedenaście z cezurą po piątej zgłosce, we wierszu ósmym bywa zgłosek pięć. Rymują się zaś wiersze: pierwszy, trzeci, szósty, siódmy i drugi, czwarty, piąty, ósmy. Rymów zatem bywa nie trzy, lecz dwa. Byłby to tedy poemat o rytmice i rymie wcale niepospolitym, gdyby treść dopisała.

Nie warto doprawdy szczegółowiej rozpisywać się o analogicznych poematach, jak *Elektra*, *Augury*, *W rocznicę Termopilów*, *Demos — Cezarowi*, *Pod Dogali*, *Po sześciu wiekach*, *Pieśń Żyrondystów* i o niedużym cyklu *Po drodze*. We szystwkich tendencya ta sama: poetka po stronie ludu przeciw możnym, po stronie wolności ducha, uciśnionego lub rzekomo uciśnionego przeciwko gnębicielom, po stronie Prometeja, Grakcha, Spartakusa, ale i po stronie Lucifera przeciwko Bogu.

Lucifer! I twych skrzydeł pęd słyszę ogromny,
Po przepaściach lecący, na hymny rozbity,

I widzę potępione promienie twej głowy!
Jehowa chciałby zasnąć, uciszyć błękity,
Lecz ty, Strącony, światłem walisz się przez szczyty,
W locie swym i w swej klęsce wiecznie świeży, nowy.

Właśnie brakowało tylko tego uśmiechniętego komplementu w stronę szatana dla dopełnienia akordu. Szkoda jednak, że poetka niewielką posiadała zdolność przenoszenia się w duszę potężnych buntowników. Nie są to ani namiętne mowy Kaina Byrona, ani uczuciem i myślą nabrzmiałe wybuchy Prometeusza Shelley'a. I Mojżesz, i Scypion, i Hus, i Lucifer zdrobnieli pod tknięciem pióra Konopnickiej. Zabłąkała się atoli do tej grecko-rzymskiej książki garstka utworów polskich — i ta dziwnie odbija swoim serdecznym, swojskim tonem, swoją śpiewną nutą, swoim smętkiem rzewnym lub animuszem rycerskim. Są to trzy *Kartki z Raptularza*. Kartka pierwsza: *A za tego króla Jana.* Ten jest najpiękniejszy. Bije odeń junacka dziarskość, »kawalerska fantazya«, pewność siebie, wesołość wojenki. W rysach grubych ale dosadnych opisany bój pod Wiedniem, gdzie

Z dziwem stali obce króle,
Wyciągneli długie szyje,
Patrzą, jak to Polak bije.

I tu atoli, pomimo doskonałej zgody między treścią i rytmiką gawędy, znajduję obraz nieprawdopodobny. Biały koń Jana — mówi poetka —

Strzał tureckich błyski chwyta
Na wzniesione w skrach kopyta...

Gruntownie obraz kuleje z powodu niemożliwości spełnienia się tej akcyi, jaka w nim podana. *Opowiadanie rannego* na polu bitwy prawdopodobnie wiedeńskiej przejmuje swą grozą i swym smętkiem. Ranny przypomina, jak Nizam uniósł się z pośród trupów, zerwał kaftan z lewego ramienia i zatknął nim ranę swoją, z której krew buchnęła, a potem dobijał rannych, gdzie usłyszał jęk. Był to Turczyn, pełen bezdennej nienawiści. Już zbliżył się do rannego, ujrzał go, wzniósł nad nim kindżał, lecz w tem otwarła się zatknięta rana i padł nieżywy.

Opowieść bardzo żywa i dramatyczna, w decydującym momencie nawet grozy pełna. Trzecia kartka jest znanym powszechnie hymnem na cześć *Grunwaldu.* Nie daje on nawet dalekiego złudzenia o potędze i wielkości grunwaldzkiego boju i zwycięstwa. Do tego rodzaju patryotycznych poematów należą wszystkie, wydawane pod pseudonimem Jana Sawy, zwłaszcza zaś *Sen Jermaka*, drukowany w *Przełomie* 1895 r. i tak entuzyastycznie oceniony przez Szczepanowskiego.

Aby uzupełnić i wyczerpać tę strunę poezyi Konopnickiej, przeważnie z obcych lub na obcej ziemi zdobytych wrażeń wysnutej, musimy rozpatrzeć jeszcze dwa jej rodzaje t. j. *Sonety włoskie* i poemat dramatyczny *Prometeusz i Syzyf.*

Sonety włoskie były owocem nie pierwszej już zagranicznej podróży poetki. Lubiła ona bardzo wylecieć poza obręb kraju i wchłaniać w siebie życie obcej kultury i widoki obcej przyrody i czuć nad sobą widnokręg obcego nieba. Już w drugim zbiorze (1883) znalazło się dziesięć utworów z podróży. Zwiedziła wówczas Tyrol, Wenecyę, Weronę i Włochy północne. Wydała opis tej wycieczki w książce p. t. *Wrażenia z podróży.* W tym ciekawym opisie na stronie 91. rozmawia poetka z *Nowym Peregrynantem,* autorem księgi o podróżowaniu. Z rozmowy tej wynika, że poetka za jaskółkami leciała, za obłokiem zachodnim, niosąc w podróż śród obcych błogosławieństwo swoich łąk i pól z miłością wielką, Nie brała benedykcyi kościelnej, nie zachowywała *regulas,* lecz szukała i witała aniołów ziem, do których przybyła. Oblicze tych aniołów bywało smutne. Budziły one ludzi do pracy, na ruinach siadały. Poetce w podróżach nie szło o religię, o ustrój, o długość granic krajów zwiedzanych i o ich dzieje... Natomiast ze znacznym temperamentem, lirycznie maluje przygody, pięknem się zachwyca, ze śmiesznych zdarzeń śmieje się wesoło, przygląda się ludziom, dzień za dniem mówi o sobie i najbliższych sobie rzeczach i wrażeniach, usiłując równocześnie istotę obserwowanych zjawisk odgadnąć i duszę krainy poznać. Dziesięć utworków, wydanych poza książką w zbiorze poezyi z r. 1883,

doznało surowej nagany ze strony tak poważnego i wytrawnego krytyka, jakim był Piotr Chmielowski. Zarzucał jej, że naśladowała Mickiewicza, że na obcej ziemi nieustannie akcentowała tęsknotę do swej ziemi. Ale Mickiewicz był na wygnaniu, stąd dźwięk tęsknoty w sonetach krymskich naturalny, Konopnicka zaś mogła wrócić. Dramatyzowanie uczucia równa się jego fałszowaniu, dla tego też nawet piękne liryki tracą urok, gdy podpis *Ischl* przypomina intencyę, z jaką pisane. Do udanej tęsknoty przyłącza się udana naiwność. Tak np. poetka w *Ischl* przygląda się słońcu i pyta: Ty tutaj słonko? A kto tam świeci nad wioską naszą lichą? — i wyliczywszy dwadzieścia kilka rozmaitych »kto« z właściwą sobie retoryczną swadą zapędza słonko do »miłej naszej wioski«, bo — powiada — tam jej przyjdzie zmarnieć bez ciebie. Czyżby przypuszczała — kończy złośliwie krytyk — że wraz z nią wyjechało z Mazowsza i słonko?

Nie zawsze jednak poetka sentymentalnie spogląda na obcą krainę. Miała ona swego rodzaju dowcip, który wesołą tryskał kaskadą w chwilach zabawnych wydarzeń podróżnych. Czasem znów uniesienie i zachwyt brzmi ze wspomnień i utworów na widok jakiegoś wspaniałego zjawiska natury. Zwłaszcza widok morza już w r. 1883 potężne wywarł na wyobraźni poetki wrażenie. We wspomnianej książce znajduje się taka patetyczna strona, poświęcona odmalowaniu tego wrażenia. »Naraz

zrobiło się oczom moim przejrzysto i szeroko — i powiały na mnie ogromne oddechy i dusza moja zaszła świeżością i blaskiem. Morze szło ku mnie z pośpiechem wielkim, westchnieniami mówiąc do mnie, pełne niecierpliwych szeptów i wnętrznego żaru. A kiedym się zbliżyła, przybiegło całą chyżością fal i otrąciło się o ławicę piasku tuż u nóg moich; a zobaczywszy, iż w zadumaniu stoję, wstecz poszło i cofnęło się w szumach, modrych ogniów pełne. A kiedym jeszcze stała, nadbiegło znowu z głuchem i natarczywem wołaniem. I zbliżyłam się na wołanie to i usłyszałam dziwną pieśń, pieśń — przepaści. Takiej pieśni słuchając, człowiek po falach chodziłby mógł i na powietrze tchnąć duchy mnogie i posyłać wichry, jako ptaki morskie — na wschód i na zachód słońca. Bo w pieśni tej jest słowo potęgi, jakiej człowiek nie odgadł jeszcze w sobie. Ale odgadnie i stanie w mocy i dojdzie miary, na jaką wymierzony był duch jego na początku. Lecz teraz, gdyby mnie kto zagadnął, jak wyglądało to morze, nad którem zasłuchana stałam, nie wiedziałabym, co rzec i jak je słowami pokazać. Bo nie utworzył język ludzi słów takich, któreby się podejmowały w głębiach i falami szły i uderzały o ziemię płaczem wiecznym i odchodziły zawołane ku wysokościom swoim. Wiem tylko, że cienie i blaski szły po niem, jak po obliczu żywem, i że z goryczą wielką o brzegi biło i pełne było głosów mdlejących i ostatecznych

westchnień. I podobne było morze to rzeczom smutnym a mocnym i rzeczom zakrytym przed naszemi oczami dla wielkiej rozpaczy swojej. I było podobnem do miłości i drgnień błękitnych na najgłębszej głębi; i do nienawiści podobnem było z pian i z mętnych zapędów i z szelestów wężowych. Wielkim poetą był Bóg, kiedy stwarzał morze«.[1])

Kiedy zaś w 1894 roku Konopnicka znowu była we Włoszech południowych tym razem, nie zaś północnych, jej entuzyazm na widok morza, jego malowniczości kolorystycznej, jego przedziwnie zmiennych nastrojów, jego urozmaicenia pełnych obrazów i widoków odbija się w *Sonetach włoskich* przeważnie, lecz nie wyłącznie morzu poświęconych. Oto zwięzła treść tych sonetów.

1. *Widzenie morza.* Szmat nieba oderwał się i przekształcił w morze. Pochwycił on myśl poetki, która »szczeliną w otchłań zapada i z głębin wybłyska perłą«.

Sonet zamało wytworny w obrazowaniu, dość nieplastyczny, w pierwszej części przypominający Mickiewicza: *Widok gór ze stepów Kozłowa,* ma końcową refleksyę ładną.

2. *Bagnasco.* Modra cisza. Błękitem dyszysz, błękit opływa świat cały.

Sonet to niewątpliwie zwartszy od poprzedniego i piękniejszy. Jest on opisowym.

---

[1]) Str. 83.

3. *Widzenie Korsyki.* Grom — na czole skały. Stąd wyrósł Napoleon.

Rytmika tego sonetu szczęśliwie wspomaga treść:

˘ – ˘ –
Korsyka to! | Olbrzyma to kołyska,
˘ – ˘ –
Co ludy kładł | na mieczów nagich szalc,

Żywiołem był | i duchem bez nazwiska

I dziejów łuk | ku swojej napiął strzale.

4. *W nocy.* Poetka widzi Chrystusa, idącego po morzu. Zmiłowanie niesie spracowanym, nędznym i małym. Wtem słychać wybuch płaczu i łkania ku Niemu.

5. *Molo Lucedio.* Opary liliowe od brzegów wydają się poetce korabiami, pełnymi duchów, które płyną kędyś na Wschód, na stary zrąb świata.

Należy do słabszych sonetów, skutkiem mglistości i niejasności wizyi, oraz braku pejzażu.

6. *Oto łódź moja.* Poetka, przesycona mową ludzi, pożąda mowy morza. Niech morze odmawia z nią pacierz dzieciństwa i porannej wiary, poznany tam, gdzie dzwoni łan żyta, gdzie szumią bory.

7. *Gran scolio.* Z tego miejsca na wybrzeżu genueńskiem w 1860 r. odbiło tysiąc osób, idąc do walki o niepodległość Włoch. Hasło brzmiało: *I mille.* Poetka uwielbia poryw jedności i chwały u tego ludu.

8. *Chiaja*. Morze duma o swej głębi i w swem dumaniu wydaje się ciemno-błękitnem. Naraz wystrzela blask.

Sonet jest malarską reminiscencyą przepięknego krymskiego sonetu: *Aluszta w nocy*. I ten też kolorystycznie byłby ładny, gdyby dość niefortunne na końcu odwołanie się do Boecklina: Gdzież twoja paletà, Böcklinie?

9. *Miceny*. Przylądek nazwę przejął od Micensa, trębacza z Odyssei Homera. To opowiada poetka w sonecie, dodając, że słyszy wrzawę walki od Troi.

10. *Porto Vecchio*. Ruch, gwar, wrzask, skręt: to morze, forum i sala biesiadna z łożem i pieśnią.

Poetka naśladuje co do rytmiki sonet krymski p. t. *Burza*.

11. *Al mare*. Na morze, łódko młodości, pióry lecąca orlemi, w bezgraniczny pęd pragnień, w rozbrzaski dnia szare!

Sonet liryczny, jednolity, doskonale skomponowany, pełen myśli, z duszą i uczuciem tworzony. Jeden z najlepszych sonetów włoskich Konopnickiej.

12. *Capri*. Wielkie wspomnienia dawne owiały wyspę. Teraz stary rybak nie zna ani Tyberyusza ani Augusta, lecz zna za to głód i nędzę.

13. *Cogoleto*. Mieszkanie jakiegoś chorego i ubogiego samotnika.

14. *W porcie Darseny.* Oto wypłynął okręt. Dąży może w śmierć i wiekuistą ciszę.

15. *Sorrento.* Wizya śnieżnych pól, na które leci dusza poetki, wizya jakichś mar.

Sonet zimny, niejasny; należy do słabych włoskich sonetów.

16. *Adwokacya.* Poetka wielbi morze za rozłogi niezmierne. W tę drogę puściwszy się, pogrąża się w nieskończoność...

17. *Mewy.* Analogia między kaskadą mew, lecących w słońce, którym pachoł pijany rzuca zdechłą rybę, a one spadają chciwie na »żertwę«, — a między ludzkiem sercem, ku zorzom lecącem, lecz padającem z krzykiem żądzy i twarzą zwierzęcą na wpół zgniłą przynętę losu.

Sonet pod względem myśli najpiękniejszy i najbardziej obrazowy. Dawniej już poetka tę samą myśl odtworzyła w poemacie *Imogena.* Doskonałość jego psuje się przez niedość wytworną technikę.

18. *Pozzuoli.* Tu niegdyś zamknął się Sylla. Miał lazur, śniade dziewki kumejskie i flety. Miał wino z gron nad Avernem, ostrygi z Lucrino, karpie z Fusaro, a nadewszystko — morze.

19. *U grobu Pergolesa.* Jeszcze w Pozzuoli. Rzuć Pergolese ciemnie i śpiewaj swe »stabat«:

O, ja ziemia, ja matka, rodząca boleśnie!
Oto na krzyżu czasów jest ukrzyżowany
Syn mój, człowiek! Oto się krwawią jego rany.

Słychać daleki odzew tej pieśni.

20. *Punta Campanile.* Strażnica. Ujrzano z niej saraceńską nawę. Trwoga. Niech strzeże od nieszczęścia święty January!

21. *Przed burzą.* Toń ślepa, bez świateł. Zdala nadciąga wicher. Przestwór powleka się ciemnością. Rozpękły wód kryształy. Nawałnic duch nad przepaściami lata.

22. *Certosa san Martino.* Krajobraz morza od strony Kartuzów.

23. *Mare morto.* Niech morze zapomnienia cichemi wodami opłynie poetkę i rozleje się za nią.

Tak odtwarza Konopnicka w Sonetach włoskich wrażenia swoje, jakieś ułamki dziejowych zdarzeń, jakieś czasem maluje pejzaże, w które tak obfituje zarówno morze włoskie jak jego wybrzeża. Niewątpliwie najpiękniejsze są sonety liryczne. Naogół wziąwszy, wymagałyby one większego ogładzenia, sprecyzowania obrazów i myśli, nieraz większego zlewu rytmiki i treści. Mickiewicz, gruntownie zapoznawszy się z mistrzowskiemi co do swej artystycznej strony sonetami Petrarki, czuwał długo i pilnie nad tem, aby jego *Krymskie Sonety* były zgoła arcydziełami formy; rok cyzelował je, gładził i urabiał, zanim wydał. Konopnicka zaś drukowała swoje wkrótce po podróży w *Tygodniku ilustrowanym.* Stąd nie wszystkie sonety mogą wytrzymać miarę tych ścisłych wymagań techniki, jakie zwykło się do tego rodzaju wiersza stosować. Czasem treść rozsadza ramy sonetu, nadając się

raczej do poematu, czasem poetka umie zaobserwować rysy specyalnie charakteryzujące daną miejscowość. Prawda, że sonety odnoszą się do Włoch i przez to są dla nas nieco obce. Z drugiej atoli strony godzi się zauważyć, że Konopnicka niejeden napisała utwór analogiczny i o naszym kraju, szczególniej w ostatniej dobie. Do takich właśnie utworów należą: *W miasteczku*, *Na Kujawach*, *Trębacz*, *Na Kurpikach* itp. Są to drobne obrazki w rodzaju *Pieśni o ziemi naszej* lub *Pieśni o domu naszym*, piękne formą i miłe sercu polskiemu swą rodzimością.

W 1892 r. napisała Konopnicka poemat dramatyczny p. t. *Prometeusz i Syzyf* z pełnem głębokiego znaczenia mottem: *Abyssus abyssum vocat.*

Treść. Część pierwsza *ma tytuł „Przed wiekami". Noc w górach. Słychać grzmot toczących się głazów. Prometeusz w czapce frygijskiej i krótkiej chlamydzie. Woła: „ho, ho! Co tam robisz, bracie?" Syzyf, toczący skały pod górę, dziwi się, że go nazwano bratem i nie ufa. Prometeusz dowiedziawszy się, że Syzyf toczy głazy pod górę, pyta, dlaczego to czyni, czy za karę? Syzyf nic o tem nie wie. Od czasu, jak ruszył ramionami, stoi tu i głaz po głazie w górę z dna przepaści toczy. Głazy spadają na dno, a on je znów toczy. Marzy, żeby tak mógł raz chociaż na sam szczyt... Ale nie może. To nie jest kara, to jest życie. Czy go kto pilnuje? Nie, Jeżeli tak mówią, to nie jest prawdą. Prawdą jest to, że głazy ciągle spadają. Na pytanie Prometeusza, jaki cel tej roboty i dla czego głazy toczy, odpowiada Syzyf: Ponieważ spadają, więc je toczę. To jest bardzo proste. Nie chodzi mu o to wcale, dla czego. Gdy suszył sobie*

niegdyś nad tem głowę, miał oprócz łamania w kościach jeszcze łamanie w mózgu. Prometeusz przedstawia się Syzyfowi: myśl jego idzie z bogów. Na to Syzyf dobitnie po dwakroć odpowiada: mnie ziemia zrodziła. — Prometeusza życie — to nieśmiertelny pęd i ruch myśli; on szuka prawdy; idzie po światło dla ludzi i rzeczy. Wielbi światło i radzi Syzyfowi spoglądać w nie. — Jakże mam w nie spoglądać — skarży się Syzyf — skoro muszę zamykać oczy, bo sypią się na nie żwiry. Wówczas Prometeusz wygłasza prześliczny do słońca i światła hymn, jakiego pierwowzorów szukać chyba w staroegipskich hymnach lub w Manfredzie Byrona. „Co dnia wychodzi z morza i z złotych włosów trzęsie na świat róże. Wstępuje coraz wyżej. Zapładnia kłosy, winnice mocą i słodyczą zaprawia, w łąkach stada mnoży, sokiem nalewa jagody w lasach, a usta dziewic maluje purpurą. Wstępuje wyżej coraz. Wyciska żeńcom pot z czoła, żar w piersiach mężów nieci, jelenia pędzi za łanią w kniei, żywicę z sykomorów toczy. Wyżej jeszcze wstępuje. Ziemia żarem dyszy, pierś jej faluje od zbóż i kwiecia, z mrowisk bije woń myrry, rzeki płyną szafirem, powietrze z rozkoszy omdlewa. Staje nareszcie słońce na wyżynie swojej promienne, boskie, błogosławione, wielkie! Ale i nocą boskie światła na niebiosach płoną. Płonie selene słodka, róży białej, palącej się podobna; płonie Oryon przejasny, czerwony Ares, Wenus, Hera życiodajna i Apollo z Lirą. Płoną gwiazdy pięciorogie, ludziom przyjazne, sen błogi dające, i gwiazdy trzyrogie, na które dobrze jest nie patrzeć długo. Nieskończoność świateł srebrzystych... Ale to wszystko niczem jest przy wiecznym ogniu, po który idę... Idzie, lecz czy dostanie? Ród jego jest nieszczęsny. Toczy myśli swoje, a myśli staczają cię na dno; toczy wolę swoją, a wola stacza się na dno; toczy ducha swego, a duch stacza się na dno. Szczytem jest Zeus, skałą — życie, dnem — nicość.

Część druga *ma tytuł „Po wiekach". Prometeusz, jako uskrzydlony, światłem objęty geniusz, śpiewa hymn zwycięski. Ma ogień, niesie go na piersi: imię jego będzie — światłu rozkazujący. Do mięsa, do żywej kości przegryza się ogień przez skórę. Ale nie puści, ręki z ogniem z zanadrza nie wyjmie. Czuje swąd własnej skóry i skwierczenie ciała, ale błogosławi swą mękę. Tak cierpi, że aż omdlewa z rozkoszy cierpienia. Ogień niesie, który ludzi bogom równymi zrobi. Wówczas znów słyszy jęki Syzyfa i skargi na krzywdę odeń doznaną i pyta, jak to być mogło, żeby go skrzywdził. — Mową krzywdę mu wyrządził — odpowiada Syzyf. Od czasu, jak mu mówił o świetle, stracił spokój. Szuka, pożąda światła, ale go nie widzi. Nie widział wprawdzie i dawniej, lecz dawniej było spokojnie. Teraz toczy głazy, oczami jednak szuka świateł, a głaz go kaleczy. A i głazy zrobiły się teraz cięższe. Skały dawniej były nieme, teraz szepcą. Nauczyły go szeptów dziwnych, drażniących, szeptów, które mają twarze: czasem groźne, czasem szydercze, czasem łzami zalane. Ich niepokój rozdziera mu duszę. Czasem coś wysuwa się z kąta, jak długie, długie żądło. i syczy: dlaczego? To jedno słowo zabiło go. Bywa ono tak małe, jak ziarnko piasku, pod powieką tkwiące, które źrenicę krwawi, albo tak wielkie, że mogłoby rozsadzić całą jaskinię. Czasem jest jak klin, do mózgu zabity, czasem jak szpara w piersi, przez którą życie ucieka.*

Wtedy Prometeusz rozdarł płaszcz swój i oddał Syzyfowi iskrę boską.

Część trzecia *dzieje się później. Prometeusz ma postać anhelliczną. Na odłamie skały siedzi Syzyf. Krótka bluza kamieniarza, ręce i nogi obnażone głęboko, postać dołężna, rzucająca cień krótki, czarny. Od strony miasta słychać okrzyki: podpalacz! chwytać podpalacza. Prometeusz wita: Bądź pozdrowiony, tytanie! Poznaje Syzyfa: „Byłem pewny, on! Stopy, które pójdą w przyszłość,*

Ramiona, które pochwycą życie. Pierś, która wyda ostatni okrzyk tryumfu, zanim nastanie wielka cisza ziemi. On, budownik jutra... Lecz iskra? Gdzie iskra moja?“ (str. 56). Na to Syzyf odpowiada, że gdy ją rzucił do jego dziury, zrobiło się nagle tak jasno, że mało nie oślepł. Z czasem przywykł, i zobaczył, że to, co miał za głazy, było jego nędzą, a to, co zdawało mu się szczytem, było jego głupotą, a to, co zdawało mu się przepaścią, było jego krzywdą. Wtedy płakał. Ale podniósł się, rozwalił przepaść, przekonał się, że niebo, Olimp niby — to taka sama przepaść, jak jego, tylko szczytem na dół odwrócona, a Zeus jest takim samym pachołkiem, jakim on był. Wtedy zapalił miasto ową iskrą, zapalił ze wzgardy, nienawiści, złości i zemsty. Wówczas Prometeusz podnosi runiczną laskę i mówi:

„Iżeś boskiego ognia w pierś nie wziął, aleś zeń ziemi pożogę uczynił... Iżeś za światłem w górę nie rósł, aleś rzeczy górne ściągnął do własnej nicości... Na wiek... na dwa... na dwakroć po lat tysiąc oddaję cię bezruchowi i senności głazów“. Syzyf kamienieje.

Nieraz objaśniano już, jak trzeba i jak można rozumieć Syzyfa. Może to postęp ludzkości, kalający skrzydła we krwi rewolucyi i terroru; może dążenie do wiedzy, które zagasło w zwątpieniu; może sztuka, zniżająca się do naturalizmu; może cywilizacya, torująca sobie drogę ogniem i mieczem. Jasny jest Prometeusz: to duch, to iskra boża, która radaby człowieka mimo jego niemocy i niedoli uszczęśliwić. Syzyf wydaje się człowiekiem, używającym pierwiastku bożego, wlanego mu w piersi — na zło współbraci. Światło, wiedza i szczęście zepsuły człowieka. Przypomina się tu piękny sonet włoski p. t. *Mewy*. Przypomina się

zresztą nie tylko ów sonet. Znani są nam Prometeusze z dziejów ludzkiej kultury. Najstarszy Eschilowy cierpiący, późniejszy Kain, straszliwy w swej sile, chytrości, pysze i wymowie. Później Prometeusz Shelley'a — taki szlachetny i piękny, nareszcie nasz Konrad, pełen miłości ku ludziom, choć i pełen dumy. Konopnicka atoli głównie pęk światła nie na Prometeusza, lecz na Syzyfa rzuciła — i to jej *heureka*. Syzyf-człowiek, ciężkim bezcelowym trudem zajęty, dopóty w znojnym swym trudzie egzystuje w tępem milczeniu, dopóki sobie wyobraża, że to jest życie i poza tem nic niema. Syzyf-człowiek zaczyna cierpieć, gdy do świadomości jego dociera wieść o nieznanych mu skarbach natury i życia. Razem z tą wieścią rodzi się pragnienie, niezadowolenie, zawiść, złość, bunt i — grzech. Grzech: nienawiść i zemsta czynią go dla ludzi szkodliwym.

Dla czego Konopnicka inne analogiczne istoty ludzkie na daleki plan usunęła? Dla czego przystroiła Syzyfa w robotniczą bluzę? Dla czego kazała mu skamienieć na lat tysiące? Czy miała może na myśli jakie zagadnienia socyalne? Wszystko to są pytania bez odpowiedzi. A jednak odpowiedźby na nie być powinna i wskutek braku jej rodzi się jedyny zarzut, jaki trzeba poematowi uczynić. Zarzut polega na tem, że Syzyf da się na zbyt wiele sposobów tłómaczyć, a jednak całkowicie jasnym nie jest. Nie jest zgoła tak jasnym,

jak Prometeusz, choć to każdy pojmuje, że i Prometeusz i Syzyf są wizerunkami ducha i materyi, uległymi przeistoczeniom w toku wieków. Pomimo atoli tej wady poemat jest niepospolitem dziełem zarówno przez swą treść, ujmującą jedno z najżywotniejszych zagadnień ludzkości w trzy obrazy, jak przez swą formę zwięzłą, jasną, bogatą w piękne metafory i doskonale dyalogowaną.

W r. 1907 wyszedł poemat epiczny Konopnickiej p. t. *Przez głębinę*.

Rzecz rozwija się na tle mało znanego dziejowego zdarzenia. Wiadomo, że powstanie styczniowe było poprzedzone licznemi manifestacyami polskiemi, skierowanemi przeciw rosyjskiemu rządowi. Oto 11. czerwca 1860 roku, na pogrzebie Katarzyny Sowińskiej, wdowy po walecznym generale Józefie, zebrało się przeszło 20.000 ludzi. W trzydziestą rocznicę powstania listopadowego tegoż roku wieczorem tłumy śpiewały klęcząc *Boże, coś Polskę*. W rocznicę bitwy pod Grochowem 25. lutego 1861 roku znów tłumy zgromadziły się na Starem Mieście, lecz zostały rozpędzone. We dwa dni później tłum manifestantów na Krakowskiem Przedmieściu został zmasakrowany przez kozaków kubańskich. I tak dalej. Manifestacye odbywały się zresztą nie tylko w Warszawie. Oto 10. października 1861 roku około 15.000 ludzi zgromadziło się pod Horodłem w celu uczczenia unii z r. 1413. i odnowienia związku jedności braterskiej pomiędzy

Polską, Litwą i Rusią. Ta to właśnie wzniosła manifestacya wszechpolska dała poetce, podpisanej pseudonimem *Jan Waręż* materyał do poematu. Serca ludu — pisze poetka — stały pod jasnem zarzewiem gwiazd betleemskich. Zdawało się, że słychać na szerokich polach jakieś hasła, że lirnicy roznoszą wici: *nad Bug — do Horodła!* W miastach gorzał w ludzie duch męczeński, dzwony biły, siwe czamary krzyżem kładły się po kościołach. Gromadził się lud, na czele szedł siwy kapucyn, przeor z Lubartowa. W unickiej cerkwi odprawił mszę, tłum rósł, posłowie nieśli spisany nocą akt odnowienia unii. Mnóstwo delegatów: kontusze, żupany, czamary, świtki, kapoty, sierměgi — a każdy miał wstęgę białą i gałązkę mirtu. Po mszy pochód ruszył w milczeniu. Szła cicha jesień. Dochodziły wieści, że Chruszczew zdjął z Buga promy i ruszył kozactwo [1]), ale nie sprawiało to wśród manifestantów zamieszania. Szlachta była za walką, młódź wiejska, chłopi, dworskie sługi za nią. Niewiasty nie chciały słyszeć o bitwie. Postanowiono iść z krzyżem, z pieśniami, jak huf boży. Wojsko rozstąpi się, a nie, to padną za ojczystą ziemię.

Czas był, że nagle wszystkie polskie dusze
Bratnim językiem z sobą zagadały,

[1]) Historya nazywa go nie jenerał Chruszczew, lecz generał Chrulew. Poetka stale nazywa Chruszczewem. Ob. Wł. Grabieński Dzieje narodu polskiego. Kraków 1906 str. 551.

A tam, gdzie były infuły, paljusze
W pobok rabiny szły i szły kahały. (18, 19).

Księży dwustu, trzystu — i więcej. Tłum się olbrzymio rozrósł: szły tysiące i tysiące, śpiewając *Chorał, Boże coś Polskę, Bogarodzicę*. Od Horodła bór tylko dzielił. Teraz na czele szedł paroch lichy, unicki, wyschły, w wytartej odzieży. Ten kazał broń złożyć. Wyszli z boru, wtedy ukazały się piechota, konnica i artylerya z armatami. Chruszczew podjechał i oświadczył, że ma rozkaz z armat strzelać. Odkrzyknięto, że nie rozumieją po moskiewsku. Kazał wołać adjutanta. Ten przyjechał, a był to Michaś, syn jednej kobiety z tłumu idącego. Ujrzawszy matkę, która doń leciała z ramionami wyciągniętemi, dobył pistoletu i rozsadził sobie łeb kulą. Krew ta sądne przechyliła szale. Pochód postanowił tu odbyć przysięgę, a Chruszczew nie bronił, gdyż miał nakaz nie dopuszczenia do miasta, a tu było pole. Otóż

. . . . Od zachodu
Tabor się cały wynurzył tymczasem
I tysiącznemi kupami narodu
Na milę ziemi zajmował pod lasem.
Na zboczach rządny orszak, a u szczytu
Chorągwie w ciszy bezmiernej błękitu.

Mocarz Poleszuk z dębu zrobił na prędce krzyż, ksiądz czytał akt odnowionej unii:

»Siłą zbrojną otoczeni
Pod wylotami dział, u śmierci proga,
Stwierdzamy unię w ziem dawnych przestrzeni

Protestujemy tu w obliczu Boga
I ludów — przeciw gwałtowi rozbioru.
. . . . Wszystkie Ziemie Pospolite
I województwa pieczęci swe kładą.

Posłowie szli i wywoływano: Gdańsk! Malborg! Smoleńsk! Inflanty! A potem z obu stron rzeki buchnął śpiew: *Boże, coś Polskę*.

Przepiękny to poemat. W tych stu dwudziestu sekstynach przypomniała poetka jedną z najwznioślejszych chwil życia porozbiorowej Polski, wystawiła temu zbrataniu się wszystkich dzielnic rzeczypospolitej wiecznie trwały pomnik. Nie mówię o formalnych zaletach powieści; są one bowiem małoznaczące wobec zalet niezmiernie żywego, barwnego, serdecznem ciepłem miłości ojczyzny przeniknionego opisu manifestacyi narodowej z października 1861 roku. Żaden dysonans, żaden zgrzyt nie zasępia horyzontu; wszystkie stany, wszystkie wieki są zgodne i równo cenne. Obok biskupa za Polską jedną, całą, nierozdzielną głosuje rabin, obok karmazyna chłop siermiężny. Jestto manifestacya w duchu głęboko i wszechstronnie patryotycznym, w duchu tej miłości ojczyzny, jaką głosił i zalecał Skarga. Tem pilniej na ten nastrój poematu baczyć należy, ile że poetka w obrazkach swoich nie była zawsze taką miłującą wszystkie sfery, składające ludność Polski. Wśród większych dzieł Konopnickiej poemat *Przez głębinę*, zwracający uczucia i myśli nasze ku latom 1413 i 1861, — stanowi jedną z najpiękniejszych kart.

Przebiegliśmy i poznali skalę poetycznej twórczości poetki. Skala to rozległa. Bardzo pięknie wyraził ją i określił W. Bogusławski temi słowy: Jest nieśmiertelna dusza poezyi, na której niby na harfie eolskiej, »nad głębiami« zawieszonej, gra na przemian przeszłość dalekimi od strony wieków powiewami, to znów teraźniejszość potrąceniami dzisiejszych radości i cierpień, to przyszłość drgnieniami jutra, poczętego w łonie doby spółczesnej. Z takiej duszy, objawiającej się w proteuszowych kształtach czasu, płynęła przez dwadzieścia pięć lat pieśń Konopnickiej, odbijając w swym przeczystym krysztale świty i mroki, pogody i burze, szczyty i otchłanie, zabierając po drodze barwne z kwiatów smugi, jasną z nieba modrość, złote ze słońca błyski, srebrne z księżyca promienie — wszystkie z tęczy kolory; płynęła coraz potężniejszą falą, wezbraną od uderzeń serc, od nurtów myśli, od przepastnych wirów życia, rozkłębionego na dnie u zwałów dziejowych i ponad nimi w nieskończoność rozpędzonego.[1])

W swem uczuciu społecznem była to poetka niezmiernie pobudliwa, niezmiernie uległa wrażeniu bezpośredniemu, choć nieraz chwilowemu. Gdy wrażenie jakieś przepełniło jej serce radością czy bólem, dawała wyraz temu uczuciu, nie licząc się zgoła ze skutkami na odleglejszą metę. Choć taka społeczna, nie miała politycznie przewidują-

[1]) Tyg. ilustr. 1902 Nr. 25/IY.

cego umysłu. Nie czyni się polityki uczuciem, potrzeba do tego zimnego i bystrego rozumu: ani uczucie ani dowcip nie poradzi. Na szczęście w łonie poetki biło szlachetne serce, sprawiedliwe i dobre. To też niem się kierując przy wielkiej swadzie i zdolności barwnego wypowiadania się nieraz bliźnim swoim wiele poematami świadczyła dobrego. Ogół nie tylko czytał jej utwory, lecz odczuwał je i wedle wskazówek danych przez nie — czynił. Powiedział jeden z krytyków, że Konopnicka pokochała Warszawę, a cały romans poetycki trzech pierwszych tomów — to świetna charakterystyka miasta, szereg zaś lat po 1863. miłość tę rozkołysał do zenitu. [1]) Jest w tem dużo prawdy. W istocie kiedy Matejki *Bitwa pod Grunwaldem* była wystawioną w Warszawie, powstał wiersz Konopnickiej p. t. *Grunwald;* kiedy *Jan Hus przed sądem* Brożika w swej podróży po Europie dotarł do Warszawy, Konopnicka napisała wiersz p. t. *Jan Hus;* pod wpływem tryptyku Prószyńskiego utworzyła poemat *Z tamtego świata;* pod wpływem Grottgera powstał poemat *Wojna;* kiedy Warszawa zaczęła wysyłać dziatwę na kolonie wakacyjne, Konopnicka pisała *W piwnicznej izbie;* kiedy Warszawa nad miarę się rozbawiła i roztańczyła a chwila nie była po temu, napisała Konopnicka *Sclavus saltans.* W ten sposób przykłady możnaby prawie w nieskończoność mnożyć

[1]) Potocki. Konopnicka — Szkic literacki.

na stwierdzenie i tego, że ze stolic Polski najmilszą była jej Warszawa, lecz i tego także, że gdziekolwiek na ziemiach polskich zaszedł wypadek doniośléjszego znaczenia, Konopnicka głos swój i zdanie swe poetyczne dołączała do chóru innych głosów. Kiedy rugi pruskie rozpoczęły się, poetka utworzyła jeden z najpiękniejszych obrazków p. t. *Do granicy*, kiedy gorączka emigracyjna porwała mnóstwo ludzi za ocean, rozpoczęła dzieło poetyczne p. t. *Pan Balcer w Brazylii:* pod wrażeniem żydowskiego pogromu napisała nowelę *Mendel Gdański*, a widzieliśmy, jak małego trzeba było impulsu, aby powstała długa powieść o tarczy Scypiona. Stąd oczywiście trzeci wniosek, że »romans poetycki« Konopnickiej nie wyłącznie snuł się na tle życia Warszawy, nawet nie wyłącznie na tle życia Polski, lecz że była to wyobraźnia i uczucie jak subtelna struna pobudliwe na dolę ludzką, na wszelkie piękno — i natychmiast tknięte odbrzmiewało pieśnią.

Orzeszkowa w swojej autobiografii w listach [1]) wyraża zdanie, że autorowie bywają ciekawi i nieciekawi. Pierwsi wciąż pytają, co za mgłą? co za lasem? Drudzy poprzestają na szczupłym zasobie wiedzy o świecie, na ciasnym okręgu zjawisk najbliższych, widzą mało, więc i piszą niewiele. Od ciekawości zależy przestrzeń widnokręgu, liczba rozpoznanych punktów i ich pogłębienie. Barwy,

[1]) Bibl. Warsz. Lipiec 1910.

dźwięki, światła, cienie dotykają bardzo silnie wrażliwość poety. Otóż Konopnicka należała do ciekawych poetek. Nie wystarczała jej sama twórczość poetyczna, nie wystarczała jej liryka. W ostatnich latach dziesięciu powzięła pomysł ukoronowania swej ku ludowi polskiemu miłości i swego szeregu pieśni o ludzie i o przyrodzie dziełem wielkich rozmiarów, zaczętem dawno. Doprowadziła je do końca i wydała p. t. *Pan Balcer w Brazylii.*

V.

Pan Balcer w Brazylii.

W jesieni w 1890 roku w północnych guberniach Królestwa szerzyła się usilna agitacya pośród ludu, skłaniająca do emigracyi za Ocean — do Brazylii. Niesumienni agitatorowie, chciwi zysku, obiecywali chłopom w Brazylii wieczne lato, drzewa, ile kto zapragnie, zapewniali, że złoto i dyamenty czerpać będą w rzekach podług woli, że każdy gospodarz otrzyma po sto dwadzieścia morgów pola, narzędzia do uprawy roli darmo i darmo odstawę na miejsce folwarków. Gotowały się do drogi tysiące włościan. Niepokoiła wprawdzie przeprawa przez morze, lecz zcicha zaspokajano, że już zaczynają budować żelazny most przez morze. Nie zawahano się też wyzyskać religijnych

uczuć ludu. Twierdzono, że papież sobie tego życzy, że już wysłał kardynała, aby, gdy przybędą, witać ich z procesyą u brzegu. Księża widząc, że się gotuje tłumna emigracya na wiosnę, odradzali w kazaniach. Nic nie pomogło. Parutysięczny tłum zebrał się w Bremie i tam znalazł się jakiś polski ksiądz, który serdecznie i gorąco odradzał. Kobiety się popłakały, zawodziły, na klęczkach żegnały kraj, lecz cały tłum wsiadł na okręty i popłynął. Na morzu podróż trwała miesiąc w ciasnocie, brudach, niewygodzie. Poumierało wiele dzieci, a trupy rzucano w toń morską na żer dla ryb. Chłopi nazwali tę podróż »krwawą przeprawą«. Gdy wylądowali w Rio de Janejro, przekonali się, że ani o moście, ani o kardynale, ani o procesyi mowy niema. Osadzono ich na *ilha des flores* (wyspie kwiatów). Trudno się było porozumieć. Pytano, gdzie pragną osiąść, czy na plantacyach kawy w Sao Paulo, czy w Parana, czy na Santa Catharina? Wybierali naoślep. Ci, którzy osiedli w Rio de Janejro, lub miastach portowych, wyginęli od żółtej febry. Ci, którzy udali się na plantacye kawy w Sao Paulo, popadli w niewolę i musieli pracować w tropikalnym klimacie, ginąc od wrzodów, jakie im się czyniły na nogach i ciele. Jeszcze najszczęśliwiej trafili ci, którzy wybrali południowe stany: Parana, Santa Catharina, Rio Grande — do Sul. Rodziny tymczasem bardzo zmalały, gdyż na *ilha des flores* wymarły

reszty dzieci. Wreszcie przetransportowano osadników do Rio Negro. Tu dwa miesiące spędzili w barakach w ciasnocie, dopóki im nie wydzielono gruntów. Na domiar niedoli deszcz ciągły ulewny trwał przez miesiąc, rzeka Rio Negro wystąpiła z brzegow i wsród osadników pojawił się tyfus. Dzień po dniu wynoszono kilku umarłych na poblizki cmentarz. Lepsi zwrócili się do Boga, inni przeklinali Brazylię i w rozpaczy oddali się pijaństwu, grom i rozpuście, obojętni na to, czy żyć będą. Był wśród nich jakiś Teofil Duglasiewicz, który nawoływał do pokuty. Z Rio Negro już niedaleko do Luceny. Tam wymierzono osadnikom po dwadzieścia pięć hektarów dziewiczego lasu i każdy osiadł na wymierzonej sobie własnej ziemi. Teraz jednak zaczęły się jeszcze ciężkie chwile. Naokół dziwnie smutno, ciemny i wilgotny las, nad głową szczupły skrawek nieba. Praca znojna i niewdzięczna. Siekiery szczerbiły się na twardem drzewie brazylijskiego boru. Lecz praca przyniosła obfite owoce. Ci, którzy wytrwali, niebawem zbierać poczęli obfite plony żyta, pokupowali sobie wozy, konie, krowy, pobudowali domy, pozakładali ogrody. Szczególniej mnożyła się zadziwiająco trzoda chlewna. Pobogacili się, wznieśli kościół, sprowadzili księdza... Brazylia stała się im drugą ojczyzną i ziemią obiecaną. Jeden z takich emigrantów, niejaki Olszewski, mówił: »kraju rodzinnego już mi nieżal, bo w Ame-

ryce lepiej. Ja w Europie nigdy tyle mięsa nie jadłem, co tutaj«. Mają po dwadzieścia morgów ziemi, wybornie rodzącej, las, drzewa, ile potrzeba; niektórzy mają plantacye trzciny cukrowej, nawet kawy.

W r. 1893 za cesarstwa, gdy utworzyły się dwa stronnictwa: liberalne i konserwatywne, niejaki Antoni Bodziak w Sao Mateusz ogłosił się pułkownikiem, pociągnął cały pułk zbałamuconych Polaków do wojny ze stronnictwem liberalnem. Wówczas to zrabowano sklepy polskie, pastwiono się nad kobietami i dziećmi, wielu uwięziono. Siedmiu polaków ukarano śmiercią doraźną: przywiązano do drzew, obcinano ręce, wyrywano wnętrzności, a w końcu potopiono w rzece Ingassu. W gromadzie luceńskiej zdarzył się też wypadek, że Indyanie *Botokudzi* wymordowali całą rodzinę Przybylskich. Zrazu dawali znaki, aby się wyniosła. Gdy rodzina znaków nie rozumiała lub nie chciała usłuchać — napadli w nieobecności ojca z synem na dom, zamordowali matkę z trojgiem dzieci, a potem ojca i syna. Znaleziono głowy porozbijane, ręce i nogi ucięte, ciała poszarpane, a w boku matki strzałę na znak tryumfu.

Takie dzieje gromadnej wyprawy włościan z północno-wschodnich gubernii Królestwa z r. 1890—1891 posłużyły Konopnickiej do początków poematu, rozpoczętego w 1892 r. w Bibliotece Warszawskiej. W kraju emigracya znaną była

od dawna. Pierwsze wyjścia do Ameryki sięgają r. 1876. Wzrastająca z roku na rok fala emigracyjna budziła niepokój polityków, ziemian, rządu. Zdawało się rolnikom, że uszczuplenie roboczych rąk około ziemiaństwa może spowodować katastrofę. Zaniepokojenie pobudziło towarzystwa i społeczników do zbadania terenu, na którym osiedlają się emigranci i warunków wychodźtwa. Pojechał do Brazylii Adolf Dygasiński, znakomity powieściopisarz i publicysta warszawski, jeździli też Hempel, Siemiradzki, ks. Chełmicki i ogłaszali listy, artykuły książki o wychodztwie i wychodźcach. Konopnicka, jak zwykle nader czuła na ważne objawy życia społecznego, dopatrzyła się w emigracyi klęski i niebezpieczeństwa i postanowiła w szerokim obrazie namalować szereg bied emigracyjnych, wziąwszy za podstawę historyę tej właśnie wielkiej gromady, która tyle niedoli wycierpiała w latach 1891—1892.

Początki poematu, ogłaszane pieśniami w różnych latach, budziły wielkie zajęcie czytającej publiczności i jednały bardzo chlubne oceny krytyki. Wyczekiwano nowych pieśni niecierpliwie i było już można rozpoznać rozległe zarysy dzieła epicznego. Wyszło ono w całości w Warszawie w 1810 roku, zatem w lat ośmnaście po ukazaniu się pierwszej pieśni, wyszło w dużym kwartancie w sześciu częściach, obejmujących około półtora tysiąca oktaw tj. około dwunastu tysięcy wierszy. Jestto więc, co się

zowie, wielki epiczny poemat, jakiego od czasu poematów Słowackiego literatura nasza mimo znacznych gawęd Pola i Kondratowicza — nie znała. Konopnicka sama widocznie przywiązywała doń znaczenie wyjątkowe, starannie opracowywała w toku lat wielu, — z tych wszystkich tedy względów należy się od nas poematowi pilna i szczegółowa analiza.

Treść. Część I. Na morzu. *Pan Balcer jest jednym z emigrantów podlaskich, z zawodu kowalem. On to szczegółowo opowiada dzieje podróży. Wsiedli na okręt wielką gromadą. Pod pokładem było więcej tysiąca ludu (str. 23): Kurpie, Mazury, Łomżyńce, Płocczany, ale najwięcej od Liwca i Narwi. Ważniejsze osobistości nazywały się: Opacz, Paweł Sekura, Pietr Bandys, Szymon Przytuła, stelmach Magier, Kacper Bugaj z Łęczny, szewc Szczęśniak, stary Horodziej. Nie jadą bardzo chętnie, owszem pełni są troski i niepokoju.*

Kto powierzch ziemi siedzi — nie dziwota.
Łacno jest ze mchu płytkiego wziąć grzyba;
Aleć kto dębem korzenie rozmota
Skroś tej macierzy, i czyja sadyba
Samo jej serce, — tam twarda robota.
Śmiertelny topór przyłożon jest chyba
Do pnia narodu, do rdzenia i miazgi,
Skoro z nas lecą za morze aż drzazgi. (str. 9).

Jeszcze pół biedy, kiedy jadą rzemieślnicy; lecz chłopi gdy oddalają się od ziemi, to „krwawe rozdarcie jest i śmierci męka“ — tak rozumuje Balcer. — Wkrótce następują dysputy i głośne rozważania o przyszłym niepewnym losie. Wprawdzie poetka zastrzega się przeciw gadatliwości chłopów:

Chłop rad wzdycha
Tam, gdzie się drugi w mówieniu rozszerza.
A jest w tem skarga nieznośna, choć cicha,
Co ziemią ruszą i w niebo uderza.
Więc może także i twardość i pycha,
Co to na rynek nie niesie pacierza,
Jak dziad. Jakowaś dostojność ta kmieca,
Od prastarego idąca gdzieś wieca;

ale pomimo tego zastrzeżenia lud w rzeczywistości, przynajmniej ten, który w „Panu Balcerze“ występuje, bardzo jest gadatliwy. Jest on i patryotyczny.

»Ta kowalska bekiesza z sukmaną
Dalbóg, że razem kiedyś w sprawie staną,« (str. 22)

woła Balcer, gdy się z unitami podlaskimi zetknął. Długa jazda, niewygody i ścisk, tęsknota i troski o jutro wywołały rozstrój gromady. Zaczęli grać w karty. Jakiś łyczek szachrował, wywołał kłótnię i bójkę. Wtedy to na domiar złego zaczęły chorować i mrzeć dzieci, które rzucano na żer rekinom. Gdy tak się coraz gorzej działo, wybuchła burza morska. Biedy te zbliżyły garść ludzi i zwarły ją ze sobą.

...»człowiek, z dolą choć wyjdzie na barce,
Nierad się chmielem bez tyki kolebie,
Lecz wnet się wiąże do kupy drużyną.
A osamiałe ptaki prędko giną«

prawi sentencyonalnie a mądrze Balcer. Ławniczył tej kupie Horodziej, a należeli do niej Łuć Ostańczuk, Bandys, Piotr Zagajny, Ziąba, Wawrzon, Łuka, Bugaj, Kos, Sołoda i inni. Dopłynęli śród gawęd, sporów i opowiadań do Wyspy św. Heleny, gdzie znalazły się reminiscencye i nastrojowe wrażenia.

Słysz? Myślisz — może? to trąby tak grają
Walącym pułkom na dobrą ochotę...

Patrz! Myślisz — słońce? To orły wiewają
W chorągwiach — całe srebrzyste i złote...
Czuj! Myślisz — piorun? To z harmat znak dają,
Że cesarz wdziewa swą szarą kapotę...
Vive Napoleon! Na ramię broń, wiara!
— Gwardya! Gdzie gwardya moja wierna, stara?

Tak ładnie mówił Prokurat zebranym osadnikom, gdy nagle na trwogę strzał dał się słyszeć i ujrzano okręt płonący, na nim nową gromadę, którą trzeba było zabrać. Nie braknie i szlachty, wiecznie pieniającej się o jakieś dawne zatargi i pretensye. to Magier i Żdżarski, który z płonącego okrętu się dostał. Teraz atoli na okręcie zaczęły się jakieś niepokoje, szepty, może jakaś choroba, może obawa jakiejś komisyi. Wiatr był przeciwny, na niebie krwawe zachody, widywano jakieś znaki: lecące pułki i działa, aż jednego poranku wszystkich wezwano na pokład i zarządzono rewizyę: szukano trupa niepochowanego, gdyż powietrze na okręcie było trupie. Rewizya wykryła, że żona Szczęśniaka, Hanusia, nie chcąc małego dziecięcia swego, zmarłego na zarazę, oddać na żer rybom, nosiła je wciąż przy sobie, tając śmierć jego, nawet przed mężem swoim tając. Gdy je odjęto i spuszczać miano po belce w morze, matka „słodkim głosem rodzicielki“ błagała męża, ażeby pozwolił „chuścię Jaśkowi podłożyć“. Puścił ją, a ona za dzieckiem skoczyła w morze i zginęła.

Dopłynęli wreszcie do portu, gdzie zamiast procesyi i kardynała, otoczyło całą gromadę wojsko z bagnetami i powiodło do Santos. (str. 34).

Część II. W emigranckim domu. *Ruszyli tedy całą gromadą do emigranckiego domu. Balcer, pięknie wyłożywszy. że na dawności polega znaczenie szlachty, informuje się o Brazylii. Dzieli się ona na stany: w jednych osiedlają się Niemcy, do drugich rząd polski lud śle. Prawo — głównie pięściowe, bo sądy daleko. Świat tu*

górny, i leśny, i wodny, plony dobre. Spotykają gromadę bab z tobołkami i te baby klną Brazylię i wśród szlochania prawią o niedoli w kopalniach rudy. Za niemi możnaby na milę rachować dołów i mogił, mężów zgniotła ziemia w rudniku... Gdy przybyli do domu emigranckiego, strażnik straszył, że będzie cud boski, jeśli się kto wywlecze z tej dziury, bo więcej niż tysiąc Polaków tu już febra wygniotła. Czekali tedy, rząd zwlekał działy, a lud się niecierpliwił.

Tylko niewiasty (dawno było trzeba
Słówko mi przerzec choć o tym narodzie)
Obeszłe rosą łez, gdzieś w siność nieba
Wpatrzone, trwały cierpliwie o głodzie,
Kęskiem nadziei żywiące się chleba,
Już wybiegają troskami poprzodzie
Czasu, o chaty, dzieci już rzucone
Na klęczki szepcą: Pod Twoją obronę... (116)

Było pomimo tego już znowu blizko rozstroju. Ten i ów myślał o ucieczce. Wtedy przyszła nowa gromada — niemiecka. Z nich każdy zaraz się wziął do roboty: ten szyje buty, ów szlifuje rogi, pukają młotki, zgrzytają pilniki, trzeszczą szrubsztaki. Lecz oto zaczęła się żółta febra i ludzie marli. Jedna z pierwszych umarła Żukówna, narzeczona Balcera. Wtedy Balcer zaczął Bogu wymówki czynić:

Przeciw ty komu walczysz, Panie, Panie!
Przeciw tej parze, co znika obłokiem?
Przeciw listkowi, co padł a nie wstanie?
Źdźbło suche gonisz zapalczywem okiem?
Któż więc nad nami ma mieć zmiłowanie,
Kiedy ty, ociec, dociskasz wyrokiem!
Jakoż więc mamy żyć, jak mamy dyszeć,
Kiedy ty, ociec, nie będziesz chciał słyszeć. (126)

Nic dziwnego, że mór bił po nich i składał w zagony; tylko „Święta z nad Buga“ cieszyła ich. Niemcy

ruszyli w góry, gdy się zaraza poczęła szerzyć, ale Polacy nie chcieli iść: „ot, grzeszne gadanie! Co ma być — będzie; co się ma stać — stanie“. Czasem trafiały się i tu osobliwe a ucieszne epizody. Oto Łuć Ostańczuk umarł i już go w trumnę włożyli, lecz ożył. Powiększał się codzień rejestr zmarłych, aż „zbyli więcej, niż połowy ludu“ (134). Tutáj wymarła reszta dzieci. Kobiety zawodziły po nich i utulić się z żalu i rozdrażnienia nie mogły. Wśród największych rozżaleń wrócili z gór Niemcy.

Więc gdy raz matki za dziećmi aż wyją,
Co je żerdziami wepchnęły w dół draby,
Patrzą, aż idą całą kompaniją
W czapkach, z fajkami w zębach, gwiżdżąc, szwaby.

Wówczas rzuciły się na Niemców i stoczyły walkę zaciętą. Nareszcie nadszedł czas wybierania stanów, w których się mają osiedlić. Ale w komisyi nie umieją po polsku, a chłopi nie umieją po portugalsku. Trudno się porozumieć. Jeden idzie na los. Wylosował Sao Paulo. Drugiemu proponują Parahybę: wybucha śmiech, że już „chyba“ do „pary“ z Baśką pójdzie. Innemu trafia się święta Katarzyna — i ten stan jest dobry. Czwarty losuje: „Pianhy“. Co? Piach? Nie, nie życzy sobie, chce pszennego gruntu. Piątemu radzą „Kampinas. Kos woła: Kampinowskie lasy? Znam. Pod Warszawą. Rząd nareszcie przeznacza sam: w poręby mocniejszych, a słabszych plantować kawę. Wówczas wszyscy zcichli i bez szemrania przyjęli.

Już cisi stoją pod słońca ulewą,
Jakby ich na to Najświętszy Bóg stworzył,
By nieśli, co im kto na kark nałożył. (152)

Jedno tylko wymagalne koniecznie: gromadą chcą iść.

Hej, nigdy cudzym zrozumieć się nieda,
Co jest bratniego, narodzie, w twej duszy,

Że kiedy dola nad nami się zaćmi,
Gromadą czujem się, czujem się braćmi! (154)

Część III. W puszczy. *Trzy dni szli w puszczę, aż doszli. Bór przez połowę osiadł w bagnach, przez połowę piął się po skalistym źlebie. Dołem mroki, par duszny i piżmo tęgie czuć. Od spodu w górę pną się chaszcze grubej jak ręka trzciny, a w gąszczu widać kłęby wężowe. Kiedy słońce padnie, bór gra dziwnymi blaski. Ogłuszają też go świsty i trzepoty. Ptaki ogniste i złote, jak kwiaty, lśnią, jak klejnoty. Murzyni pobudowali im szałasy, które podobne były prędzej do psich bud, niż do domów. Balcer sporządził sobie polową kuźnię. Nareszcie zaczęli ciąć.*

Huczały topory dniem i nocą, z okrutną zawziętością jęli się pracy.

Prężą się karki, wzdymają się szyje,
Żył widać bicie skroś spalonej skóry.
Aż świśnie topór, huknie, jak grom bije...
Kwietnych plątańców pękają wnet sznury,
Małpy z gałęzi skaczą z dzikim wrzaskiem,
Z gniazd ptactwo leci, siejące piór blaskiem.

Lecz puszcza stała twardo. Jeszcze pinhy — pół biedy, ale kancle — niczem żelazo. Kobiety palą ogniska przed szałasami, warzą czarny bób, dźwigają pataty... Pod noc padał na ludzi strach.

....Te czarne knieje
Ludzkim się oczom nie jawią aż do dna.
Słysz... Coś się czai... Słysz... Cości się śmieje...
Gdzieś gardziel ryknie, gdzieś paszcz ziewnie głodna.
Słysz... Śmierć gdzieś z trzaskiem otwarła wierzeje...
Puszcza, jak morze, bezkresna, bezbrodna,
Ma dziwotwory swoje, a ich głosy,
Ich szepty, szmery, — na łbie dębią włosy.

* *

Słuchasz i czujesz, że tam, w tej głębinie
Mrocznej świat jakiś się rusza.
Że coś tam cierpi, mocuje się, ginie,
Że jakaś ślepa wyrywa się dusza
Z głębi cielsk, w oną zagnanych pustynię.
I trwoga ci tu powraca pastusza
Twego dzieciństwa, gdyś łyżką od kaszy
Bór pokazował i mówił: — Tam straszy! (171)

Lud się zawziął; lecz wieczorami przy gawędzie jedni udawali junaków, drudzy się martwili, że długo trwa wyrąb, że nigdzie niema dobrej ziemi, że grunt ciężki, jak tu dać radę bez sprzężaju: Horodziej jakoś wszystkich sfukał i wszystkich pogodził. Coraz wszakże więcej zaczęli tęsknić i żałować swej ziemi. Nareszcie nie wytrzymał Przytuła: powiesił się. Łuć znalazł sobie żółwia, wytresował go po polesku i bawił się, baby zawodziły, słowem znaczno było, że lud ten gnębi niezbyta tęsknota. Gromadzili się u ogniska kowalskiego Balcera i coraz częściej dawały się słyszeć gawędy o kraju ojczystym. Rozmyślają o nocnej wyprawie Kurpia na zwierza w Białowiezkiej puszczy, o polowaniu na cyranki po błotach. Marzą, tęsknią, zapamiętale się kłócą.

Ten zagrodę
Rzuconą widzi... Ten szum słyszy gruszy
Na własnej miedzy. Inszemu po wodę
Żuraw w studni skrzypi! Ów pastuszy
Flecik załawia uchem... Jakieś młode
Wonie i rosy powiały wskroś spieki,
Jakiś pociągnął wiatr świeży... daleki...

Przybyły nowe niebezpieczeństwa, trwogi i biedy. Balcer pewnego razu spotkał tygrysa, którego celnym strzałem Żuk z Zielonej, kurpiak, położył trupem. Niedługo potem Indyanie zamordowali Jaśka. Wreszcie na świat padły deszcze; wciąż lało. jak z cebra. Mgły przesłoniły lasy. Z borów wypełzły gady. Nakoniec

przyjechał komisarz i wydzielił po trzy dni szarwarku na tydzień. Wówczas wzburzyła się gromada i postanowiła rzucić wszystko i wracać. Na czele staje Balcer.

Część IV. W powrotnej drodze. *Poszli w świat, niedeptany jeszcze ludzką nogą. Młodzież szła przodem, za nią Roch Zatrata, Kuba, Wawrzon Ziąba, dwa Kożbiały, Pietr Bandys, Bugaj, Kacper Harmata, Horodziej struchlały w starości, za nim Szcześniak, Lis, Sekura, Marychna Dudkowa, Dudek, Marcin Srokacz, Zagajny, Strug, święta z nad Bugu. Idą: dech świszczy, twarze wychudłe i blade, pod węzełkami zgięci, stopy krwią broczą. Najpierw szli przez bory dzień, drugi; pod trzecią noc spotkali trupa, na który padły na żer sępy. Obok szałasy i krzyż. Na nim napis: Polska kolonia, rok 1894. Tu padło dwadzieścia głów. Stanęli w końcu na rubieży borów. Ukazał się im bezbrzeżny step, pokryty trawą w pas. Dniami otaczała ich cisza, aż w uszach dzwoniło. Noc za to żyła.*

Dopieroż pod noc budzą się muzyki
Zaczarowanej w tym stepie kapeli.
Dopieroż brzęczą te złote gęśliki,
Co je z drzew rajskich strugają anieli,
Dopieroż gwizdy, trzepoty, pokrzyki,
Furczenie, jakby srebrzystej kądzieli,
Cykania, kląski, poświsty, podmuchy,
Stronami ciężki łomot i ryk głuchy.

* *

Bo tam noc nie jest, jako u nas, rzewna
I pełna łaski na duszną tęsknicę,
Kiedy to lada fujarka ci z drewna
Łzami urosi spalone źrenice...
Niejest ni cicha taka, ni tak śpiewna,
Ni zadumane nad ziemią ma lice,
Lecz jako wiedźma, lecąca na miotle,
Kipiący wrzątek życia miesza w kotle.

Czwarty dzień szli o głodzie, choć ziemię gryź, gdy ujrzeli na żeraniu stadko bawole. Żuk strzelił, ale wypadli murzyni i rzucili się na chłopów, byliby zbili, lecz Balcer pierwszego poskromił i zgodzili się za „ćwiartkę bakunu“ ująć bawoła. Nasycił się lud. Śród murzynów był biały: Jantek z Radzynia, sierota. Wzięli go ze sobą. Stepy jednak czyniły się chudsze, martwiejsze, a słońce piekło żarem. Głód też przypiekał. Zaczęły się widzenia, zaczęło przystępować szaleństwo do ludzi. Myślał więc Balcer, że musi mu jaki piorun wstrząsnąć tym ludem, bo zmarnieje. Wtem ujrzano pagóry, a wreszcie w dali szczyty. Zaczęli rozpaczać. Pięć dni, pięć nocy szli po kamienistym gruncie. Zmarł ów Jantek z Radzynia, zmarł i Horodziej. Zeszli wreszcie w dół z gór i wpadli w porzeczne niże. Musieli jednak jeszcze i pożar stepu przebyć. Spotkali się nakoniec ze swoimi na plantacyi kawy. Tym dokuczały nogi, puchły, jątrzyły im rany, żółtość febry rozlała aż po twarzach; skarżyli się, że w robocie nie mogą podołać murzynom, którzy nadto polskie dziewczęta napastowali. Wybuchła walka z murzynami, która wzięła z tej i owej strony ludzi. Dopiero w mieście ksiądz z krzyżem uskromił rozżartych bojem. Dotarli do portu.

Część V. W porcie. *W Porto na jarmarku spotykają swoich. Są to Burniacy; piętnaście lat tu mieszkają. Zbogacieli. Wyprawili się na jarmark z zapasami i zaczęli się dzielić ze zgłodniałą gromadą.*

W mig zabielały gomółki, twarogi:
Rzęsiste bochny, słoniny okrajce,
Wnetże kiełbasy w wiankach, wnet pierogi
Wnet butle z mlekiem, warzone wnet jajce...
Puszczą się nasi, uczynią gwałt srogi
Skroś onych jadeł, co właśnie, jak w bajce
Atoli we śnie, tak nam się jawiły,
Iżby lud zaczuł w kościach nowej siły. (286)

Burniacy zaprosili do siebie gromadę. Pokazywali swe sadyby. Bogaci byli. Balcer zamieszkał u Skwary. Wszędzie uderzała go czystość i zasobność. Podłoga drobno heblowana w drzewie, szafy, komody, firanki, zegar, lampa, lichtarze, stołki piękne, na łóżkach pod sufit piernaty. Nic dziwnego, mają kopalnię rudy miedzianej. Sześciu chłopców wysłali do sztygarskiej szkoły w Geras i będą eksploatowali. Ale i tu młódź się wynaradawia, a tęsknota do kraju też żyje.

Fijała domaga się:

Rozpowiadajcie, jak tam szumią lasy,
Kiedy na młody liść deszcz zacznie padać...
Jak na weselach w karczmie huczą basy...
Rozpowiadajcie, macie rozpowiadać, —
Jak tam przepióry wołają po żytach,
Jak ziemia pachnie na rośnych prześwitach...

* *

Jak tam z kapusty zając do dnia kica...
Tak rzekąc śmiał się niby to wesoło,
A łzy mu gradem leciały przez lica...
Nagle od ognia wstał, pojrzał wokoło,
Łzy otarł, podniósł głowę do księżyca
I ten kapeluch wcisnąwszy na czoło
Iść od nas począł przez mroczne pustkowie,
Nie czekający, czyli mu kto powie. (305)

Burniacy zrobili składkę na drogę przez morze, kobiety zaopatrzyły w prowianty — i doszli do przystani. Tu życie rozpustne i występne. Ojciec za trzy korony córkę sprzedał, w karczmach pijatyki, wszędzie nędza. Tu spotkali nałogowego pijaka Zabudę, który wyznaje, że podobnych włóczęgów, pijanic, nieszczęśników, wstydzących się swej polskości, aby Polsce wstydu nie przynosić — dużo jest w Ameryce.

Tu znaleźli też i odczytali list do rodziców, ogromnego smutku i tęsknoty pełen jakiegoś emigranta-chłopa.

Po tych wzruszających scenach stanęli do roboty w dokach, aby zdobyć pieniądze na opłatę przeprawy przez Ocean. Pracowali, w niedzielę szli do kościoła. Kościół pełen murzynów, którzy tu przychodzą, jak na widowisko: z psami, w rękach laski, za uszami papierosy. Do takich to pobożnych chrześcijan ks. Błahota miał raz godne ich kazanie:

— A hultaje!
A drapichrusty jedne! — Tu zamacha
Pięścią — To takie wasze obyczaje?
To msza i kościół i Bóg u was fracha?
Na Polskę patrzcie, co wam przykład daje!
Polska! Polacy! Wywodzą się z Lacha
Czyli tam z Lecha. To, panie, nie drwinki!
A słyszycie, jak to śpiewają godzinki?

* *

Polska! Polacy! A wiecie, barany,
Co to jest?... Dalej, złazić mi z tych lasek!...
To jest najmilszy kraj Bogu wybrany.
Niż tutaj srebro, tam więcej wart piasek.
— Złazicie, czy nie? Łby ośle! Bałwany!
Czekacie, aż was przemierzy ten pasek?
— Polska! By nie śnieg, co drogi zagrodził,
Chrystus Pan byłby w Polsce się narodził! itd.

Tu także pośród najgorsze szumowiny i rozpustników schodził dla nauczania i poprawy jakiś młody kapucyn blady i ascetyczny, odmawiał pacierze, modlił się w głos i błogosławił złym i dobrym. Tu Zabuda dokonywa bohaterskiego czynu: wysadza w powietrze okręt moru, na którym wszyscy pomarli, i sam ginie. Tu zabijają szwaba za to, że chciał jedną z dziewczyn zhańbić. Tu wreszcie biorą udział w rewolucyjnym ruchu socyalnym.

Część VI. Idziemy. *Rok minął od śmierci Horodzieja. Pracowali od owego czasu tęgo tak, że inni myśleli, iż z chciwości; lecz im spieszno było do ojczyzny. Tęskność im była snem i była strawą. Jeszcze raz weselili się po ślubie córki Burniaka — Grady z jedynakiem Burniaka — Bobrą i wtedy to przyszli dwaj pątnicy do Podlasiaków. Zgłosiło się dużo: od Sokołowa, Międzyrzecza, Białej, Łomaz. Wyszło prawo, że wiara ma być dawna. Zawrzało wśród gromady. Postanowili jechać. Żuk porachował: było głów czterdzieści trzy. Wsiedli na okręt nazad — do ojczyzny.*

...Idziem do ciebie, ziemio, matko nasza,
Coś z pierworodnej zrodziła nas gliny!
Idziem do ciebie rzesza twoja ptasza,
Powracające do gniazd swoich syny...
Idziemy, matko, idziemy do ciebie...

Ocena. Tło. Akcya ogromnego poematu rozgrywa się w małej części na okręcie, w całości na ziemi amerykańskiej, w Brazylii. Kraj wielki. Poetce nie zależało na tem, aby go odmalować: jego krajobraz, jego ludzi, faunę i florę, zwyczaje i obyczaje, gdyż wówczas epos utraciłby swój narodowy — polski charakter. I w tem właśnie leżała niebyle jaka trudność dla Konopnickiej. Jak tu malować życie ludzkie bez ziemi? Epopeja daje nam obraz kraju i narodu: jak odmalować garstkę narodu i nic kraju? Przytem poetę dziś obowiązują zwłaszcza w epopei pewne prawa rzeźby krajobrazu. Nie wystarczy dziś bezpośrednie *odczuwanie* syntetyczne krajobrazu, nie wystarczy pełne zachwytu milczenie. Potrzeba sięgnąć do

krajobrazowej kartografii, obserwować wiek i charakter penepleny, badać i analizować ukształtowanie się stosunku człowieka do danego klimatu ze wszystkiemi tegoż właściwościami. Trudność powiększyła się znacznie przez to, że Konopnicka włożyła opowieść w usta Balcera, kowala od Liwca, człowieka, bądź co bądź, prostego i niezdolnego do obserwacyi. I tu szukać należy przyczyny tego, że akcya nadzwyczaj nieplastycznie wciąż pływa jakby w przestrzeni, nieprzymocowana do stałych punktów topograficznych. Gdyby dzieło było małe, brak punktu oparcia nie takby raził; lecz w tak ogromnem dziele rzecz ta wprost zrozumieć się nie da. Błąd potęguje się nadto przez inną okoliczność. Poeta epiczny zasadniczo od liryka różni się tem, że pierwszy obserwuje, słucha, podpatruje i bez uniesienia, ze spokojem epickim, zwolna, krok za krokiem postępując, roztacza przed czytelnikiem w szeregu obrazów widok kraju i zdarzeń, zaobserwowanych w jak największej ilości. Mickiewicz kończy *Pana Tadeusza* wierszami:

I ja tam z gośćmi byłem, miód i wino piłem,
A com widział i słyszał, w księgi umieściłem;

nie mówi nic o myślach własnych i uczuciu własnem, lecz o widzeniu i słyszeniu. Im jaśniej poeta widzi, im więcej i wszechstronniej obserwuje, tem lepiej dla dzieła. Stąd wypływa potrzeba bardzo

dokładnej i szczegółowej znajomości kraju, życia, obyczajów sfery, która służy za tło epopei. Mickiewicz pisał *Pana Tadeusza* w Paryżu, w lat kilka po opuszczeniu Litwy, ale na Litwie spędził lat dwadzieścia pięć, najpiękniejsze ćwierć wieku swego życia, znał Litwę znakomicie, pamiętał doskonale i wyobraźnię miał tak plastyczną, że mu rzeczy przypominane przedstawiała z wypukłością rzeźby i w barwach naturalnych. Konopnicka zaś Brazylię znała z opisów, życie danej gromady znała także z opisów, naturę Brazylii również z opisów, co zgoła nie trudno udowodnić całym szeregiem wskazań, świadczących o opuszczeniach i zapomnieniach, którycb nie byłoby, gdyby obserwowała tło na miejscu.

I tak — żywioł miejscowy brazylijski znika zupełnie z tła powieści. Zjawiają się murzyni, występują różne obce naloty, niema jednak zupełnie Brazylijczyków, z którymi w rzeczywistości trudno się nie zetknąć na miejscu. Jeżeli zważymy, że poetce chodziło o obraz skrajnej niedoli gromady ludu, to musiała ona dbać o wszystkie rysy, jakieby mogły wpłynąć na niedoli tej powiększenie. Ale w istocie tak nie jest. Weźmy kilka przykładów. Jedną z nieznośnych plag Brazylii dla europejskich przybyszów są moskity. W ciągu dnia a przedewszystkiem w nocy niemiłosiernie skłują całą twarz i ręce. Każde cięcie obudzi ze snu, twarz i ręce wyglądają tak, jak gdyby człowiek

trądem był dotknięty. One to roznoszą żółtą febrę, najstraszniejszą chorobę Brazylii.

Powszechną plagą Brazylii jest t. zw. pchła brazylijska (sarcopsylla penetrans), nazywana w miejscowem narzeczu *bichou* (czyt. bisiu) *de pé*. Wgryza się ona w stopy pod paznogcie, składa jaja, poczem ciało psuje się, czernieje. Drugim gatunkiem pasorzyta jest *bichou de perna*, rodzaj wągra, również wżerającego się w ludzkie ciało. Ale jeszcze gorszym jest trzeci gatunek, rodzaj podłużnego robaczka, owłosionego na końcu, który wjadłszy się w głąb ciała ludzkiego, rośnie w niem i powoduje wrzody. Każdy zresztą Europejczyk w okresie przemiany krwi, koniecznej przy przejściu w tak odmienne warunki fizyologiczne, musi podledz owrzodzeniu na ciele, osobliwie zaś na nogach. [1]) Tymczasem o żadnej z tych plag niema ani wzmianki w eposie Konopnickiej. Niema też ani wzmianki o trądzie, jakkolwiek w okolicy Rio-Negro, a zwłaszcza w Lorenco i w mieście Guarapuara trąd panuje stale, lecz i w całej Brazylii jest chorobą dość powszechną. Poetka zaś zna tylko tyfus i żółtą febrę. Ale gromadzi ona tendencyjnie niezliczoną ilość drobnych klęsk na barki emigrantów — i taka klęska, jak zarażenie

---

[1]) Szczegóły powyższe czerpię z listów XX. Misyonarzy, drukowanych w latach 1903—1909 w Rocznikach Zgrom. św. Winc. a Paulo. Za udzielenie mi ich składam niniejszem bardzo uprzejme podziękowanie XX. Misyonarzom.

się trądem mogłaby służyć w istocie za odstraszający argument.

Osobliwszą właściwością tego kraju jest też zabobonność i wiara w moc czarów. Właśnie *Parana* stanowi dla zabobonu grunt nader podatny. W każdej kolonii pełno czarownic, które mleko odbierają krowom, choroby ludziom zadają itp. W Agna Branca z początkiem XX. wieku żyły trzy czarownice: jedna powodowała śmierć człowieka przez dotknięcie; druga gdy palcem dotknęła policzka męskiego, wszystkie mu włosy wypadały z brody; trzecia może przez zadanie pokarmu o szał przyprawić mężczyznę. Co więcej, niektórzy ludzie mają zdolność przeistaczania na nowiu w psów. Niektóre staruchy zamieniają się w nocy w słupy ogniste, buchające płomieniem z ust, nozdrzy, uszu... Wszystko to ma swoje własne nazwy: mrówki nazywają *mroczkami*, Brazylian *kabukrami*, grę w pieniążek miedziany *kasziolą*, chłopów w psy się zamieniających *lobizonami*, kobiety w słupy ognia się zamieniające *bajtatami*, małpy wyjce *mycetes*, sępy amerykańskie *urubu* itp. Skoro już poetka wprowadziła swoją podlaską gromadę w ten kraj tak odmienny od naszego, realizm jej i realizm epiczny wymagał takiego podmalowania tła. Nie mogłaby się bronić tem wobec zarzutu braku tła, że nie było jej celem malowanie Brazylii, lecz okazanie niedoli garści i tęsknoty do kraju. Właśnie ta odmienność i ucią-

żliwość warunków podwaja niedolę i tęsknotę: leżało to więc ściśle w granicach celu, a przy tem odpowiadało i artystycznemu kryteryum poetki...

Lud. Postaci. Psychologia uczuć. Interesującym rysem *Pana Balcera* jest, że właściwie niema w nim bohatera, niema postaci, na którąby zwracały się oczy czytelnika zgrupowania na niej największej ilości świateł i cieni. Nie umiem powiedzieć, czy poetka nie miała intencyi takim właśnie bohaterem uczynić samego Balcera; jednakże uczynić nie zdołała. O tej intencyi świadczyłby tytuł eposu, o niej też świadczyłyby dość energiczne wystąpienia tego kowala w niektórych decydujących momentach drugiej części, o niej świadczyłoby może w mniemaniu poetki to, że Balcer opowiada. Ale gadanie nie czyni bohaterem człowieka, ani też tytuł książki, ani nawet to, że tego zdzielił pięścią, tamtego prasnął w pysk... Poza tem zaś nawet Horodziej stary, nawet Święta z nad Buga, nawet Opacz plastyczniej występują. O Balcerze z poematu niewiele się dowiadujemy. Że jest majstrem kowalskim, i że w Krakowie na Grodzkiej ulicy ma brata księdzem, a ten zowie się Balcerski i mieszka w bramie, zaraz przy dzwonnicy na lewo, — o tem wspomina ze trzy razy [1]); że nie jest jeszcze bardzo stary, choć nieraz mówi o sobie, że już jest stary, [2]) dowodzi fakt narzeczeństwa

[1]) Str. 61, 295, 333.
[2]) Str. 117.

z Żukówną, że jest miłosierny, da się to stwierdzić przytuleniem zabitego przez Indyan chłopca i zmarłego pacholęcia, odebranego murzynom. Ale Balcer w swoich przekonaniach społecznych, narodowych i religijnych, w swoim sposobie wyrażania myśli a nawet w swojem myśleniu nieraz też bywa nie tyle chłopem podlaskim, ile dziecięciem duchowem Konopnickiej. Kiedy waraża pogląd na szlachectwo, przypomina Reja i Orzechowskiego z wieku XVI. [1]) Ale gdy mówi o pracy, jestto głos artykułu postępowego po r. 1885. [2])

Praca — to praca. Jakeś nie kaleka,
Bierz się, a ostro! Takie boskie prawo. _
Ale jak człek się wyspina nad człeka,
Jeden u stoła, a drugi pod ławą
Na kość, na ochłap jaki, jak pies czeka,
Nim głodne dzieci obdzieli tą strawą,
-- Hola od pola! To prawo — jest pieskie,
Nie Adamowi dane! Nie niebieskie.

Tu okazuje się wyraźnym zwolennikiem równości majątkowej i od tego wyznania krok tylko do teoryi socyalnego wywłaszczania. W religijnych uczuciach toż samo. Raz Balcer wierzy w senniki, raz w nim wiara ojców żyje i każe po prostu chwalić Boga, to znów zbyt pochopnie zaprawdę bluźni, gdy duszy brak pokory do cierpliwego zniesienia niedoli. Bluźni, gdy dzicy strzałą zabili

[1]) Str. 89.
[2]) Str. 336.

Jaśka (str. 196), bluźni, gdy w powrocie spotkali kości ludzkie:

— Ha, jeśli Bóg słucha
Śmiechu tej kości, nad którą tu kraczą
Sępy, to w niebie spać nijak nie może,
Chociaż gwiazdami wysłane ma łoże.

Balcer srodze bluźni, gdy zniemożeni drogą stanęli przed górami (str. 240), bluźni na widok pożaru (str. 251—252), słowem okazuje się czy nazbyt małowiernym czy nazbyt gwałtownym w swych uczuciach religijnych. Bywa on nawet fatalistą, kiedy mówi:

Jak raz dola
Zatrzaśnie za kim czarne one wrota,
Co od swojego odgrodzą go pola,
Nie ufunduje dawnego żywota,
Nigdy i nigdzie.... (str. 174).

Pomimo całej swej gadatliwości nie jest on atoli bohaterem, gdyż nie działa. W rozmyśle poetki prawdopodobnie bohaterem ma być gromada, lud, jednostka zbiorowa. W istocie zaczęła poetka z szerokim rozmachem malować objektywnie i ze spokojem epickim duszę chłopską, wyrzuconą poza ramy własnej ziemi, rozciekawioną i zdumioną niezwykłością nowych zjawisk ludzi i morza, a pamiętną swego ojczystego gniazda i zakątów własnej ziemi, którą zna dobrze. Wciągnęła w grę lud i zaściankową szlachtę. Brak wykształcenia, przesądy, łudzenie się, naiwność bez granic, we-

wnętrzna prawość i dobroć, religijność i prostoduszność — to główne rysy gromady. Przytem miłość ziemi ojczystej, a zwłaszcza przyrody. Trzeba pamiętać o tem, że na lat parę przed rozpoczęciem *Pana Balcera* Prus wydał *Placówkę* i w niej wielbił, do godności pierwszorzędnej cnoty podniósł uporczywe trzymanie się własnej ziemi u chłopa. Skoro tedy niedługo potem, jak gdyby na zaprzeczenie szeroko rozpowszechnionej *Placówki* wzmogła się emigracya, Konopnicka umyśliła odmalować duszę chłopską, rozstrojoną skutkiem utraty własnej ziemi. W najcięższych też chwilach wraca myśl tęskna do kraju i natury naszej. Aby jednak nie idealizować ludu, poetka maluje i rysy ujemne jego duchowego wizerunku: głupotę, pyszałkostwo, blagę, niesforność, niesprawę, pochopność do zwad, nałogów, zwłaszcza pijaństwa. O ileż wyżsi i tężsi są Niemcy!

Odrazu po przyjściu do baraków wzięli się do pracy, odrazu i sfornie po wybuchu febry poszli w góry, odrazu przy wyborze miejsca na osady zdecydowali się, dokąd mają iść i poszli. Nasi zaś, jak stado swarliwych gęsi, co moment poczynają gadać, debatować, spierać się i kłócić, a mało pracują. Psychologia tego chłopskiego tłumu wydaje mi się nadto w paru szczegółach przez poetkę indywidualnie pojętą. Po pierwsze i Balcer za wiele, za śmiało i za często bluźni i inni przy całej swej religijności są zbyt skorzy do krytyki spraw,

z religią związanych. Taka dysputa w kwestyach religijnych, jak na str. 304 nie łatwo da się wyobrazić u takiej głupiej gromady, jak właśnie wymieniona. Jeden domyśla się, że z Rzymu pospieszą na pomoc Polsce. Na to

Nieprawda! — krzyknie Roch — Toćby nas chować
Nie wlekli w cudzy cmentarz! Toćby chłopów
Nie wpisowali w mentryki u popów.
Nieprawda! Nie chcę ja obrażać Boga,
Ale że z Rzymu i wiatr nie doleci...
Daleka widać do Polski mu droga,
Chociaż mu Polska w same oczy świeci,
Jasna od męki, od wiary zaś — sroga.
A toć nas gnają przez śniegi, zamieci,
A toć nas więżą... I co? Gdzie głos z Rzymu?
Tyle Rzym o nas dba, co tego dymu!

Wnet zabiera głos i Balcer, aby potwierdzić opinię Rocha. Powtóre jest rzeczą niezawodną, że choć chłop polski idzie w nieznane sobie kraje, przebywa choroby, patrzy na śmierć najbliższych, rąbie parańskie puszcze, — to jednak *wyrąbuje je.* Nie tak się zdarza, jak poetka opisała, tylko tak, jak się stało w istocie z losami gromady. Nie puszcza jego, lecz on puszczę pokonał. Zostało z tej gromady niewielu, ale ci, którzy zostali, wzbogacili się.

Takie przedstawienie rzeczy, jak u Konopnickiej, jest sentymentalizmem, nieco nawet uchybiającym ludowi polskiemu. Prawda, że chodziło tu o tęsknotę do kraju. Nostalgia bowiem jest

w poemacie przewodnią nicią wydarzeń. Chłop odczuwa ją, ale nie musi ona być zasadniczym elementem wychodźtwa, skoro nieraz zdarza się emigracya powtórna, a nawet kilkakrotna. Często chłop jedzie do Ameryki, aby zarobić na spłatę kupowanych w kraju morgów. I epiczność jest nie w nostagii za krajem, lecz w pokonywaniu nostagii dla miłości ziemi. Duch emigracyi tkwi właśnie w żądzy ziemi swojskiej. Ideałem emigracyi — powrót z pieniądzmi do domu, iżby tu zakupić więcej swojskiej ziemi. [1]) Tymczasem tu nawet z nostalgii jeden się wiesza, a reszta kapituluje z puszczy. Po trzecie na początku poetka wyraźnie powiada:

Chłop rad wzdycha
Tam, gdzie się drugi w mówieniu rozszerza itd. (21).

Na tę małomowność chłopa każdy, kto lud obserwował, łacno się zgodzi. Tymczasem w poemacie występuje gromada nieznośnych gadułów i to gadanie ciągłe niezawodnie na szwank naraża ich sprawność roboczą. Trzeba to czemś usprawiedliwić. I oto — na początku jednym z głównych rysów natury ludowej uczyniwszy powagę i milczenie — na końcu poetka sama przeczy sobie:

Człowiek, wiadomo, wykrzyczeć się musi.
Czyli to w polu, czyli na jarmarku.
Jak nie — chrzypota po nocach go dusi.
Dopiż, jak huknie, aż trzasło mu w karku,

---

[1]) A. Grzymała Siedlecki. *Czas*, maj, 1910.

Zdrów! Więc nie lubię onych cichych trusi.
Światci nie klasztor, gdzie na milczka dzwonią,
A w Polsce miejsca głosom dość — nad błonią.

Po czwarte Balcer, jak przystoi na starego kawalera, z ogromnem bywa ugrzecznieniem dla kobiet. I trudnoby mieć cokolwiek przeciwko temu, gdyby rzeczywistość nie protestowała. Prawda, że Konopnicka stworzyła cudny obrazek i prześliczną postać Hanusi Szczęśniakowej, matki, prawda, że i Święta z nad Buga w chwilach swych występów wydaje mi się postacią godną czci, jaką ją otaczają; ale naogół owa galanterya chłopów dla bezimiennej grupy kobiet, jest rysem nieprzekonywującym. Przypominam choćby *Józefową, studyum z natury*, Konopnickiej. »Ideałem Józefowej było mieć męża, o którymby wiedziała, że ją od czasu do czasu wybić może; zwyczajnie, jak to Pan Bóg w małżeństwie przykazał.«[1]) Otóż jeżeli całą gromadę pozwoliłem sobie porównać do stada gęsi, to ściślej mówiąc, kobiety tworzą rdzeń tego stada. Jakże niedorzecznem jest rzucenie się ich z pazurami i pięściami na Bogu ducha winnych Niemców! Prawdziwie przypomina się owo powiedzenie Radczyni z *Wesela*, że »ni stąd ni z owąd trzask, prask — biją się po pysku«...

Po piąte — podobnie jak Konopnicka w niektórych epizodach obniżyła bez potrzeby umysłowy

[1]) Nowele Konopnickiej, Warszawa 1899. „Gazeta Polska" T. 16. (XXIX). str. 39.

cenzus postaci, w innych momentach podniosła go zanadto. Nie będę tu mnożył przykładów: każdy znajdzie je łatwo. Pytam jednak, czy chłopa możemy sobie wyobrazić mówiącego:

Bo mi się serce na wichrach kołysze?...; (211)

albo też:

....Choć tam dokół pustka była głucha,
Wyraźniem widział, jak na struny one
Kładą się ręce Zorzowego Ducha,
Co ma wpół złote szaty, wpół czerwone.
Trącił, a oto pieśń puszczy wybucha
W strzelistych głosów górną antyfonę,
Drzewa dostają skrzydeł, chwieją póry
I w ogniach stoją, jak anielskie chóry. (216)

Kto nie wie, skąd wyjątek, ten przypisze go Słowackiemu. Tymczasem autorem wspaniałego obrazu jest.... pan Balcer, kowal od Liwca.

Jakkolwiek tedy poetka z pewnością zna lud, czyniła bowiem liczne studya i obserwacye nad nim w toku swej działalności twórczej, to jednak psychologia gromady nie wydaje się bez zarzutu dzięki z góry powziętej pedagogicznej, zasadniczej idei.

Idea poematu. Ideą jest pragnienie ukazania emigracyi, jako zła narodowego. Wówczas, gdy Konopnicka zaczęła swój poemat, tj. w 1892 roku, emigracya była zmorą ekonomistów miejskich, a groźbą dla dworu. Właściciel ziemski widział, jako jej bezpośredni skutek, brak i podrożenie

robotnika, uczony widział w niej widmo wynarodowienia mas ludu. Jednakże dotychczas ani pierwsza ani druga obawa nie sprawdziły się w tak groźnej postaci, jak się wówczas zapowiadały. Może nawet wyszło na jaw więcej stron dodatnich emigracyi, niż wówczas przypuszczano. Chłop, wyszedłszy do Ameryki, nie zrywa z krajem, przysyła zarobione tam pieniądze częściowemi kwotami do domu, sam wraca również, wzbogacony doświadczeniem i rozleglejszym na świat poglądem. Jeszcze mniej groźną stanie się emigracya, gdy odpowiednie czynniki ujmą ją w łożysko spokojnej i bezpiecznej fali, gdy wytrącą emigrujący lud z drapieżnych rąk różnych szalbierzów i łapigroszów. Druga zaś strona ujemna emigracyi także nie zasługuje na oświetlenie tak posępne, jak w poemacie. Wynaradawiają się — to prawda. Konopnicka mówi, że dzieci skwarów:

Jeść, mai — krzyczą. Bom dia, pae! wrzeszczą
Tylko im one słowa w zębach trzeszczą. (295)

I misyonarze stwierdzają, że dzieci osadników nieraz po polsku nie rozumieją; w koloniach Luceny wielu się wynarodowiło, zwłaszcza młodzież.[1]) Ale — jeśli rzec prawdę — to ks. Błahota, przez Konopnicką jako niby natchniony kaznodzieja podany, podobny do tych śmiesznych figur księżych pierwszej połowy ośmnastego wieku, które dla

[1]) Roczniki 1905. str. 45.

wywołania grozy polecały w czasie kazania na cmentarzu z moździerzy strzelać, a w bombastycznych okresach i klątwach wyczerpywały cały słownik bzdurstw i obelg. Ani krzty w nim niema kapłańskiego dostojeństwa, dużo jest natomiast blagi i błazeństwa. Nie dziwić się, że Burniacy wynaradawiają się. Dziś rzeczy uległy gruntownej odmianie. Pełne zapału, nauki, patryotyzmu i godności młode duchowieństwo coraz więcej jedna sobie lud i działa nań znakomicie w kierunku polskim — zwłaszcza po koloniach, mniej niestety po wielkomiejskich skupieniach. Przyjdzie i to z czasem. Trwożna tedy idea Konopnickiej już znacznie przeżyta i zarówno z gospodarczego, jak z narodowego punktu widzenia nie przedstawia się tak posępnie.

Układ i akcya poematu. A jednak ta to właśnie idea dała poematowi specyalny układ. Jak powyżej nadmieniłem, Konopnicka śledziła losy gromady wychodźców z północnych gubernii Królestwa Polskiego z r. 1890—1892. Niemal wszystkie klęski, jakie dotknęły tą gromadą, znalazły się w poemacie. Tylko że resztki gromady owej zwyciężyły puszczę, osiadły tam i wzbogaciły się; przeciwnie zaś resztki gromady Konopnickiej opuściły puszczę i wróciły do kraju. Otóż końcowy moment realny losów wzmiankowanej gromady odpowiada trzeciej pieśni eposu Konopnickiej. Od czwartej pieśni zaczyna się celowę

zmyślenie poetki: chodzi mianowicie o spotęgowanie się i usprawiedliwienie nostaglii. Konopnicka — wogóle nie bardzo umiejąca tworzyć akcyę — w trzech pieśniach, mając za substrakt rzeczywistość, wysnuwa ją i układa konsekwentnie, jasno, naturalnie. Później, w pieśniach III.—VI., rozwielmożnia się chaotyczność i sztuczność akcyi, połączona oczywiście z brakiem wszelkich zarysów kartografii. Kto zna przygody podróżników amerykańskich w niezliczonych opisach *Coopera*, *Mayne-Reida, Umińskiego* itd. ten z góry wie, że opisom przejść przez stepy towarzyszą Indyanie, bizony, głód, pragnienie, pożar stepu, fata morgana, skalne zręby, strzelające ku niebu w chwili, gdy się zdawało, że męka zbliża się do końca itp. przygody. Wszystko to spotyka drużynę Balcera, jak w cudownych opisach dla dzieci. I wiele więcej jeszcze spotyka bied. Nie dziwię się zgoła, iż jeden z recenzentów poematu zauważył: Nadmiar śmierci, pogrzebów, chorób, cierpień, powiązanych z emigracyą, *jako z przyczyną*, jest sztucznym. Sztuczność musiała zastąpić rzeczywistość z chwilą, gdy rzeczywistość okazała się inną, niż ta, jakiej było poetce potrzeba. Akcya sama w grube zarysy ujęta jak na takich rozmiarów dzieło nazbyt szczupła i nieznaczna, i powszechnie znana, i żadnej nie stanowiąca całości. Jak niema w eposie bohatera, tak też niema i powieści, mającej za zadanie związać wszystko w jedną artystyczną

całość. Nie myślę czynić z tego poetce zarzutu, skoro wiem, że świadomie tak postąpiła; ale trudno zaprzeczyć temu, że możnaby setkę epizodów z tego poematu usunąć, a mimo tego pozostałe tworzyłyby takąż samą, jak obecna, całość. Dwie tylko pozwolę sobie na tem miejscu raz jeszcze uczynić uwagi: plastyczność eposu zyskałaby niezmiernie, gdyby różni Rochy, Żuki, Opacze, Bugaje, Magiery i Balcery nie gadali tak dużo. Gadatliwość zaś ich nie pogłębia poematu, nie czyni go ani poczytniejszym, ani wznioślejszym; powtóre przegląd akcyi stałby się o wiele jaśniejszym, gdyby Balcer znał się cokolwiek na kalendarzu i w opowiadanie wprowadził choć odrobinę chronologii. Dziwić się można, że on, który i Kraków zna, i Częstochowę zna, i do Rzymu sięga, i o papieżach wyrokuje, i nawet do Ameryki pojechał, — tak zupełnie nie dba o tę amerykańską zasadę: czas — to pieniądz. Zdaje się, że cała akcya trwała lat parę: od deszczów w emigranckim domu do deszczów w puszczy upłynął chyba rok; od śmierci Horodzieja do końcowych chwil w Porto upłynął również rok: ale tak się tylko zdaje, bo wyraźnych wskazówek niema.

Epizody. Opisy. Nastroje. Jak już z powyższego dostatecznie wypływa wielki ten poemat składa się z długiego szeregu czasem luźnie, czasem dość energicznie powiązanych ze sobą epizodów opisów. I one to stanowią istotne piękno dzieła.

Nie myślę ich zgoła schematyzować, układać w jakieś kategorye i grupy, stwierdzam tylko, że epizodów i opisów jest wielkie mnóstwo i to pięknych. Do najładniejszych należą: opis morskiej burzy (str. 38—40), epizod z Hanusią Szczęśniakową (str. 55—58), powitanie nowej ziemi przez Świętą z nad Buga (str. 73—74), opis puszczy (str. 163—165), początki moru (str. 123—126), ujęcie bizona przez murzynów (str. 224—226), śpiew Świętej z nad Buga (str. 305—306), list jakiegoś zmarniałego wychodźcy do rodziców (str. 325—327), pogrążenie przez Zabudę okrętu morowego (str. 338—340) i inne.

Uwydatnia się w nich wybornie zdolność poetki wyczucia nastrojów i wynalezienia dla nich najwłaściwszej formy, nie uchybiając zasadzie oktawy, przyjętej przez Konopnicką dla poematu.

Nastrój zaś dzieła jest przeważająco żartobliwy. Konopnicka pragnęła nad goryczami i klęskami życia roztoczyć pogodny błękit nieba, pragnęła nieszczęściom odjąć jad upadłych dusz i potępieńczych istot. Dla tego, choć niedole są liczne i zjadliwe, nie psują one do głębi i nie demoralizują. Ton, jakim poetka nasyca opowieść, ton nieco jowialny i nie gardzący żartem jest niewątpliwie trafnie znaleziony. Powaga, z jaką mówi poetka np. o sennikach, o znakach niebieskich, refleks rosyjskiego akcentu mowy Kopacza, teatralność występu retorycznego Piotra Bugai (str. 217),

powtarzanie parokrotne sporów między Magierą a Żdżarskim, a zwłaszcza odrębne w stylu lirycznie traktowane wspomnienia przyrody kraju ojczystego [1]) pozwalają poetce olśniewać czytelnika bogactwem porównań, metafor, bogactwem słownictwa, słowem skarbami wierszowej techniki, w której nie łatwo mogła wśród spółczesnych poetów sobie równego znaleźć.

Uogólnienie oceny. *Pan Balcer w Brazylii* nie jest poematem o kompozycyi z góry ułożonej, składnej i artystycznie jednolitej; nie jest powieścią w ścisłem słowa tego znaczeniu, gdyż nie ma ani jednej akcyi, ani jednego bohatera, ani też cząstkowe ogniwa nie skupiają się około jednego pomysłu. Jestto szereg poetycznych scen, obrazów, opisów z dwuletniego życia podlaskiego ludu w Brazylii. W tym szeregu scen widoczny jest podział na dwie połowy: do wymarszu gromady z puszczy od tego wymarszu. Pierwsza połowa jest pod każdym względem lepsza od drugiej. Ta ostatnia, dzięki silnemu nasyceniu ideą chłopskiej nostalgii na obczyźnie, jako utwór epiczny, pozostawia wiele do życzenia. Dusza ludu, pojęta nieraz indywidualnie, naogół jednak odkrywa nader wiele ciekawych i zajmujących rysów i świadczy o ogromie obserwacyi, oraz doskonałej pamięci poetki. Obrazy, opisy, zdarzenia, epizodycznie wziąwszy,

---

[1]) Str. 87, 101, 124, 165, 184, 209, 287, 298 i inne.

mieszczą partye pierwszorzędnej poetyckiej wartości więcej atoli pod względem malarskim i muzycznym, niż rzeźbiarskim.

Epicznie najmniej szczęśliwym jest pomysł tęsknoty, jako głównej osi kompozycyi. Dał on niektórym krytykom powód do zestawiania *Pana Balcera* z *Panem Tadeuszem*. Porównywanie tylko dzieł jako równego z równem świadczyłoby o bezkrytyczności i zuchwałym hazardzie. *Pan Tadeusz* jest monumentalną budową z kosztownego granitu o klasycznie harmonijnych zarysach, *Pan Balcer* jest pawilonem, o groteskowem zdobieniu z kruchego materyału. Musimy porównując przynajmniej o tem pamiętać, że tęsknota u Mickiewicza jest żywa, szczera, głęboka, wybucha chwilami jak szloch, jak rzęsiste łzy; tęsknota w *Panu Balcerze* bywa nieraz sztuczna. Tamci emigranci po 1831 roku wyszli, bo musieli, ci zaś wyszli, bo chcieli na obczyznę. Tamci nie mogli wrócić, chyba na Sybir i katorgę, ci zaś każdej chwili wrócić mogli. Tamci wyszli z poświęcenia, dla wzniosłej pracy ducha, ci zaś wyszli z łakomstwa grosza, dla dość marnego zarobku. Pan Tadeusz w swoich scenach na poły lirycznych jest wzruszającym do głębi, dla t. zw. bohaterów *Pana Balcera* budzi się w nas współczucie ludzkie, lecz z zastrzeżeniem: sami tego chcieli. Niemniej przeto w artystycznym dorobku Konopnickiej *Pan Balcer w Brazylii* jest największem dziełem. Jest też największem

dziełem poezyi epicznej polskiej po roku 1863. Ani epopeją narodu naszego nie jest, ani epopeją naszego ludu nie jest: jest to *epos emigracyi ludu do Brazylii.*

VI.

Powieść. Obrazki i nowelki.

Od początku swej literackiej działalności, ściślej mówiąc, od r. 1884, w którym na konkursie *Kuryera Warszawskiego* na nowelę, Konopnicka za swego *Wojciecha Zapałę* wzięła drugą nagrodę, pisała ona nowele, obrazki, nawet powieści. Nowela konkursowa natchniona widocznie dziełami Sienkiewicza. Wojciech Zapała — to stary napoleoński weteran, który przy sobie ma chłopca, znajdę i uczy go musztry, przypominając sobie cesarza i niecąc w główce dziecka podziw dla niego. Podobnie jak w *Janku Muzykancie* Sienkiewicza chodzi o wskazanie daru artystycznego u prostego ludu, jeno że tu dar ten przybiera postać talentu rzeźbiarskiego. Konopnicka poszła za modą swego czasu kreślenia obrazków i nowelek, *Wojciech Zapała* zaś po *Janku Muzykancie* i *Antku* Prusa jest trzecim o analogicznej tendencyi, aczkolwiek najsłabszym formalnie. Waży on przez to, że Konopnicka odnalazła w sobie nową gałąź twórczą, nową formę wypowiadania się i oddziaływania na ogół.

Powieścią o rozmiarach szerszych, obrazem tendencyjnym okazało się dzieło p. t. *Pod prawem*, napisane bezpośrednio po *Wojciechu Zapale.*[1])

Akcya przedstawia losy *Hanki Blacharzówny*. Była sługą w Warszawie. Zakochała się w Pietrku. Chłopak był jak malowanie. »W paletocie chodził, papierosy palił, ręce w kieszeniach trzymał, kamasze szpicami wystawiał, jak urzędnik jaki.« (5) Kiedy jej państwo poszli do teatru, dała Pietrkowi klucz od pokojów, sama pilnowała a on niebawem wyszedł: futro na nim pańskie, głowa do góry, kapelusz na bakier, cygaro w zębach, ręce w kieszeniach. U lewego boku niósł szkatułkę. Nazwał ją złodziejką, pchnął w piersi kułakiem i poszedł. Państwo wrócili: futra niema, srebra niema, pieniędzy niema. U Hanki znalazła się łyżeczka, która Pietrkowi wypadła, a ona ją podjęła. Skazano ją na więzienie, a gdy wysiedziała swój termin, zawiedli do Grójca na trzyletni *pobyt*. Co to jest pobyt? Polega on na tem, że przestępcy po odsiedzeniu wyroku nie wolno jest przez rok, przez dwa, przez trzy i cztery znajdować się bliżej Warszawy, niż w promieniu czterdziestu wiorst. Odstawia się tam więźniów, daje się im czerwony paszport i puszcza w świat, ale są pod ciągłym dozorem policyi. Latem mogą znaleźć robotę w polu. Zimą? kradną, tworzą

[1]) Cytuję podług wydania *Biblioteki Powieściowej Księgarni Narodowej we Lwowie*.

w okolicy szajki złodziejskie i kradną, bo nikt ich do służby wziąć nie chce, a żyć muszą. A gdy złapią? Wsadzają znowu do kozy i znów wyznaczają pobyt. I tak ciągle.

Otóż Blacharzówna w więzieniu sprawowała się dobrze, sam pan radca to jej przyznał (str. 3), teraz, idąc na pobyt, nie chciała zostać w domu Bamblowej na rozpuście, tylko wiernie zaniosła świadectwa swe do ratusza, otrzymała *rozpiskę* i upomnienie sekretarza, aby się meldowała u niego. Po pierwsze zgłosiła się do straganiarki, która ją pełnemi obelg słowami wypędziła (str. 30); powtóre z rajfurką Janową poszła do aptekarzowej, która szukała sługi, ale poprzedniej nocy okradziono kasyerową, przeto aptekarzowa ani słyszeć nie chciała o pobytówce (str. 32); po trzecie rzeźniczka zwymyślała ją od ostatnich obelg i wypędziła, poturbowawszy i wypchnąwszy za drzwi (42); po czwarte młynarz Fabich wyzyskał ją haniebnie, gdyż wszystkim za kopanie kartofli płacił po 40 gr. dziennie, a jej proponował najpierw 24, potem 20, potem ujął obiad z kartofli, wreszcie, dowiedziawszy się, że pobytowa, zgodził za 10 groszy i kartofli na obiad (46); po piąte po skończeniu roboty u młynarza przeszła do takiejże pracy do szynkarza, lecz już po 24 groszy dziennie. Tutaj zetknął się z nią Aleksander Stanisławowicz Kosickij, sekretarz. Ten pytał, gdzie nocuje, a odchodząc dał dziesiątkę darmo. Któregoś

nocy napadł ją, lecz ona narobiła krzyku, musiał uciec, a ją sprowadził do aresztu i skazał na trzy dni kozy. Wtedy w gorączce febrycznej wyłamała się i uciekła po raz pierwszy. Uciekła do swej krewnej Walentowej, praczki w Warszawie. Dobra kobieta przyjęła ją, odżywiła, wyleczyła z febry. Lecz trzeba było zameldować. Zrazu wykręcała się od meldunku. Do czasu. Nareszcie, gdy już mus nadszedł, wynalazła jej służbę u młodego małżeństwa. I to były złote czasy Hanki. Prędko się jednak skończyły. Raz spotkała na Ordynackiem Walerę, swoją niegdyś towarzyszkę i ta pokazała ją łapaczowi. Łapacz zaczął wymuszać pieniądze. Opłacała się, lecz gdy nie stało, znalazła się znów w więzieniu. Dwa tygodnie spędziła w ratuszu: dusza jej zwiędła, jakby zestarzała. Instynkt nienawiści dojrzewał w powietrzu tej wielkiej, brudnej izby, rozprzestrzeniał się, ogarniał ją całą i pełzał po sercu jej tak, jak robactwo po ścianach. Kiedy kto przemówił do niej, ściskała zęby, żeby nie kląć; krzywda leżała na jej piersiach dzień i noc, jak wielki, ciężki kamień (str. 93). Dotąd jednak nie zdała sobie sprawy, że to prawo nad nią ciąży. Nie umiała odróżnić prawa od ludzi (97). Teraz pędzona znowu na pobyt, zbiegła powtórnie. Walentowa nie żyła, Hanka znalazła się tedy u paserki Pajęczakowej. Tam weszła policya, ona zaś uciekła i rzuciła się do Wisły. Uratowana, wyleczona z tyfusu w szpitalu aresztanckim, znów

odsiedziała kozę i znów poszła na pobyt, ale w ostatecznej rozpaczy, zamknięta w pobytowej kaźni, podpaliła ją w nadziei, że z kaźnią zgorzeje. Ocalona powtórnie — skazaną została na katorgę.

Ocena. Aby należycie uświadomić sobie wartość i znaczenie powieści *Pod prawem*, trzeba zaznajomić się choć cokolwiek z powieściopisarską metodą tego czasu, kiedy rozpoczęła nowelistyczną działalność Konopnicka. Był to okres naturalizmu w swoim najwyższym rozwoju. Stało się zasadą niczego nie zmyślać. Powieściopisarze na wzór Flauberta, Zoli, Maupassanta spisywali dokumenty ludzkie i konstruowali z nich człowieka w otoczeniu życia, drobiazgowo fotografowanego z natury. Natura była mistrzem i niedoścignionym pierwowzorem dzieł sztuki. Im bardziej któremu powieściopisarzowi udało się zbliżyć do natury, tem wyżej ceniło się jego dzieło. Nie brzydzono się wciągnąć do sztuki całego aparatu *naturaliów*, które w opinii twórców przestały być *turpia*. Nie dość przedstawić prawdę, aby być naturalistą — mówi malarz w sztuce Boyera — trzeba malować brzydotę. Stąd to wszystko, co ja maluję — moi panowie, jest szkaradne do obrzydzenia. Moje obrazy napawają odrazą i aby im nic z prawdy nie ująć, wyrywam z nich piękno z korzeniem. Lubię ziemiste barwy i papierowe nosy, brudne dziewki, trędowate pyski pijanic, ropiące

się pryszcze, nagniotki i brodawki. Oto prawda!

Nasza powieść ówczesna rozwijała się w paru kierunkach — co się tyczy treści i idei. Do niedawna kreśliła ona typy, rodzaj zagadnień indywidualności na tle zbiorowego życia, podszyty satyrą społeczną czy towarzyską: *Pan Graba, Pompalińscy* Orzeszkowej, *Marya* i *Marta, Eli Makower* lub *Meir Ezofowicz* tejże, *Antek, Michałko* Prusa, *Hania, Stary sługa* Sienkiewicza. To był jeden rodzaj powieści.

Powtóre, żywo zajmowała się rozwojem myśli społecznej i chętnie szła na rękę tym socyalnym zadaniom, które wydawały się koniecznością chwili. Lud, utrzymanie ziemi, rola kobiety, w rodzinie i społeczeństwie, asymilacya żywiołów martwych, sennych lub wrogich, udział sfery mieszczańskiej i kupieckiej w pracy narodu, patryotyczne aspiracye zbiorowej duszy, — oto niektóre kwestye, jakiemi powieściopisarze zajmowali swych czytelników. Któż nie zna Orzeszkowej *Nad Niemnem, Sylwka cmentarnika, Widm, Chama*, Sienkiewicza: *Humoresek z teki Worszyłły, Szkiców węglem*, Prusa: *Powracającej fali*, Jeża: *Uskoków, Żarnicy?*

Potrzecie, dotychczasowa bezpośrednio przed lub po *Pod prawem* istniejąca u nas powieść dawała niekiedy czy to widok wcielonego ideału plemienia w przeszłości, czy też starala się być pochodnią, rozświetlającą mroki toru, po którym naród kroczyć ma w przyszłości. Inicyatywę takiej

pedagogicznej dla narodu powieści nowej dał Henryk Sienkiewicz, a zapowiadał ją od niejakiego czasu w artykułach krytycznych w *Niwie* warszawskiej. Właśnie niedawno wrócił z Ameryki i rozpoczął pisywać t. zw. *Mieszaniny* literacko-artystyczne w Niwie, analizując naturalistyczną powieść francuską i polską. Nie mogę tu przytaczać licznych wyjątków z tych mieszanin. Parę jednak niech służy za dowód, jak sobie uświadamiał ten niepospolity umysł cele i zadania naszej powieści. Otóż przy okazyi rozbioru *Królów na wygnaniu* Daudeta Alfonsa pisze: »Co *nam* do tego wszystkiego? My mamy swoje dogmaty, swój ideał takiego blasku i majestatu, tak święty i ukochany namiętnie, że gdy w niedoli osobistej, w zawodach i rozczarowaniach prywatnego życia, w umęczeniu codziennem myśli, wróci się ku niemu, to człowiekowi się zdaje, że jego własne gorycze maleją i zapomina o nich, i płakać mu się chce, i w końcu zdaje mu się, że lepszy jest, że już wniebowzięty, odkupiony i zbawiony.« Mówiąc o bohaterach i bohaterkach powieści Marrene-Morzkowskiej, woła:

»Per Baccho! Mocniej należy szarpać za strunę uczucia! zęby zacisnąć, czuć samej, płakać! To przecie płomień, który żarem powinien przejąć wszystkie karty książki; to nie idea, to siła; to nie doktryna — to ból lub szczęście! to nie dogmat, w który wolno wierzyć lub nie wierzyć,

to prawo natury, to upojenie, zapomnienie życia, radość, rozkosz, zbawienie...«

»Nie dość« — pisze, oceniając *Bratnie dusze* Sewera — »ułożyć sobie plan powieści, wymyśleć osoby, intrygę i zakończenie; trzeba jeszcze widzieć wyobraźnią owe postacie i kochać je i umieć całą moc subjektywnego uczucia przelać w ich serca. Wówczas dopiero zarysują się mocno, z ciepłem i życiem«. Powieściopisarza About zalicza do t. zw. porządnych literatów, których określa tak:

»Tacy nie napiszą nigdy głupstw, cieszą się czasem wielkiem powodzeniem i uznaniem publiczności. Ludzie chwalą ich zdolność, wynoszą pod niebo ich dowcip, zostaje po nich wiele rzeczy bardzo dobrych, ale nie zostaje ani jedno arcydzieło. Brak im czegoś, co świeci, grzeje, pali. Ten brak — to poezya, to dusza wzniosła, egzaltowana, czująca bardzo i cierpiąca za wielu; to coś, co się tak boleśnie targało w Mussecie, Heinem, co było takie tkliwe i kochające w Dickensie, takie kochane i patryotyczne w Chopinie, Grottgerze, takie wielkie w Mickiewiczu, takie błyskawicowe w Słowackim...«

Nie zapominajmy, że sławny już wtedy autor *Hani* był słuchany i czytany z ogromnem zajęciem, nie zapominajmy, że w Konopnickiej on jeden z pierwszych uznał talent pierwszorzędny i Konopnicka ku niemu odnosiła się z wyjątkową uwagą.

Zmieniła się też zasadniczo i technika powie-

ściopisarska. Mówiłem już, że materyał pewieściowy zdobywano drogą bezpośredniej obserwacyi życia. Co więcej, pozbyto się omawiania postaci działających, malowania ich portretów, prezentowania ich czytelnikowi w efektownych pozach. Znikły też moralizujące tyrady wprost od autora, zwrócone do czytelników. Starano się usunąć wszystkie rzeczowe wyjaśnienia powieściopisarza o aktorach powieści. Sztuką stało się danie możności zażyłego poznania się czytelnika z działającemi osobami za pomocą akcyi: w czynie i działaniu maluje się najlepiej charakter. Sztuką stało się takie zlanie się duszy pisarzą z duszą osób działających, żeby pisarz mógł całkowicie przenieść się w każdorazowy moment roli działającej postąci, zatracić w tem przeniesieniu się własną indywidualność, własne upodobania, cechy i osobliwości swego własnego myślenia i wyrażania myśli, a natomiast żeby zupełnie prawdopodobnie pod względem psychologicznym żył przez tok powieściowej akcyi duchowem życiem osób. Rzecz prosta, że, ponieważ w powieści występowało zazwyczaj wiele osób, powieściopisarz musiał wcielać się też w wiele dusz i musiał, że tak powiem, *variis linguis loqui.* Przyrodę wciągano wprawdzie niekiedy do powieściowego materyału, ale częściej malowano ją objektywnie. Byli powieściopisarze, którzy nie uważali za potrzebne w swoich studyach *in anima vili* posługiwać się pomocą przyrody.

Powieść *Pod prawem* jest studyum psychologiczno-społecznem. Czynnik społeczny tkwi w wykazaniu okrucieństwa pewnego prawa. Hanka bardzo długo nie umiała tego prawa odróżnić od ludzi. Trzy lata siedziała w więzieniu, bo sąd zapisał; w pobyt szła, bo naczelnik kazał, w kozie była, bo sekretarz wsadził itd. Po pewnym atoli czasie uświadomiła sobie prawo, przeciwko któremu nikt nie poradzi. Powstało w niej ono, jako pojęcie jakiejś siły ślepej, groźnej i nieujednanej, która ludzkie karki gnie do mogiły, ludzką dolą jak wicher trzęsie, a kim zatrzęsie, to go tak połamie, jak burza łamie sosny w lesie. To jest strona społeczna powieści. Oczywiście Konopnicka występuje tu w obronie człowieka, występuje w obronie sprawy słusznej i przeciwko prawu haniebnemu. Niezawodnie mogła rzecz wziąć jeszcze szerzej i odmalować nie tylko wielce zgubny wpływ fatalnego prawa na jednostki, działaniu jego poddane, ale też za pośrednictwem zgubnych czynów tych jednostek na szersze środowisko tych części kraju, które na pobyt dla złodziei przeznaczono.

Są tylko wskazówki w tym względzie, wskazówki w rozmowie radcy z »uroczą«. Radca wyjaśnia, że pobytowi tworzą szajki złodziejskie, grasujące w okolicy. Epizodyczne odmalowanie działania takich szajek rozszerzyłoby ramy studyum psychologicznego. Ale zapewne autorka nie życzyła sobie rozszerzania ram, mając i z jedną

postacią dość roboty. Tu trzeba wprost powiedzieć, że Konopnicka nie stworzyła psychologicznego arcydzieła w rozumieniu naturalistycznem. Po pierwsze zanadto zgęściła barwy i nakładła ich w zbyt wielkiej obfitości na jedną postać.

Hanka Blacharzówna była niewinnie posądzoną ô kradzież — to raz. Zdarza się, że i niewinnie skazują, lecz wyjątkowo się zdarza.

Hanka Blacharzówna została pomimo swej niewinności skazaną aż na trzy lata więzienia — to drugi raz.

Hanka doskonale zachowywała się w kaźni (str. 120), a jednak wyznaczono jej zbyt długi pobyt, gdyż aż trzyletni, co znów wydaje się wyjątkową ostrożnością względem »wzorowego« przestępcy.

Hanka na pobycie przez parę lat jest osaczona i ścigana, jak zwierzę dzikie przez ludzi najgorszego gatunku: rozpustników, chciwców, okrutnych łapaczy — bez czci i wiary. Dokądkolwiek się zwróci, spotyka się ze zgrają najgorszej marki, z łotrzykami i oczajduszami, jakby świat tylko takich był pełen.

Hankę ścigają nie tylko źli ludzie, ściga ją los i przypadek tak okrutny, że znów chyba wyjątkowo tak bywa na świecie. Jest to zatem naturalizm robiony, nieco przynajmniej sztuczny. Co więcej powieściopisarka nie usiłowała za przedmiot swej dyssekcyi obrać duszy czujnej, myślącej,

żywej; Hanka jest tępą i *sit venia verbo* — głupią dziewuchą. Trzeba być na to bardzo naiwną, żeby nie wiedzieć, że danie złodziejowi kluczów do mieszkania, którego strzedz kazano, nie uczyni jej wspólniczką kradzieży. Trzeba być bardzo niedołężną i bierną, ażeby przyjmować cios za ciosem i nie bronić się wcale.

Prawda, że w pierwowzorze, którym była powieść W. Hugo p. t. *Nędzniey* Jan Valjean nie broni się również Joubert'owi, choć go ów łapacz ściga niby pies gończy. Dużo jest analogii pomiędzy nicią przewodnią *Nędzników* i *Pod prawem.* Tamta powieść mogłaby również mieć tytuł *Pod prawem.* Prawda, że powieść romantyka francuskiego w swej akcyi i potężnie skomplikowanej kompozycyi stokrotnie przewyższa utwór Konopnickiej. Ale i pod względem techniki powieściopisarskiej *Pód prawem* nie należy do dzieł wybitnych. Da się w niem zauważyć w dwóch kierunkach przesada naturalistyczna. Po pierwsze powieść jest nieco przeciążona życiowymi drobiazgami — bez widocznego celu. Natura zazwyczaj to, co zbędne, ociosa, zatraci i oczyści. Podobnie jak w życiu — co fizyologicznie niepotrzebne, to szkodliwe dla organizmu, tak w sztuce szkodliwe dla piękności. Konopnicka towarzyszy krok w krok swej ofierze, opisuje niedolę jej tak drobiazgowo, jak gdyby nic ciekawszego nad każdą szmatę nie było, którą się otula, nad każdą motykę, którą kartofle kopie.[1])

[1]) Ob. dla przykładu str. 112—114.

Druga wada wypływa z ograniczenia akcyi. Działania mało, działanie marne; co się zaś tyczy psychologii, to Konopnicka nie ma dużej zdolności przenoszenia objektywnego w duszę malowanej postaci. Nieraz myśli poetka za nią; nieraz od siebie wypowiada uwagi i sądy, dotyczące osób i zdarzeń. Najtrafniejszą bywa wówczas, gdy maluje postaci: lubi portretować i umie portretować. Przeto też niektóre epizodyczne figury zdjęte wybornie np. ów sekretarz Kościckij lub grójecki młynarz — Niemiec. Bardzo trafnie pod względem stylistycznym cieniuje w mowie czy to rosyjskie czy niemieckie przegłosy. Tendencyjna ta powieść jest jednem z pierwszych i największych belletrystycznych dzieł Konopnickiej.

Obrazki powieściowe. Ale nie jest jedynem. Poetka chętnie od obrazków poetycznych przechodziła do obrazków powieściowych. Wychodziło ich różnymi czasy wiele: *Michał Duniak* nowelka, wysnuta z tendencyi asymilacyjnej w społeczeństwie, skonstruowana na wzór powieści Kraszewskiego *Chata za wsią*. Duniak jest synem córki rybaka Kasi Duniak i Uryela Goebala, syna farbiarza, jest owocem występnej miłości, ginącym wśród nienawiści zarówno chrześcijan, jak żydów. W książce *Moi znajomi* (wyd. w 1890 r.) sportretowała cały szereg figur ze sfer nizkich: *Banasiową*, która »ściągła« do Lwowa z Wadowic, gdyż we Lwowie córkę ma za rzemieślnikiem,

moją cioteczkę, poczciwą starą pannę, *Anusię*, cichą, skromną szwaczkę, *Maryśkę*, kucharkę dworską, *Ksawerego*, świniopasa proboszczyńskiego, starego wiarusa Dzieszuka *W Winiarskim forcie*, na pół oślepłą staruszkę, która w *martwej naturze* dumna jest, że mogła swoimi piętnastu rublami wykupić od wspólnego dołu syna, leżącego w trumnie w szpitalnej kapliczce. W. kilka lat później wyszedł znów tom *Nowel* w wyborze pism poetki. W noweli *U źródła* słucha poetka długiej, nieco nudnej i monotonnej gawędy staruszki żebraczej, która z obfitością słów i nie bez swady opowiada o głodzie za lat jej młodych, kiedy to ludzie »sieczkę drobno źli, mech suszyli i tłukli, ości z owsa przyczyniali i z tego kuleszę na wodzie warzyli;« opowiada o swych pielgrzymkach do Kalwaryi, o ewangeliczce swojej, o młodych latach swoich. W noweli *Józefowa* maluje dzielną wodziarkę, zaopatrującą we wodę całą ulicę miasteczka. Mężem jej był Józef Slapa, niedołęga; Józefowa, sama silna i zdrowa, usiłowała wmówić w ludzi, że mąż jej też mocarz, że ją bije... Zginęła też istotnie zabita przypadkowo przez męża i umierając, czuła się szczęśliwą. W noweli *Maryanna w Brazylii* poznajemy rezolutną kobiecinę, która we wszystkich życia położeniach umie dać sobie radę i bez której otoczenie nie może się obejść. Posłano ją do Brazylii — pojechała do Brazylii, zajechała tam i wróciła

nazad, zgoła nie znając języków potrzebnych. Tu jest też portret Urbanowej, znanej nam z *Moich znajomych*. Jest to garnkotłuk kucharka. zrana jej »czegoś się ręce trzęsły,« w południe »wszystko jej z rąk leciało,« wieczorem zaś »cała nie mogła«. Ustawia je rzędem, zna dzieje każdego stłuczonego i codziennie je opowiada. Najlepsze atoli są dwie nowele, już nie portrety kobiet czy mężczyzn dziwacznych, ze społeczeństwa wysortowanych, lecz obrazki obyczajowe· *Nasza szkapa* i *W dolinie Skawy*. W pierwszej przed oczami naszemi przesuwa się szereg straszliwych udręczeń nędzy w rodzinie piaskarza warszawskiego. Żona Anulka kona od suchot; zima, piasku nikt nie potrzebuje. Ojciec sprzedaje przedmiot za przedmiotem ze swej ubogiej chudoby, byle tylko dostarczyć umierającej suchotnicy nieco ciepła, kartofli i chleba. Sprawozdawcami wszystkich targów z żydami handełesami są dwaj łobuzowaci chłopcy: Felek i Wicek. Nareszcie gdy wszystko z pokoju i skrzyni wynieśli żydzi, trzeba było i szkapę sprzedać: ostatnią nadzieję zarobku. Sprzedano ją, a pierwszą jej czynnością po przejściu w cudze ręce było wywiezienie na cmentarz Anulki. Dziwnie to smutny i dziwnie pięknie malowany obrazek. Felek i Wicek mają gamenowskie oblicze, lecz przy tem mają dobroć jakąś i pewną szlachetność w całem swojem postępowaniu. Np. nie kradną, choć życie im nad miarę doskwiera. Weselem

swem, beztroską i żartobliwym na tragiczne losy poglądem wnoszą światło kontrastowe do obrazu. Filip i Anulka są dziwnie jacyś dobrzy, łagodni i miłujący się ludzie. Nędza zazwyczaj rodzi kłótnie, swary i nienawiści. Tu nie. Filip duszę z ciała wyjąłby i oddał, byle Anulkę uratować. Głęboka i szeroka rzewność leży w przypominaniu sobie z okazyi sprzedaży harmoniki dawnych słonecznych dni narzeczeństwa, miłości, zdrowia i dostatku. Cały ten pięknie odtworzony a tak przejmujący i posępny obraz gniotącej nędzy ludzkiej tem ostrzej odbija od twardych i zysku chciwych wilczych natur żydów i kupców za grosze dobytku ginącej rodziny.

Nowela *W dolinie Skawy* jest poematem, właściwie zaś rozmyślaniem poetycznem, na temat śmierci i pieśni o śmierci, przez lud śpiewanej. Wiozą trumnę do grobu, stary dziad śpiewa, inni dośpiewują:

Ciężko ci jest na świat iść, ciężko i odchodzić,
Miałby człowiek wolę chcieć, chciałby się nie rodzić.
Chciałby minąć wojnę tę, co się żywot mieni,
Chciałby sobie cicho spać u matuchny ziemi.
Pątowałem po drogach, pątowałem w smutku;
Wiela było starości, [1]) a niewiela skutku,
Teraz idę w wieczny mir, na ciche pokoje,
Teraz mi się zaczną już miłe wczasy moje.
Naciągałem się pługa, naciągałem brony.
Był ten zagon ciężkimi potami zroszony;

[1]) Starania.

Terazże mi nie trza już orać ani siewać,
Teraz mi się wiecznego spocznienia nadziewać.

. . . .

Nagrzeszyłem ja tu dość z cielesnej krewkości,
Dusza we mnie gorzała od wielkiej radości, (żądzy)
Teraz idę w wieczny mir, do Pana Jezusa,
Teraz mnie już nie pojma nijaka pokusa.
Miałem ja tu rodzice, miałem żonę, dziatki;
Teraz idę w ciemny grób, jak do ojca, matki.
Teraz *vale* dziateczkom i krewieństwu dawam,
Miłem sercem żegnam was, a sam się ostawam.
Nie starajcie się światła, nie starajcie dzwonów,
Nie trzeba ni parady, nie trzeba pokłonów,
Bom ci proch a glina jest, do ziemi się wracam,
A w co byłem z naczątku, znowu się obracam.
Winszowana dobra śmierć i letkie skonanie,
Winszowany cichy grób, co mi się dostanie,
Terazże się powróćcie, kiędy wasza droga,
A ja będę cicho spał, na łonie u Boga.

Osobliwa to i bardzo ciekawa pieśń stara. To, co poetka naokół niej osnuła, jest tylko przystrojem i ładną ramą, pieśń stanowi rdzeń obrazka.

W r. 1898 wydał w Biblioteczce illustrowanej Gebethner i Wolff książkę Konopnickiej p. t. *Dym*. Zawiera ona oprócz przedruku *Naszej szkapy* z rycinami Sawiczewskiego, dwie nowelki: *Dym* i *Głupi Franek*. Obie są tendencyjne. Pierwsza maluje scenkę z życia dwóch osób: Marcysia, kotłowego we fabryce i jego starej matki. Ona żyła tylko dla syna. Dym fabryki, w której pracował Marcyś przybierał dla niej mnóstwo postaci, czekała tęsknie weń wpatrzona rychło-li syn jej

wróci. Raz miał Marcyś sen, że weń piorun uderzył — tegoż dnia zabił go wybuch kotła. *Głupi Franek* żyje z naturą, skazany na głupotę przez opinię wsi nad Narwią. Gdy jednak ludzie idą do Ameryki i ziemię sprzedają, *Głupi Franek* radby całą siłą istoty swej wstrzymać ich. Kocha widocznie całą głębią swej poetycznej duszy ojczystą ziemię i ojczystą przyrodę.

We wszystkich tych portretach, obrazkach, nowelkach unosi się zawsze poza malowaną figurą lub sceną duch poetki ze współczuciem nachylonej nad małemi tej ziemi sprawami. Nie są to rozległe i głęboko pojęte sprawy: wszystko w miniaturze, wszystko szare, codzienne, a takie niemniej swojskie i takie nieraz dla czytelnika nowe. To współczucie i malowanie znanych scen i postaci, około których przechodzimy tyle razy, stanowi wybitny rys nowelistyki Konopnickiej. W noweli *Niemczaki* jak w *Głupim Franku* zaznaczona obrona ludzi i ziemi przed niemieckim zalewem. Szkoda wielka, że w portretach poetka nie lubi tła krajobrazowego. Wiemy, jak je pięknie zna i maluje. Nie godziło się atoli z jej pojęciem o metodzie naturalistycznej powieści. Nowele stanowią uzupełnienie twórczości poetycznej Konopnickiej.

VI.

Przekłady. Artykuły opisowe. Podróże. Artykuły i dzieła krytyczno-literackie.

Marya Konopnicka, jako poetka była wprawdzie przedstawicielką swego czasu, lecz w duchu i we formach była spadkobierczynią romantyzmu polskiego. Czasy jej twórczości przypadły na okres t. z. modernizmu w poezyi polskiej. Oczywiście wybitny i duży talent poetki bronił jej od bezpośrednich ataków czy to Przybyszewskiego, czy też Przesmyckiego. Nawet *Życie* krakowskie raczyło jej utwory drukować. Ale Konopnicka, dobrze znała progeniturę naszego modernizmu i oczywiście, ceniąc to, co było wzniosłego i poetycznego w Gautier'ze, Baudelair'ze lub Verlain'ie, nie wahała się potępiać dziwactw i karykaturalnych przesad dekadentyzmu. To też, kiedy we francuskiej literaturze pojawiło się kilkanaście lat temu dzieło, nawracające dramat do stylu, uważanego za narodowy, napisane świetnym alexandrynem, Konopnicka z radością i niemałą satysfakcyą wzięła się do przekładu bohaterskiej komedyi Edmunda Rostanda p. t. Cyrano de Bergerac, a zarazem napisała o tej komedyi piękną rozprawę, która stanie się dokumentem jej poglądu na t. zw. dekadentyzm czy modernizm. [1])

[1]) O komedyi bohaterskiej Edmunda Rostanda p. t. Cyrano de Bergerac. Bibl. Warsz. 1898, kwiecień str. 70—71.

»Mgły się rozeszły — pisze — opadły ze sztucznie zbudowanych nastrojów. Ściągnięto dekoracye, udające sfinksy. Wyniesiono na strychy bajeczną ilość sztucznych wieńców i recept przyjacielskich na sławę, całą kupę anemicznych uniesień i chorych na tabetyzm refleksyi. Zagaszono fajerwerki, oczadzające zdrowe ludzkie twarze na kolor widmowy; zdmuchnięto sztuczny księżyc, przy którego blasku aktorowie udawali nadludzi. Wywietrzono scenę z woni, która uchodziła za subtelną mieszaninę mirry i kadzidła, a była kombinacyą zapachów alkowy i apteki. Świeży wiatr odwietrzył świat z zaduchu piwnic, zakurzonych węglami, gdzie hodowano zrodzone bez pory geniusze. Serce bije znów, a nie w głowie. Nikt, przytknąwszy nos do bagna, nie mówi, że pachnie. Odmyto szminkę duszy z twarzy i języka.

Nikt nie puszcza w ruch frygi, wmawiając w siebie i ludzi, że to poezya; nikt też, wsadziwszy głowę w komin, nie utrzymuje, że mu jest bardzo jasno.«

Już sama soczystość i dosadność tych sądów świadczy, że Konopnicka nie uwielbiała ani nowego prądu, ani nowych ideałów, ani nowych mistrzów. Była to jednak dusza po nowożytnemu interesująca się każdem nowem a tęgiem zjawiskiem na polu poezyi; była to dusza, w uwielbieniu swem nie wstrzemięźliwa, lecz prędka i entuzyastyczna. Stąd wynikło, że władając wy-

bornie kilku językami, niejedno dzieło, które zaskarbiło sobie jej względy, literaturze ojczystej przyswajała w przekładzie. Stąd także wynikło, że niejeden zgon opłakała, niejednego zasłużonego w literaturze uczciła. W cyklu *Żywym i umarłym* są dowody tego serdecznego udziału poetki w czci, oddawanej zasłużonym.

Jest tu piękny wiersz *W rocznicę Irydyona*, jest wiersz *Ignacemu Domejce*, jeszcze piękniejszy wiersz *Jej pamięci*, podobnież *W rocznicę Szopena, Nad mogiłą Kraszewskiego, Pamięci H. Grudzińskiego, Bohdanowi Zaleskiemu, Adamowi Asnykowi, Staremu teorbaniście* (Platonowi Kosteckiemu). Wszystkie te wspomnienia nie są charakterystyką poetów, lecz są żalem i wrażeniem bólu szczerego poetki po utracie jeszcze jednej struny w lirze narodowej. Liczny jest także poczet jej przekładów. Przełożyła różnymi czasy: *Attę Troll* z Heinego; *Dziecię wieszczek* Pawła Hayse'go; *Łabędzi śpiew romantyzmu* Hamerlinga, liczne poematy Vrchlicky'ego, jak: *Ghazele*, z cyklu *Dnie i noce*, z cyklu *Perspektywy*, *Attis i Kybela*, *Hypermnestra*, *Cyd w pracy*, *Giordano Bruno*, z cyklu *Gorzkie ziarna*, z cyklu *E. Morta*, *Serenady; Cyrano de Bergerac* Rostanda; liryki socyalistyczne Ady Negri; poematy Ludwiki Ackermann; Swineburna: dwa chóry z »*Atalanty;*« Sully-Prudhomne'a: *Gdzie idą?;* Platona Kosteckiego: *Lirnik;* Eugeniusza Tupe'go: *Trzy piosenki;* Juliusza Wolfa: *Ostatni toast z Taunhausera.*

Już sam wybór nieźle charakteryzuje upodobania tłómaczki. — Przypatrzmy się przekładom nieco bliżej.

Jak dalece Konopnicka zżyła się i ukochała poezyę romantycznej epoki i jej duszę ludzką, świadczy najlepiej to, że z tej właśnie doby pochodzą przeważnie przekłady lub też o niej mówią. Typowym jest poemat Hamerlinga *Łabędzi śpiew romantyzmu.* Poeta w Wenecyi, upojony wdziękami pięknej syreny Adryatyku, pragnie silniejszego bicia serca, zachwyca się cudami przyrody, pragnie obudzenia się młodzieńczych celów i wzlotów.

Pijany bóstwem klęczę pod lotosu kwiatem,
Ja sam kwiat nieśmiertelny, i nad sennym światem,
Z fal Sangesu mój kielich podnoszę w noc jasną
I z wonią Indostanu mieszam duszę własną. (VIII).

Kultura odległa, Kultura Egiptu, Grecyi i średniowiecza budzi w nim tęsknotę do cudów. A tymczasem odarto świat ze skarbów, wskróś piersi ostry wionął chłód, pobladłe gwiazdy lecą z nieba a łuskę cudnego morza przebiega zimny dreszcz. Chłód ziębi skroń i słychać szept spółczesnego wieku:

Niech zginie urok piękna! my z *wiedzy* czerpiem moc!
Pochodnia nam *rozumu* rozjaśnia marzeń noc,
Nie będzie dłużej człowiek igraszką sennych mar,
Nas nęcą *nowe* drogi i *nowych* celów czar. (XII.)

Marzyciel pod wpływem tych zapewnień wstydzi się swej zadumy, pieśniarz rzuca rymy, jak fraszki

dla dzieci... (XIV.) Ale demon inną jeszcze przybiera postać. Pochodnia jego oświeca niebiosa — bez Boga na tronie, globy lecą w przepaść ognia, rozpaczą przeklęte (XV.)

On jednak, Hamerling, wierzy w raj i w powrót dni cudu (XVII.), ale lęka się czerwia, co korzeń istnienia podgryza. Wielbiłby przyszłość, wysoko nosiłby sztandar wieku:

Gdyby ta pełnia życia i życia znój i pot
Wzmagały wnętrzną siłę i orli ducha lot. (XXIII.)

Ale skoro tak nie jest, to przeciwstawia się wiekowi i jego tendencyom.

Wy opiewacie myśli światowładne czyny?
Ja uczuciu oddaję mój hołd i wawrzyny!
Wy opiewacie rozum? — Ja serce czczę pieniem!
Serce wielkie rozkoszą i wielkie cierpieniem...
Wysoko ponad myślą — uczucia jest droga:
Rozum odbija światy, lecz serce śni — Boga!

Taka synteza poematu lirycznego Hamerlinga widocznie wydała się poetce cenną, skoro przełożyła poemat. Jeśli porównamy syntezę tę z myślą fragmentu Konopnickiej o stosunku nauki do poezyi i uczonego do poety, zauważymy różnicę. Myśl Hamerlinga odpowiada zapatrywaniu Mickiewicza i Asnyka, niektóre ustępy *Łabędziego śpiewu* przypominają *Napad na Parnas* lub *Przeminął czas*. Całość jest dziełem prawdziwego artyzmu i zasługiwała, aby tej miary poetka, co Konopnicka, dokonała przekładu. Jest też przekład ów

wyborny pod względem poetycznej transpozycyi: nie chodziło Konopnickiej o dosłowność, lecz chodziło o duszę i piękno artystyczne. Cel w zupełności osiągnęła.

Temiż zaletami odznaczają się przekłady licznych utworów Vrchlicky'ego Jarosława. Znane są trudności takich form, jak gazela; ale kunszt techniki wierszowej poetki naszej igrał z największemi trudnościami. Piękne gazele *Dusza*, *Rozszerzcie Boga* równe są swym oryginałom. Cykl *Dnie i noce* nadawał się znakomicie do rodzaju talentu Konopnickiej. Są to bowiem nastrojowe obrazy cudne i malownicze. Do najpiękniejszych należy *Południe.*

Przy złotym brzęku pszczół, co słodko dyszy
W białej akacyi, w rozkwieconej trześni,
— Jak kwiaty wonią! Jak w nich pszczoły dzwonią! —
Idę południa użyć błogiej ciszy
I słuchać, jak się modlą bezcieleśni
Duchowie pól tych sielskich, w cichej pieśni,
Przy złotym brzęku pszczół, co słodko dyszy.

Tak samo wybornie przełożone: *Pieśń zmierzchu*, *Mrok jesieni*, *Wieczór* i przepiękne, z greckich legend wysnute, poematy *Attis i Kybele*, *Hypermnestra* tchnieniem klasycznej powagi i greckiego dowcipu w pomysłowości owiane, dalej bohaterskich dzieł średniowiecza wzór w *Cydzie w pracy*, śmiałej myśli o postępie wzór *Giordano Bruno* i pesymistyczne *Gorzkie ziarna*, i smutne, ale krzepiące *E morta*, których tezą czterowiersz:

Zaprawdę, jest-ci boleść chlebem duszy
Z mistycznych ziaren, rozczynionych łzą!
Ona to nawet, co łamie i kruszy,
Umacnia potęgą swą.

Nareszcie i miłości kartkę poświęca w cyklu *Serenady*. Niejedno zapewne mamy tłómaczenie największego poety czeskiego w naszej literaturze; Konopnickiej wszakże zawdzięczamy taką garść jego poezyi, że daje najlepsze o twórczości pojęcie. W wyborze i wykonaniu przekłady Konopnickiej godne są oryginału.

Jakże odmiennym jest przekład Pawła Heyse'go poematu p. t. *Dziecię wieszczek*. Oktawa sama przez się nastręczała poważną trudność, ale nie dla Konopnickiej, mistrzyni w technice. Ton aryostyczny powieści jeszcze utrudniał zadanie. Sam poemat nie celuje głębią pomysłu. Heyse wogóle jest artystą formy, nie treści. Rzecz dzieje się w królestwie Astrachanu, w takiej postaci nie istniejącem na kuli ziemskiej. Kalisbad młody szuka dziecięcia wieszczek za żonę, nie chce pojąć żadnej śmiertelnicy. W istocie intrygi podstawiają wyobraźni króla, rozbudzonej opowieściami dzieciństwa, podrzutka, ku któremu to dziewczęciu płonie miłością serce Kalisbada nawet wówczas, gdy poznaje losy podrzutka. Wszelkie wysiłki dworzan i Husseina nie przydają się na nic: rzekome dziecię wieszczek zostaje królową. Ideą poematu jest, że cudowność od naszej wyobraźni zależy: to, co

ziemskie, może ozdobić się czarami nieziemskimi i przybrać kształty cudowności, jeśli zapragniemy. Technicznie poemat strzępił się trudnościami i trzeba było łatwości władania wierszem Konopnickiej, ażeby mimo tego podjęła się przekładu. Oto np. strofa, opisująca wymarzoną Giulnarę. Wieszczki bywają zwykle w powieściach wschodnich blondynkami. Tymczasem tej:

Twarzyczka ściągła i szczupła i śniada,
Purpurą wzruszeń ledwo zapłoniona;
Wązkie jej czoło opływa kaskada
Czarnych i bujnych włosów, jak korona;
Brew w łuk zagięta, ku skroni opada,
Jak pióro krucze... Jeśli dowiedziona
Rzecz, że blondynką była jej nadobna
Matka, to ona — do ojca podobna.

Pomijam inne przekłady. Z powyższego przeglądu nabrać można pojęcia, że przekłady naszej poetki przelewały nie tylko poematy obcych autorów na język ojczysty z pełnią treści i myśli, w nich zawartą, lecz że ducha indywidualnego poezyi obcych autorów i odrębnych właściwości form nie uroniły. Bezwątpienia istnieje pokrewieństwo tego ducha między Heinem a Heysem — między lekką, od czasu do czasu wytwornym dowcipem tryskającą, ironią zaprawioną techniką wiersza; ale powaga i majestat Hamerlinga, rzewność i smętek łagodny Vrchlicky'ego, ogień i polot Ludwiki Ackermann, siła przekonania i pewna gwałtowność Ady Negri znalazły w Ko-

nopnickiej wyborną interpretatorkę. Niezrównanym, ze swadą i miłością dokonanym jest przekład komedyi bohaterskiej Rostanda. — Zarówno czułe sceny miłosne, podszyte barokiem precyonizmu siedmnastego wieku, jak pełne zuchwałej dziarskości i rozmachu popisy rycerskie Cyrana są oddane z plastyką i żywością, jakby się znów przeżywało ów wiek fantazyi kawalerskiej, junactwa i galanteryi miłosnej. Konopnicka, jako tłómaczka, godnie może stanąć obok takich tłomaczów ostatniej doby, jak Porębowicz, Adam M-ski, Kasprowicz, Faleński, Przesmycki.

Obok przekładów wcale niepoślednie miejsce zajęła Konopnicka w krytyce literackiej i w opisowej prozie.

Pozwolę sobie na pierwszem miejscu w dziale prozy Konopnickiej umieścić doskonały jej artykuł p. t. *Krajobraz polski*, wydrukowany w wydawnictwie *Macierzy* galicyjskiej p. t. *Polska,* przedrukowany we *Wsi polskiej* warszawskiej w roczniku z 1911 r. Z zupełną słusznością dowodzi autorka, że charakter ziemi wytworzył charakter człowieka, że przeto pomiędzy ziemią, a zamieszkującym ją człowiekiem szukać trzeba wytłomaczenia istotnych właściwości obustronnego charakteru. Nie zatraciły się atoli w okresie wzajemnego oddziaływania, bogata rozmaitość wewnętrznych kształtów ziemi i zewnętrznej postaci. W tej rozmaitości głównym rysem naszego krajobrazu

plonność ziemi. Następnie w prześlicznych rozdziałach (XIII, XIV.) opisuje poetka tok Odry, jakgdyby pracę żywego i myślącego organizmu, poczem idzie opis Warty i Gopła. Z głębokiem uczuciem miłości opisuje serce Polski.

»Rankiem i wieczorom, w polu i w chacie, przy pracy i zabawie, w smutku i w radości — wybucha wieś pieśnią. Jak wody potoku z głębokiego zdroju, tak bije pieśń samorodna z piersi ludu: z zatajonych źródlisk ludowego ducha. Zrywa się, ulata, płynie z niewysłowioną rzewnością i tęsknotą, kipi życiem, swobodą, hulaszczem weselem; wspomina jakieś prastare, zapomniane dziejów godziny, jakieś krzywdy, jakieś boje, jakieś zwycięstwa i klęski; oczynia uroczyste momenty życia pradawną obrzędową nutą, nosi się po jarach, po turniach, nad łany, nad ugory się rozwiewa; usypia dziatwę, ociera oraczowi pot z czoła, dodaje mocy i rozmachu kosie, dzwoni z grabliskami po sianożęciach, po łąkach, po zagajach dziewczęcemi głosy, aż się rozełka, zawodząca za tym wozem, co go woły siwe ciągną. Za wozem, na którym chwieje się ostatnia domowina kmieca, zbita z desek trumna, i cała w nutach gorżkich żałości, pokory, idzie płakać z sierotami nad cmentarne wrota, czepiająca się krzyżów skrzypiących, ubogich krzywych sosen, rozpełzłych po mogiłkach zapadłych, po darniowych wzgórkach«.

Przechodzi następnie do opisu Mazowsza i Wi-

sły, Pojezierza, gdzie maluje zaścianki, bory, ową »zasłuchaną ciszę«, najpiękniejszy r… Litwy. Obszerne rozdziały poświęca Polesiu, Białorusi, Ukrainie, Dnieprowi i Tatrom. Jestto prawdziwa nowa *Pieśń o ziemi naszej*. Szukała i wyczuła główny charakter każdej części Polski. Potrafiła go zespolić z charakterem ludu na tej cząstce ziemi zamieszkałego. Potrafiła rysami, nastrojem i uczuciem nabrzmiałymi, rozjaśnić nieraz grubą pomrokę przeszłości. Najpiękniej opisała Mazowsze, najkrócej i względnie najsłabiej Ukrainę. Lud opisuje z ziemią. Faunę i florę niedostatecznie przedstawia. Charakter krajobrazu zaś piękniej maluje Konopnicka, aniżeli Pol. Liryczny, wymowny talent poetki wspomógł ją wybornie. Opisowa strona krajobrazu polskiego nieco szwankuje: szczegółowa, spokojna, drobiazgowa obserwacya powinna była wkroczyć i wspomódz poetkę. Tego zabrakło. Natomiast argument cząstkowy, luźny, że tak się wyrażę: liryczny argument, natomiast dar słowa malowniczego i silnego spółcześnie, nawet porywającego — to uwydatniło się w *Krajobrazie*. U niej z pod pióra przy tym pięknym artykule, jak to zresztą i nieraz przedtem bywało, sypały się perły, nie słowa, o twardości i barwie dragomitów, literalnie sypały się, taką posiadała ich obfitość i bogactwo. Obok tych opisów ojczystej ziemi, lubiła Konopnicka dzielić się z ogółem wrażeniami swych podróży po obcych krajach.

Czyniła to we formie poematów — i o poematach już mów^em powyżej; ale czyniła to również we formie ks _ek, jak np. *Wrażenia z podróży* (1883) lub *Na normandzkim brzegu*. Nie są to zgoła przewodniki po opisanych miejscach i krajach. Zgoła niewiele dowie się czytelnik np. z pierwszej książki o Tyrolu, Wenecyi, Weronie. Za to niezliczona ilość anegdotycznych historyjek z życia Tyrolczyków, mnóstwo anegdotycznych rysów z ich stroju, mieszkań, o kapeluszach, fajkach, śpiewie itp., za to do drobiazgowości dokładny opis pełnej przygód zabawnych i nie bardzo zabawnych przejazdu autorki z Wenecyi do Werony, za to wszystkie myśli wesołe i smutne poetki np. podczas zwiedzania więzień w Wenecyi, — to ma odtwarzać duszę zwiedzanego kraju i miasta. Nie są to tedy opisy podróży pouczające, lecz mają być opisy zabawne. Taki jest ich charakter. W r. 1904 wyszedł nowy tom wrażeń p. t. *Na normandzkim brzegu*. W dziesięć rozdziałów ujęła poetka szereg scen z życia nadmorskich rybaków z okolic *Dives, Benzeval, Noulgate, La Touque, Villérs*. Rozdziały te, a właściwie sceny i obrazy z życia tworzą całość. Są to sceny rodzajowe. Jak się odbywa wyprawa na węgorki? Zaloty we wsi rybaków. Prześliczny opis burzy morskiej, połączony z groźnem niebezpieczeństwem zatonięcia barki i załogi w opowiadaniu p. t. *Do ziemi*. Malowniczy obraz powrotu statków rybackich po

dwutygodniowym wielkim połowie; równie malowniczy opis kiermaszu czy odpustu na wybrzeżu; poemat o kojącej ciszy morza p. t. *A capella*. Trzeba przyznać, że opisy te pod wielu względami są doskonalsze, niż rodzajowe sceny pierwszej podróżniczej książki. Przedewszystkiem zmniejszyła się ilość dowcipów. Czasem zrzadka trafi się takie ironią zaprawiane zdanie: »Na długich żerdziach powiewają spodnice »na trzy szwy«, co tu jest *ostatnią, od wielkiej rewolucyi panującą modą*« (122) lub inne zdanie: »trąbi wprost apoplektycznie«, na ogół atoli dowcipy takie, mało dowcipne, pojawiają się rzadko. Nad wszystkiem rozpięła swój welon powaga dojrzałego wieku i talentu. Obserwacye psychologiczne nad zwyczajami i umysłowością tych nadmorskich wieśniaków celują subtelnością, są bystre i nie banalne. W ustępie *Do ziemi*, bodaj że wyjątkowo w całej produkcyi powieściopisarka zdobyła się na obraz pełnego grozy momentu tonięcia statku na oczach całej osady i dramatyczny efekt opisu celuje niepospolitą siłą. Zazwyczaj jednała ona uwagę i budziła współczucie w sercu czytelnika malowaniem szeregu wydarzeń drobnych, składających się na niedolę człowieka. Szereg drobnych nieszczęść zwykle pogrążał poddaną działaniu ich istotę ludzką na dno nędzy, z której nigdzie ratunku. Tu przeciwnie. Niebezpieczeństwo wisi niby miecz damoklesowy na nici, lecz rezultat jest: ocaleni! Bystra

i czujna obserwacya wypełniła obrazki mnogością rysów; świetna malarska zdolność dała barwy i oto literatura uzyskała w tej książce dzieło, co do literackiej wartości równe niezrównanym opisom Sieroszewskiego.

Daleko ważniejszy dział prozy Konopnickiej stanowią jej prace literackie. Dadzą się one podzielić na dwie grupy: prace z zakresu krytyki historyczno-literackiej i prace z zakresu krytyki twórczej syntetycznej.

Do tych studyów literackich należą: *Święto pokoju Hauptmanna*[1]), *O Adamie Asnyku*[2]), *O komedyi bohaterskiej Edmunda Rostanda*[3]), *Juliusz II. Juliana Klaczki*[4]), *O Beniowskim Słowackiego*[5]), *O Krzyżakach*[6]). Osobno wydano: *Mickiewicz, jego życie i duch*[7]), *Z roku Mickiewiczowskiego*[8]), *Pieśniarz Ukrainy*[9]), *O odzie do młodości*[10]). Powiem z góry, że jakkolwiek uważam studya Konopnickiej z działu obcej literatury za godne uwagi, to jednak ważniejsze wydają mi się o rzeczach swojskich. Z dwóch artykułów o rzeczach swojskich Konopnicka po *Panu Balcerze*, napi-

---

[1]) Bibl. Warsz. 1892.
[2]) „ „ 1896.
[3]) „ „ 1898.
[4]) „ „ 1899.
[5]) „ „ 1900.
[6]) „ „ 1900.
[7]) Warszawa 1899.
[8]) „ 1900.
[9]) Świt 1886.
[10]) Lwów 1890.

sanym oktawą i *Dziecięciu wieszczek*, przełożonem aryostyczną oktawą uważała się za kompetentną do studyum o niezrównanem dziele Słowackiego. Ale wypadło ono w miarę wielkich trudności zadania nie bez zarzutu. Dla wyjaśnienia więc metody krytycznej poetki rozpatrzę dokładniej studyum o Asnyku, któremu to poecie poświęciła już dawniej wiersz w cyklu *Żywym i umarłym*.

Twórczość Asnyka — podług Konopnickiej miała linie czyste i proste; żadnego bezładu, żadnej nieodwagi. I życie miał Asnyk takie, jak pieśń, dobrą, uczciwą zalecało się wagą i ducha stemplem jasnym. Ani w życiu ani w pieśni nie było cyganeryi ani filisterstwa. Asnyk nie podlegał rozdźwiękom ducha w stopniu, który innych poetów naszych potępieńcami własnej pieśni czynił.[1]) Były — zastrzega się 'Konopnicka — zgrzyty, jęki i skargi, był krzyk oburzenia i wzgardy, ale nie przeszedł on nigdy w zimne szydestwo i urąganie ideałom życia. Różnostronność kierunków twórczości obróciła się w siłę i bogactwo ostatnich pieśni jego. Było to jakby kolejne przebieranie strun różnych i różnych tonów na wielki akord, syntezą ducha tego »nad głębiami« brzmiący. Dwa główne okresy były w jego twórczości. W pierwszym okresie z każdej strofy biją zdroje

[1]) Można przeciwko temu sądowi silnie oponować na podstawie *Snu grobów* (1864), *Pod stopy krzyża* (1869), *Do XXX. (Szatana)*, *Wiekowi XIX.*, *Świat się ogniami zapala*, *Wśród przełomu* i w. innych poematów.

duszy, natchnienia gorące i żywe, uczucia mocne i pragnące. Blizki przyrody, całą treść ówczesną może wypowiedzieć: światłem, zmierzchem, barwą, wonią. Pieśń kwitnie: wypisywał »najsłodsze swoje sny« na »listku białej róży«.[1])

W drugim okresie nowa treść pieśni. Lot szerszy; leci, gdzie duch bojuje, aby zwyciężył siebie. Przybywa szturm. Ku czynom dyszy pierś. Śpiewa uczucia i porywy męskie. Światło swoje niesie, gdzie mroki; siły swoje niesie, gdzie praca.

Ale ciągle jest panem natchnień. Tytaniczna sfera wielkiej improwizacyi Konrada obca mu. Pożąda wyżyn, lecz nie szturmuje do nich. Pieśń Asnyka prorocką nie była, choć kapłańską i królewską bywała. *Wiedzącą* była pieśń jego, mądrą, rozumiała logikę faktów, ale *widzącą* nie była. Nie mógł życiu dawać wielkich haseł, jak Mickiewicz:

Hej ramię do ramienia! —

to hasło wodza

Trzeba z żywymi naprzód iść —

to rada, dana przez poetę sobie, ale i nam. —

Oto typowy przykład krytyki Konopnickiej. W ten sam sposób poddała ona analizie działalność twórczą Mickiewicza w książce: *Mickiewicz, jego życie i duch.* Wyborna to książka. Biblio-

---

[1]) Szkoda, że poetka chronologicznie nie grupuje odnośnych poematów. Skutkiem tego syntetycznym sądom brak dokumentów rzeczowych.

grafia krytyczna Mickiewicza obejmuje dziś około tysiąca numerów. Wielkich monografii posiadamy trzy: Wł. Mickiewicza, Piotra Chmielowskiego i Józefa Kallenbacha. Z mniejszych monografii ostatnie lata wydały dwie: Konopnickiej i Górskiego: Monsalwat. Monografia Górskiego jest barokowem dziwactwem, pstrokacizną frazesu, morzem górnolotnych pian, śród których ledwie się czystą kroplę zdrowej i jasnej myśli niekiedy wyszuka. Monografia Konopnickiej jest znakomitym, najdoskonalszym, jaki tylko wyobrazić sobie można, komentarzem ducha genialnego poety, plastycznym, jak posąg spiżowy jego wizerunkiem, utworzonym z doskonałej znajomości dzieł, życia i ducha wieszcza. Książka pierwsza jest lekturą nie tylko bałamutną i szkodliwą dla tych, którzy mickiewiczowskiej epoki i Mickiewicza samego gruntownie nie znają; książka druga jest arcydziełem monografii, wprowadzającej w głąb poetycznej twórczości wieszcza. A jednak metoda krytyczna, jaką się posługiwała poetka, w obu i we wszystkich zresztą jej krytycznych artykułach jednaka.

Oto poetka powiedziała sobie: dość nadużywania w krytyce takich określeń, jak: epoka, prąd, przedstawiciel czasu itp. Trzeba je wszystkie odrzucić z jedynym wyjątkiem duszy artysty, jego twórczej indywidualności. Należy tedy rozpatrywać pisarza poza obrębem historyi i czasu. I tak czyni

poetka. Jej studya twórców celują przenikliwem wmyśleniem się i wczuciem w dzieło i pisarza. O ile psychologia pisarza stała się nabytkiem ogółu inteligencyi, straciła tajemnicze karty, o tyle, jak przy Mickiewiczu, Konopnicka pisze o nim arcydoskonałą rzecz popularną, o ile atoli studyum wymaga badania naukowego, dochodzenia na podstawie różnorodnych dokumentów, o tyle studyum miewa punkty wątpliwe i sporne. Boć rzecz to jasna, że twórcza, subjektywna krytyka, stosowana do artystów przeszłości, bywa niebezpieczną, zwłaszcza gdy się dokonywa bez aparatu naukowego, tylko na podstawie t. zw. estetycznych wyczuć. Żaden artysta nie snuje wyłącznie z własnego talentu czy geniuszu, lecz jest też produktem miejsca i czasu; każdy artysta nie tylko jest literatem, lecz i literaturą. Gdybyśmy chcieli trylogię Sienkiewicza, zatem dzieło historyczne i objektywne, traktować wyłącznie ze stanowiska czystego piękna, krytyka doprowadziłaby do takich samych niedorzecznych ocen, do jakich doprowadzała krytyka, traktująca to dzieło wyłącznie ze stanowiska historycznej prawdy lub społecznych potrzeb. Oba kryterya stosować należy. Jakkolwiek bowiem Sienkiewicz przed napisaniem trylogii poczynił rozległe historyczne studya, to jednak po pierwsze w dziele dał wyraz swemu geniuszowi pisarskiemu, powtóre w dziele dał wyraz swoim zasadom, jako Polaka i człowieka lat 1880—1890. Krytyk

tedy ma obowiązek rozpoznania nie tylko źródeł naukowych, jakimi się posługiwał artysta, nie tylko znamion, jego duszy, jego indywidualności, ale i prądów czasu, kiedy się pisała trylogia, aby ocenić, czy na wiek XVII. nie spoglądał artysta przez specyalne szkła swego czasu. Wszelkie tedy izolowanie krytyki, wyłączenie jej z działu historyi literatury, aplikowanie dla niej nazw sztuki, twórczej krytyki itp. jest środkiem obniżenia wartości krytyki. Swoją drogą artykuły krytyczne Konopnickiej, mimo swego subjektywizmu (zawsze wyjątek czynię dla doskonałego studyum o Mickiewiczu p. t. *Mickiewicz, jego życie i duch)* zawierają mnóstwo trafnych spostrzeżeń i bystrych myśli. Mają one trwałą przez to wartość, aczkolwiek nigdy nie wyczerpują tematu.

VII.

Ogólna Charakterystyka.

Pierwszy wniosek, jaki się nastręcza nieodzownie po tym przeglądzie twórczości Konopnickiej, jest, że talent to był nader wszechstronny i nader elastyczny. Prawda, Mickiewicz pisał i wiersze liryczne, i epos, i dramat, i artykuły różnego rodzaju, lecz Mickiewicz był geniuszem, torującym drogę nowym prądom. Prawda, Słowacki pisał i liryki, i dramat, i artykuły prozą, — ale Sło-

wacki genialne rzeczy tworzył tylko w liryce i dramacie. Prawda, Krasiński pisał i liryczne utwory, i dramaty, i prozaiczne dzieła, ale znów tylko dramatowi i liryce wielkość swą zawdzięcza. Tak możnaby przejść poetów wszystkich XIX. wieku i okazać, że są albo niepospolitymi w jakimś jednym dziale twórczości, albo też rozmyślnie ograniczają się do paru działów, dla siebie najodpowiedniejszych. Tymczasem Konopnicka stworzyła pieśń niepospolicie dźwięczną, rzewną, melodyjną, pieśń, która prawdziwie była »dla myśli winem«; ona też stworzyła obrazek, rodzaj spółczesnej ballady rodzimej, rodzaj graniczący między epiką a liryką, rodzaj głębszy od gawędy, inny, niż sielanka, odmienny od elegii, choć w nim każdego z tych rodzajów potroszę.

Konopnicka zagłębiała się w zagadnienia najwyższą udręką nękające ludzkość, rzucała w poezyi lirycznej niebu i Bogu Konradowe pytania i lubo nie można w tym dziale poezyi do dzieł jej stosować tej miary, jaką wytrzymują filozoficzno-religijne poematy Mickiewicza, Ujejskiego lub Kasprowicza, to jednak ilość pytań, wymierzonych ku niebu, świadczy o niezmiernej boleści poetki na widok niedoli świata. Konopnicka i w tym dziale stworzyła dzieło zgoła niepospolite p. t. *Prometeusz i Syzyf* przez skupienie wszystkich promieni na Syzyfie. Zatem: pieśni, obrazki, liryka filozoficzna, poemat dramatyczny... Dorzućmy na szale epos

Pan Balcer, nie arcydzieło zapewne, lecz bądź co bądź niezwykłej miary dzieło. Dorzućmy na szale liczne, doskonałe przekłady arcydzieł obcej poezyi, i powieściowe obrazki, i powieści nawet, i artykuły opisowe, i artykuły, a nawet książki krytyczno-literackie, i książki z podróży, i szereg prześlicznych malarskich obrazków z podróży, i książeczki dla dzieci, jak np. Jasełka lub wyborna historya o Krasnoludkach i o sierotce Marysi.

Najpiękniejszą dziecinną książką Konopnickiej a jedną z najpiękniejszych w naszej dziecinnej literaturze jest historya *O Krasnoludkach i o sierotce Marysi*. Jest to cudna baśń, osnuta na ludowych podaniach i wierze ludu w skrzaty, krasnoludki, bożęta, słowem w istoty, zamieszkujące podziemia, nory i kąty, zakamarki tajemne w obejściach. Istoty owe ze światem ludzkim pozostają w związku, lecz zła nie czynią, raczej pomocą są biedzie i niezasłużonej niedoli. Tak, jak je w swej nader zajmującej bajce maluje poetka, — tworzą one społeczeństwo o rządzie monarchicznym, społeczeństwo wcale karne i mądre. Cała akcya rozgrywa się na tle uroczej przyrody wiejskiej. Zarówno zacny król Błystek, jak jego otoczenie: naiwny i zabawny uczony Koszałek-Opałek, sprytny Pietrzyk, łakomy, lecz szlachetny Podziomek i inni naturę mają słowiańską — prostoduszną, dobrotliwą, wierzącą w opatrzność. Poetka wśród obrazków mnóstwa przygód

czyto Marysi czy Krasnoludków rozsnuła mądre i poczciwe wnioski, rady i wskazania etyczne o życiu. Cała zaś powieść ma konstrukcyę nadzwyczaj jasną i prostą, styl narracyjny łatwy a barwny, akcyi dużo, cudowności też niemało. Jeśli się doda malownicze i dowcipne winietki Illinicza, — wyznać trzeba, że i w tym rodzaju talent niepospolitej poetki stworzył dzieło pierwszorzędnej miary.

Nie jestże to działalność wszechstronna, rozmaitość pracy twórczej wprost fenomenalna, jeśli się pamięta, że w każdym z tych mnogich działów choć jedno dzieło celuje wielkiemi zaletami?

Stąd drugi wniosek. Była to dusza wiecznie czujna, umysł wielce ruchliwy, głowa myśląca, pełna inicyatywy i energii twórczej. Trzeba zaprawdę najistotniejszą życia swego zasadą uczynić hasło: *nulla dies sine linea*, trzeba mieć niezłomną wolę i energię wprowadzać tę zasadę w czyn wciąż bez wytchnienia, przez lat kilkadziesiąt, aby tak, jak Konopnicka, wysnuwać ze siebie nić twórczego natchnienia lub płodnej myśli. Miała też ona większe, niż ktokolwiek inny prawo do przynaglania poetów wołaniem: *Czuwaj strażnico.* Stała na straży narodowego życia i żaden jego objaw: smutny czy radosny nie uszedł jej uwagi.

W ścisłym związku z tą czujnością żywej duszy nad zjawiskami życia zbiorowego była niezmierna pobudliwość poetki. Nic łatwiejszego, jak zająć ją, rozczulić, rozgniewać, oburzyć, rozrze-

wnić. Był to palny materyał, którego lekkie potrącenie powodowało wybuch. Dlatego też mnóstwo utworów jej powstawało pod pewnem wrażeniem. Nie mówię już o takich podnietach, jak rugi pruskie lub tłumna emigracya do Ameryki, ale ileż to drobnych wzruszeń lub wrażeń estetycznych dały Konopnickiej asumpt do poematów. Przypomina mi się tutaj analogiczna właściwość Syrokomli. Ot n. p. pewnego razu J. I. Kraszewski posłał w liście Syrokomli rysunek starej bramy folwarcznej z podpisem »*poczciwe* stare wrota«. Przymiotnik *poczciwe* tak uderzył Syrokomlę, że wśród rozmyślań na temat poczciwości starych wrót wynalazł całą powieść poetyczną o tym samym tytule. Toż samo bywało z Konopnicką. Dość wspomnieć — prócz wskazówek o genezie utworów, już powyżej rozpatrzonych o Sonetach włoskich, o echach florenckich, o cyklu *Madonna*, powstałym pod wrażeniem madonn włoskich Cimabuego, Vivariniego, Rafaela, Luiniego, Botticellego, Corregia, Giotta, dość wspomnieć *Prace Amora, Faun*, pod wpływem rzeźb odpowiednich lub *Z tamtego świata* pod wrażeniem tryptyku Prószyńskiego. Na pytanie, czy nie byłoby lepiej, gdyby Konopnicka nie tak skwapliwie podchwytywała własne bodźce uczuciowe, aby z nich krzesać poezye, czy większy krytycyzm i surowszy wybór w motywach nie wpłynąłby ograniczająco na ilość z równoczesnem pogłębieniem myśli i uczucia, — na pytanie to

nie odpowiadam. Nie należy bowiem do zadania krytyki domyślać się, coby było, gdyby to a nie owo. Zwracam uwagę na jedno ze znamion umysłowości poetki — i to wystarcza. Wraz z ciekawością na rzeczy i ludzi łączy się u Konopnickiej chciwość książki, głód nauki.

Od chwili, gdy wystąpiła w dziedzinie literackiej, uczyła się ciągle z taką samą skwapliwością, z zapałem, niemal gwałtownie, z jaką wypowiadała się przed ogółem. Czyż potrzeba szeregować dowody czytelnictwa poetki? Czyż poemat *Pan Balcer* nie dowodzi rozległego zaznajomienia się z bogatym materyałem wychodźtwa. Czy krajobraz polski nie dowodzi gruntownej znajomości geografii ziem polskich? Czyż tyle różnych poematów, dzieł prozą i wierszem nie dowodzi znajomości filozofii, historyi kultury, estetyki, nawet nauk przyrodniczych? Nie zgłębiała żadnej gałęzi wiedzy do dna, z niemieckim uporem i ścisłością, ale mogła o sobie słusznie powiedzieć: *nihil a me alienum esse puto.*

Wszystkie te atoli cechy odnieść należy do struktury umysłowej poetki. Jeśli wglądniemy w sferę jej uczuć i wyobraźni, to odkryją nam się skarby bez wątpienia drogocenniejsze. Jej uczuciowa natura — to instrument niezwykle czuły na wszelkie poruszenia niedoli ludzi małych, ubogich, skrzywdzonych, bezbronnych, słabych i upośledzonych. Ponieważ Polska — jak myślą sięgnąć — pełna takich ludzi, przeto Konopnicka utożsamia

swoje gorące współczucie dla nędzy świata ze swą miłością ojczyzny. Dla bogatych, silnych i władnących nie tylko nie żywi współczucia, lecz w lutni jej ku nim drga struna niechęci i wzgardy. Można ją dzięki temu nieraz było posądzić o cokolwiek skrajny demokratyzm, może nawet wskutek przekładu *Niedole* — *Burze* Ady Negri o socyalistyczne sympatye. Czy to nie była raczej pochopność do opozycyi i protestu wobec widoku krzywdy i nędzy? Głęboka i szczera wiara w możliwość odrodzenia jedynie przy współdziałaniu ludu i robotników mogła w uczuciach poetki wzniecić niecierpliwość, że oto tak powolnie rozwidnia się mrok, okrywający lepszą przyszłość, a ci, od których przyspieszenie zorzy zależy, mało czynią... Czynniki partyjnej agitacyi nieraz wyzyskiwały tę skłonność serca, zastawiając się słynną poetką, jakoby własnym ze stali błękitnej pancerzem. A tymczasem na harfie poetki ta smutna struna coraz brzmiała donośniej i do końca jej życia nie ścichła. Rzecz godna podziwu, że harfa obok strun smutku, gniewu, żalu, boleści, rozpaczy, religijnego uniesienia — miała też i igraszki pełne struny ironii, sarkazmu i żartu. Prawda każe wyznać: w poezyi uważała poetka żart za część jej podrzędną, strzegła się, a w każdym razie wolała patos szczery lub sztuczny. Za to czy to w obrazkach czy nowelkach, czy też w książkach z podróży posługiwała się ironią

i humorem chętnie niezawsze ku korzyści wyrażenia. Dość przejrzeć takie obrazki, jak *Mój zegarek*, którąkolwiek z *Urbànowych, Banasiowych* czy *Józefowych*, a niestety wiele scen w *Panu Balcerze*, iżby nabyć przekonania, że ten humor jest daleki od dyskretnego półuśmiechu czy to *Homera* czy *Mickiewicza*. Jest on przejaskrawiony, czasem trywialny[1]), często sztuczny.

Wobec ogromnej rozmaitości prac, niezwykła też jest u Konopnickiej rozmaitość stylów poezyi i prozy. Bogactwo jej obrazowania i słownictwa największe tryumfy święci w *Panu Balcerze*. Dawniejsze utwory dowodzą ogromnej łatwości obrazowania. Zwyczajne to u Konopnickiej zjawisko, że na wyrażenie jednej myśli wyobraźnia i pamięć toczą coraz nowe i nowe obrazy. Dzięki tej łatwości tworzenia, dzięki temu snuciu się obrazów bez końca, nieco opieszale kontrolowanych i brakowanych przez rozum i samokrytykę, poezya Konopnickiej filozoficzna daleka jest od owej kryształowej jasności i logiki, jaka lśni się w twórczości Asnyka. Nieraz podawałem wyżej w wyjątkach najlepsze fragmenty poetyczne. Pozwolę sobie tu przytoczyć dla przykładu ustęp nieplastyczny ze stylu prozaicznego. »Na prawo — opisuje poetka — delikatna koronka wiązań i arkad wielkiej

[1]) Obacz nowelę *Maryanna w Brazylii*. Tam prześladował ją jakiś negr. Gdy uciekała, a on wycelował z fuzyi, podniosła spódnicę i ukazała cel. Trochę to za gruby żart nawet na Maryannę.

tamy w Roches-Noires, na fiołkowe przeźrocza rzucona; na lewo majacząca w głębokich oparach przystań, której maszty i reje czynią sobą wizye olbrzymich, chwiejących się nad mętną otchłanią irysów«. Jakże to słabe porównanie masztów i rei — do irysów, arkad wielkiej tamy do koronki! Jak to uszczupla i nikłem czyni wrażenie! Ale gdy poetka powie np. »Zmierzch — to siłacz wielki i czarodziej, który oboma ramionami świat garnie, żeby zaś łatwiej go nakrył szarą płachtą — to plastyczne porównanie przypomina ową noc Malczewskiego, która za sobą ciągnie płaszcz dla zbrodni i zdrady.

Kopalnią obrazów jest *Pan Balcer*. Trzebaby specyalnego studyum, aby wykazać ogromne bogactwo słownictwa i obrazowania. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że poetka w opanowaniu formy t. j. sprawności i doskonałości rymu, melodyjności rytmu, śmiałości i sile obrazów poetycznych, w skarbach słownictwa w tem dziele zgromadzonych, stanęła na wysokim poziomie wyrobienia. Samo zebranie słów i zwrotów, z narzecza zaczerpniętych, dawałoby sposobność do niełatwego a wdzięcznego studyum.

Nakoniec trzeba powiedzieć, że naród zawsze z zajęciem i uznaniem, czasem i entuzyazmem i uwielbieniem słuchał Konopnickiej, darząc ją chlubnem mianem swej największej poetki. A kiedy w r. 1902 upłynęło ćwierć wieku od wejścia na

pole literackiego działania, serdecznie i szczerze święcono ten jubileusz w stolicach Polski: wydano wybór utworów, uznanych za najlepiej nadające się dla szerokiego ogółu, dwa pisma *Tygodnik ilustrowany* i *Biblioteka Warszawska* święciły jubilatce swe numery, złożono ze składek niewielki fundusz na zakupno dworu na wiejski wypoczynek dla poetki, słowem zabiegano, czem i jak chata bogata.

Ukazało się mnóstwo trafnych, czasem pięknych głosów o poetce. Bezwarunkowo warto z tego mnóstwa niektóre poznać, uzupełniają one bowiem wybornie, niekiedy specyalnie, niekiedy odmiennie oświetlają wszystko, co się wyżej o Konopnickiej powiedziało, mogą tedy stanowić czy to reasumcyę czy też sprawdzian sądów o niej.

Kiedy świat polski w 1902 roku obchodził jubileusz ćwierćwiekowy pracy twórczej poetki, społeczeństwo za grosz składkowy ofiarowało jej dwór wiejski w Żarnowcu, literaci ofiarowali popularne wydanie wybranych dzieł dla ludu, a *Biblioteka Warszawska* i *Tygodnik ilustrowany*, tj. te pisma, w których najwięcej drukowała utworów, poświęciły jej specyalne numera. Pisali tu dla niej i o niej Wł. Boguslawski, H. Sienkiewicz, Bolesław Prus, Eliza Orzeszkowa, Stanisław Krzemieński, Stefan Żeromski, Piotr Chmielowski, T. T. Jeż, Antoni Małecki, Deotyma, Ludwik Jenike, A. Świętochowski, Wacław Sieroszewski, Stani-

nisław Przybyszewski, Artur Oppman, Józef Kallenbach i wielu innych.

Poruszono w tych sądach i aforyzmach prawie wszystkie właściwości talentu Konopnickiej, główny nacisk kładąc na ludową strunę, czasem oczywiście nawet *cum studio* i trochę niezasłużenie.

»Miłość, co ogniem w Twem sercu płonie z zarania,
Nie zna ni stanów, ni płci, ni różnic wyznania«.

Tak wołał w poemaciku: *Śpiewaczce bolów* Ad. Szymański; lecz wiemy, że miłość Konopnickiej znała różnicę stanów.

»Jej poezya — sądził Małecki — płynie z krynicy natchnienia, której nie zamącają refleksye, zrodzone w mózgu«; lecz wiemy, że bogata biblia poetki właśnie refleksyi takich jest zbiorem.

»Do tych należysz — pisała Orzeszkowa przyjacielskiem piórem — którzy posiedli najtrudniejszą umiejętność ducha; w tem spoczywającą, aby nie tracić nigdy z oczu błękitów niebieskich«; lecz wiemy, że w biblii dużo wylało się goryczy, zwątpienia i nawet niewiary.

»Retoryka u niej — zapewniał M. Massonius — znikła bez śladu, a pozostała prawdziwa potęga słowa«; lecz wiemy, że retoryki w jej poezyi, dużo, dużo...

Te i tym podobne aforyzmy uznać trzeba za komplementy, nie mające dokumentów rzeczowych. Ale ma racyę Ignacy Baliński, gdy mówi:

....»najtkliwsze swe uśmiechy
Pod słomiane słałaś strzechy,
Najcieplejszy promyk duszy —
Tym, co w mroku, w cieniu, w głuszy«.

Ma racyę i Artur Oppman, gdy śpiewa:

»I tak z wszystkiem jest złączona,
Tak się z treścią serc zbratała,
Że nie zgadniesz: śpiewa ona?
Czy to śpiewa ziemia cała?«

Ale najwierniej twórczość Konopnickiej w ogólnym zarysie określają Wł. Jabłonowski i Deotyma. Pierwszy pisze:

»W bogatem królestwie duchów twórczych dwa ich gatunki pracowały z największym pożytkiem ogółu. Do pierwszych należą ci z pośród twórców, którzy byli z ogółem pokłóceni, co w wieczystej z nim rozterce wciąż odsłaniali mu jego małoduszność i poziomość uczuć, co — jak Byron i Słowacki np. nie dawali mu spokoju i całem ducha swego wrzeniem pragnęli »ziemię nieść ku błękitom« a »zjadaczów chleba« w aniołów zamienić. Do drugiego ci, którzy z ogółem żyli w zgodzie, co wchodzili z nim w przymierze, nie schlebiając jego instynktom błędnym, lecz dzieląc z nim jego troski powszednie, podnosząc jego bezwiedne pragnienie ideału.

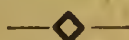
Do tych ostatnich duchów twórczych należy i Marya Konopnicka«.

Druga Deotyma kończy swój poemacik zwrotką do Konopnickiej:

Czy ziarno sieje, czy chmurom wygraża,
Czy chce, czy nie chce klęknąć u ołtarza —
Zawsze się modli w serdecznym kościele,
Bo cierpi wiele i miłuje wiele«. —

Na takie zdanie o Konopnickiej i ja się w zupełności piszę.

BIBLIOGRAFIA.



1. *J. Gnatowski.* Jeden z prądów naszej poezyi spółczesnej. Bibl. Warsz. 1883. t. IV.

2. *T. J. Choiński.* Typy i ideały pozytywnej belletrystyki polskiej. Warszawa 1888.

3. *Piotr Chmielowski.* Współcześni poeci polscy. str. 139—188.

4. *St. Kozłowski.* Marya Konopnicka. Bibl. Warsz. 1894. T. II.

5. *Tretiak Józef.* Nowa poetka. Przewodn. nauk. i liter. r. 1881. 765—768.

6. *Jozafat Nowiński.* Marya Konopnicka. Ateneum. 1894. T. I. str. 334.

7. *A. G. Bem.* Znajomi Konopnickiej. Kraj 1894. Nr. 4.

8. *W. Bogusławski.* Marya Konopnicka. Tyg. ilustr. r. 1902. Nr. 5. IV.

9. *N. Salle.* Twórczość poetycka Maryi Konopnickiej w ciągu 25 lat. Warszawa 1902.

10. *Falkiewicz Karol Dr.* Marya Konopnicka. Lwów 1902.

11. *Ad. Pług.* Marya Konopnicka. Kłosy 1882.

12. *Bohdan Łepki.* Marya Konopnicka. Szkic literacki. Sprawozdanie gimn. Brzeżany r. 1897.

13. *H. Sienkiewicz.* Marya Konopnicka. Bibl. Warsz. r. 1902.

14. *Antoni Potocki.* Marya Konopnicka. Szkic literacki. Lwów 1902.

15. *Grabowski Tadeusz.* Marya Konopnicka w 25-letnią rocznicę jej poetyckiej działalności. Przegląd polski 1902.

16. *Jarecki Dr. K.* Twórczość poetycka Maryi Konopnickiej. Lwów 1902.

17. *Al. Pechnik.* O poezyach Konopnickiej. Lwów 1903.

18. *Pietrzycki Jan.* O liryce Konopnickiej. Kilka uwag. Lwów 1907.

19. *Turowski Dr St.* Marya Konopnicka. Przegląd polski. 1911.

